GWIAZDA

Czasop. 54.

KSIĄŻKA SKŁADKOWA.

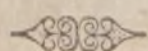


WYDAWCA

BENEDYKT DOŁĘGA.

TOM DRUGI.

WILNO.



Nakład i druk T. Glücksberga.

1855.

GWIAZDA.



GWIAZDA

XIĄŻKA SKŁADKOWA.

№ 3.

Ite: ecce ego mitto vos sicut agnos inter lupos. — Ecce dedi vobis potestatem calcandi supra serpentes et scorpiones, et super omnem virtutem inimici; et nihil vobis nocebit.

Evang. s. Luc. Cap. X. 3. 19.

La plus douce récompense des véritables amis des sciences réside dans l'utilité générale qui peut résulter de leurs découvertes, et dans l'opinion favorable et méritée qu'on conçoit de leurs travaux.

Fourcroy. Rapport à la Convention du 3 Janvier 1795.

WYDAWCA

BENEDYKT DOŁĘGA.

KIJÓW.

1848.



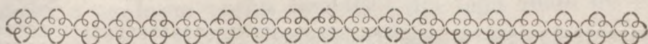
Печатать позволяется

съ тѣмъ, чтобы по отпечатаніи представлено было въ Цензурный Комитетъ узаконенное число экземпляровъ. Кіевъ 1848 г. Іюня 3 дня.

Цензоръ, Статскій Совѣтникъ,
Орестъ Новицкій.



Czcionkami T. Glücksberga.



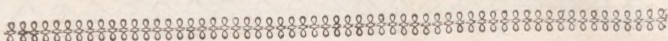
MYŚL O POSTĘPIE.

Jeszcze na ziemi pół-wiosna, pół-zima,
Jeszcze bez liści i drzewa i krzaki,
Jeszcze śnieg leży, jeszcze kwiatów niema,
Jeszcze z wędrówki nie wróciły ptaki; —

Lecz patrzaj w górę, już wiosna na niebie, —
Patrz, jak wysoko wzbiło się już słońce,
I białe chmurki zdaje się do siebie
Biegną przez cztery widokręgu końce.

Tak w naszym bycie szczęścia jeszcze niéma,
Jeszcze dusz naszych światło nieogrzewa,
Jeszcze zabobon w swych pętach nas trzyma,
Jeszcze się oko hojną łzą zalewa:

Lecz jasne wróżby już widne na niebie.
Więc na marcowe mniej zważając chłody,
Z wiarą w czas lepszy biegnijmy do siebie,
Jak owe chmurki, zwiastunki pogody.



De rebus nonnullis, praecipue de Astro Kioviense.

(*List do Wydawcy.*)

.......Jestem Wołynianin, ale to duszą i sercem. *Gwiazda*, która się pojawiła na niebie Kijowskiém, musi lśnić i nad Wołyniem, a zatem jest moją rodzimą gwiazdą. Obudziła ona we mnie silny interes; powitałem ją uczuciem bratniém, sercem tęsknego mieszkańca Kaukazu; — dla tego przebaczyć mi raczysz szanowny Obywatelu, że Ci zabiorę trochę czasu, przeznaczonego może pracy pożytecznej albo potrzebnemu wytchnieniu. To, co następuje, będzie niejako uczuciową spowiedzią, którą, w skutek powziętej ku zacnym Twoim trudom sympatyi, przedsięwziąłem wykonać przed Tobą z całą pokorą chrześciańską. Wynurzę ci prawie wszystkie tajniki duszy mojej, bo dam, choć nadto ogólny i nieporządny, ale pełny szczerości, rys myśli, uczuć i wrażeń, jakie odbierałem czytając cokolwiek.

Jak niepodobną jest rzeczą utrzymać życia fizycznego bez pokarmu, tak człowiekowi cokolwiek myślącemu niepodobna obejść się bez xiążki, bez wiado-

mości o ogólnym ruchu oświaty: dla tego zdało mi się najstosowniejszém utrzymywanie pisma peryodycznego, jako składu ogólnych pojęć i dążności. Ze szczupłych moich funduszow prenumerowałem *Athenaeum*, ale zupełna czczość niektórych artykułów i cała postać pisma, lubo ozdobiona portretem X. Hołowińskiego, nie mogła uczynić zadość mojemu pragnieniu. *Biblioteka warszawska* przykre wzbudziła we mnie uczucie, bo przejąwszy się jej treścią można powziąść przekonanie, że duch ludzki tak jest przykuty do ziemi, iż wyżej wznieść się nie może nad pojęcia o ulepszeniu bruków i kolei żelaznych. *Tygodnik pana Przecławskiego* niczém mię ku sobie nie wabił: — musiałem więc dać pokój pismom peryodycznym, a udać się na *chybitrafi* do Zawadzkiego z prośbą, aby mi przysłał: *Starégo Szlachcica*, *Obrazy litewskie*, *Bigos hultajski*, *Latarnię Czarnoxięzką* i t. p. Otoż czytam i czytam w tym porządku, jak ci napisałem. Zostaję pod wpływem dobrych geniuszow: słodkie uczucie mię napełnia; całą piersią oddycham wspomnieniami przeszłości: widzę poczciwą, kochaną Litwę, i tak mi dobrze, tak błogo, jak gdybym wśród niej żył, jej elementami duszę i ciało moje zasilał. *Bigos* — smaczny, może tém smaczniejszy, że jeszcze nieskończony; zaostrza ciekawość, jak apetyt i jest prawdziwym bigosem z naszej rodzimej kapusty przyrządzonym. *Latarnia* — och! Latarnia! (Pierwszy oddział:) — dużo w niej wdzięku, dowcipu, talentu. Ależ przebóg! czy już ten mój rodzimy Wołyń tak się przez ten dziesiątek lat, com go niewidział, zmienił, że ani jednej osoby niema, o którejby można powiedzieć, że ma charakter pewny? — Wszystkie bez gruntu i mocy; i albo się świecą pożyczanym blaskiem cywilizacyi, albo rażą gburostwem i

złém wychowaniem. Nigdzie serca. Nawet w Auguście egoizm przeważa. Czyście wy zauważyli Obywatelu, że złe w Panach, choć złe, zawsze tak talentem Autora ubarwione, że się niewydaje tak złém, jak jest rzeczywiście? Ale za to bracia szlachta już się nieodziewa tą subtelną powłoką grzeczności autorskiej, już nieżałowano pracy do oddania jej w cieniach ostatecznego poniżenia, w jakiém może i nieznajduje się ona obecnie. Nawet owa piękna historya Sawki zda się być wyłącznie wymierzona do biednego Ekonoma, który, jak to prawie u nas zawsze bywa, z dziada z pradziada Ekonom, bez żadnego wychowania, bez żadnych religijnych i moralnych zasad, wie tylko z podania, że chama trzeba kańczukiem utrzymać w posłuszeństwie, że bliższa ciała koszula niż kaftan i że czego nieweźmie na sumienie nie będzie miał na grzbiecie. Ale z takiémi usposobieniami i z taką nieszczęsną płacą, jaką zwykle pobiera ekonom, czyż można się dziwić ich postępkom? Czy nie więcej winien właściciel, który wyjeżdżając za granicę oddał powierzoną mu opatrznością wioskę w ręce człowieka, którego nieznał a którego znać tak łatwo mu było? Pomimo to wszakże całe oburzenie czytającego musi uderzyć na nieludzkiego ekonoma, bo Pan pojechał, niema go, bo autorowi podobało się zrobić go zupełnie obojętną figurą dla czytelnika. I tak w całej tej Latarni: wszędzie skutki bez wykrycia przyczyny głównej, bez zbadania zła w samém jego źrzódle, początku. Jużem był zwątpił o Wołyniu, już ostygała chęć powrotu do tej ziemi, na której lata szczęśliwej młodości spędziłem, kiedy poczciwy Zawadzki odgadłszy instynktowie, jakie cierpię katusze, przysłał mi *Spekulanta* i *Kollokacyą* Korzeniowskiego; tego dość było, aby się na nowo pogodzić z moją kochaną

ojcowizną: — powiedziałem więc sobie, że albo zła gwiazda przewodniczyła w przejazdkach Augusta ze Stasiem, albo Latarnia czarnoxięzka przedstawia obrazy w fałszywych kolorach. Zawsze ceniłem i cenię wysoko zdolności P. Kraszewskiego, oraz tę jego niezmordowaną pracę umysłową, co bezustannie nas obdarza nowémi dziełami, lecz sumiennie mi wyznać przychodzi, że nie wszystkie są owocem dojrzałym, posilnym; często w nich spotykać się daje niewykończoność, nadzwyczajny pośpiech, jakby tandetnej roboty u fabrykanta; łatwoby było wykazać te niedostatki, lecz ani pora ani miejsce po temu; mówię to tutaj dla tego tylko, aby nie mniemano, że każda praca P. Kr. bezwarunkowo za *non plus ultra* przyjętą była przez jego czytelników. Niesądź także, aby mi były zupełnie obce utwory *Decemviratu*, ale są rzeczy, o których człowiek nierad mówić, a nawet chciałby zapomnieć, że je kiedyś czytał.

Nie czytałem N. 1. *Gwiazdy*, bo do mojego ustronia w górach wieść o niej niedoleciała, a więc nic o niej. Nie wiedziałbym nawet o jej istnieniu, gdyby mi spowiednik nieprzywiózł w tym roku biletu prenumeracyjnego: wziąłem go chętnie dla samego celu, na jaki przeznaczoną była, niewchodząc, jakiej wartości będzie. Dziś mając ją w ręku, obracam się do Ciebie Dołęgo, jako do jej opiekuna, jako do człowieka, co pojąwszy całą świętość nauki Chrystusa rozpoczynasz walkę w obronie prawdy i ludzkości. Precz więc odemnie światowa grzeczności! słowa moje niech będą uroczystém wyznaniem tajników mojej duszy, dalekiém od wszelkich osobistych względów; niech pobratymcza moja miłość dla tej *Gwiazdy* nieoślepia się jej blaskiem,

lecz śledząc bezstronnie za jej krokami wypowie z całą otwartością swoje przekonanie, wymarzone może w samotnych dumaniach Kaukazu.

Przeczytawszy *Sprawozdanie* zostałem pod silnym wpływem waszej sumiennej i prawej dążności. Wasze widzenie rzeczy jest czystym objawem ducha czasu tak niezbędnie potrzebnym wśród chaosu Mieszaniu obyczajowych i wstecznych dążeń uzurpatorskiego Decemviratu. Złożyłem korne dzięki Stwórcy za ten dowód jego łaski dla naszego kraju, za tę nową tęczę przymierza, co się ukazała ztęsknionemu oku ludzkiemu pośród wzburzonych odmętów fałszywej religii i filozofii. I jakże nie miałem was pokochać? jak nieszacować tego Alexandra Parczewskiego; o którym dotąd niesłyszałem, kiedy wy jego cnocie ufacie? kiedy wy jesteście organem prawdy wydźwigającej się z ujarzmienia dotychczasowego? — Lecz pozwól sobie powiedzieć, że w twoim artykule spotykać się dają niekiedy *wyrażenia rubaszne*, tak iż patrząc przez Latarnię czarnoxiężką sądziłbym, żeś je zachwycił ze szlacheckiego polowania u Sędziego, i nawet trapić się zaczynam, by Cię jeszcze taż Latarnia nieotoczyła dymem tytoniu Zalubowskiego. — Zapewne, że one są użyte odpowiednio wyrazom kwalifikowanych mędrców Decemviratu; ale cóż? — jak rycerze średnich wieków puklerzami, tak oni swoimi przywilejami i patentami potrafią zasłonić się od zarzutów stania się niedelikatnymi w oczach świata. Odpowiedzcież im tak, jak odpowiadacie słowami czystej prawdy, bez ubliżenia temu dostojeństwu, jakie Bóg na was włożył (1).

---

(1) Okoliczności, w jakich znajdowaliśmy się przystępując do wydania N. 2. *Gwiazdy*, były powodem, że ten Numer

Powiedziałeś Obywatelu, że się nie ulękniesz i staniesz do walki z Tytanami. — Walka ta odbędzie się w obliczu tysiąca widzów, tysiąca sędziów, może być przeciągłą, morderczą, ale zwycięztwo pewne. Niech tylko broń wasza będzie artystycznie wyostrzoną, niech czytelnicy *Gwiazdy* będą zadowoleni jej składem, a wówczas nieprzyjaciel musi upaść przed wszechwładną potęgą miłości prawdy i bezinteressowności materyalnej; wówczas Tytani zostaną na stronie z tłumem swoich adherentów — automatów bez woli i charakteru, co się ich trzymać będą, jak pozbawiony wzroku lada przewodnika zdając się zupełnie na jego sumienie.

Czytając *Odpowiedź na list Kwestarza Somnambula*, miło jest widzieć obywatela prawego, niezło-

---

w całym prawie składzie swoim przybrał charakter polemiczny. — I mogłoż być inaczej? I podobnaż było uniknąć niedelikatnych, ostrych, przykrych, szyderczych, gwałtownych, czyli (jak pisze szanowny nasz Korrespondent) *rubasznych* wyrażeń: — kiedy nas, najmocniej w duchu przekonanych o nieodzownej potrzebie światłej krytyki moralno-umysłowej, ogłoszono z tego względu za infamisów godnych najsurowszej chłosty? kiedy nasz Prospekt, tłumaczący najzbawienniejsze nasze intencye, z pogardą i szyderstwem odrzucono? kiedy wreszcie na kilka słów sprawiedliwej naszej skargi poczęto odpowiadać długimi i najnikczemniejszymi paskwilami? Wszakże to dzięki autorytetom, na których funduje się u nas opinija ogółu, zostawaliśmy pod klątwą prawie publiczną? wszak na biedę naszą sprawdziło się już co do joty przysłowie: *kiedy na niedźwiedzia gałązka spadnie, to on ryczy*? — Otoż cała nasza exkuza. Poprzedniczy Numer naszej xiążki, ze względu na jego charakter polemiczny, my sami nazwaliśmy *potworem-kometą*. Gwiazda też nasza nie pierwej zaświeci spokojném, łagodném, niebieskiém światłem, aż oczyści sferę polskiej umysłowości z grubych atomów jezuityzmu i chińszczyzny, aż przestanie być organem wojowniczym, oppozycyą. (*Wyd.*)

mnej i niepokalanej cnoty, niczem niezachwianego w swoich zasadach. Moralna powaga, z jaką to pismo przemawia, właściwa jest Kaczkowskiemu. Takim on jest w tej odpowiedzi, jakiegośmy zawsze znali, widzieli i szacowali; i nikt nie może podnieść głosu przeciw niemu, bez ubliżenia zasłużonej cnocie. Dla czegoż dzisiejszy jego list do P. Kraszewskiego każe wziąść pióro do ręki? Miałożby skutkiem jakichkolwiek wpływów zmienić się raz powzięte o nim przekonanie? — nie! ale, pomimo upewnienia P. Kaczkowskiego, że list P. Tetery bynajmniej go nieobchodzi, widzimy, że go boleśnie dotknął i jakby w zwątpienie o sobie wprawił. Wprawdzie cały list P. Kaczkowskiego oddycha prostotą, prawością i jest jakby wyznaniem wiary jego, wszelako niema już w nim tej pewności, tego zaufania we własnych siłach, jakie znamionują odpowiedź Kwestarzowi; tutaj już widoczna jest chęć utrzymania stosunków, chęć jakby oparcia się o niego, zasłonienia się jego powagą autorską od grożących mu pocisków. Hojną dłonią i bezwarunkowie rzucone pochwały P. Kraszewskiemu (N. 2. *Gwiazdy* str. 106—120 i 121.) mogłyby mieć miejsce w liście prywatnym, ale nie w korrespondencyi mającej się udzielić publiczności. To przykre. Znany jesteś z cnót swoich P. Karolu, dobrześ się zasłużył krajowi i ludzkości, i tak jesteś otoczony szacunkiem ogółu, że ci nie potrzeba silniejszej nad to podpory. Bądź nam zawsze samym sobą, silny swą wolą, prawością. A jeśli pióro Twoje chwiać się poczyna w korrespondencyi ze znakomitego talentu Pisarzem, pisz do *Kwestarza*: — wszak my jesteśmy tą wielką rzeszą jałmużników, co czekamy daniny ze skarbcu umu i serca waszego.

Tak mię już teraz pamięć myli, że zaledwie o samych wrażeniach sercem odebranych śmiem mówić z pewnością. Niepamiętam, może to będzie powtórzenie *Woreczka Zielonego*, o ktorym wspomina korrespondent *Gwiazdy* w wyjątku umieszczonym z odpowiedzi jego P. Teterze, ale czyn Kaczkowskiego tak zajął moją duszę, że był węgielnym kamieniem szacunku, jaki mam dla niego. Pozwólcie, że go opowiem w krótkości. Kaczkowski znajduje biednego, otoczonego liczną rodziną rzemieślnika w największej nędzy i w najsmutniejszym stanie zdrowia. Pojął on tém sercem swojém pełném miłości bliźniego, że niechodzi tu tylko o zachowanie życia jednemu człowiekowi, ale całej rodzinie; że ze śmiercią tego człowieka nędza a może i występki spadną na głowę nieszczęśliwej matki i dziatek. Cała okropność tego położenia odbiła się w czułej duszy Karola; zaczyna więc staranne leczenie chorego, zaopatruje go lekarstwami, przysyła pokarmy, ulepsza materyalny byt rodziny, i wszystko to tak nieznacznie, tak delikanie robi, że chory, prosty wyrobnik, dostrzedz tego nie może. Już ma nagrodę swojego czynu Kaczkowski, bo widzi uśmiech na ustach chorego, co zapowiada powrót do życia i zdrowia, tak potrzebnych dla szczęścia żony i dziatek. Nadchodzi dzień Ś. Karola. Kaczkowski rano udaje się do kościoła, by podziękować Bogu za użyteczne swoje życie. Wchodzi do świątyni, słyszy głos poważnego organu i widzi — kogoż? — żonę rzemieślnika z dziatkami w kornej postaci przed ołtarzem zanoszącą dziękczynne modły do Stwórcy. Ona-to uprzedziła Karola i to solenne nabożeństwo odbywa się w skutek jej prośb na intencyę dobroczyńcy, co uzdrowił jej męża i ją z dziatkami z najokropniejszej podźwignął nędzy! — Wychodzą, i ona błaga Kaczkowskiego, aby

szedł do jej męża. Tu go spotyka ze łzą w oku rzemieślnik, przemawia do niego słowami najtkliwszych podziękowań i życzeń, i wraz z tém jedyny swój skarb, szczątek mozolnych swoich trudów, długo i nader długo chowany *ostatni rubel* składa w ofierze Karolowi, prosząc, aby go nieodrzucił. Wie on, że to jest niczém dla człowieka, który go od śmierci i nędzy wybawił, ale czuje gwałtowną potrzebę, chce, pragnie najgoręcej okazać mu wdzięczność swoją. Przyjął więc Karol, przyjął i zachował ten rubel, jako nagrodę najkosztowniejszą, jako najmilszą dla siebie pamiątkę. — O! pewno ten rubel jest jeszcze u Kaczkowskiego!.. Radbym, aby ten Mąż cnotliwy pozwolił mi do łez wdzięczności na nim spoczywających dodać uczucie głębokiego uszanowania, jakiém me serce przejęte dla niego (1).

Nieczytałem krytycznego artykułu P. Kraszewskiego o *Żydzie tułaczu*, lecz z pisma P. Gryfa umieszczonego w *Gwiazdzie* widzę, że byłbym mu zupełnie przeciwnym, tak we wszystkiém podzielam przekonanie P. Alberta. Żałuję, że nie mam tego dzieła pod ręką, pozwolicie mi jednak, o ile pamiętam, zrobić niektóre swoje uwagi. Pisarz taki, jak P. Gryf, rozbierając dzieło, które stanowi epokę w pismiennictwie europejskiém, niepowinien był opuścić ani jego wad,

---

(1) Te kilka słów przekonać mogą P. Teterę, że zarówno cenią Kaczkowskiego nad brzegami Sulloku, jak i nad brzegami Teterowa; że ziomkowie pełnego ludzkości Karola czczą święcie pamięć jego nawet i w drugiej części świata. (*Wyd*).

ani zalet. W rozbiorze P. Gryfa zupełnie jest przemilczany *Hardy*, a nie jeśtto jednak figura, któraby grała rolę podrzędną. Ten p. Hardy, jako wylany całkiem dla dobra swoich wyrobników, jest typem poczciwości godnym naśladowania; ale z drugiej strony nazbyt on jest słabym w oddaniu się ślepej miłości i przyjaźni, które widzi zawiedzionémi. Tu on nieokazuje żadnego charakteru, prawdziwe dziecko, wpada w zastawione przez Jezuitów sidła, z których go ani przychylność Agrykoli, ani głos świątobliwego Gabryela wyrwać nie mogą. Genialny Sue przedstawiając podobnego człowieka, mógł był wykryć główny zarodek złego w nieodpowiednném wychowaniu moralném, co niedawszy mu hartownej siły woli dla zabezpieczenia się od miękkości sercowej, cieleśnej, natchnęło go tylko nieugruntowaną skłonnością do dobrych uczynków. Gdyby Hardy miał zaszczepioną w duszy swojej miłość bliźniego, to nieuległby tak snadnie wpływowi Jezuitów, a i w ostatecznym nawet razie, w największym swoim upadku jeszczeby uczuł w sobie świętą iskrę człowieczeństwa, co każe zapomnieć o sobie dla dobra drugich. Dośćby było dla sztuki, że wpadł w ręce Zgromadzenia Lojoli, że uległ przemożnemu wpływowi chytrych zakonników, ale Agrykola i Gabryel powinni go byli zniewolić do spełnienia obowiązków człowieka. Tylą wypadkami skołatane życie jego mogło się było przerwać w porę dogodną celom zakonu dla osiągnienia pożądanych przezeń skarbów, i jużby było dosyć i tych zabiegów, jakie względem niego uczynili Jezuici do czasu przybycia Agrykoli. — Dalej nieznajduję także powodów, dla czego P. Albert opuścił ową chwilę, kiedy rozjuszone pospólstwo ściga O. d'Aigrini i kiedy Gabryel, zapominając wszystkich krzywd sobie wyrządzo-

nych, prawdziwie po chrześciańsku przychodzi mu na pomoc i ukrywa zranionego w świątyni. Jestto scena czysto katolicka. Lud w zapamiętałości swojej niezważając na nie wpada do kościoła, aby uczynić zadość nieroztropnej swojej zemście; żadna siła ostać się przed nim nie może, żadna, prócz głosu kapłana natchnionego duchem Bożym! Już Gabryel wskazuje ludowi, gdzie jest przedmiot jego nienawiści, wskazuje — ale niemasz, ktoby śmiał uderzyć na bezbronnego zbrodniarza; zaczyna się chwiać owa przed chwilą niczém niepowściągniona massa, i razem, po małej przerwie, na odgłos organów kościelnych upada na kolana i żebrze przebaczenia u Stwórcy. Najzawziętsi w zemście swojej przynoszą pomoc zranionemu O. d'Aigrini i starają się wyprzedzać w usługach. Jestto moment tak szczęśliwie pochwycony na korzyść religii, że z niczém porównać się nie może, i kto tylko jest prawdziwym katolikiem uczuć to powinien z serdecznem zadowoleniem (1). I jakże P. Kraszewski mógł nazwać P. Sue pisarzem niechrześciańskim? jak mógł wątpić o jego uczciwości, kiedy głównem zadaniem i celem utworów tego Pisarza

---

(1) Te uwagi (a możnaby ich daleko więcej zrobić) w niczém nienadwrężają argumentacyjnej siły artykułu p. Gryfa. Artykuł ten napisany został po odczytaniu recenzyi Redaktora *Atheneum* na *Żyda tułacza*, a więc jest rozbiorem tego dzieła w danej tylko przez Recenzenta mierze. Wyczerpanie zalet i wad, czyli całej treści kolosalnego utworu P. Sue potrzebowałoby nie mało czasu, a nasz Pisarz wywiązał się należycie ze swego założenia, powiedział dosyć na obronę zacnych pod wszelkim względem dążeń Autora *Tajemnic Paryża* i *Żyda tułacza*, kiedy okazał artykułem swoim błahość czyli jednostronność recenzyi P. Kraszewskiego.

(*Wyd.*)

jest miłość bliźniego, ulepszenie losu tylu millionów ludzi? — przyznam się, że tego wcale nie pojmuję. Szczerze też powiem, że więcej było religijnego zadowolenia w duszy mojej, kiedym wychodził z fabryki p. Hardy, albo z tej świątyni, gdzie lud rozjątrzony o mało co niepopełnił morderstwa: niż gdym opuszczał ową ciepłą kaplicę uprzejmych xiążąt, co zapraszali Augusta i Stasia na kawę; albo te pyszne komnaty, w których portrety świętych i zasłużonych antenatów na swoje pokolenia patrzały... Na te słowa, jak gdybym bluźnierstwo popełnił, strach mię przejął Dołęgo! Być może która z tych postaci groźnie w tej chwili na mnie spoziera, jako na wyrodnego syna, bo trzeba Ci wiedzieć, że jestem z liczby tych, co zaszczytne zajęli miejsce w *Mieszaninach* p. Jarosza Bejły, mianowicie w artykule *o szlachectwie.* — Tu się zatrzymałem; pióro z rąk wypadło; zacząłem myśleć głęboko, aż przyszedłem wreszcie do wniosku, że pan Bejła jest pisarzem gruntownym, fundamentalnym, ściśle historycznym. Ja dobrze urodzony, z dawnej familii Wołynia, czyż mógłem obudzić w nim myśli fałszywe, prześladowcze? — nie, niepodobna — trzeba odgadnąć przyczynę. — I zanurzyłem się w tej krynicy prawdy Bejłowskiej, i wyczytałem nakoniec: »*bo chociaż ono jest ubarwione nazwiskiem i zaszczytami obywatelstwa*, *w samej rzeczy jednak składa się z ludzi*, *co kłamliwemi dokumentami zabespieczyli sobie starożytne szlachectwo*.« — A więc rozwiązana zagadka: wiem teraz, kto jestem! Niechże za to odpowiedzą i zdadzą rachunek przed p. Bejłą Worcel i Deputaci Wołyńskiego Szlacheckiego Zgromadzenia, co się oszukać pozwolili!

Zdało mi się, że gwałtem wciągacie P. Kraszewskiego do współpracownictwa w *Gwiazdzie* i chciałem krzyknąć po staremu: *niepozwalam*! — ale zastanowiwszy się nieco powziąłem przekonanie, że *Zagroba* jest urzędowym wstępem do aktu mającego pogodzić P. Kraszewskiego z opinią wyznawaną przez ogół, i nie może być uważanym, jak za początkową nić, z której w nowém i coraz nowém świetle wysnują się myśli autora. Krok zaś P. Krasz. w przyjęciu bezwarunkowém artykułu szanownego Gryfa jest czynem rzadkiej sumienności, czynem prawdziwie chrześciańskiej pokory i dobrze zrozumianego postępu. Z uwielbieniem więc powtarzam wyrzeczone przez ciebie słowa: *godzien naśladowania*! i dodaję: godzien współpracownictwa z Wami!

Jeszcze słów kilka i przestanę nudzić was pismem mojém. Jako Wołynianin wiem, co to jest Obywatel; a przecież niewiedząc, czyście wy Dołęgo dziedzicem lub zastawnikiem jakiej wioski albo cząstki nawet, nazywam was Obywatelem. Z tego wytłumaczyć mi się należy. Niezasadzam ja dzisiaj obywatelstwa na mieniu obszernych włości, na starożytném i niewątpliwém szlachectwie, jak chce p. Bejła, na dostatku pszenicy, na dobrym wydatku w gorzelni, albo uciśnieniu włościan; lecz w mojém przekonaniu ten jest prawdziwym obywatelem, kto spełnia obowiązki człowieka według praw B o g a, kto służy krajowi i ludzkości użytecznie, kto niejest trutniem i pasożytem, kto wreszcie niewidzi dobra swojego bez dobra ogółu. Na tej drodze wy je-

steście Dołęgo i dla tego macie niezaprzeczone prawo do tytułu Obywatela (1).

Skończyłem. Nieszukajcie w tych kilku słowach moich niczego więcej, nad szczérą chęć wyznania samej prawdy. Do nikogo niemam żadnej osobistości i pisałem to, co mi moje przekonanie dyktowało. Polećcie mię Dołęgo modlitwom szanownego X. Jana (Chwaliboga) i przyjmcie bratnie pozdrowienie.

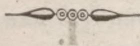
T. P.

Engelt-jurt.

d. 6 Sierpnia 1847.

---

(1) Wszakcito nielada gratka dla człowieka mającego zajście z ludźmi *patentowanymi*!



ARYSTOKRACYA Z WARJACYAMI.

Powieść

przez X. P.

L'impérieuse loi de la nécessité peut nous obliger à réparer une erreur par un crime, et ce n'est point là une immoralité sociale : il fallait d'abord se garder de l'erreur.

Vierge et Martyre par M. Masson.

I.

Piękny był dzień Listopada 18.. roku. Wiatr ucichł i promienie zachodzącego słońca spokojnie odbijały się w wodach rzeki Bużka, rozdzielającego żyzne niwy Wołynia i Podola. Po obu stronach rzeki malowniczy przedstawiały widok rozrzucone sioła, gdzieniegdzie przedzielone małymi gaikami; starannie uprawna rola świadczyła o dobrym bycie włościan. Po lewej stronie rzeki rozciągała się majętność Generała. Piękny pałacyk w śród wzniosłych topoli i odwiecznych

dębów z dumą, właściwą swojemu Panu, spoglądał na otaczające go włości. On jeden był panującą budową w okolicy. Wszystkie wioski Generała składały się z czystych domków włościańskich i nieco obszerniejszego mieszkania Ekonoma: nawet kościołki i cerkwie, zwykle pobudowane z drzewa ręką pobożnych rolników nie mogły się o pierwszeństwo ubiegać; skromny ich pozór odpowiadał właśnie postaci wieśniaków, co wewnątrz nich z pokorą przesyłali swe dziękczynienia i ograniczone prośby do Stwórcy.

Słońce przez ogołocone z liści drzewa przesłało ostatnie pożegnalne promienie złoconym ścianom pałacu i przerwało dumanie Generała. Sędziwy starzec podniósł dumne czoło i wielkimi krokami zaczął mierzyć szczupłą przestrzeń swego gabinetu; zatrzymał się wreszcie przed portretem ojca swego, długo stał w milczeniu i tylko drganie Orła białego na piersi zdradzało uczucie przepełniające duszę Generała.

»O ojcze! dla czegoż śmierć nielitościwa przerwała pasmo dni twoich? Z jakąż radością spoglądałbys dzisiaj na syny twoje! Wszyscyśmy poszli drogą przez ciebie wskazaną i wszyscy nowym blaskiem, nowém życiem odświeżyli drzewo genealogiczne. Zaiste, przez swoje cnoty pozyskałeś błogosławieństwo niebios: pięciu nas było, i wszyscy piastowaliśmy znakomite urzędy w kraju, każdego pierś ozdobiona gwiazdą — znamieniem twojej duszy ojcze! spokojnie spoczywasz w Bogu, bo widzisz owoce swoje, widzisz, iż drzewo twoje wzrasta. Lecz ja nieszczęsny! ja tylko jednego mam syna! i w nim cała nadzieja podtrzymania rodu Generalskiego! Córka! o, córka?! to wspomnienie zawsze myśl moją zatruwa: — od kolebki przeznaczona utracać imie właściwe, wchodzi w dóm obcy i wszystkie stara-

nia, wszystkie zabiegi; wszystkie dostojeństwa ojca, potem i krwią zasłużone, giną: — przechodzi w obce nazwisko i zdaje się pamięć dawców życia umierać przy wstąpieniu jej na próg obcy; trzeba kogoś, coby obudził pamięć przeszłości, bo uważają ją tylko za kobietę i cenią godnością męża. I moja, idąc za popędem serca wybrała człowieka, którego charakter i cnoty szacuję; lecz gdzież jest znakomitość urodzenia? gdzie dostojne przodki jego?!.. Czasem tylko Wojewodzina wśród licznego zgromadzenia powie: »oto jest córka Generała." i wszyscy to mimowolnie powtórzą; i znowu niknie nagle, jak echo dalekiego grzmotu. Wchodzi ktoś z nowych gości i nie wie, kto był celem ogólnego szmeru. Przeciwnie syn, gdzie tylko się ukaże, jest jakby historyą żyjącą ojca: starzy przypominają z chlubą jego koleżeństwo, jego zwierzchnictwo, jego przyjaźń, do której tak wiele roszczą prawa i o którą tak się ubiegają: młodzi, widzą w nim dzieje przeszłości, która się im zawsze podoba; czczą w synu ojca. O! nawet ta chluba i dalej sięga! jeszcze we wnuku odżywa pamięć dziada, bo same nazwisko zdolne przypomnieć przeszłość teraźniejszości. — Tak, syn jest błogosławieństwem i nagrodą niebios!"

Podwoje się uchyliły — służący podał list Generałowi. »Z poczty Jaśnie Panie." Daj świécę. Od kogożby to był? Zapewne albo od mego brata Biskupa, albo od mego syna; od któregokolwiek z nich, zawsze jest interessującym dla mnie. A! od mego syna, czytajmy.

Kochany i drogi Papo! Stosownie do rozkazu kochanego Papy opuściłem Neapol i szczęśliwie przybyłem do Rzymu: poznałem Kardynała L., który z troskliwością wypytywał się mię o zdrowiu Stryja Biskupa.

Czekam Twych rozkazów drogi Papo względnie dalszych mych podróży. Jestem zdrów i zawsze z jednakiém uwielbieniem i najgłębszém uszanowaniem kochający cię syn, Ludwik. — »Zawsze krótkie i obojętne są listy mego syna...Dla niego jak widzę jedno i toż samo, czy piękna natura Włoch, czy tutejsza; bez żalu opuszcza jedno miejsce dla drugiego, i to tylko wprost z mego polecenia. Wszystkie listy jego z Warszawy, Krakowa, Drezna, Neapolu i Rzymu są jednakie — zawsze zaczyna, że *stosownie do mego żądania.* Niepodoba mi się to ślepe posłuszeństwo. Chciałbym mieć syna, posłusznego bez wątpienia, ale przecież mającego jakieś gusta, pewne upodobania, niechby się w nim gdziekolwiek obudziło życie. Nawet Rzym, ta starożytna stolica świata, dziś stolica chrześciaństwa, stolica sztuk i tylu pamiątek, jest dla niego obojętną; — jakby ze wsi do mnie pisze!

»Dwadzieścia trzy lat, hm! Boże mój! kiedy ja liczyłem te lata, nie mówię stolicę, każde wojewódzkie miasto jak trudno było opuścić! Obowiązek, służba, wyganiały człowieka, ale ileż to westchnień wydały piersi, a niekiedy i łza się zakręciła w oku! bo też to te kobiety, tak jakoś umieją przywiązać, przyzwyczaić, że sto lat jedną chwilkąby z niemi było! a na mego Ludwika, jak widzę i kobiety nie mają żadnego wpływu: ani z jednego miejsca nie napisał mi, że się chce dłużej zatrzymać, że mu się tam podobało — siedzi, bo każę; wyjeżdża, bo każę; pojechał, bo kazałem, jednem słowem, mój tylko rozkaz zawsze i wszędzie ślepo wykonany. Miałżeby więc tylko być machiną wykonawczą? bez własnych chęci i myśli? I cóż mi pisze z Rzymu? że się poznał z Kardynałem i że się ten dopytywał o mego brata Biskupa. Smieszna rzecz! jakby to

szczególność, nowość, że Włochy znają nasze nazwisko. Wszakżeśmy nie z tuzinkowej szlachty, a długi szereg przodków, co zdobi salę jadalną, aż nadto jest pewném świadectwem, że nas znają nietylko Włochy, ale i cała Europa. — Już też to trzy lata mój syn za granicą. Tak, pojadę na wiosnę do Karlsbadu, każę mu tam przyjechać, zobaczę też, co się z nim dzieje; a tymczasem może mu się jaka xiężniczka Włoska podoba — nie byłbym temu przeciwny, choć wolałbym, żeby z rodaczką się ożenił. Zły to zwyczaj u nas, że tylko w urzędowych aktach piszą kobiecie zamężnej poprzednie jej nazwisko. Ślicznie, bardzo mi się podoba przyjęty zwyczaj u Francuzów, gdzie na każdym liście piszą z domu albo urodzonej; i tak naprzykład, pięknieby było, gdyby mojej synowej podpisywano z Xiążąt albo Hrabiów Pani. I moja córka biedna nie byłaby zatartą tak nazwiskiem swego męża. O losie, losie! Z tém wszystkiém trzeba zobaczyć Ludwika i coś z nim postanowić. Do służby wojskowej oddać go nie mogę; jedna kula mogłaby zniszczyć świetną gałęź drzewa genealogicznego: lecz syn mój może stanąć przy mnie, jako — Marszałek Guberski. Pierwszy ten stopień może mu utorować drogę do dalszych: mam przecie wpływy w Województwie, mam dosyć znakomitej rodziny, a szlachta będzie szczęśliwą mając na swojém czele mego syna. Więc dobrze; już jechać nie mogę, bo wybory w następnym roku; trzeba podtrzymać swój wpływ u Szlachty: napiszę więc do mego syna, niech wraca do kraju. Brat Biskup przyjedzie z Wilna i będzie na kontraktach w Dubnie, to uradzimy resztę.

»Jędrzeju! powiedz kassyerowi, żeby jutro był gotów wyjechać dla opłacenia podatków należnych do kassy skarbowej za septembrową połowę, i że weźmie

list do Pana Ludwika dla oddania na pocztę. Idź, żeby wszystko było spełnione, jakem rozkazał. «

II.

Już wieczór, xiężyc wszedł na niebiosa i rozlał urocze swe światło, tysiące gwiazd zabłysły razem. Cała okolica, okryta śniegiem, przedstawia się tęsknej zrzenicy, jak ocean niezmierzony; gdzie-niegdzie widać drzewa ubrylantowane srzonem, niby maszty okrętu na spokojném morzu. Cisza w około i jednostajność po tej obszernej przestrzeni: to chwila pamiątek, marzeń i nadziei dla młodej, płomiennej duszy. Tak błogo być samemu, posyłać myśl swą w nieskończoność i tam czerpać balsamy pociechy, zadowolenia i harmonii niespokojnemu biciu serca.

Młoda Pelagia czytała właśnie romans Pani *Cottin*; zachwyca ją przywiązanie i miłość Matyldy do Malek-Adela; jej czułość żywo przejęła się skreślonym obrazem. Stojąc w oknie widziała te morza, te pustynie piasczyste, z takim wdziękiem przez Autorkę skreślone i mimowolnie z piersi cisnęły się westchnienia, a błękitne oczy łzami zwilżone nowym lśniły blaskiem. Ona żyła z niemi i wspólnie cierpiała, bo jej dusza była w krainie przeszłości. — Zatopiona w myślach niesłyszała wejścia swej matki: długo poważna matrona patrzała na córkę, aż unudzona zapytała.

— I cóż Waćpanna tak tam ciekawego widzisz, że nawet niezwróciłaś uwagi na przyjście matki?

— Ja nic Mamo niewidzę, patrzyłam tylko na xiężyc, co tak pięknie świeci.

— A to szczególna?! — Wszakże każdej pełni podobnie xiężyc świeci. Od lat 48 patrzę i zawsze jedna-

ki. Cóż może być tam zachwycającego, co prawie każdodziennie oglądamy?

— Zapewne kochana Mamo, ale ja bardzo lubię.

— Źle moja Pelisiu, źle: widzę u ciebie i łzę w oku, choć zdajesz się uśmiechać, i westchnienie pierś twoją wzdyma; niechybnie coś taisz przedemną; a wszakże wiesz, że jestem twoją matką, że jestem najbliższą ciebie; śmiało więc otwórz przedemną serce swoje, ja pewną jestem, że dziécie moje dalekiém jest od wszystkiego, coby mogło ubliżać mnie i rodowi mojemu.

— Ja żadnej niemam tajemnicy, ja nic nie ukrywam; nie mniemaj inaczej droga mamo, bo to dla mnie byłoby nader boleśném.

— A dla czegoż łzy i westchnienia?... na niczém ci nie braknie; wdziękami cię Nieba obdarzyły, imie twojej rodziny zaszczytne, krwi Xiążąt nieubliży, edukacyę stosowną odebrałaś, wiano piękne, i serce matki posiadasz; czegoż więc tęsknisz?

— Czytałam kochana mamo romans Pani Cottin, jest on z dziejów krzyżowych: miłość nieszczęśliwa Matyldy i Malek-Adela mimowolnie wycisnęła łzę z oka i westchnienie z piersi.

— I któż to oni byli?

— Matylda była xiężniczka angielska chrześcianka a Malek-Adel brat sułtana Saladyna.

— I nad niemi wzdychać? a pfe mościa panno! Pierwsza rzecz, jak xiężniczka katolicka mogła kochać muzułmana? Wierz mi Waćpanna, to są czyste brednie. A powtóre: gdyby i tak było, grzech, grzech śmiertelny. Dziwię się tej Pani, co to napisała, ale ty w domu rzymsko-katolickim wychowana, mogłażeś się dopuścić takiego nierozsądku, aby płakać nad Turkiem najzawziętszym nieprzyjacielem naszego kościoła? grzech,

spowiadać mi się z tego.... Ja samam winna... Uwiedziona przykładem, a bardziej niechcąc pozwolić w czémkolwiek Pani Wojewodzinej górować nad sobą, podobnie jak ona przyjęłam tę madam Francuzkę do was i otoż z tąd korzyści. Twoja siostra rozkochała się w Francuzie — prawda Hrabia on i katolik, ale zawsze się to nie zgadzało z moją wolą; jak zaczęła płakać, szlochać, musiałam pozwolić pójść za mąż; — a ty jeszcze za jakiego Turka zechcesz! ale nie, nie, nic z tego nie będzie — powiadam przedwcześnie, xiążki te francuzkie popalę, a ty musisz pójść za rodaka znakomitej rodziny, pocieszyć cienie ojca, który i tak dość nieszczęśliwy, że nie zostawił syna i herb jego ginie!

— Ale moja kochana mamo.

— Niechcę, nietłumacz się mi; wszystkie te wasze miłości są urojone. Przecież i ja byłam młodą i wierz mi waćpanna, niebrzydszą od ciebie; ale ani tych westchnień, ani łez, ani posępnych piosnek i tonów z klawikordu nie wydobywałam tak jak wy. Kiedy ś. p. mąż mój przyjechał, sami rodzice moi udecydowali wydać mię za niego, nie pytając się wcale, czy go kocham i kiedy mi to objawiono, bardzo byłam kontenta, bo wiedziałam, że mi będą robić wyprawę; jakoż wkrótce pojechałam z matką do Lwowa, wszystko zrobiło się po obywatelsku i najszczęśliwiej przeżyliśmy lat 15-cie z mężém a twoim ojcem, choć przed ślubem niepytaliśmy się o wzajemną miłość i kochanie.— Tak mościa panno, rodzice pobłogosławili, bo to było z ich wolą i Bóg nam błogósławił; i ciebie tą samą drogą poprowadzę, zobaczysz, będziesz szczęśliwą — wypogódź więc lica i pójdź przygotuj mi kawę.

Pocałunek matki uspokoił niewinną Pelagię, z wesołością więc i szybkością właściwą młodemu wiekowi

pobiegła uskutecznić żądanie matki. Zaledwie zajęła się przysposobieniem ulubionej dla matki kawy, kiedy trzaskanie biczów i głos malutkich dzwónków oznajmiły przybycie gości. Weszło towarzystwo z kilku osób złożone: byli to sąsiedzi blizcy wracający z imienin Wojewodziny. Po zwykłych ukłonach i grzecznościach, po rozmowie o pięknej pogodzie, Podkomorzy zaczął.

— Ogólnie u Wojewodziny mówiono o zbliżających się kontraktach, prawie wszyscy sąsiedzi wybierają się do Dubna, mają bydź bardzo liczne, a więc i zabawy będą szumne i huczne: przyjemnie to złatwiając interessa i czas dobrze spędzić. Po nabożeństwie zwykle nas attakują żydzi, chcąc naszą pszeniczkę co prędzej w swe ręce dostać, aż w głowie zaszumi od natłoku tych Izraelitów, ale później dźwięk obrączkowych wszystko to przytłumia i człek z wesołą miną wchodzi na salę kontraktową lub do Dobrzyjałowskiego. Zapewne i Starościna dobrodziejka z panną Pelagią zaszczyci kontrakty, a kilkoletnie nietknięte toki sprowadzą mnóstwo holendrów pod jej rozkazy.

—Nie Panie Podkomorzy, już poruczyłam Panu Komornikowi sprzedaż mojej krestencyi: prócz tego, jak wiadomo Waćpanu Dobrodziejowi, dobra moje położone nad Bugiem, a zatem wygodniej jest sprzedać wprost do Gdańska.

— Ależ Mościa Dobrodziejko, w Dubnie można się zabawić. Zapewne, że to już mało ma powabu dla Starościny Dobrodziejki, ale Panna Starościanka by się rozerwała.

— Dla mojej córki najprzyjemniej być ze mną — prawda Peluniu?

— Tak moja kochana Mamo.

— Pozwoli dodać Pani Starościna, ozwała się Pod-

komorzyna, że pomimo zabaw, jakie tam będą, będziem mieli i solenne nabożeństwo; właśnie Pan Karol, syn Pana Podsędka, tylko co przyjechał z Wilna, i powiada, że nasz X. Biskup pospieszy na kontrakty. Postanowiłam więc pojechać, bo moje dziewczęta jeszcze niebierzmowane, chciałabym, aby za mego życia dopełniły tego sakramentu. Panie Karolu! podejdź-że Waćpan ku nam.

Karol był zajęty rozmową z Pelagią i Podkomorzankami. — Opisywał im z wdziękiem starożytne Wilno; z chciwością go słuchały, bo właśnie mówił o szczątkach pałacu Jagiellonów tak zwłaszcza zajmującego z powodu zjawienia się Barbary Felińskiego, chciały w jego rozmowie ujrzeć te pokoje, gdzie czuła żona Augusta mieszkała, gdzie go tak silnie kochała, gdzie wreszcie tyle walk i cierpień przeniosła. — Wezwanie Podkomorzyny zmusiło go opuścić miłe grono słuchaczek: z powagą przyzwoitą podszedł ku stolikowi, przy którym Podkomorzyna i Starościna siedziały.

— Wszakże mówiłeś Panie Karolu, że X. Biskup będzie na kontraktach?

— Tak jest Pani.

— Czy Pan dawno z Wilna? zapytała Starościna.

— Na tydzień przed świętami przybyłem do moich rodziców.

— Pan długo bawił w Wilnie?

— Już rok czwarty tam bawię.

— Cóż Pan tak długo tam robisz?

— Kończę nauki w Uniwersytecie.

— Czy nie na doktora czasem kieruje Pan Podsędek Pana?

— Nie Pani. Było to najszczerszą chęcią moją; według mego przekonania, nic nie może bydż piękniejsze-

go, jak oddać się medycynie. Co za szczytne powołanie nieść ulgę cierpiącym! własnémi siłami, własną pracą i poświęceniem się powrócić z łoża boleści ojca rodzinie, matkę dzieciom, lub drogie dziecie rodzicom! możeż co być milszego? jestże większa nagroda w świecie, jak patrzeć na tę radość malującą się na licach przychodzącego do zdrowia i otaczającej go rodziny? ale wola mojego ojca, która jest dla mnie świętą powinnością, przeznaczyła mnie na oddział filozoficzny.

— Będzie więc nasza okolica miała filozofa, z ironicznym uśmiechem rzekła Starościna.

Rumieniec wystąpił na lica Karola, — już w milczeniu miał odejść, kiedy go zapytanie Starościny wstrzymało.

— Pan widziałeś X. Biskupa w Wilnie?

— Zwiedzał ten szanowny Kapłan nasz Uniwersytet, a przemowa, którą miał w duchu religii i moralności, zjednała dla niego ogólne uszanowanie w Uniwersytecie. Chlubnie dla naszego Duchowieństwa mieć takiego pasterza! — Podkomorzy zbliżył się i rozmowa została przerwaną.

— Pani Starościno Dobrodziko! dawno już słyszałem grającą Pannę Starościankę, racz Pani Dobrodziejka przyjąć łaskawie moją prośbę, spodziewam się Panna Pelagia nieodmówi: a ot i Pan Karol z ochotą będzie akompaniował na skrzypcach.

Lekkie skinienie głowy Starościny było znakiem przyjęcia prośby, Pelagia usiadła do fortepianu, Karol wziął skrzypce i razem ozwała się przyjemna harmonja w polonezie Ogińskiego. Podkomorzy z przyjemnością wspomniał młode lata: » O Starościno Dobrodziejko! nie było do Poloneza, jak ś. p. Starosta i ja! bywało cała Warszawa przyklaskuje, kiedy toczymy polskiego....

i tak mi do smaku ten narodowy taniec, iż gotowem dzisiaj poprawić pasa i jeszcze koło prowadzić.«

Wtém oznajmiono wieczerzę, i całe towarzystwo wyszło do jadalnej sali.

III.

Rozjechali się goście, i wszystko do dawnego porządku, do dawnej ciszy wróciło. Zastarzałym to jest u nas zwyczajem bawić się obmową, i pomimo całej niedorzeczności, którą sami widzimy, nie możemy się powstrzymać, aby po wybyciu towarzystwa z domu nie robić nad niém małych postrzeżeń. Rzadko bardzo, aby te postrzeżenia były korzystnémi dla nieobecnych. Jeżeli nie możemy upatrzyć wad w ubraniu, szukamy ich w rozmowach, w pierwszém wejściu do salonu, w ukłonach i zawsze znajdujemy coś, na czém przecie możemy spędzić krytyczną wenę, niepomnąc na to, że jaką kto miarką mierzy, taką mu będzie odmierzono. Starościna nie była wolną od tej tak powszechnej przywary; zaczęła więc śmiejąc się opisywać uniesienia Podkomorzego nad polonezem.

— Byłam pewną, że Podkomorzy zacznie tańcować, tak nie był panem poruszeń, jakie w nim wzbudził polonez, lękałam się tylko, aby ze mną jako z gospodynią domu, nie rozpoczął tańca — wyborny starowina!

— Mnie się to niezmiernie podobało. Cała jego postawa tak jest niewymuszoną, że przeciwnie śmiesznieby było, gdyby chciał ukrywać cokolwiek, a prócz tego, taką mi przyjemność sprawił wspomnieniem mojego ojca....

— Albo też to namawianie do Dubna — ręczę, że to jest rzecz ułożona przez Wojewodzinę, chce jak naj-

więcej ściągnąć, żeby sama ze swémi córkami mogła się lepiej zabawić; sama będzie grała pierwszą rolę tem bardziej, że nie będzie nikogo, coby się o pierwszeństwo z nią ubiegał. Szczególniejszy też ton Wojewodzina przybrała! można powiedzieć, że u niej każdego kalibru znajdziesz ludzi: dla wszystkich jednakowo grzeczna, niezmiernie też za to kocha ją okoliczna szlachta. Ale przyznam się, że to bardzo nie stosowne, zawsze potrzeba mieć wzgląd na urzędy, na połączenia krwi, a zatem wszystkich zarówno przyjmować nie można; potrzeba koniecznie odróżnienia jednych od drugich: naprzykład i teraz przyjęcie do towarzystwa Pana Karola?

— A cóż mama widzi w tém złego? zdaje się, że Pan Karol bardzo dobrze jest wychowany, i że może czas uprzyjemnić w towarzystwie.

— Jak to wy młodzi mało macie uwagi, i zaraz dajecie otwarte zdanie. Trzeba żebyś wiedziała, że ojciec Pana Karola teraźniejszy Pan Podsędek był długi czas w obowiązku, to jest po prostu służył, jeździł z pszenicą różnych obywateli do Gdańska, i za to był *wynagrodzony*: później possessye powiększyły jego fundusze, tak, że kupił wioskę i naostatek został podsędkiem; staruszek niezapomniał jeszcze tego i nizko się kłania, ale Pan syn to myśli, że wszystkim równy, taki ton pewny przybrał, ledwiem go zcierpieć mogła: przebaczam podkomorstwu, bo mając dużo córek i szczupłą fortunkę może go zechcą uszczęśliwić łącząc ze swojém imieniem, lecz ja, gdybym była w ich położeniu, wolałabym do klasztoru oddać, jak jakiemuś szlachcicowi, co to mu tylko co pióra wyrastają, pozwalać nazwiska rodziców. Wojewodzinie zaś rzecz niedarowana — u niej ten jegomość powinien przy progu stać, a ja pe-

wna jestem, że on u niej jak Kasztelanic przyjęty: otoż ztąd i skutki, że i my tych ośmielonych Ichmościów przyjmować musimy! jednak sądzę, że więcej nie zechce mię uszczęśliwiać swojemi odwiedzinami.

— Ja czuję moja kochano mamo, jak miło pochodzić ze znacznej familii, lecz może i Pana Karola familija dawniej była znaczącą, a nieszczęśliwe wypadki kraj dotykające, postawiły ich w tym stanie; bo Pan Karol tak ma rysy szlachetne....

— Ale nie — jeszcze od mojej babki słyszałam o pochodzeniach i pokrewieństwie rodzin. Znam ja bardzo dokładnie i wiem, kto się z kogo rodzi, i z kim jest zpowinowacony. Ten panicz tylko się nadyma jak może, ale znać złoto i w popiele: i całą swoją nauką filozofii nie zatrze swojego rodu. — Bywało dawniej kiedy się zbierzemy, najprzyjemniejsza rozmowa o połączeniach się familijnych i koligacyjach: znamy więc je doskonale: zapytasz się bywało sąsiada, zkąd jedziesz? »Od mojej ciotki Pani Kasztelanowej Lwowskiej« — dokąd jedziesz? »do babuni Starościny Bra- »cławskiej« i tam dalej, więc to było towarzystwo dobrane, i równość zachowana, nie tak jak teraz. Boleję, że ten szanowny zwyczaj idzie już w poniewierkę, nie mieszaliby się do nas Panowie Podsędkowicze, wierzaj mi, żadna jego siostra nie mogłaby być przyjętą do Panien Kanoniczek (1).

Dziesiątą wybił zegar, i Starościna z Pelagią udały się na spoczynek do swoich sypialnych pokojów. Długo nie mogła zasnąć Pelagia, czuła, iż ten wieczor

(1) Nie pamiętam z pewnością, siedem czy dziewięć tylko herbów połączonych potrzebowano, aby być zaliczoną w poczet PP. Kanoniczek.

spędziła nader przyjemnie, że tę przyjemność winna Karolowi, który swe myśli i czucia tak pięknie dobranymi wyrazy objaśniał, lecz z drugiej strony nie mogła pojąć, jakim się to sposobem stać mogło: wszak Karol nie jest synem znakomitej rodziny? matka ją w tém upewnia i wierzy. — Świeżo przeczytany romans P. Cottin okazuje wzniosłe uczucie, szlachetne poświęcenia się i czyny, lecz w kimże? oto w osobach tylko krwi królewskiej, albo w rycerzach, których dostojne pochodzenie zaledwie nie przewyższa rodzin panujących. Zkądże więc ten Karol, to zero w porównaniu pochodzenia z drugimi mógł przejąć się témi pięknémi prawidłami? wydoskonalić uczucia? — próżno chce zbadać tę tajemnicę; im więcej myśli, tém w głębszą otchłań zapada, bo podstawą jej rozumowań jest znakomitość urodzenia. Aż nareszcie utrudzonej myślami sen dobroczynny skleił powieki.

IV.

Po kilkodniowej zawiei błysnął pogodny poranek: nadzwyczajny ruch na dziedzińcu Generała oznajmiał jego wyjazd do Dubna. Już wyciągnięta kareta poczwórna, w której sam jeden miał jechać, stała przed gankiem pałacu; rozmaitego gatunku sanie pakowała służba pokojowa, mieszcząc to wszystko, co tylko do okazałości i zbytku będzie potrzebném, gdy wtém wśród alei topolowej pokazał się lekki powóz wiedeński szybką pocztą niesiony: — w krótce nadspodziewanie ujrzał Generał syna wchodzącego.

— Jak się masz Panie Ludwiku? Ludwik w milczeniu ucałował rękę poważnego ojca.

— Powiedz-że mi Ludwiku, z jakich powodów wi-

dzę cię tutaj? wszak pisałem do ciebie, że się zjedziemy w Dubnie? — ale lepiej żeś pospieszył, przyjemniejsza mi będzie podróż.

— Stosownie do rozkazu kochanego ojca przybyłem do Dubna — parę dni nawet tam przebyłem, ale nie doczekawszy się, niespokojny o zdrowie kochanego ojca, pospieszyłem do domu.

— Dziękuję ci kochany Ludwiku. Wy młodzi nieuważacie na pogodę, a ja dla tych zawiei nie mógłem się zdecydować wyjechać. Za tę więc dobrą chęć dla mnie ucierpisz teraz, bo ja dziś wyjeżdżam i chciałbym abyś mi towarzyszył, a pewno jesteś utrudzony podróżą.

— Z ukontentowaniem spełnię rozkaz twój ojcze.

— Dobrze, lubię tak, bo też kiedy i ja młody byłem, to ani noc, ani zła pogoda, ani trudy niestawały mi na zawadzie. A brat mój Biskup czy jest na kontraktach?

— Stryj Biskup jeszcze nie przybył, już przygotowano dla niego mieszkanie u OO. Bernardynów. Ja nawet ośmieliłem się zamówić dla nas mieszkanie.

— Bardzo dobrześ zrobił — właśnie myślałem, że będzie trudność znaleźć mieszkanie przyjechawszy do miasta. W którém miejscu dóm nająłeś?

— Na panieńskiej ulicy.

— Trochę daleko od Biskupa, — ale też może samo nazwisko ulicy miało wpływ jaki na ciebie — ha?

— Żadnego.

— Powiedz mi Ludwiku, ale szczérze, niezostało czasem twoje serce za granicą, bo te Włoszki kaducznie ładne?

— Zupełnie spokojny wróciłem mój ojcze.

— Hm — niewierzę ja temu; niewierzę — w twoim wieku . . . . .

Wtém Jędrzej dał znać, że śniadanie i powozy gotowe. Wkrótce więc wyruszył ojciec i syn; a po dwudniowej szczęśliwej podróży ujrzeli się w Dubnie. Pierwszą rzeczą było dowiedzieć się, czy jest Biskup; przybył on, lecz właśnie tego wieczora znajdował się na amatorskim kwartecie u Xięcia L . . . . . . — Generał wypocząwszy nieco wraz z synem udał się na teatr, znalazł tam cały wielki świat Wołynia, z każdej loży odebrał oznaki grzeczności, z parteru czci i uszanowania: płeć piękna przesyłała nawet swe spojrzenia do loży Generała mającego obok siebie syna, który choć nieznany, ściągał jednak uwagę, jako świeżo przybyły z zagranicy, jako dziedzic pięknej spuścizny po ojcu. O, wierzcie mi te dwa artykuły nieutają się przed kobietami i są bardzo cenione!

Generał nieczekał końca sztuki, raz, żeby w ciżbie niewracać, powtóre, że niechciał nikogo uprzedzać z powitaniem. W tym względzie był on wyrachowany, i czuł bardzo dobrze, co się należy jego wiekowi i dostojeństwu: niechciał więc siebie wystawiać na niepotrzebną próbę.

Na drugi dzień rano odwiedził brata: czułe było powitanie dwóch starców od roku się niewidzących. Przystąpił wreszcie Generał do rzeczy.

— Wiesz bracie; jak cię zawsze szacuję i kocham, jak rady twoje poważam: oto mój Ludwik jest już w tej porze wieku, gdzie należy pomyśleć o dalszém jego postanowieniu i losie; do wojska oddać go nie mogę, zbytby było boleśnie rozstawać się z jedynakiem i jedyną podporą mojej starości. Czekam więc twojego zdania drogi bracie.

— Mało znam Ludwika; pierwej czas zabierały mu nauki, od lat zaś trzech znajdował się zagranicą; myślę, że i ty bracie nieznasz go dostatecznie. Rok jeden wiele ma wpływu na młodzieńca oddanego samemu sobie: przechodzi on złe i dobre towarzystwa; do których więcej przylgnął? jakim się przejął sposobem myślenia? jakie są jego teraz cele i dążenia? — oto są rzeczy, które najprzód zbadać i przeniknąć wypada. Postąpiłeś bracie względnie Ludwika, jak każdy dobry ojciec; nieszczędziłeś wydatków i kosztów na nauki i wojaż; bądźże mu więc teraz więcej jak ojcem, bądź przyjacielem jego: niech czas jakiś będzie pod twojém okiem, wzieraj bacznie na każdy krok jego; a gdy zyskasz ufność jego, nie jak ojciec ale jak przyjaciel, łatwo sprostujesz złe i poprowadzisz go drogą cnoty, a potem łatwo ujrzysz, łatwo się zrozumiecie, co dalej czynić wam wypadnie.

— Cenię twoje rady bracie; ale ja wiekiem już nachylony radbym coprędzej utorować drogę honorów dla Ludwika. Wybory się zbliżają; jak mniemasz urząd Marszałka Guberskiego? Szlachta mi nieodmówi, dopomoże, a przy tém możnaby i wygodną partyę ożenienia się dla niego upatrzyć.

— Jakto? Guberskim Marszałkiem!

— Tak bracie, to jeden ze znakomitszych urzędów, który przez wybory obywatel osiągnąć może.

— Wiem o tém, ale najprzód zastanów się bracie, my sami, najbliżsi Ludwika, nieznamy go jeszcze: jestże on zdolny do piastowania pierwszego urzędu w Województwie? jakąż mamy tego rękojmię?... Nie mówię już do ciebie jak brat, ale jak Kapłan Chrystusa, niebyłożby grzechem, grzechem nieodpuszczonym wysadzać go na ta-

kie miejsce? — Marszałek Guberski jest reprezentantem całego Województwa; tysiące wypadków dotykających współ-obywateli odnoszą się do niego, on je złatwiać, on zaspakajać winien; powagą swojego urzędu wspierać i zasłaniać, rad udzielać: i ty na takie miejsce chcesz wysadzić młodzieńca 23-ch letniego!..... Nie marszcz się Generale, co mówię, mówię z przekonania wiekiem nabytego, jak prawy obywatel, jak kochający was. Gdybyś ty chciał zająć ten urząd, niebym niemiał przeciwko temu. Wiem, że masz stosunki w Województwie, że połączenia nasze familijne łatwo pomogą do wyniesienia na ten stopień Ludwika; lecz zauważ, jeżeli Ludwik nieodpowie położonemu w nim zaufaniu, nie mówię przez złe chęci, bo te mogą być jego duszy zupełnie obce, ale przez nieudolność, przez samo niedoświadczenie; cóż w owej porze powiesz, kiedy po skończoném urzędowaniu syna, miasto podziękowań za trudy i poświęcenie się, usłyszysz tysiące głosów wymawiających, wyrzucających niespełnienie obowiązków, zawiedzenie nadziei i położonej ufności? Jakaż cię wtedy boleść przejmie! jak smutno będzie patrzéć na Ludwika w samym kwiecie wieku opuszczonego, co mówię, wzgardzonego od współobywateli, z którymi całe swe życie już w upokorzeniu pędzić powinien! I ty, ojciec, chcesz tę ślizką drogę dla niego przysposobić? chcesz przygotować śmierć moralną!... Wiem, że jest najchlubniej spełniać urzędy obywatelskie — pozwól więc Ludwikowi, niech się da poznać współ-obywatelom, niech przechodzi stopniami, a wówczas, wówczas dopiéro, kiedy zasłuży na zaufanie, kiedy nabierze potrzebnych wiadomości do spełnienia tak znakomitego urzędu, niech nieodrzuca żądań obywateli, niech im poświęci gorliwą swą

usługę, a trudy oparte na własném doświadczeniu wydadzą miły owoc wdzięczności ziomków.

— Gdyby nawet i tak było, jak mówisz bracie, wybór dobrego sekretarza mógłby wesprzeć niedoświadczenie mego syna.

— Toż Sekretarz ma roztrząsać najważniejsze okoliczności stanu i życia obywateli? zastanów się Generale, gdybyś nawet wynalazł takiego sekretarza, czyż można mu zaufać najdroższy skarb Ludwika, to jest opiniję jego? prócz tego, ileżto zdarzyć się może wypadków, w których potrzeba będzie samemu Ludwikowi otworzyć decydujące zdanie, a on niedoświadczony wahając się tam, gdzie stanowczo działać wypadnie; zdradzi swoją nieudolność lub szukać będzie okoliczności podtrzymania się radą sekretarza! wierzaj mi Generale, taki stan jest stanem godnym litości. Przeszły już te czasy, lub przynajmniej blizkie są upadku, gdzie nie doświadczenie i cnotę, lecz znakomitość rodu i majątku wynoszono do pierwszych urzędów. Powinniśmy się z tego cieszyć, bo każdy postęp w życiu moralném, człowiek czujący ocenić i wszelkich sił do podtrzymania go użyć powinien. Podpierajmy więc te usiłowania współ-obywateli naszą wziętością i znaczeniem; niedawajmy z siebie gorszącego przykładu, a B ó g nam pobłogosławi.

Przybycie gości do Biskupa przerwało rozmowę dwóch dostojnych braci; Generał nieukontentowany wkrótce opuścił zgromadzenie.

V.

Nastąpiła Niedziela. Wszystkie interessa, wszystkie czynności prawne i handlowe zostały zawieszone.

Dubno coraz więcej licząc przybyłych obywateli przybierało świetniejszą postać. Teatr, widowiska rozmaitego rodzaju, reduty i koncerta ogłaszały przybite afisze. Na każdej twarzy malowało się widocznie, iż dzień dzisiejszy jest dniem zabawy, dniem ogólnej wesołości. Już od samego rana snuły się nieustannie karety i sanie napełnione wizytującymi; młodzież przejeżdżając w odkrytych saniach wyraziste i pełne znaczenia przesyłała ukłony do okien, w których jakby na pikiecie utkwione były nieobojętne oczy.

Przybyli krewni Generała, którym on powierzył zamiary swoje względnie Ludwika, nietak skrupulatni i zważający na dobro ogólne, jak Biskup, we wszystkiém znaleźli te zamiary odpowiednymi przywiązaniu ojca do syna, a zwłaszcza, że to ich własnej dumie pochlebiało. Tém utwierdzony Generał w swojej intencyi postanowił dać wielki obiad, gdzieby i wyrozumieć mógł szlachtę, i należycie ją w swoim interesie usposobić do następnych wyborów: — jeździł więc i zapraszał do siebie gości. Obiad w dniu tym dawany przez Xięcia L. podzielił przybyłych obywateli tak dalece, że nawet Biskup, będąc pierwej przez Xięcia zaproszonym, nie mógł zaszczycić obecnością swą uczty Generała. Po części kontent był z tego Generał, bo zamierzając głośno przemówić w rzeczy wyniesienia swego syna, lękał się aby Biskup, którego znał niezmienność postanowień, nie objawił w obec zgromadzonych swojego zdania — zdania, które mogłoby projekt całkiem zniweczyć przez zobojętnienie umysłów najlepiej usposobionych.

Już się ku końcowi miała uczta, już rzęsisto kielichy obeszły licznie zgromadzonych u Generała gości, kiedy przybył Major T..... Znany on był powszech-

nie z dobrego humoru, dobrego apetytu i facecyj; dla tego zawsze i wszędzie bywał on miłym, choć nigdy nieproszonym gościem. Zaledwie próg sali przestąpił, wnet powitany został okrzykiem całego zgromadzenia. Major po ukłonach przybierając poważną minę, rzekł:

— Boleśnie mi to, Panowie, że kiedy inni współ-obywatele wasi radzą o dobru ogólném, kiedy już zaczynają zbierać kreski na wybory mające się odbyć aż za 6 miesięcy, wy tutaj wyłącznie oddani dobru szczególnemu, nasycając się uprzejmością szanownego Generała, niezwrócicie nawet na to uwagi, iż ja dotąd stoję bez kielicha, którymbym mógł wypić zdrowie dostojnego Generała i szanownych gości.

— Brawo! Brawo! krzyknęli wszyscy, a jeden z krewnych Generała podał kielich Majorowi, zapytując, jakie wino pić będzie?

— Jakie się Panu podoba, rzekł Major, ja każde piję, i piję wszystko, prócz wody, którą się nawet umywać nie lubię.

Głośny śmiech był oznaką ogólnego zadowolenia. Generał nadzwyczaj był kontent z przybycia Majora, on bowiem, chociaż nieproszony, w najlepszą porę podał myśl do rozpoczęcia rozmowy o następnych wyborach; a które tak mocno Generała interessowały. Nieprzepuścił tej zręcznośi Pan Kasztelan szwagier Generała i zapytał od niechcenia Majora:

— Powiedzże mi kochany Majorze, zkąd do nas przybywasz i kogoto widziałeś już naradzającego się o wyborach?

— Szanowny Kasztelanie! wiesz, że ja lubię być wszędzie, że mnie interessują ci wszyscy szanowni obywatele, którym poczytuję za obowiązek dopełnić winne uszanowanie; otoż tedy idę teraz od Xięcia L.....

u którego huczny dziś obiad i u którego śmiało powiedzieć mogę, że około tuzina kielichów doskonałego węgrzyna wypiłem. Dopokąd pili, czas mi bardzo przyjemnie zchodził, lecz kiedy nasi poważni obywatele zasiedli w koło i jakby na przekor dobremu humorowi rozpoczęli poważną rozmowę o wyborach i kiedy Biskup zaczął skreślać obraz, jakich nam potrzeba urzędników, postanowiłem co prędzej wymknąć się z tego miejsca, gdzie już prawdziwa wesołość i dobry humor panowanie swe skończyły. Będąc we drzwiach odbił się mi tylko głos Xięcia, iż po skreśleniu obowiązków urzędnika przez Biskupa, nieśmie przedstawiać swojego synowca, którego miał zamysł prowadzić na Guberskiego Marszałka. Otoż masz szczere i otwarte moje wyznanie Panie Kasztelanie Dobrodzieju, w dowód czego, jako też, na pokazanie mojego niezmiennego szacunku dla ciebie i twej godnej rodziny, pozwól wychylić ten kielich.

— Zaiste, dobry Major niechcący przypomniał nam nasze obowiązki, powinniśmy przecież pomyśleć o przyszłych wyborach, kiedy już, jak to oczewiście widzimy, drudzy, jakby tylko sami wyłącznie mieli prawo wybierania, radzą, a może nawet w tej chwili pierwszych postanowili urzędników.

— O, bodajbym był oniemiał, lub co lepiej niedosłyszał końca rozmowy w domu Xięcia! rzekł Major. I was więc mili panowie pożegnać mi przychodzi? Sejmikujcie! wybierajcie! ja już tu niepotrzebny. Lecz jeżeli, co u nas nader rzadko się zdarza, wybierzecie jakiego urzędnika jednomyślnie, to wezwijcie i mnie, abym mógł wychylić kielich zgody obywatelskiej i zdrowie zaszczyconego ogólną ufnością współ-obywateli.

— Szczęśliwy byłbym szanowni Panowie, rzekł Ge-

nerał. gdyby dóm mój uczczony dziś waszą dostojną obecnością, mógł się i tém szczycić, że ułożone plany do następnych wyborów, będą przyjęte przez całą Guberniją, lubo aż nadto pewny jestem, że każdy z nas niema tu osobistego swego interessu na celu, lecz dobro ogólne.

— Tak, lecz zdaje się, że w tej mierze należałoby porozumieć się nam z Xięciem i wtedy ułożyć plan zgodny dalszego postępowania.

— Dla czegoż szanowny Hrabio, ozwał się Kasztelan, mamy w tym względzie porozumiewać się z Xięciem? Wszak on pierwszy rozpoczął narady, wiemy, że chce wysadzić swego synowca na Marszałka Guberskiego, a przecież niestarał się kommunikować nam swoich zamysłów. Wierzaj mi dostojny Hrabio, w postępowaniu Xięcia przebija się najwyraźniej duma, lekceważenie, słowem wszystkie przywary arystokracyi rodowej, oraz pewność, że dla jego familii wszyscy powinni być z najgłębszém uszanowaniem i że dosyć dla niego chęć swą objawić, aby ta ogólnie przyjętą została, aby szlachta wnet ruszyła składać hołd dziękczynienia za taki dowód jego łaski; ale się omylił potrosze, przecież i my tych samych praw i przywilejów używamy i jesteśmy zdolni przekonać go, że we wszystkiém równi mu jesteśmy, choć nie tak jak on majętni.

Tak, tak, ozwało się mnóstwo głosów. Ziśćmy stare przysłowie, że *szlachcic na zagrodzie, równy Wojewodzie*.

— Przyjemnie mi jest słyszeć szanowni koledzy to uczucie ożywiające szlachetne serca wasze, jest ono dostateczną rękojmią ducha nieskrępowanego próżnymi pozorami, oraz upewnieniem, że niejesteśmy zdolni po-

klaskiwać dumie, roszczącej szczególne dla siebie prawa i niejako za obowiązek wymagającej od nas spełnienia swoich chęci.

— Kiedy więc już rzeczy doszły do tego stopnia, że stosownie do chęci i uczuć naszych mamy ułożyć plan wyborów, rzekł Wojewoda, zdaje mi się, iż powinniśmy nietylko podać sobie rękę braterską, że co tu uradzimy, spełnimy, ale nadto, że zakomunikujemy to nieobecnym naszym tutaj współ-obywatelóm i że wszelkich użyjemy sił w powiatach, by nasze teraźniejsze projekta były przyjęte i poparte na wyborach w Żytomierzu: dla tego życzyłbym, abyśmy obrali osoby, które mamy przedstawić do urzędu. Zapewne, nam wiekiem nachylonym, trudno a nawet niewłaściwie byłoby nieść zaszczytną usługę naszym współrodakom, kiedy tyle mamy młodzieży zacnej i zdolnej, której obowiązkiem jest zjednywać sobie serca obywateli. Jak mniemasz szanowny Hrabio, gdybyśmy prosili dostojnego Generała, aby syn jego przyjął spełnienie usługi obywatelskiej i urząd Guberskiego Marszałka?

— Podzielam życzenie Pana Wojewody, i jeśli obywatele są zgodni w tej mierze, imieniem ich proszę Jaśnie Wielmożnego Generała, aby dozwolił synowi swemu stanąć na czele szlachty.

Prosimy, prosimy Generała i syna jego! ozwały się głosy.

— Dostojni obywatele! czuję zaszczyt, jaki wyświadczacie mnie i memu synowi powołując go na tak świetne miejsce. Dzięki wam drodzy rodacy! niepodobna jest odmówić waszym życzeniom, zobowiązującym serce; lecz pomimo całej przyjemności, jaką czuję, winienem przedstawić wam, że syn mój za młody jeszcze

do spełnienia tak wysokiego urzędu, że jeszcze nie miał czasu dać się wam poznać i zasłużyć na waszą życzliwość.

— Młody jest syn twój Generale, prawda, ale krew, z której jest zrodzony, nie jestże dostateczną rękojmią, że odpowie naszemu zaufaniu? nakoniec wiedzieć powinieneś Generale, że *vox populi vox Dei*, a zatem niemożemy mylić się w naszym wyborze; mówię, powiadam i powtarzam, że jednogłośnie go prosimy i wybieramy; — wszak tak szanowni Panowie!?

Prosimy! prosimy!

— Pozwól więc Generale, rzekł Kasztelan kończąc zaczętą rzecz, niech ujrzymy Pana Ludwika, niech powitamy w nim przyszłego Marszałka i dowiedziemy czynem na przekor Xięciu, że szlachcic na zagrodzie równy nietylko Wojewodzie ale i Xięciu, choćby on był z krwi królewskiej.

— Niejestem zdolny wynurzyć wam uczuć mojej wdzięczności dostojni Panowie i bracia. Ludwiku! złóż dzięki za zaszczyt ci wyświadczony.

Ukłony Ludwika czynione były w każdą stronę; wtém podano ogromny kielich i zewsząd ozwały się głosy: — *vivat nasz Marszałek*! Nieprędko rozeszło się zgromadzenie hojnie traktowane przez Generała; uczta do późnej pory trwała, wśród której przy brzęku toastów zbyt często słyszeć się dawało hasło »*szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie*!«

VI.

Licznie zebrani obywatele w Dubnie spędzali czas najprzyjemniej: wysoka cena produktów i ciągłe onych poszukiwanie przez kupców były dla właścicieli miłą

pobudką do przedłużenia pobytu w tém mieście. Puste więc były okolice Dubna; pozostali obywatele żałowali jużto że nie są uczestnikami dobrze spędzonego czasu na kontraktach, już że rzadkość sąsiedztwa, szczególniej przy coraz pogorszającej się drodze, była tamą do odwiedzania znajomych i zakończenia zapust w gronie dobrych przyjaciół. Dóm Staro̧sciny tak zawsze odwiedzany, od wyjazdu na kontrakty obywateli prawie niemiał gościa, tęsknie więc Starościna z córką spędzały ostatki karnawału.

— Żałuję moja kochana Pelunia, że niepojechałam do Dubna; nieżałuję tego dla siebie, bo już moja wiosna minęła, lecz żałuję, że ty pozbawioną zostałaś rozrywek właściwych twemu wiekowi. Ale ktoż się mógł spodziewać, że tak długo będą bawić nasi sąsiedzi, i że z tego powodu tak nam tęsknie zejdzie karnawał? Ja miałam myśl dać u siebie kilka wieczorów, byś się zabawiła moja kochanko. O, pamiętam, jak byłam w twoim wieku, lubiłam bawić się, tańcować, chciałam więc i dla ciebie uczynić tę przyjemność.

— Dla mnie zawsze moja kochana mamo czas mile zchodzi; jestem obok ciebie, mam xiążki, fortepian i farby, czegoż więcej życzyćbym mogła? prócz tego, zawsze jakaś smutna myśl mi przychodzi, gdy wspomnę o tych świetnych towarzystwach, w których tak odmiennie od uczuć duszy i serca postępować trzeba; niewidzę w nich prawdziwego wdzięku, niewidzę nic, coby mię mogło do nich zachęcać.

— Nieznasz jeszcze moja Pelunia wielkiego świata, nie byłaś w nim nigdy, a wyobrażenia twoje powzięte z xiążek, wierzaj mi, że są przesadzone, zbyteczne: gdybyś tylko raz jeden była, pewną jestem, żeby ci się podobało.

— Nieśmiem przeczyć moja mamo, lecz wewnętrzne usposobienie inaczej mię przekonywa; dla mnie towarzystwo z kilku osób złożone, ale z osób, z któremi z całą otwartością postępować można, przed któremi niema potrzeby tajenia się, jako przed prawdziwymi przyjaciołmi, jest najmilsze.

— Niemożnaż kochanko ze wszystkiemi żyć otwarcie; wychowanie tego wymaga po nas, abyśmy dla wszystkich zarówno byli grzeczni; przywykłszy zaś do tego sposobu życia, tém bardziej, że szczera przyjaźń tak jest rzadką, można z prawdziwą przyjemnością spędzać chwile. Prócz tego, ileżto przykrości pociąga za sobą to spoufalenie się dusz, to zawarcie ślubów szczerej przyjaźni: każde nieszczęście dotykające osoby zbliżone, staje się naszem; przyjmujemy w niém żywy udział i cierpimy wraz z niémi. Tymczasem powierzchowna światowa znajomość niewkłada na naszą czułość żadnych obowiązków, bo osoby, z któremi żyjemy, są prawie dla nas obce, nieinteressujące.

— Ale kochana mamo, ileż doznajemy zadowolenia podzielając uczucia nasze; jak słodko je powierzyć, przelać duszy znającej najskrytsze tajniki naszego serca! to jedno przekonanie dostatecznie wynagradza wszystkie nasze zobopólne nieszczęścia; podzielone stają się lżejszémi do znoszenia.

— Ideały moja duszo, ideały!

Służący wszedł i podał list: z ukontentowaniem porwała go Pelagia, bo dostrzegła rękę znajomej sobie Podkomorzanki.

— Coż tam piszą Peliniu? widzę, że cię coś porusza.

— Frania taka poczciwa, przesyła mi dziennik całego pobytu swego na kontraktach; — jeżeli mama pozwoli....

— Dobrze, czytaj kochanéiu, dowiemy się, co tam było w Dubnie i prędzej nam wieczór przejdzie.

Dziennik Frani.

Wyjeżdżam z domu. Co tylko będzie dla mnie przyjemném, miłém, to wszystko napiszę; bo wiem, ile przez to zrobię zadowolenia kochanej Pelisi. Otoż moja Pelinia w miejscu krótkiego listu, jaki zawsze odbierała, odbierze teraz duży pakiet, co ją przekona, iż ani jeden dzień przejść niemoże, bym niemyślała o niej. A ponieważ jutro wyjeżdżamy, od jutra każdy szczegół musi wejść na te karty wspomnieniom Pelisi poświęcone.

Piątek. Mówią rodzice, że najpomyślniej wybierać się i wyjeżdżać w drogę w piątek, więc i my dziś wyruszamy. O jak mi serce bije na samo wspomnienie, że się tak oddalamy od domu; wszak to mil 12-cie do Dubna! prócz tego, pierwszy raz ukażę się na wielkich zgromadzeniach, bo mama powiada, że wszędzie bywać będziemy. Ach! jak mię to trwoży, ale razem i cieszy, i chcę i obawiam się....

Sobota. Nocowaliśmy w brudnej karczmie żydowskiej. Mróz był silny; tak przeziębliśmy w drodze, że mama kazała służącym, aby zaniechawszy rozpakowania rzeczy wprzódy ogrzeli się. Ojciec trochę się zmarszczył, że ociągnie się podanie kawy, ale jak wiesz Pelinia, jedno słowo mamy przywróciło cały jego wesoły i przyjemny dla nas humor. Nadspodziewanie prędko dali nam kawę tak, że ojciec się zadziwił; mama powiedziała: »Widzisz Stanisławie, rozegrzeli się ludzie i spieszniej poszła im praca, bo też prawdziwie ręce im pokostniały« — »Prawda moja gołąbko, nie

potrzebniem się zmarszczył, bo poczciwi są ci nasi ludziska, a ty masz zawsze racją. « W ciągu naszego posiłku podchodził do nas maleńki bachurek, zawsze z daleka spoglądał na nas i bał się przystąpić. Józia przynęciła go cukrem, bardzo miłe żydziątko, ale że żydziątko, niemogłyśmy się z nim bawić, jakbyśmy chciały; bo przyznam ci się, że do żydów zawsze jakiś mam wstręt, i prędzejbym z głodu umarła, niżbym się odważyła zjeść cokolwiek żydowskiego. Arędarz powiada, że tylko pięć mil do Dubna, jutro więc wcześnie staniemy. Drżę z niecierpliwości.

Niedziela. Już wieczorem wczoraj przyjechaliśmy — ach Pelinin, co to za tumult, co za zgiełk na ulicach! mnóstwo zdybaliśmy karet, sani przejeżdżających i nieustannie snujących się to ze spacerów to z wizyt. Nieuwierzysz moja droga, jak to przykro stanąć na ulicy i czekać dopokąd nieznajdzie się pomieszkania; tysiące żydów zaprasza do siebie, najusilniej dowodząc, że mają dobre pomieszczenie, a to jest takie, że zaledwie jedna osoba może go zająć. Prócz tego każdy przejeżdżający ekwipaż zwraca na ciebie uwagę, bo widzi nowo-przybyłych, widzisz niekiedy uśmiech i zdaje się, że to z ciebie. Panowie przechodzący także nieopuszczą, by wzrokiem niezbadać, kto przyjechał; jednêm słowem, tak mi przykro, że wolałabym zostać w domu. Ale, jakby na szczęście nasze, w liczbie przechodzących był i Pan Karol, powitał nas uprzejmie i zdziwił się, dla czego wprost niezajechaliśmy do zamówionego przez niego dla nas domu; o czém już od kilku dni doniosł memu ojcu. Dzięki troskliwości jego, ruszyliśmy z ulicy, z upragnieniem weszłam do domku, który nazywa się nasz, przy-

najmniej przez czas kontraktowy. Mama nim zadowolona, bo blizko XX. Bernardynów.

Zgraja żydow otoczyła nas. Mama już porobiła te sprawunki, które są dla nas nieodbicie potrzebne. Pierwszy raz widziałam mamy niegościnność; Pan Karol przyjechał do nas z ojcem swoim, i mama nieprzyjęła ich odwiedzin. Taki to obyczaj przyjęty w Dubnie na kontraktach, i mama powiada, że nam tego niewezmą za złe; ja jednak myślę, że to Panu Karolowi musi być bardzo przykro.

Poniedziałek. Rano mama zbudziła nas, aby na pierwszej mszy być u Bernardynów. Zdziwiło mnie nadzwyczajnie, że niewidzieliśmy tam z wyższego tonu ani kobiet ani mężczyzn; było tylko kilku starych znajomych mego ojca, którzy uprzejmie po primaryi nas powitali. Mówią, że nikt z dobrego tonu tak rano niebywa na nabożeństwie; szczególna rzecz, że aż do religii sięga moda! Z kościoła wstąpiłyśmy do *marchande de modes*; mama zamówiła potrzebne ubiory dla nas i dla siebie, gdyż jutro mamy robić wizyty. Zaczniemy od Wojewodziny, jako dobrej naszej znajomej i sąsiadki; a łącznie z nią będziemy je dalej prowadzić. Dziś już rodzice przyjęli Pana Podsędka i Karola; niewiem, czy tak istotnie, ale zdaje mi się, że Pan Karol trochę był smutny, pewnie z powodu nieprzyjęcia ich pierwej, i chociaż ani słowa o tém niewspomniał, ja nie mogłam śmiało na niego patrzeć. Pytał się z uprzejmością o ciebie, przysłał nawet tak żądaną przez nas Barbarę Felińskiego. Na okładce tej xiążki znalazłam napis: »Powinniśmy się przekonać teraz, iż niema nic, czegoby nasz język oddać nie mógł, powinno więc ustać to przekonanie, a bardziej uprzedzenie, iż tylko wy-

rażeń uczuć delikatnych, malujących stan serca i duszy w obcej mowie szukać należy.«

Wtorek. Wojewodzina nas uprzedziła. Nieuwierzysz, jaka to zawsze szanowna osoba! wchodząc zaraz rzekła »jakem się tylko dowiedziała kochańciu, że tu jesteś, pospieszyłam do ciebie, bo i mojej Anielce przykro za twojemi córkami, lecz gdzież one?«— Wyszłyśmy aby ją powitać. Dość długo u nas bawiła, w końcu rzekła, »między nami niepowinno być etykiety wielkiego świata, proszę więc was bez ceremonii dziś do mnie, jak tu nazywają, na herbatę; choćto my, rzekła ciszej do mamy, porządnej kawiny napijemy się. Dziewczęta poskaczą, bo będą i tańce, i poznacie się z kim należy.« — Drżę moja duszo, jak to my będziemy na tym wielkim świecie!

Środa. Peliniu, dziś do pół do dziewiątej spałam! wstałam strasznie ociężała; mamę także od niewczasu głowa boli. Ojciec pojechał na salę kontraktową. Cisza więc u nas, mnie tylko w głowie ciągle grają mazurki i walce wczorajsze, i widzę całe towarzystwo u Wojewodziny, widzę koła mazurowe, a więc wszystko ci opiszę. O piątej byłyśmy już u Wojewodziny, nikogośmy jeszcze niezastały, nawet Aniela nie była ubraną. Mama przyzwyczajona po domowemu, spieszyła, aby być na piątą, gdyż tak zwyczajnie na wsi podają herbatę i kawę. Wojewodzina uprzejmie nas powitała i rzekła, »dobrze moja kochańciu, żeś wcześnie przyjechała, napijemy się spokojnie kawy z sucharkami domowymi, a wprzódy poczęstuję was pierniczkami, które mi przysłała nasza poczciwa O... — Ty ją dawno widziałaś, podobno jeszcze przed wstąpieniem do klasztoru; nie poznasz teraz, tak ją zmieniło życie duchowne; niema śladu tej wesołości, tego dawnego hu-

moru. My tu sobie będziem bzdurzyć, a twoje dziewczęta może dopomogą do strojów Anielce. Weszłyśmy do Anielki — ileż tam kwiatów, wstążek, atłasów, blondyn, pekinet!! zdało mi się, że jestem w najpiękniejszym magazynie! W miejscu, co my miałyśmy pomagać Anielce do ubrania; ona przeciwnie to poprawiała nam włosy, to kwiatek to bukiecik dodała, przypięła, jednem słowem, że zupełnie nasz strój przerobiła. Jadłyśmy przytem doskonałe cukry Dobrzyjałowskiego, których pełno u Anielki, i które ona przenosi nad pierniczki od PP. Karmelitanek. Dopiero po siódmej wyszłyśmy z nią na pokoje, gdzie mama i Wojewodzina w najlepsze rozmawiały o przeszłości i gdzie jeszcze nikogo z gości nie było. Około 8 zjeżdżać się zaczęli. Pani Wojewodzina grzecznie, lecz zimno, przynajmniej jak mi się zdaje, wszystkich witała. Wszyscy zasiedli około owalnego stołu; już i Pan Karol zjawił się. Jedna z panien obok mnie siedzących, zaczęła do mnie mówić po francuzku. Przyznam ci się, że straszne kolory na mnie uderzyły, gdyż jak wiesz nie mogę biegle mówić tym językiem; odpowiedziałam więc po polsku. Widziałam szyderczy uśmiech mojej sąsiadki. Aż mi się w oczach zamgliło. Myśmy zamilkły, chociaż rozmowa coraz stawała się obszerniejszą i ciągle w języku francuzkim. Niewiem, czy Pan Karol zauważył powód mojego zmieszania się, ale poszedł do Generała Kropińskiego i rzekł »Panie Generale, zdaje mi się, że jestem we własnym kraju, że wszystkich przybyłych znam mniej więcej, wiem, że ani jednego między nami niema francuza, a przecież wszyscy mówią po francuzku: dla czego to tak się dzieje? — Oto kochany Panie Karolu, w zwyczajnym pospolitym świecie towarzyskim powstał świat piękny, świat modny: przybyli z zagrani-

cy utrzymują, że nie można myśli i uczuć swoich wyrazić dosadnie w języku narodowym: ale mnie się zdaje, że oni wyrażać się niemogą własną ojczystą mową przeto, iż wyzuli się duszą i sercem z narodowości, pożyczają zaś cudzej mowy, aby w niej cudze nie swoje oddawać uczucia, ztąd proste następstwo, że Francuz nieprzyjmie ich za swoich współziomków, a właśni ziomkowie niewiedzą, kto oni są. I jestto nowe na świecie zjawisko, jakiego w żadnym kraju nieznajdziesz.»— »Biada nam Panie Generale.« — » Wszystko ma swój koniec, musi więc i to zło skończyć się. Zrobiłem nawet zakład z naszémi Paniami, że w ojczystym języku przedstawię im romans, nad którym łzy ronić będą. «...— Wejście nowych osób a szczególnie Xięcia L. i Generała *** z synem, przerwało rozmowę, czyli raczej, niedozwoliło mi końca jej dosłyszeć.

Kwartet był śliczny: szczególniej pięknie grał Karasiński, a w polonezach cudownie się wydawał jego talent. Kiedyśmy stanęli do mazura, Pan Karol dziękował mi, żem odpowiadała mojej sąsiadce językiem rodowitym: znowum się zapłoniła i przyznam ci się w tej chwili nawet zazdrościłam tobie, że płynnie mówisz po francuzku; bo chociaż czuję, że to jest śmiesznie między rodakami mówić obcym językiem, przecież miłość własna cierpi na tém. Kobiet było dużo, ale wymuszoność, jaka między niemi panuje, niekiedy zawistne spojrzenia, a nawet niewłaściwe uśmiechy, bardzo mi się niepodobały. Bodajto na wsi między nami, tam szczerość i otwartość panuje; tam dusza duszę rozumie. Z mężczyzn szczególniej zwracali uwagę Hrabia K. i syn Generała ***. Obadwa młodzi, świeżo z zagranicy wrócili, i bogaci: wszystkie Panny miały na nich zwrócone oczy. Hrabia bardzo wesoły, przyjemny, oży-

wiał towarzystwo; Ludwik syn Generała ***, grzeczny, lecz tak obojętny, tak zimny, jak nic podobnego niewidziałam; pięknie tańcuje: oba, albo raczej jeden z nich sam, a za drugiego ojciec jego Generał robili Anielce grzeczności. Pani Wojewodzina z przyjemnością spoglądała na Anielkę, która ogłoszona królową balu, rzeczywiście nią była. Długo bardzo bawiliśmy się, bo uprzejmość Wojewodziny, dla wszystkich jednaka, była zachęcającą. Mój ojciec przed 12-tą pojechał do domu. Pan Karol więc tak dobry miał staranie o nas, kiedyśmy odjeżdżały. Smutno było rzucać te błyszczące salony i mające tak wiele uroku. Chociaż niedaleko do naszego domku, drzymałam jednak na drodze i obraz tego wieczoru ciągle był obecny myślom, marzeniom sennym.

Czwartek. Robiłyśmy wizyty z Wojewodziną i nigdzie nas nieprzyjęto. Mówią, że to jest bardzo grzecznie, sama się przekonałam o tém, bo rzeczywiście jakby to przykro było ciągle wysiadać i zabawiwszy kwadrans jechać dalej. Generałowa P. i córka jej Generałowa K. obie już nie młode, przyjęły nas tylko — tu się napatrzyłam na papugi i pieski różnego rodzaju, które z niemi przyjechały i których zbiór ma się jeszcze powiększyć od przybyłych na kontrakty Włochów. O ich cnotach, talentach i swawolach była ciągła rozmowa przez czas naszej bytności.

Piątek. Pojechałyśmy do Kościoła Panien Karmelitek. Po nabożeństwie zaprosiły nas zakonnice do siebie. Z czułością powitała mamę Panna O..., a Panna Przeorysza nakarmiła nas różnymi klasztornymi przysmakami, doskonałe u nich pierniczki i tłuczańce, schowałam nawet dla ciebie. Są tu młode panienki biorące wychowanie i zawczasu przysposabiają ich na zakon-

nice, chociaż Panna O... temu się jawnie sprzeciwia. Jej zdaniem potrzeba być wprzódy między ludźmi, poznać cenę życia i własnej woli, i potem dopiero z własnej tendencyi przyjąć suknią zakonną; inaczej, powiada ona, ani ofiara nie może bydź miłą Bogu, ani zakonnica nieodpowie swojemu powołaniu. Ona sama trafem jest w klasztorze, skreślę ci jej historyę.

Zrodzona w domu uczciwym, przyjęła wychowanie jaknajlepsze. Rodzice ją kochali i cieszyli się już nadzieją ujrzeć ją rychło w stanie małżeńskim z człowiekiem, którego cenili i którego ona kochała. Już był naznaczony dzień ich ślubu, szczęśliwi kochankowie oczekiwali go z wewnętrzną pociechą — wtém nagle hasło wojny słyszeć się dało. Bohater przybyły z Ameryki wzywał pod swoje chorągwie synów upadającej ojczyzny. I mógłże narzeczony oprzeć się temu głosowi, głosowi, za którym pójść nakazywało mu serce i sumienie? a ona mogłażby nieodtrącić go od siebie, gdyby wtedy zażądał był jej ręki? On znał powinność swoją, znał swą narzeczoną, przybył, aby pożegnać szczęście, które go oczekiwało i zbliżoną już nadzieję postawić nad brzegiem grobu. Czułe i rozrzewniające było ich pożegnanie, on jeszcze w złotych barwach malował nadzieję; za rok, za rok, mówił wrócę do ciebie. A jeśli niewrócisz, mówiła O... czyż mniemasz, że się zmienię dla ciebie? Tyś mężem moim w obliczu Boga, a wiary przyrzeczonej nigdy niezachwieję. Nie rok, ale trzy lata oczekiwać cię będę; a jeśli ten przeciąg czasu nie będzie dostatecznym, bym cię mogła ujrzeć, mury klasztorne staną się mojego smutku osłoną, tam w Bogu żyjąc, życie dla ciebie poświęcę.

Pojechał. — Prędko nastąpiło okropne rozwiązanie niepewności — czekała rok cały — pomimo najtroskli-

wszych śledzeń i starań, zniskąd żadnej wieści powziąść nie można było; — łza nieosychała z jej oka. Straciła matkę a ten cios zwiększył jeszcze jej cierpienia. Uprosiła ojca, by jej pozwolił udać się do Dubna, tam wdziała na się sukienkę klasztorną, lecz jeszcze jej coś szeptało: wstrzymay się, twój ulubiony wróci. Czas szybko leciał — nadeszło ostatnie wyświęcenie! Ojciec przyjechał, by dać błogosławieństwo córce. Licznie byli zebrani w kościele znajomi i krewni. Wszyscy ją kochali, a wiadome pobudki wejścia do klasztoru podwajały żal patrzących. Kiedy już nakryto ją całunem, kiedy uderzono w dzwony i ogłoszono za umarłą dla świata, wbiega młody mężczyzna, zrywa całun, patrzy na ofiarę i upomina się o swoją własność, niezważa na świętość miejsca, woła: — ona jest moją! ona mnie wprzódy niż Bogu ślubować przyrzekła, niewydzierzcie mi jej!... Biskup spełniający obrzęd poświęcenia stał nieruchomy jak posąg, ale łzy spływające po jego licach mocne okazywały współ-czucie. — »Za późno przybywasz mój synu, za późno! — godziną wprzódy sambym wam błogosławił dzieci moje, ale już teraz niema jej na świecie; ślub ziemski może być niekiedy złamany, ale dla oblubienicy Chrystusa niema rozwodu. Pozwalam wam jeszcze godzinę widzenia się z sobą — nierozpaczajcie, taka jest wola Najwyższego!« — Pojmiesz stan duszy kochanków, kiedy widzieli swe życie i szczęście w jednej tylko godzinie, a potém, a potém niedolę na długie lata — przeszła ta chwila prędko, a zatrzaśnięcie fórty zakryło na zawsze przed oczami kochanków błogie nadziei obrazy i było jak piorun, co całe życie ich zniszczył i w najsmutniejsze zamienił zwaliska. Ciekawą zapewne jesteś, dla czego tak długo on niewracał? — Raniony pod Maciejowicami dostał

się w niewolą; pisał kilka razy, donosząc o sobie, ale żaden list niedoszedł. Dopiero wspaniałość wiekopomnej pamięci Pawła I. wróciła wolność jeńcom i otarła łzy boleści rodzinom. W pierwszych dniach smutku narzeczony chciał się zabić, wstąpić do klasztoru, oddzielić się od całego świata — ale jej rady moralno-religijne, jej poddanie się woli Boga, naostatek miłość i łzy, pogodziły go z jego przeznaczeniem. Teraz ożenił się i mieszka na Podolu. O mężczyzni, mężczyzni! oto są dowody waszej stałości!

Sobota. Mój ojciec pomyślnie ukończył swoje interessa — wczora nam dał po kilka dukatów na szpilki. Dużo mieliśmy dzisiaj wizyt, niektóre tylko były przyjęte. Pan Karol zawsze nas odwiedza, zawsze przyjemny, łagdny, ujmujący; zdaje mi się, że on jest naszym blizkim krewnym — przykro mi, gdy go którego dnia niewidzę. Dziś prosił moich rodziców, by mu byli rodzicami przy bierzmowaniu; kiedy wymawiał tę prośbę, słyszałam drżenie w jego głosie i jakiś wyraz szczególny był w jego twarzy. To jego drżenie odbiło się w mojém sercu, czułam niezwykłe wzruszenie, lękałam się aby mu rodzice nieodmówili. Ja niewiem, co to jest, że nigdy tak miłych wrażeń niedoznaję jak kiedy jest u nas Pan Karol. Ja go nie kocham, on nigdy mi nie mówi o miłości — to tylko jest przyzwyczajenie się od lat dziecinnych... ale odbiegłam od celu. Ojciec mój powiedział — » dobrze Panie Karolu, ja nigdy niewymawiam się od obowiązków Chrześciańskich. Lecz gdy jutro X. Biskup będzie celebrował, to i nasze dziewczęta odbędą ten Sakrament, a potem razem zjemy objadek, jako spowinowaceni: proszę więc Pana Karola do nas wraz z godnym ojcem jego. « — Wiesz, że każde słowo ojca mego jest prawem

dla mamy i dla nas; natychmiast więc postanowiono nieprzyjmować nikogo i my się przygotowujemy do bierzmowania.

Niedziela. Dzień dzisiejszy jest ważną epoką życia mojego! Czemu cię niema Peluniu? czemu nie mogę dzielić mojej radości, mojego szczęścia z tobą? Udaliśmy się wraz z rodzicami do Kościoła. Szanowny nasz X. Biskup miał solenne nabożeństwo. Jego wiek, świątobliwość i znane cnoty, wiele się przyczyniły do spełnienia z całą ufnością duszy i serca obrządku religijnego, a to uczucie, że przystępujemy doń w wieku, w którym pojmujemy całą szczytność naszej wiary, jest nowym bodzcem do ścisłego wykonywania przyjętych obowiązków Chrześciańskich i więcej utwierdza w ich świętości. Z prawdziwém więc usposobieniem duszy przystąpiłam do tego obrządku, silnie przedsiębiorąc być doskonalszą w cnotach i odpowiadać wielkiemu powołaniu człowieka oświeconego nauką Chrystusa. Po nabożeństwie udaliśmy się do domu wraz z Panem Karolem i jego ojcem. Pan Karol prosił moich rodziców o nazywanie ich tém imieniem przez dzień cały, a tak prośba jego była zniewalającą, że trudno się było jej oprzeć. Wiesz, że mój dobry ojciec mając przyjaciół, lubi wypić kielich węgrzyna: — Otoż przy obiedzie panował dobry humor; wesoło, serdecznie, rozprawiano, wreszcie mój ojciec powiedział, »Panie Podsędku, Bóg pozwolił doprowadzić dziatki do spełnienia ważnych obrzędów Chrzesciańskich, oby nam jeszcze przedłużył wieku, byśmy mogli błogosławić je na ślubnym kobiercu i widzieć odradzające się pokolenie nasze, błogosławić wnuki, jak nas błogosławili dziadowie, kiedyśmy wstępowali w szeregi ojczyste: Vivat stan wojskowy!«— podnieśli i wypili kielicy. Pan Podsędek nizko kła-

niając się odpowiedział: »Tak szanowne Państwo Podkomorstwo Dobrodziejstwo, jedyne szczęście widzieć dziatki w stanie doskonałym: moj Karol, choć jeszcze nieskończył Uniwersytetu, nie jest obojętny na wdzięki płci pięknej, i jak zacznie chwalić Pannę Podkomorzankę Dobrodziejkę, to zaraz myślę sobie, o gdybym miał taką synowę! ale to ty Karolu lepiej wyrazisz Jaśnie Wielmożnym Podkomorstwu odemnie, ja tylko najuniżeniej proszę, by nie gardzili affektami serc naszych.« — Co Pan Karol mówił, niewiem, nic niesłyszałam, aż rubaszne wstrząśnienie ręki przez ojca mego ocuciło mię i wyrwało z tego stanu niemocy — »Coż ty na to kochana Franiu?« — Proszę cię Peluniu, cóżem mogła więcej odpowiedzieć nad to, że zupełnie zależę od rodzicow i zgadzam się z ich wolą — »I moja gołąbka tak samo mówiła,« rzekł ojciec całując mamę, a ja już odbierałam podziękowania od Pana Podsędka, od Karola. Ach, jak on patrzył na mnie! jak wzrok jego czytał w mojém sercu!... Zamieniliśmy pierścionki. Pan Karol jedzie do Wilna, a zdawszy examen wróci i dopiero nasz ślub nastąpi! Musimy więc zabawić w Dubnie, gdyż rodzice chcą mi zrobić wyprawę. Ach! jakbym rada najprędzej wrócić do domu, ujrzeć ciebie i dzielić się z tobą moją pomyślnością. W ten moment odebraliśmy bilet zapraszający nas na zaręczyny Anielki: wychodzi za Hrabiego.

— Dość, dość moja duszo, odezwała się Starościna. Czyżem ci nie mówiła, że Podkomorstwo w Panu Karolu widzą narzeczonego dla córki?— Biedne dziewczę! jak to jej przykro będzie wejść w dom tych Państwa Podsędkowstwa. Frania jest prawdziwą ofiarą woli swoich rodziców.

VII.

Już kilka miesięcy upłynęło od kontraktów, Generał miał ciągle przy sobie Ludwika, mógł więc zbliska zbadać jego charakter. Był on, jak to mówią, dobra dusza; co tylko praca i nauka nadać może, to wszystko miał w sobie Ludwik; płynnie mówił kilkoma językami, grał na fortepianie dość biegle, rysował, tańcował, jeździł konno, ale nigdzie i w niczém nieznalazłeś duszy, nieznalazłeś własnego uczucia Ludwika. Dobry i łagodnego charakteru, wszystko lubił, do niczego nie miał wstrętu, od dzieciństwa nawykł ulegać ślepo woli dumnego rodzica, nigdy to dla niego nie było ciężarem, bo on nie miał własnej chęci, własnej woli. Zimny i obojętny na wszystko, do niczego niemiał popędu, był to automat żyjący, machina wykonywająca rozkazy swojego ojca.

Zadrżał Generał poznawszy syna, zadrżał o gałąź genealogicznego drzewa swego! przeświadczył się, że wszystko na nim samym polega, że sam musi wynaleść żonę dla syna, że tylko własném swojém staraniem, swoimi wpływami może zabezpieczyć stosowną przyszłość dla Ludwika. Było to nader boleśne odkrycie dla serca, co kochało syna i swoje w nim arystokrackie prerogatywy. A komuż mógł się zwierzyć Generał? z kim podzielić te cierpienia, jakie przepełniały zbolałą jego duszę? — Biskup, jeden tylko z braci, posiadał jego zaufanie; ale Biskup kazałby się poddać woli Wszechmocnego i oczekiwać aż szczęsne okoliczności rozwiną samodzielność w Ludwiku i usposobią go do tych celów, jakie dla niego przeznaczał Generał. To go srodze ugniatało, nie mógł podołać ciężarowi i mocno zapadł na zdrowiu.

W takim stanie rzeczy nadeszły wybory. Nie mógł sam Generał jechać dla zebrania plonów z tak dobrze przygotowanych projektów w Dubnie, a posłać Ludwika bez siebie, znając go dostatecznie, czyż mógł się odważyć— tém bardziej, że widział silną oppozycyę w Xięciu L..., który ubiegał się o Marszałkowstwo i który potrafi użyć całej sztuki dla utrzymania się przy urzędzie, jużto wpływami możnej Arystokracyi spokrewnionej z sobą, już przybraniem maski popularności i równości z uboższą szlachtą? Trzeba mu być osobiście? aby zapewnić się o zwycięztwie nad mitrą xiążęcą; trzeba być bratem szlachcicem ze szlachtą, organem ich równości, ich przywilejów wyborowych; trzeba być Generałem, magnatem— z Arystokracyą, pokazać ród swój sześciowiekowy nieustępujący w zasługach mitrze, choć mitrą nieozdobiony. Generał znał, jaką miał przewagę nad drugimi, czuł, co mógł zrobić; lecz Ludwik ani podobieństwo, by mógł przyjąć kierunek podobnego interessu: wolał więc nieposyłać syna do Żytomierza, jak bytnością jego zepsuć dobrze ukartowaną rzecz na zawsze; wolał bez boju dozwolić Xięciu otrzymać wysoki stopień w obywatelstwie, niż narażać najdroższe swe interessa na losy niepewne.

Kiedy następnie wieść się rozeszła, że Xiąże utrzymał się przy urzędzie, że każdy, kto śmiał z nim emulować, spadł na głowę; Generał osądził za rzecz przyzwoitą wydalić się z domu, pokazać światu, że jedynie choroba zpowodowała, że nie był obecny wyborom. Wyjechał przeto do córki, z zamiarem odwiedzić także Biskupa, którego zbliżały się imieniny i gdzie na pewno wiedział, że znajdzie pierwsze figury Województwa.

Dzień imienin Biskupa był od wszystkich poważany; okoliczni magnaci i obywatele za grzechby sobie

poczytali niezłożyć uszanowania Prałatowi, tak godnemu ogólnego szacunku.

Nastąpił dzień oczekiwany. Najpiękniejsza pogoda sprzyjała temu świętu, żadnej chmurki nieujrzałeś na niebie; ciepło acz w Lipcu, było umiarkowane, wszędzie widziałeś piękne gaje ubarwione zielonością, obszerne pola połyskujące złotemi kłosy. Styr spokojnie toczył swe wody, zdawało się, że nawet natura przywdziała strój uroczysty, aby obchodzić święto czcigodnego Kapłana. Wszystkie drogi idące do Łucka ożywione były nadzwyczajnym ruchem; wszędzie widziałeś sześciokonne karety, kocze Dangloskie, napełnione strojną płcią piękną, elegancką młodzieżą i wąsatymi Sarmatami poprawującymi czupryny i pasy. Spojrzawszy na służbę otaczającą powozy, łatwo domyślisz się do kogo należy, lśnią herby na guzikach i kołnierzach, rozmaite kolory przy sukni, dowodzą starożytności zamożnego rodu. Widzisz tu całą pracę Niesieckiego i Paprockiego połączoną razem i wszystko to stanowiąc jakąś jedność dziwnie przyjemną z kolorów dla oka, przypomina tobie, żeś się wzniósł urodzeniem nad innych, że możesz napiętnować herbem bliźnich swoich, aby wiedziano, że to twoi słudzy, żeś szlachcic wysokiego rodu, magnat, Graf, Jaśnie Wielmożny. Dalej widzisz parokonne i jednokonne wózeczki, napełnione témi żyjątkami, co to chodzą w długich sukmanach, co nizko się kłaniają i ściskają stopy Jaśnie Wielmożnym Panom, co mają herby i zbutwiałe pargamina, co ich nazywają Urodzonymi, wyższymi od chłopów, niższymi od obywatela szlachcica, co wstydzą się uczyć pożytecznego rzemiosła, jednem słowem, szlachtę czynszową! — Spieszą oni z żonami, z dziatkami, bo Xiądz Biskup wszystkie owieczki swej trzódy zarówno kocha, jako dobry pasterz; tamtych

uczci przepysznym objadem w refektarzach, zdrój starego węgrzyna dla nich wytryśnie; tych smacznym hultajskim bigosem, huzarską pieczenią, miodem i piwem ukonsoluje, a wszystkim dozwoli ucałować rękę swoją i nikomu nieodmówi błogosławieństwa Pasterskiego. Cisnęli się więc katolicy do fary Łuckiej, gdzie Kapituła naznaczyła solenne nabożeństwo w dzień święta Biskupa, aby przesłać szczére westchnienia do Pana zastępów o długi żywot i zdrowie kochanego Pasterza; posłuchać pięknej nauki z kazalnicy i wreszcie przypatrzyć się, z zawiścią w sercu, pięknym i pięknie ustrojonym dziewczętom.

Po ukończoném nabożeństwie wszystko ruszyło do mieszkania Biskupa, aby mu powinszować, aby wylać uczucia serca przepełniające. Nie będę opisywał tych ceremonialnych i szczerych grzeczności w pięknie dodobranych słowach, które go w refektarzu spotkały; ale gdy wyszedł na dziedziniec klasztorny i ujrzał tę massę mężczyzn, niewiast i dzieci, co jednym głosem zawołała »żyj jak najdłużej Jaśnie Wielmożny Pasterzu, błogosław nam i naszym dziatkom!« łzą się zalało oko poważnego starca, i błogosławił pewnie błogosławieństwem niebios tej miłej dla serca swego owczarni.

Biskup, Generał, Ludwik, i córka Generała, starali się jak najuprzejmiej ugościć zebrane towarzystwo: i rzeczywiście potrzeba było cztery osoby, aby zadość uczynić obowiązkowi gościnności. Tu bowiem widzisz stan duchowny, a na jego czele sędziwego Metropolitę, tam dawnych i teraźniejszych Dygnitarzy; zdaje ci się, że jesteś w Rzymie, słyszysz, że żyje język Horacego. Tu kobiety, tu młodzież zupełnie niepodobna ani z postawy ani z ubioru do ojców swoich; słyszysz rozmowę w nieswoim języku; przekonywasz się, że to są

cudzoziemcy i dziwisz się, jakim sposobem tylu ich razem zebrało się na Wołyniu. Dziwisz się jeszcze bardziej ich wyrozumiałości, że do służących, bo oni Wołynianie, mówią językiem ojczystym. Jeżeli masz litość w sercu, podejdziesz do tych kilku matron, co przypadkiem wmieszały się w te grona cudzoziemców, i zaczniesz mówić językiem ich dziadów, wdzięczne ci będą, bo przynajmniej zasięgną wiadomości o tych nieznanych im osobach: bo córki, które miały być za tłumaczów dla matek, wszedłszy w grono rozmawiających, niechcą wydać się mową, że są obywatelkami tego kraju, że ta ziemia ich wykarmiła, że dla niej najświętsze obowiązki zaciągnęły. Tęsknią i ulatują myślą za tą Francją tak grzeczną, tak ucywilizowaną, za témi Włochami, gdzie żadna chmurka błękitu niebios niekazi, za tą Szwajcaryą, gdzie tak rozkosznie można powietrzem gór odetchnąć, gdzie serce silniej bije, gdzie tyle przedmiotów godnych miłości — a u nas? u nas, wszystko poziome — nic niema, coby wzniosło duszę, coby łzę wycisnęło.

Zadowoleni goście rozjechali się; Biskup czuł potrzebę spoczynku, a Generał z dziećmi wracał do swego mieszkania, by zrobić maleńkie uwagi nad tém, co było godne spostrzeżenia. Miło mu było, że wszyscy widzieli ślady niedawnej choroby, a kiedy Hrabia T.... powiedział, że Xiąże musi dziękować Bogu, że Generał chorował, nic mu już więcej niebrakowało do wesołego humoru; przeświadczył się bowiem, iż wszyscy dyplomaci wyborowi, przekonani byli, że tylko w nieobecności jego mógł utrzymać się Xiąże na urzędzie: rozpoczął więc z dziećmi rozmowę.

— No moja Henryetko, ja byłem zajęty; bo wiesz, że to każdy w pretensyi, kiedy kilku słów nieprzemó-

wię do niego, nieuważałem więc, koło kogo się nasz Ludwik uwijał, ale ty byłaś między kobietami, a prócz tego i sama jesteś kobietą, to już twojego wzroku nic nieujdzie.

— Zdaje mi się kochany Papo, że Ludwik najwięcej robił grzeczności Wojewodziance i Starościance, ciągle stał za niemi, nawet widziałam, jak go cukrami nagradzały za to.

— Powinnością zdaje się, rzekł Ludwik, każdego kawalera robić te małe przysługi damom; prócz tego Panna Aniela znajoma mi jeszcze z kontraktów.

— A Panna Starościanka? ozwał się Generał.

— Była jej towarzyszką.

— Dobrze, dobrze, ale jak ci się podobała? bo wiesz Panna Aniela już po zaręczynach, a Panna Starościanka co do znakomitości urodzenia i majątku w niczem jej nieustępuje.

— Mój Papo, przerwała Henryeta, Pani Starościna z Pelagią jakiś czas zabawią w naszém sąsiedztwie u krewnych, jeśli się Papie podoba, możemy ich odwiedzić.

— Tak, ależ wprzódy niech nam Ludwik powie, jak ją znajduje?

— Bardzo grzeczna panienka i mówi, jak rodowita francuzka.

— Ale jak ci się podobała? rzekł z przyciskiem Generał, czyby się zgadzało z twoją wolą, sercem, starać się o jej rękę?

— Mój papuniu rzekła Henryeta, Ludwiś raz pierwszy widział Pelagią, nie może więc dać stanowczego zdania; wszak prawda Ludwiku?

— Ja zawsze postąpię stosownie do rozkazu kochanego papy, odpowiedział Ludwik.

— Do mego rozkazu!? Wszak żony potrzeba dla ciebie, nie dla mnie! ale dobrze, pojedziemy do Starościanki, może jak ją poznasz bliżej, w miejscu oczekiwania rozkazu ojca, sam będziesz prosił, bym za tobą wstawiał się, kłaniał.

VIII.

Wiemy już, że Starościna przybyła w okolice Łucka. Rozmaite pobudki skłoniły ją do wydalenia się z domu: jużto chciała odwiedzić krewnych swoich, mieszkających w tej stronie Wołynia, już nastręczając Pelagii sposobność rozerwania się pokazać ją sąsiedztwu, jako Pannę na wydaniu, już wreszcie, aby uniknąć bytności na ślubie Franciszki, gdzieby musiała znajdować się w gronie osób według jej mniemania nieodpowiednych wysokiemu jej urodzeniu. Odmówić Podkomorstwu, byłoby nadwerężeniem dawnej zażyłości, jaką między sobą mieli; uprzedzając więc zaprosiny, postanowiła wyjechać z domu i zawczasu cieszyła się z tak delikatnego i w niczem nieobrażającego wybiegu, bowiem na przypadek wymówki ze strony Podkomorstwa, miała dać im do zrozumienia, że zbyt jej przykro, iż ją o weselu jej córki nieuprzedzili i tym sposobem pozbawili przyjemności błogosławienia dobrej Frani, którą ona tak lubi, a Pelagia, jako rówienniczkę i przyjaciółkę, najserdeczniej kocha.

Inaczej było w sercu Pelagii: ona czuła, jak przyjemnie, jak miłoby było dla niej i dla Frani być razem w dniu tak stanowczym na całe życie; cieszyła się nadzieją, że będzie mogła nieść jej przyjacielską pomoc w ubiorze, pomoc mało znaczącą ale zawsze tak miłe przyjmowaną od serc, które się rozumieją wza-

jemnie; że będzie mogła wraz z jej rodzicami zanieść u stopni ołtarza najczulsze westchnienie do Stwórcy, o szczęście ulubionej rówienniczki i napawać się jej pomyślnym losem. Smutno więc przyjęła zamiar wydalenia się z domu, bo przez to najdroższemu uczuciu przyjaźni nie mogła uczynić zadość.

Młodość jestto skarb nieoceniony, jestto balsam leczący najprzykrzejsze wrażenia!... Pelagia przybywszy z matką do krewnych, widząc ich uprzejme i pełne przychylności powitanie, wróciła do właściwego swojemu wiekowi humoru, a odwiedzanie i odwiedziny sąsiadów, towarzyszące przytém wiejskie pełne życia i swobody zabawy, pomału wygładziły przeszłe dolegliwe uczucia.

Na imieninach Biskupa nie mógł nie być interessującym przedmiotem dla Staróściny synowiec jego, jako pochodzący z pięknej familii, syn Generała, dziedzic znakomitej spuścizny po ojcu i stryju, a przytem najlepiej wychowany, bo tylko co wrócił z zagranicy; z zadowoleniem więc serca macierzyńskiego widziała Ludwika obok krzesła swojej córki i Anieli, bo Aniela już wychodzi za mąż, to wszystkim wiadomo i Ludwik zapewne olśniony wdziękami Pelagii, znajduje się przy nich z tą grzecznością modnego kawalera, znającego świat wielki; niewidziała przeto Staróścina nic, coby mogło stawić jakąś zawadę, i już najmilsze roiła obrazy szczęścia dla swojej córki na przyszłość.

W dni kilka odwiedziny zrobione Państwu Kasztelanostwu Lwowskim krewnym Staróściny przez Generała z córką i synem, jakoteż zapraszanie Henryety, aby Kasztelanostwo i Staróścina niezapomnieli ją uszczęśliwić swoją bytnością, urzeczywistniały poniekąd pomysły Staróściny i już pewną była, że Generał nie

bez widoków robił te odwiedziny, a chociaż Ludwik bardzo był obojętnym, przypisywała to nowemu szczęśliwie z zagranicy przyswojonemu wychowaniu; pochwalała nawet, że niewidzi tych zbytecznych grzeczności, tego nadskakiwania, przez które nasza młodzież tak jawnie wykrywa dążność swoją do ubóstwionego celu.

Generał widząc we wszystkiém odpowiedny związek dla syna z Pelagią powtarzał swoje odwiedziny. Ludwik i sam dość często jeździł do Kasztelanostwa, a zbliżywszy się w ich domu, jużto grywał z Pelagią na fortepianie, już czytał piękne romanse francuzkie, które znajdował u niej, już udzielał, jakie znalazł u siostry. Generał cieszył się z tego i czekał z niecierpliwością chwili, kiedy syn będzie go prosił o wstawienie się za nim, w celu wyjednania mu ręki Pelagii, którą powinien był kochać. Ale czekał, i czekał napróżno. Ludwik ani wzmianki nigdy mu nierobił.

Poźny nadchodził wieczór, już dawno przeszła godzina, w której Ludwik zwykle powracał od Kasztelanostwa, a jeszcze go widać nie było. Generał tém uradowany bawił się z Tadeuszkiem synem swojej córki, który mu szczebiotał przypatrując się gwiaździe, co błyszczała na piersi dziada. Henryeta przybliżywszy się do zegaru rzekła: — »Tak późno mój papo, a Ludwika niema: niespokojną jestem, możeby wysłać naprzeciwko niego, tém bardziej, że tak ciemno.«

— Nie turbuj się moja Henryeto, przyjedzie zdrów, przecież on męczyzna. Ja w jego wieku już byłem w obozie i nieraz w ciemniejszą noc, wśród deszczu, burzy i w pobliżu nieprzyjaciela tak, że kulka zagrałaby koło ucha, rozstawiałem czaty, a przecież Bóg mię uchował zdrowo i dozwolił otrzymać stopień Generała, a jego jakież może spotkać niebezpieczeństwo?

tylko widzisz, musiał zasiedzieć się koło Starościanki i już mu ciężko rozstać się. Prawdę powiedziawszy, jestem z tego kontent, bo to i imie piękne i posag porządny, i ona sama, pomimo tego że ładna jak sarneczka, zdaje się być dobrą jak baranek. Nie mogę życzyć lepszej partyi dla naszego Ludwika.

— Wszystko to ja widzę kochany papo, ale niewidzę miłości, która zdaje mi się być główną zasadą szczęścia w małżeńskiém pożyciu.

— I, dajże mi pokój z tą gorącą miłością! ty chcesz, żeby on tak mizerniał, płakał, dręczył się, jak ty? przypomnij sobie, że to tylko jedno zniewoliło mię dać wbrew woli i chęci mojej zezwolenie na twoje połączenie się. Ale otoż i on; witaj nam Ludwiku! siostra twoja już palpitacyi serca dostawała niewidząc cię dotychczas.

— Najmocniej cię przepraszam kochana siostro; ale Starościna pojutrze ma wyjeżdżać do domu; kończyliśmy więc z Pelagią zaczęte jedno dziełko francuzkie, później graliśmy na fortepianie i tak jakoś prędko czas zeszedł, że anim się spotrzegł.

— Brawo chłopcze! czy niechciałbyś czasem zatrzymać Starościanki przy sobie?... mów otwarcie z ojcem; pochwalam twój wybór i gotowem jeszcze jutro jechać i prosić o jej rękę.

— Jakto mój ojcze?

— Tak, pewny jestem, że Starościna nam nieodmówi, bo cóż przeciwko tobie może wynaleźć? — a co do Panny Pelagii, to ty już pewno tysiąc razy musiałęś jej mówić, że ją kochasz, że bez niej żyć nie możesz. Ja was znam młodzi, wszak i ja sam byłem młody.

— Nigdy kochany papo, ani jednego słowa podobnego niewyrzekłem.

— Ależ ja ci powiadam, że lepszej partyi żądać niemożesz i że byłoby grzechem ją opuszczać. To są rzeczy łakome, Panna piękna i posag nielada! łatwo znajdzie takich, co będą się ubiegać o jej rękę. Mów więc otwarcie, co myślisz w tym względzie, tylko proszę ciebie, najszczerzej otwórz się przedemną.

— Szczerze powiadam papie, że nigdy niemyślałem o tém, aby starać się o pannę Pelagię i żenić się.

— Może się kochasz w kim innym?

— Nie.

— Więc cóż myślisz zrobić?

— Ja zawsze gotów jestem postąpić stosownie do rozkazów kochanego papy.

— Do moich rozkazów! krzyknął Generał, kiedyż już będziesz miał swoją wolę, swoje zdanie i chęci? — i wyszedł do swego pokoju.

IX.

Krzątała się służba około powozów Starościny, wynoszono pudła i pudełka, pakowano tłómoki, bo Starościna dziś jeszcze wyjeżdża, ale nie do domu, jak miała zamiar uprzednio, lecz do Dubna, aby zrobić bogatą wyprawę dla pięknej swej córki. Wszystko idzie z pośpiechem, bo każdy sługa kocha swoją Pannę, radby mieć udział w szczęściu, co ją oczekuje, a którego jej w prostocie serca swego życzy.

Wczora przyjechał Generał, oświadczył chęci syna Pani Starościnie. Ludwik ukląkł przed nią i błagał o rękę nadobnej Pelagii.

Pelagia byłato—nadobny kwiatek jeszcze w pączku,

jeszcze nierozwity, niemający właściwej swojej barwy; piękność, majątek i ród znakomity nieobudzały jeszcze próżności kobiecej; dobra, łagodna i tkliwa od natury nieznała, niepojmowała wulkanicznych uczuć, które tlały pod grubą zasłoną powinnej czci dla matki i które kiedyś gwałtownym swym wybuchem najpiękniejsze jej usposobienia całkiem zniweczyć miały; nieznała miłości, bo nikt jej dotąd niewzniecił; leciała tęskną myślą do tych ideałów, jakie w dziełach Pani Cottin i Genlis znajdowała; posłuszna, bo w tém przekonaniu wychowała ją matka, że pierwszym obowiązkiem, pierwszém spełnieniem praw Boga »*czcij ojca i matkę twoją*« jest posłuszeństwo rodzicom; ślepo więc spełniała we wszystkiém wolę matki, bo ta wola była oparta na prawie B o g a, wyryta głęboko w duszy i w sercu.

Przywołana Pelagia dowiedziała się o żądaniu Ludwika, matka zaś dodała: »moja Peluniu, ty nieodmówisz prośbom dostojnego Generała i zacnego syna jego, ty to uczynisz dla szczęścia matki, bym zstępując do grobu cieszyła się przekonaniem, że dzieci moje zostawiam w stanie doskonałym. B ó g przemawia przez usta moje do ciebie, ty będziesz posłuszną woli macierzyńskiego serca.

— O mamo moja! rzekła Pelagia z płaczem rzucając się do jej nóg, wszystko zrobię, co tylko rozkażesz, tylko żyj jak najdłużej; ja wiem, że ty pragniesz szczęścia swojego dziecięcia.

Generał i Ludwik wynurzali dziękczynienia swoje matce i córce. Ogromne kielichy i stary węgrzyn pokazały się na srebrnej tacy. Pan Kasztelan wzniósł toasty za zdrowie Starościny i nowo-narzeczonych. Piękne brylantowe pierścienie zostały zamienione, a Sta-

rościna i Generał z dumą spoglądali na dzieci i marzyli o przyszłém ich szczęściu.

X.

Czas szybko mijał, spieszono z przygotowaniami do ślubu. Pan Ludwik pojechał do Warszawy, by się uekwipować. Pani Starościna wszystko, co mogło być najpiękniejszego, najmodniejszego, sprowadzała ze Lwowa i Wiednia, bo starzy życzyli sobie widzieć swe dzieci jak najprędzej połączone węzłem małżeńskim. Nadszedł nareszcie dzień oczekiwany, cała rodzina Generała i Starościny zjechała się, i wszyscy prawie Dygnitarze Korony i Litwy. Nie będę opisywał przepychu i zbytku, jaki tam panował, ten nam aż nadto znany, wszędzie złoto i srebro i nad wszystko droższe klejnoty herbowe jaśniały. Wyszli Państwo młodzi w świetnej assystencyi do Kościoła, wyszli z tém uczuciem złowieszczém, jakie ich dawniej napełniało, co nigdy szczęścia im zapewnić nie mogło; miejscowy kapłan błogosławił ich związkowi, bo Biskup, czy to że niechciał odbierać pięknej nagrody sta dukatów proboszczowi, czy miał jakie inne powody, wymówił się od tego obowiązku opierając się na prawach blizkiego pokrewieństwa. Niewinszował, niecieszył się, jak drudzy krewni nowożeńców. Być może głębokie przejęcie się świętością swego powołania zrobiło go zimnym, obojętnym na szczęcie świata ziemskiego. I już w dni kilka piękna Pelagia obok Generała i męża żegnała tęsknem dziewiczém spojrzeniem okolice Bugu i przenosiła się myślą na wesołe brzegi Bużka; rzucała ciemny las sosnowy, by ujrzeć te malownicze równiny ozdobione pięknymi laskami wysmukłej brzozy. — Przybyła do domu męża. List

Pelagii więcej nam da poznać teraźniejszy stan jej życia.

List Pelagii do Franciszki.

Zła gwiazda jakaś zabłysła nam Franiu; pomimo naszych uczuć, pomimo wzajemnej sympatyi coraz dalej jesteśmy od siebie; nie mogłyśmy się nawet widzieć w dniach stanowczych naszego życia. Trzeba ci wiedzieć Franiu, że już zmieniłam stan, jestem mężatką. Gniewam się na Pana Karola, że cię wywiózł tak daleko od nas, choć gniewać się nienależy, bo on to uczynił przez przywiązanie do ciebie, przez troskliwość o twoje zdrowie; ale zdaje mi się, że nasz Lernett (1) jest tak sławnym, tak doskonałym lekarzem, jakich może i Wilno niema, a co najwięcej, jest szczęśliwym; tysiące osób, których on jak rószczką czarnoxiężką z łoża śmiertelnej niemocy przywołał do zdrowia, do życia, błogosławią mu w codziennych modłach. Prócz tego, jak ja wielebym zyskała będąc blizko mojej Frani, przyjaciółki z lat dziecinnych. Ale wstydzę się tych ży-

---

(1) Doktor Lernett mieszkał w Dubnie; znany on jest z funduszu, jaki zrobił w Lyceum Krzemienieckiém dla biednej młodzieży. Ten zakład dowodem jest serca Lernetta kochającego kraj i nauki, dowodem wysokiego światła i cnoty Obywatela, co własną pracą uzbieranego grosza (nieoddając fortuny pod rozbior jak inni, co dbali niby o Lyceum Krzemienieckie a niedbali o łzy umierających z głodu wierzycieli) nieszczędził, byle otworzyć pole młodym umysłom chcącym pracować i być pożytecznymi krajowi. Przykład taki, na potomną zasługujący wdzięczność, nie może być bez ponęty do naśladowania w każdym czasie choć w różnej formie; ale dla tych tylko, którzy nie napróżno odróżnili się rozumem od zwierząt, i których sercom nieobcem jest uczucie miłości bliźniego.

czeń moja Franiu, bo tym sposobem przenoszę własną moją przyjemność nad środki, jakie zapewne za najkorzystniejsze dla twego zdrowia uznał Pan Karol. Przyznaję więc w tym względzie wyższość Panu Karolowi, nigdy atoli nieprzyznam mu wyższości w przywiązaniu do Frani, bo w tém możemy tylko być równi sobie. Wiesz już Franiu, jak się spieszono z moim ślubem, jak go mama pragnęła. Czując całą przyjemność, jaką jej wyświadczam, idąc za wolą dążącą jedynie do mego uszczęśliwienia, jestem zadowoloną, że spełniam powinność przywiązanej córki. Niekochałam nigdy i mniemam, że miłość musi to być tylko utwor fantazyi, ideał niezgadzający się z niczém w rzeczywistości; niedoświadczyłam nawet nigdy tego delikatnego uczucia, tej słodyczy i rozkoszy wewnętrznej, jakiej ty doświadczałaś widując swego Karola. Mój mąż, jak sama go poznałaś, jest dobrym, bardzo dobrym człowiekiem, ale zimny i obojętny jego charakter nad niczém się nieunosi, nic na nim niezdoła sprawić silnego wrażenia, wszystko przyjmuje ze stoicką powagą, nigdy on nieodmówi, gdy go proszę czytać, albo razem grać na fortepianie. Wybór dzieła lub muzyki zawsze zależy odemnie, jedném słowem, jest bardzo grzeczny, łagodny: widać, że to są skutki zagranicznego wychowania.

Dóm niewielki naprędce urządzono dla nas: jest on starannie bardzo ubrany, znalazłam fortepian i bibliotekę złożoną z dzieł francuzkich najmodniejszych pisarzy; wszystko to przygotował dla mnie Generał, bo Ludwik zaledwie na kilka dni przed ślubem wrócił z Warszawy i nie mógł się tém zająć. Generał tyle mi okazuje przychylności, że go za rodzonego ojca uważać muszę; zawsze z nim razem robimy wizyty, jeździmy na bale. On to wprowadził mnie w sąsiedztwo, które tu-

taj dość liczne; w czasie robienia tych znajomości ciągle byłam w jego domu, bo Generał życzył razem z nami jeździć. Nakoniec rzekł »zapewne sąsiedzi i nas zechcą odwiedzić moje dzieci, czas wam już osiedzieć się w domu, a ty Ludwiku powinieneś starannie zająć się gospodarstwem, pewny jestem, że przyjmiesz i uskuteczniszrady ojca; weź z sobą Pana Porucznika Dzierlackiego, to mój dawny towarzysz broni, weselej wam będzie.«

Wola Generała jest święta dla mego męża, wyjechaliśmy więc, i teraz Ludwik nadzwyczajnie zajęty gospodarstwem. Ja jednak mało się zajmuję domem, bo przyznam ci się, iż nic nierozumiem tego gospodarstwa, najczęściej gram lub czytam. Dzierlacki niekiedy przerwie mi »*giń rybko, coś się tak zaczytała*«; z początku śmieszył mię, teraz już nudzić zaczyna.

Sama niewiem dla czego, ale tęskno mi, czegoś mi braknie; weselej było w domu mamy. Generał stara się aby mię rozrywać, często nas odwiedza i zabiera w sąsiedztwo; bo mój mąż rozmiłował się w gospodarstwie, tak, żeśmy sami nigdzie niejeździli.

Zdaje mi się i jestem pewną moja Franiu, że będę szczęśliwą, spełniłam wolę matki, Bóg mi powinien błogosławić; zresztą czyż mało szczęścia, kiedy widzę tak zadowoloną moim losem drogą mamę moją? Bądź zdrowa moja Franiu, pisuj do mnie i wierz niezmienności moich uczuć dla ciebie.

P. S. Panu Karolowi tysiąc pięknych ukłonów. Dla czego to Wilno tak daleko? czemu my nierazem Franiu? brak mi twojej obecności. Ach! ty tak jesteś dla mnie, dla mojego serca potrzebną!

XI.

Kilka miesięcy już upłynęło, jak Pelagia opuściła dom matki, i chociaż Starościna często odbierała listy od córki zapewniające o szczęśliwém jej pożyciu, tęsknota jednak przebijająca się w nich trwożyła Starościnę. Najgorętszém więc jej życzeniem było odwiedzić córkę i już pomału przełamywała wstręt do odbycia 30-sto milowej drogi. Tym końcem kazała robić przygotowania do wyjazdu. Baczna na wszystko Starościna, widziała potrzebném poruczyć na czas swojej niebytności dom i majątek w opiekę panu Komornikowi, który się trudnił jej interessami. Włożywszy okulary zabierała się do pisania listu i już nawet *Wielmożny Mości Dobrodzieju*! nakreśliła, kiedy szmer i ruch jakiś nadzwyczajny w poblizkich komnatach przerwał jej poważne zatrudnienie: wstała, aby się dowiedzieć o przyczynie, ale nim dzwónek ująć zdołała raptem przed nią drzwi się otworzyły i u nóg swoich ujrzała Pelagię.

Była radość szczera, wielka; bo któraż matka niepowita ze łzą w oku dziecięcia swego niewidząc go przez kilka miesięcy? która córka nieprzybywa z sercem pełném najsłodszych wzruszeń do domu rodzicielskiego, do tego domu, gdzie wzrosła, gdzie najmilsze dni jej wiosny kwitnęły, gdzie pocałunek matki goił największe boleści dziewiczego serca, gdzie marzyła o rajskiej przyszłości, o szczęściu; gdzie każdy kwiatek, każde drzewo, każdy kątek, znany jak przyjaciel igraszek dziecinnych, jak powiernik najdroższych myśli? O! ozwie się to wszystko w duszy, ozwie się życie minione, niém tylko piersi odetchną, niém serce zabije!

— Córko moja luba! gdzież Generałowicz, gdzie mąż

twój? niech go powitam, niech uścisnę sprawcę twojego szczęścia!

Jak piorun uderzyły te słowa Pelagię: znikły urocze mary jej serca, została tylko smutna, bez żadnego wdzięku, naga rzeczywistość życia; dusza upadła pod ciężarem zgryzoty trującej każdą jej godzinę. Spieszyła do matki, by przed nią wynurzyć wszystko, co ją dręczyło i wszelkich przyjemności życia pozbawiało, spieszyła szukać osłody swego losu u tej matki, którą tak kocha i czci, której wolę spełniając poświęciła swoje młode niedoświadczone serce, i teraz, kiedy nadeszła stanowcza chwila, jakieś boleśne uczucie rozpoczęło walkę w jej niewinnej duszy, nieśmie powiedzieć, co cierpi, nieśmie spokojnego życia swej matki obarczać niedolą, co ją prześladuje.

— Peliniu, ty mi nieodpowiadasz? coś zatrważającego widzę w twém oku. Może Bogu podobało się przeciąć pasmo dni ukochanego męża twojego?

— O matko moja! on żyje, ale ja nieszczęśliwa! i łzy przerwały jej mowę.

— Cóż ci jest takiego, powiedz dziecie moje?

Pelagia uspokoiwszy się cokolwiek zaczęła opowiawiadać matce cierpienia swoje.

XII.

Długo rozmawiały matka z córką — długo, bo już cienie nocy ustępować miały przed poranną zorzą, kiedy powiedziała Starościna: »Idź moje dziecie, odpocznij, ja wszystko rozważę, twoje szczęście jest pierwszym celem mojego życia. Dobrze, żeś zwierzyła się matce, ja cię zawsze poprowadzę drogą cnoty, powinności i będę czuwać nad tobą. Bądź spokojna moja Peliniu.«

Pelagia opuściwszy pokoje matki, udała się do przeznaczonego dla siebie mieszkania, by wypocząć po podróży, a bardziej po walce, jaką odbyło jej serce. Weszła — był to dawny sypialny jej pokój: wszystko w nim znalazła w dawnym porządku; wszystko na nowo przypomniało błogie chwile spędzone pod okiem kochanej matki. Odemknęła okno, świeże powietrze, zapach kwiatów, błyszcząca rosa, brzask zaledwie wschodzącej jutrzenki, wabiły ją do przechadzki. Poszła do ogrodu — wszystko, wszystko jak dawniej było; tylko pokoju duszy, tylko swobody, wesela i szczęścia dawniej doznawanych nigdzie nieznajduje. Równie niewinna, równie cnotliwa i bogobojna jak przedtém, w tych samych miejscach, jakże z odmienném uczuciem! z jak tęskną myślą patrzy na świadki dawnego życia swego! Długo przechadzała się po ogrodowych szpalerach, bo stan jej duszy graniczył prawie z rozpaczą; nagle ujrzała lipę, pod którą siadywał jej ojciec, ujrzała znak na drzewie, co zrobił mierząc jej wzrost dziecinny; przypomniała słodki uśmiech rodzica, zdało się jej, że słyszy go jeszcze błagającego nieba o szczęście dla swoich dziatek; rzuciła się ze łzami na kolana i wzniosła najczystszą, najrzewniejszą modlitwę do Stwórcy. Anioł stróż z upodobaniem patrzył na istotę poruczoną jego pieczy, ale i jego oko łzą się zaćmiło, bo niestety udziałem śmiertelników jest cierpkie doświadczenie! I któż bez chełpliwości powiedzieć może, że spełni kielich goryczy aż do dna, że wytrwa do ostatniej chwili na drodze cnoty? kto nieporzuci ciernistej drogi dla pięknie usłanej kwieciem ścieszki, gdzie wszystko nas wabi i nęci? komu sił wystarczy do walki z tylu przeciwnościami, gdy wszystko się na nas sprzysięga w zaczarowanym obrazie, kiedy się wszystko do nas uśmiecha?

Musimy upaść, a w samym upadku dopiero spostrzegamy smutną rzeczywistość.

Cała natura tak spokojna i czarująca, musiała wywrzeć wpływ dobroczynny na skołatane serce Pelagii; pogrążona w dumaniach usnęła, a Anioł niewinności i cnoty na straży przy niej stanął.

Już słońce osuszało łzy pięknego poranku, kiedy usłyszała głos matki: przykro jej było rozstawać się z snami, co tak łagodnie ukołysały burzliwą jej wyobraźnię, ale nawykła od dzieciństwa szanować matkę swoją, szybko się zerwała i pobiegła na jej spotkanie.

— Jakieżto dziwactwa przywiązały się do ciebie? Nielepiejże było zasnąć w pokoju, jak tutaj? Cała jesteś zmoczona rosą, możesz się przeziębić, dostać kataru, czas też już mieć uwagę.

— Wyszłam od mamy — tak był piękny poranek, tyle uczuć we mnie! potrzebowałam odetchnąć swieżem powietrzem; nie mogłam się oprzeć; chodziłam dość długo; przypominałam lata dziecinne i sama niewiem, jak zasnęłam.

— Otożto wszystko wasze xiążki francuzkie! ztądto i nieszczęśliwą jesteś, ztąd i wniosek, że cię mąż niekocha, że ty się do niego przyzwyczaić nie możesz. Ja Bogu chwała nigdym tego niedoświadczała, a przecież przeżyłam lát 15 z mężem — to tylko uprzedzenia moja duszo.

Szczęśliwą byłaś mamo. O gdybym ja tylko była uprzedzoną! ale ja mamo poznałam, ja przeświadczyłam się, że Ludwik ani kochać, ani kochanym być niemoże.

— Rozważyłam wszystko, jak najdokładniej. Że twój mąż zajmuje się gospodarstwem, rzecz bardzo piękna, godna pochwały; winnaś nawet dziękować Bogu, że

cię takim mężem obdarzył: bo też to teraz znaleźć podobnego młodzieńca arcy trudno, każdy ci będzie gadał o filozofii, o jakichś systematach, o wynalazkach, a niewie, jak przysposobić rolę pod zasiew pszenicy. Obojętność zaś jego jest udaną, ręczę cię; chce się przekonać, czy też go tak kochasz, jak na to zasługuje? Wszak sama powiadasz, że niespostrzegłaś, aby jaka inna kobieta więcej się mu podobała, ściągnęła jakąkolwiek uwagę lub grzeczność jego, coby ci dało przyczynę do posądzania, iż przenosi inną nad ciebie?

— Właśnie też to najwięcej przekonywa mię, że niejesteśmy stworzeni dla siebie. Teraz, kiedy przez kilkomiesięczne pożycie więcej miałam sposobności poznania Ludwika, upewniłam się, że najsmutniejszy los stał się udziałem moim. O matko moja, wyrwij mię z tego położenia!

— Cóż więc mi robić wypada? powiedz sama, jak mam postąpić, aby upewnić szczęśliwe pożycie twoje?

— Nic dla mnie niepozostaje, jak rozwód; on na to chętnie przystanie, a ja w domu twoim mamo, przy twojém macierzyńskiém sercu, wrócę do dawnego pokoju duszy, do szczęścia.

— Co śmiesz mówić!? zawołała z gniewem Starościna. Jakież powody do złamania przysięgi? Czy wiesz, że nic więcej nie mogłabyś powiedzieć, jak tylko to, żeś była przymuszoną przezemnie? a ja, Bogiem się świadczę, że cię nie przymuszałam, że pragnęłam i pragnę twojej pomyślności. Dwa razy więc tym sposobem popełniłabyś krzywoprzysięztwo.

— Wszak jest powód ważniejszy, o którym mówiłam mamie, dodała z nieśmiałością Pelagia — powód, bez

którego żadne małżeństwo ostać się nie może i zawsze uzyskuje rozłączenie?

— To są rzeczy udane, powiadam ci. Ale, gdybyś nawet, niepomna na przysięgę dobrowolną w obliczu niebios wykonaną, na winne posłuszeństwo radom matki, uzyskała rozwiązanie ślubów małżeńskich, wspomnij, coby na to świat powiedział? jaką opiniję mają rozwódki? czy cię nie będą posądzać o płochość, o zły charakter, o zdrożne skłonności i Bóg wie o co? a ja matka twoja nad grobem stojąca będę musiała tylko łzy wylewać, bo cię nieochronię przed złą mową ludzi, przed mową, której nie podobna będzie uniknąć.

— Schronię się w mury klasztorne, poświęcę młode dnie moje modlitwie, a Bóg przebaczy mi rozerwanie węzła małżeńskiego, którego miłość niewiąże: tym sposobem matko moja uniknę obmowy i będę wieść jeżeli nie szczęśliwe, to przynajmniej spokojniejsze, znośniejsze życie.

— Mniemaszli, że Bóg przyjmie ofiarę serca od osoby, która tylko dla zasłonienia się przed burzą świata, a nie z ducha świętej religii i pobożności obiera mieszkanie w klasztorze? Chceszże nowy grzech popełnić? chcesz zatruć goryczą ostatnie dnie twojej matki? O ja nieszczęśliwa! nicże już dla mnie w tém życiu niepozostało, prócz ciężkiej boleści? tegoż losu dały mi dożyć nieba, abym patrzyła na krzywoprzysięztwo mojej córki? I głośne łkania przerwały mowę Starościny.

Długie nastąpiło milczenie. Łzy matki jak ogniste krople spadały na serce biednej Pelagii; uczuła całą boleść, całą zgryzotę, jaką przyniosła matce; uczuła świętą powinność córki, co każe własne swe szczęście i powodzenie nieść w ofierze dawcom życia. Już teraz nie myśli o swojej przyszłości; nic nie widzi przed

sobą, bo wszystkie jej życzenia zlały się w jedną, najgorętszą chęć osłodzenia cierpień matki, przywrócenia jej dawnego pokoju duszy, choćby utratą własnej spokojności, własnego szczęścia.

— O matko droga! powiedz przeto, co twoja córka uczynić powinna, abyś od wszelkich cierpień i niepokoju wolną była?

— Wrócić na łono męża, to święty obowiązek. Znajdziesz w pożyciu domowém pomyślność i szczęście, bo B ó g błogosławi zawsze dzieciom posłusznym woli rodzicielskiej.

— Rozporządzaj matko twojém dziecięciem; ja wszystko, wszystko zdołam przenieść, oprócz łez twoich.

W kilka dni później powóz Starościny przebiegał ulicę topolową prowadzącą do pałacu Generała. Ten powitał matkę i córkę z największą uprzejmością, a Ludwik ze zwykłym wyrazem twarzy, w której ani przyjemności z powrotu, ani gniewu z oddalenia się żony wyczytać nie można było.

Starościna zabawiła u Generała parę tygodni. Robiła wizyty w sąsiedztwie mając zawsze z sobą Generała. Sąsiedzi najgrzeczniej ich przyjmowali i nikt niemógł ani chciał badać przyczyny wyjazdu Pelagii, tém bardziej, że ten był nader widocznym dowodem chęci Pelagii odwiedzenia matki. Ludwik zawsze w domu zajęty gospodarstwem, odwiedzał niekiedy ojca, żonę i Starościnę, zawsze grzeczny i zawsze obojętny. Starościna tłumaczyła sobie, że Ludwik chce zbadać przywiązanie żony, że niema nic w tém dziwnego, że grzeczność jego, a szczególniej Generała, uprzedzająca nawet we wszystkiém myśli Pelagii, były dowodem, jak ją kochają. Ona pragnęła szczęścia córki, ona według swego przekonania nigdy jej nieprzymuszała, nigdy nie-

wydała stanowczego rozkazu wbrew chęciom córki, choć miała prawo jako matka; ona tylko łzami ją zobowiązywała; a czyż to jest to samo, co przymuszać, co rozkazać, zrób tak, nieinaczej? nie, nic więc nieobciążało sumienia Starościny, zupełnie była spokojną o los córki, tém bardziej, że i Pelagia będąc z matką, doświadczając największych przychylności Generała, zdawała się być zupełnie zadowoloną. Wyjechała więc Starościna dziękując B o g u za ustalenie losu córki tak swietnego, tak pomyślnego według jej przekonania.

List 1-szy Pelagii do Franciszki.

Już ci donosiłam pierwej, że zrzekłam się szczęścia własnego, aby widzieć spokojność mamy, mamy, którą tak wielbię i kocham, i zdaje się, że B ó g niezostawia nas bez nagrody.

Od czasu wyjazdu mojej matki ciągle mieszkam u Generała; mój mąż co święta, jako w wolnym czasie od zatrudnień gospodarskich, odwiedza nas z panem Porucznikiem. Obaj są teraz dla mnie znośniejsi. Grzeczność mego męża nawet czasem jest zobowiązującą; wie o tém, że lubię maliny; wczora, zaledwiem się obudziła, służący oddał mi koszyk malin i list od niego, w którym wyraził, że pierwsze owoce wywdzięczające się za jego pracę posyła dla mnie. Przyznam ci się, tę jego pamięć z prawdziwém przyjęłam ukontentowaniem. Może B ó g da, że go kochać będę. O, jak ja tego pragnę! jak życzę, abym i w jego wzroku coś więcej nad zimną i obojętną grzeczność spostrzedz mogła!

Lepiej, przyjemniej mi u Generała.

Ciągle mamy dużo gości. Sąsiedzi szanują Generała i zważając na jego wiek nieczekają rewizyt. Rzadki

też dzień, aby kilka osób nie było u nas. Generał jest bardzo ujmujący i, o ile mi się zdaje, dla tego najwięcej zadowolony z gości, że widzi, iż to mi robi przyjemność. Najczęściej bywa u nas Pułkownik N. Jestto daleki krewny Xięcia Józefa, kochanek całej okolicznej młodzieży; od dwóch lat on żonaty, ale aniby ci to na myśl przyszło widząc, jak jest nadskakujący kobietom; zawsze między młodzieżą, która go ubóstwia, która go we wszystkiém naśladuje, bo jest duszą każdego towarzystwa, każdej zabawy: umie się podobać kobietom, niedziw więc, że żona szalenie go kocha. Generał także bardzo go poważa, jużto jako pochodzącego z tak świetnego rodu, już z zasług osobistych. Jako sąsiad blizki odwiedza nas, kiedy mu się podoba; wczora właśnie przyjechał tak rano, że zastał mnie i Generała przy kawie. Prosiłam go na maliny, które mój mąż mi przysłał, ale zauważywszy z jakim smakiem jadłam, zaledwie pokosztował. Czy Pani lubi maliny? zapytał mię. Bez namysłu odpowiedziałam, że bardzo lubię. Wyobraź sobie, dziś przy kawie patrzymy z Generałem, ktoś idzie przez dziedziniec — to Pułkownik! parę koszyków malin najświeższych, najstaranniej ułożonych było w ręku jego: niejechał dla tego jedynie, aby się nie pogniotły w drodze. Tę grzeczność jego ja i Generał przyjęliśmy z wdzięcznością. Był u nas na objedzie i najmilej czas przeszedł. O! jaka różnica w grzeczności mego męża i jego!... Odjeżdżał konno, rumak arabski pysznił się takim jeźdzcem; zdawało się, że ziemi niedotykał kopytami, a ja drżałam za każdym skokiem konia. Generał nawet powiedział »Patrz Pelagio! zdaje się, że żołnierz musi być mężnym mając takiego Pułkownika, to jak przykuty siedzi na koniu! żadna lanca niewysadzi go z siodła«...

Pojechał wreszcie, a mnie smutno było, smutno mi było, że przez grzeczność i uprzejmość dla mnie, może narażał życie tak drogie dla żony, dla córki jego. Na drugi dzień przysłał do Generała człowieka z listem, do którego dołączone były śliczne romanse francuzkie i nuty nowe; teraz więc jestem wesoła, gram i czytam: Generał słucha i także zadowolony.

Widzisz tedy moja droga Franiu, że teraz jestem znacznie spokojniejszą, wzdycham tylko do chwili upragnionej ujrzenia ciebie. Oby ta jak najprędzej nadeszła; a może i dla mnie słońce zajaśnieje.

List II.

Zadrżysz Franiu czytając pismo moje: — płacz nad losem przyjaciółki, lecz nie potępiaj mię! jeszcze znajdę dość w sobie siły do odbycia najstraszniejszej walki z sercem mojém, jeszcze spodziewam się otrzymać zwycięztwo, choć go może przyjdzie ceną życia opłacić.... Stoję nad brzegiem przepaści, wołam »pomocy!« ale nikt niesłyszy głosu mojego, nikt zbawczej niepodaje ręki; echo tylko, jak przyjaciel nieszczęśliwych, odpowiada na moje wołanie słowami: »mocy! mocy!« — Tak! to słowa Anioła stróża mego. Mocy! mocy! potrzeba mi w nieszczęściu — mocy, by przenieść najokropniejszą próbę czarodziejskiego wpływu, kiedy zniskąd nie dają mi pomocy, kiedy nikt niechce się użalić nad biedném sercem mojém. O, i ty mój aniele, ty najlepsza moja przyjaciółko, tak daleko jesteś odemnie! B ó g mię opuszcza, i wszystko się sprzysięga na mnie!

Zdawało mi się, że serce moje całkiem jest głuche na głos miłości, że miłość sama jest tylko utwo-

rem wyobraźni, że jej niemasz bynajmniej w rzeczywistości, że wreszcie przed zaprzysiężonym obowiązkiem żony każde inne uczucie zniknąć powinno. Zawiodłam się straszliwie, poznałam okropny błąd; ale czuję jeszcze dość mocy w sobie, aby stłumić i zagasić ten ogień, co mię pożera.

Franiu, ja kocham Pułkownika! On wzajemnie najsilniejszą miłością pała ku mnie. Słuchaj, jakim sposobem nastąpiło to miłe, lecz występne wyznanie. — W najpiękniejszy poranek, zaledwie kończyliśmy z Generałem śniadanie, przyjechał Pułkownik. Zastał on już przed gankiem kabryolet oczekujący na Generała chcącego obejrzeć swoje gospodarstwo, przepraszał więc że nie w porę przybywa i, aby nierobić w niczem przeszkody, chcąc oraz korzystać ze sposobności przypatrzenia się wzorowemu gospodarstwu Generała, wyraził życzenie towarzyszenia mu w tej przejażdce. Generał odpłacił za tę grzeczność otwartością. »Spodziewam się, rzekł, iż mi przebaczysz Pułkowniku, że na godzinę wyjadę; moja synowa zastąpi tymczasem moje miejsce: i nieodmówisz tej przyjemności dla nas, abyśmy razem dzień spędzili.« — Na tak delikatnym punkcie oparł Generał swoje żądania, że niegrzecznością byłoby ze strony Pułkownika nieprzyjąć ich. Zostaliśmy więc sami. Piękność dnia wabiła do przechadzki, do użycia świeżego powietrza. Wyszliśmy do ogrodu. Długo przechadzaliśmy się wśród odwiecznych topoli i świerków nieśmiejąc zwyczajną rozmową sprofanować tej uroczystej chwili, bo już się dusze nasze zrozumiały wzajemnie i odgadły, że niema słów, któreby odpowiedziały uczuciu, jakie nas napełnia. O, ileto słodyczy i uroku było w tém milczeniu! a jednakże było ono tylko poprzednikiem smutnego ocknienia się, poprzednikiem

grzechu! Drżałam, jak liść pochwycony burzą gwałtowną. Pułkownik ukląkł i płynęły mu słowa, których wdzięku żadne pióro nieodda. Nie byłam panią siebie. Uczułam, że kocham i nie mogłam tego ukryć. Ale odezwał się głos sumienia i cnoty we mnie; przypomniałam o węzłach, jakie nas rozłączają i, w głębokiém przejęciu się świętością ich, skreśliłam własne jego obowiązki jako męża i ojca. O gdybyś go wtedy widziała, jak był godnym litości i żalu! jak to uczucie obowiązków ojca i męża walczyło w nim z miłością! Lękałam się słów jego, spiesznie więc rzekłam: daj mi słowo Janie, że nigdy odtąd u nas nie będziesz i wyrzeczesz się na zawsze miłości występnej. »Wiele wymagasz odemnie; czyż serce zdoła być posłuszném woli mojej? Cóż świat powie, jeżeli przestanę bywać u Generała? czyliż nieobwini ciebie aniele nadludzkiej cnoty i piękności? bo któż z śmiertelnych nieuzna władzy twoich wdzięków? « Więc ja wyjadę z domu Generała, rzekłam—» Dobrze, odpowiedział z westchnieniem, nie będę odtąd w waszym domu, ale kochać....i łzy mu przerwały mowę.

Wróciliśmy do salonu. Jedyném życzeniem mojém było, coprędzej ujrzeć Generała. Wrócił nakoniec, tysiącem grzeczności chciał wynagrodzić Janowi nieobecność swoją, ale on ciągle był tak zadumany, że mię dreszcz przejmował, by się Generał niedomyślił czego. Zaraz po objedzie opuścił nas. » Żałuję mocno biednego naszego Pułkownika, powiedział Generał, coś nie w swoim humorze, ale niema czemu się dziwić, matka go ożeniła wbrew jego woli i chęci, często podobne chwile smutku na niego nachodzą. Wyobraź sobie, że ostatnią razą, kiedym był u Xięztwa, Pułkownik przez cały ciąg swojej tam bytności ani słowa nie przemówił;

takieto skutki wypływają z małżeństwa dla widoków tylko zkojarzonego!

Postanowiłam, jak najspieszniej wyjechać z domu Generała: zniewalającémi słowami prosił mię, bym go nieopuszczała oświadczając, że przykro mu będzie odwykać od przyjemności, jakiej doświadcza z mojego pobytu; z tém wszystkiém, kiedy ujrzał szczere me żądanie zajęcia się domem własnym i gospodarstwem, niesprzeciwiał się, ale widocznie smutek malował się na jego twarzy sędziwej, w końcu rzekł, spodziewam się, że mię częściej odwiedzać będziesz niż Ludwik, bo chociaż gospodarstwo jest chwalebną rzeczą, wszakże oddanie się bezwarunkowe temu przedmiotowi z zapomnieniem powinności i celu życia, staje się nudném i niepożyteczném.

Smutno mi było opuszczać dóm poczciwego Generała, wszakże powinność wołająca w mém sercu przemogła wszelkie uczucia. Mój mąż z zadziwieniem mię ujrzał; powitał grzecznie lecz z obojętnością, niebadał przyczyny, dla czego przyjechałam: rada byłam z tego, i zasiadłszy w moim pokoju, pisałam do mamy tak otwarcie jak do ciebie, żebrząc jej litości i pomocy.. a nadewszystko, by mi pozwoliła wrócić do siebie. W dni kilka odebrałam odpowiedź: zaklina mię mama na błogosławieństwo nieba i swoje, bym się uspokoiła, niechce mię widzieć w domu swoim, bo nigdzie, jak pisze, nie mogę znaleźć większych pobudek do cnoty, ustrzeżenia się pokus, jak w familii świętej, błogosławionej, w którą weszłam i którą kochać i szanować przysięgłam u stopni ołtarza; naostatek dodaje, że żadnego nie przyjmie tłumaczenia, gdybym do niej przyjechała, i że będzie zmuszoną odwieźć mię napowrót w dóm męża. O, nie tego potrzebowała stęskniona du-

szą moja! nie takiej odpowiedzi oczekiwało serce moje od matki, którą tak kocha i wielbi!

Jestem więc teraz na tej obszernej ziemi bez żadnego wsparcia, zostawiona samej sobie, z rozdartą duszą i zranioném sercem! W któręż stronę pochyli się biedna opuszczona roślina i czy straszliwy huragan niewyrwie jej z gruntu cnoty i powinności, lub, czy nieuwiędnie od słońca, które ją wciąż pali, a niema z nikąd dobroczynnej rosy? — Nie masz nikogo, coby się użalił nademną, coby szczerém współczuciem orzeźwił duszę moją znękaną. O Boże! w Tobie tylko cała moja nadzieja, nieopuszczaj ufającej w Tobie i dodaj siły przejść tę ciernistą drogę żywota, którąś mi przeznaczył.

Franiu, módl się za mną! Bóg wysłucha twojej modlitwy z niewinnego i przyjaźnego serca idącej. Westchnij nademną, to westchnienie odbije się w duszy mojej i ulży ciężarowi, jaki ją przytłacza. O Franiu! gdzież sny i marzenia mojej młodości? gdzie niebieskie malowidła przyszłości, nadziei?! Wszystko okrywa całun śmiertelny i grób tylko, jak port bezpieczny, w którym po wędrówce życia burzą kołatanej odpocząć możemy, oku się memu przedstawia. O gdybyż przynajmniej prędzej zawinąć do tego portu!

List III.

O jakże teraz samotna jestem! Ty nawet najdroższa, jedyna moja przyjaciółko nieodpowiadasz na moje listy. Tysiąc najsmutniejszych myśli o tobie powiększa cierpienia moje, bo znając twoją przychylność ku mnie, twoje serce tkliwe na niedolę współbliźnich, nie mogę ani na chwilę wątpić, byś się nieużaliła nad losem mo-

im i choć jedném słówkiem czułej przyjaźni nieosłodziła cierpkiego położenia mego.

Jedyną ulgą w moich cierpieniach, jedyną przyjemnością, jaka jeszcze dla mnie na tej ziemi pozostaje, jest chwila, w której piszę do ciebie, w której wynurzam przed tobą całą gorycz opłakanego bytu mojego. Już mi z matką moją niewolno korrespondować; pisałam do niej raz drugi i odebrałam jeszcze surowszą, jeszcze bardziej przykrą odpowiedź od tej, o której ci w poprzednim moim liście donosiłam; nadto, wyraźny rozkaz niepisywania więcej, gdyż na żaden list *rozognionej imaginacyi* odpowiadać niechce i nie będzie. Tak więc niestety zostałam samą!

Chcesz wiedzieć, jak teraz życie pędzę? Generał odwiedza nas i zawsze jest z największą dla mnie przychylnością. Czemuż mię nieba pozbawiły tej rozkoszy, abym mogła przed nim odkryć teraznięjsze moje położenie? Och! i niepodobną odważyć się na to; pomimo całej czułości, jaką dla mnie okazuje, odkrycie się przed nim byłoby nader dolegliwém dla nas obojga; bo on jest ojcem Ludwika, a to wspomnienie staje się trucizną pożerającą ufność i pociechę, jakąbym otrzymała wylewając się z cierpieniami mojémi przed jego szlachetną duszą. Muszę więc i przed tym zacnym człowiekiem, przed osobą, którejbym jedynie zwierzyć się mogła, przybierać maskę obłudy!

W dni kilka po przybyciu mojém do domu, Ludwik utworzywszy nową spekulacyę gospodarską wyjechał do wioski, ktorą otrzymał w posagu dla mnie. Wiesz, że ta wioska położona jest nad Bugiem — chce tedy tam budować obszerne magazyny zbożowe, które według jego rachuby sprowadzić dla nas mają summy neapolitańskie. Chciałam mu towarzyszyć i usilnie o to do-

praszałam się w nadziei, że może moja matka pozwoli siebie ztamtąd odwiedzić, lub że ktokolwiek z dawnych mojego ojca sąsiadów i przyjaciół obaczywszy nasze obojętne życie, odgadnie rzeczywistość i szczęśliwiej wpłynie na matkę moją. Pierwszy raz moich życzeń niespełnił Ludwik, naprzód grzecznie się wymawiał, że niema tam wygodnego pomieszczenia dla mnie, że musi tam zabawić ze trzy miesiące lub więcej, przez cobym była pozbawiona biblioteki i fortepianu, które tak lubię, a kiedy wreszcie ujrzał, że to wszystko wcale mię nieodstręczało, jednėm słowem odpowiedział: to być nie może. I mama nazywa to próbami przekonania się, czy ja go kocham!?

Musiałam więc zostać. Dla uprzyjemnienia chwil samotnych, mój mąż zostawił P. Porucznika, zawsze nudnego, lecz teraz jeszcze nudniejszego, jeszcze nieznośniejszego dla mnie. Nikt nieprzerywa mojej samotności, bo mój mąż oddany gospodarstwu u nikogo niebywał, i nikt też go nieodwiedzał i nieodwiedza. Czemuż niezabrał z sobą tego Pana Dzierlackiego? wolałabym być samą, jak patrzeć na tę nieznośnie trywialną figurę i wciąż litować się tylko nad nią i okrutnie nudzić.

Jedyną moją rozrywką są xiążki i fortepian, nieraz tak się zatopię w muzyce, że wschodzące słońce zastaje mię przy niej. W piękną pogodę zajmowała mię przechadzka do blizkiego gaiku. Niewiedziałam o tém, że wieś, w której mieszkamy, przyległą jest do jednej wsi z majątku Pułkownika. Właśnie ów gaik, do którego tak lubiłam chodzić, gościńcem był tylko przedzielony od lasu i pasieki należącej do Pułkownika. Uważże droga Franiu, jednego poranku przychodzę i zastaję w ulubionėm przezemnie miejscu, gdzie zawsze sia-

dywałam, kanapkę pokrytą korą, stół wygodny do czytania lub rysowania i owoce rozmaite, w miłym nieporządku a jednak starannie ustawione, osypane niezapominajkami. Zdziwiło mię to niezmiernie. Ujrzawszy w tej chwili przed sobą staruszka dźwigającego dzban wody prosiłam, aby się przybliżył do mnie. Powiedz mój poczciwy staruszku, kto to zrobił tę kanapkę? — »Widzi Jaśnie Wielmożna Pani, nasz Pan Pułkownik przeszłego roku przyjeżdżał do naszej wsi i kiedy nasza Pani Grafinia (bo tak Panią i Pana nazywają jak z zagranicy wrócili) chciała przyjechać z Otyldką, to Pan Pułkownik kazał jechać do mojej pasieki, bo w żadnej niema tak doskonałych jabłek i gruszek, jak u mnie; ja się niechwalę, ale co prawda to prawda. Otoż nasza Grafinia i Otyldka i miodu zachciały, to Pan zaraz krzyknął: Zawerucha, jedź po miód, a Jaśnie Wielmożna Pani wie, że u naszego Pana kozacy to jak wiatr latają. Zjedli więc Państwo miodu, ale podług swojej przywyczki, koniecznie chcieli się wody napić, u mnie była tylko ciepła, ja chciałem pójść po wodę, a Pani mówi do Pana: pójdźmy Janie, sami się ze źródła napijemy, i poszli — i pani tu siedziała i wodę piła, bo widzi Jaśnie Wielmożna Pani, ot i krynica niedaleko ztąd.« — Ale mój staruszku, przed kilku dniami ja niewidziałam tej kanapki? — »Widzi Jaśnie Wielmożna Pani, nasz Graf znów przyjechał do nas i siedzi już tak długo w naszej wsi, jak nigdy jeszcze tego niebywało, a codzień objeżdża gospodarstwo, codzień i u mnie zrana zje gruszkę, bo mu doktory kazali na czczo jeść frukta. Otoż pewnie i Grafinia nasza przyjedzie i pewnie znów będzie jeść miód u mnie; więc Pan kazał zrobić tę ławeczkę, by Pani miała gdzie usieść, jak wody zechce się napić; choć to prawdę powiedziawszy

nie nasz grunt, ale w papierach stoi napisano, że nam wolno ztąd brać wodę, to pewnie Jaśnie Wielmożny Generał i Pan Generałowicz nie będą za to w pretensyi, że dla żony ławeczkę Graf zrobił; i dziś Pan Pułkownik jak był w pasiece, to potém pojechał do Pana Generała pewno pomówić o tém.« Zrozumiałam, zaprzestałam przechadzek.

Pułkownik dotrzymuje słowa. Zastał mię raz u Generała; tak przez króciutką swą bytność był melancholijny, mało mówiący, że trudno w nim było poznać tego człowieka, co zwykle bywał miły, wesoły, ożywiający towarzystwo. Kilka słów przemówił do mnie grzecznych, obojętnych, nic nieznaczących. Mniemałam, że pierwsze nasze widzenie się po tak pamiętnych chwilach zupełnie inne będzie: szacuję go jednak za ten krok prawdziwej męzkości. O gdyby podobna przemiana i we mnie czuć się dała! ale w mojej duszy wre wulkan, co mi zniszczenie przyniesie. Śmierci! śmierci! z upragnieniem cię oczekuję!

XIII.

Generał siedział zadumany w swojej komnacie, ocierał pot zimny z czoła i patrzył na portret ojca. Już się słońce ku zachodowi miało, zegar leniwo wskazywał upływające chwile i tylko uderzeniem godziny przerywał panującą ciszę. Siódma wybiła. Generał powstał, zdało mu się, że usłyszał jakiś szelest, jakieś zamieszanie w pobocznych pokojach, pociągnął sznurek i wszedł pokojowiec.

— Czy kto przyjechał?

— Niema nikogo.

— Dawać mi herbatę.

Zaledwie służący wyszedł, drzwi się otworzyły i Generał ujrzał wchodzącego Pułkownika.

— Niespokojny byłem Panie Pułkowniku, przyrzekłeś dziś być i naprożnom oczekiwał, a chciałem, żebyś był pożegnał moją synowę przed jej wyjazdem odemnie.

— Jestem Panie Generale, ale wcześniej nie mogłem.

— Szkoda, wielka szkoda, możebyś był uprosił Pelagią do pozostania u mnie na czas jakiś.

— Niesądzę, bo jeśli odmówiła żądaniom Pana, moje niemiałyby znaczenia.

— Czy tym językiem mamy z sobą mówić?... Mówiliśmy wprzódy otwarcie, dla czegoż teraz mamy się maskować? Pułkowniku, tegom się niespodziewał.

— Więc cóż?

— Mój syn wie o wszystkiém, na wszystko się zgadza; ona cię kocha, to widoczne, lecz teraźniejszy jej wyjazd wszystko pokrzyżował.

— Powiem ci prawdę Generale, tyle w tej kobiecie cnoty, moralności i religii, że w porównaniu z niemi niczem są prawie te wdzięki, które ją zdobią. Trzeba być szatanem nie człowiekiem, by się targnąć na zamącenie pokoju tej poczciwej duszy. Ona jest godną czci i szacunku, godną największego uwielbienia. Wszystkie moje chęci i zapędy upaść musiały przed wielkością jej cnoty. Wiesz, ja bałamut całego pięknego świata, a niemam odwagi zbliżyć się do niej i jeśli ugnę kolano, to tylko na znak hołdu należnego jej, jako wyższej anielskiej istocie.

— Szczerze mówisz Pułkowniku?

— Najszczerzej, nieczuję siły postępowania wbrew szacunkowi, jaki we mnie wzbudziła.

— Dla czegożeś wprzódy robił mi nadzieje? dla czego dziś tak okropnie zawodzisz położone w tobie zaufanie?

— Bo nieznałem jej wprzódy; bo sądziłem, że Pelagia jest taką, jak wszystkie kobiety, że mając (niech cię to nieobraża Generale) takiego męża jak Ludwik, a jakich zapewne mało na świecie, łatwo pójdzie za popędem namiętności, i ja będę szczęśliwym kochankiem, zadowolnię siebie, ją, ciebie Generale i Ludwika, i że w końcu wszyscy będziemy kontenci. Zręczniеś nas wtedy zostawił, i ja korzystając z pory najlepiej dobranemi słowy skreśliłem jej moją ku niej sympatyę, moją miłość. Ale gdybyś był usłyszał jej odpowiedź malującą i najżywsze przejęcie się świętością cnót małżeńskich i uległość, jaką winniśmy leżącym na nas obowiązkom, musiałbyś zapłakać, tak jak ja zapłakałem, nad ubliżającą myślą, która we mnie powstała; musiałbyś uczuć wyższość cnoty nad występkiem. O! zatwardziały nawet zbrodniarz słuchając jej zmiękczyłby się i stale przedsięwziął wrócić na drogę cnoty.

— Toż mniemasz, że ona teraz może być szczęśliwą? Z twojej mowy widzę, że miłość w podobnej kobiecie zrodzona musi się stać namiętnością gwałtowną, pożerającą. Już niemasz dla niej szczęścia, jeno w twojem współczuciu; inaczej musi ginąć, ginąć w wiośnie życia.

— Zastraszasz mię Generale!

— Słuchaj, ja przewidziałem wszystko, wszystko, prócz twojej słabości. Pelagia już dawno poznała, że z Ludwikiem szczęśliwą być nie może; wyjechała, a bardziej uciekła do matki i prosiła, błagała ją o rozwód, chciała się zamknąć w klasztorze. Starościna przyjechawszy wszystko mi opowiedziała; uspokoiłem ją, boś ty już mi wszystko przyrzekł, bom niechciał odkryć przyczyn rozwodu, któreby mię do grobu wtrąciły. Moja przychylność ku niej była zobowiązującą; wiem, że mię tyle

ceni, ile własnego ojca: twoje przybycie w porę, byłoby ją dzisiaj zatrzymało u mnie i wszystko poszłoby łatwo; teraz już trudniej będzie.

— Niemogłem Generale, dałem jej słowo, że nigdy u nich nie będę.

— Zastanów się Pułkowniku, który kochanek niełamie słowa, tak przeciwnego jego sercu, jego chęciom? wszak tu nieidzie rzecz o życie, o plac, o pojedynek.

— Ale idzie o szczęście, o cnotę poczciwej kobiety, co ma niemniejszą wagę od sprawy honoru.

— Jużci powiedziałem, szczęścia dla niej niema tylko w twojej wzajemności. Cnota nic nieucierpi, święty sekret zachowamy. Teraz tedy zauważ, że przez swój upór wtrącisz ją do grobu, że łamiesz słowo honoru, które mi dałeś. Zresztą, jeżeli los starca i los nieszczęśliwej kobiety nieprzemawiają do twojego serca, więc stało się, masz moją rękę, uwalniam cię od danego słowa.

— Cóż więc mam robić?.... wskaż mi środek, ale środek, przez którybym niezawiódł jej ufności.

— Ja wszystko biorę na siebie. Co się złego stało, naprawię; jeśli Bóg da, że wszystko pójdzie pomyślnie, jak wiesz, możesz ją rozwieść. Biskup niechętném patrzy okiem na małżeństwo Ludwika, rzeknę słowo i wszystko skończone. Prawdę mówiąc, niebardzo kochasz swoją żonę, Pelagią jeżeli niewiększy, ma taki jak twoja żona posag, mógłbyś więc być prawdziwie szczęśliwym. Ja żadnego udziału z jej posagu nie będę się domagał, masz moje słowo.

— Tak, mógłbym z nią być prawdziwie szczęśliwym! ta jedna myśl obudza we mnie miłość, bo przyznam ci się Generale, dla tylu wdzięków nie można być obojętnym.

— I tobie tyle skrupułów wlazło? Dalibóg, nie dzielnym żołnierzem, a xiędzem powinieneś był zostać!

— O gdybyś ją słyszał mówiącą! trzeba doprawdy stać się xiędzem wysłuchawszy takie kazanie.

— Czy znów to samo? może się wrócisz do dawnego? mów, zgoda, lub nie?

— Zgoda, zgoda Generale! bo czuję i moje i jej i wasze szczęście, inaczejbym się nieodważył, tylko sekret, sekret; ktoby się odważył dotknąć ją płochém słówkiem, tysiąc kul w piersi jego wpakuję!

— Pozwól się uścisnąć drogi Pułkowniku, mówisz, jak tęgi żołnierz, jak człowiek honoru. Pelagią przez dwa tygodnie musi być u mnie, niech nigdy niedoczekam się wnuka, jeśli tego niezjszczę; wszystko pójdzie dobrze ręczam cię, tylko teraz trzeba trochę cierpliwości.

— Więc czekać będę twoich rozkazów kochany Generale.

— Dobrze.

— Do widzenia się.

— Bądź zdrów mój Pułkowniku i więcej stały w swoich przedsięwzięciach.

— Niezawiedziesz się Generale.

Tak się skończyła rozmowa dwóch honorowych, ogólnie w obywatelstwie poważanych ludzi.

XIV.

Czegoż jeszcze myślę, czego się waham? rzekł sam do siebie Generał chodząc po pokoju. Ona będzie szczęśliwą, zaspokoi żądzę, która ją pożera; a ja? — ja przynajmniej z tą myślą wstąpię do grobu, że herb przez tyle wieków jaśniejący niezgaśnie wraz ze mną. Czyż ja to pierwszy tak robię? Ileż rodzin podtrzymu-

je podobnie upadające klejnoty szlachectwa! Mojażto wina, że u nas niema, jak w Anglii naprzykład, wolności przelewania na kogoś zaszczytów krwi, co w żyłach naszych płynie?.., o gdybym miał to prawo! dzieci mojej córki pyszniłyby się nazwiskiem zasłużonego dziada. Lecz ileżto już u nas rodzin znikło! — Gdzież Korybuty, Nałęcze, Tenczyńscy, Sieniawscy? Dorobkowicze niestety i Neofici zabrali ich herby! Nie, niedopuszczę, niedozwolę upaść memu imieniu! Wszak Ludwik się zgadza? Trzeba otrząsnąć się z przesądów, trzeba być wyższym nad nie, potrzeba już działać!

Jędrzeju! posłać za Panem Rosenbergiem, coś niezdrów jestem.

W kilka godzin już lekarz Niemiec był w gabinecie Generała.

— Panie konsyliarzu, rzekł Generał, ty, któremu nieobce są mnogie przywileje wielkiego świata, wiedzieć musisz, że są chwile, w których niemożemy być zdrowi; tego wymaga po nas ton dobry, albo uwolnienie się od pewnych grzeczności, obowiązków, albo to albo owo, jedném słowem wiedzieć powinieneś, że ja jestem chory, głowa mię boli, mam silne uderzenie krwi i tak dalej i tak dalej, szukam więc twojej rady. Miło mi będzie kochany konsyliarzu, kiedy mię jako dobry sąsiad częściej odwiedzisz. Wierzaj mi także, iż potrafię ocenić twoje poświęcenie się i dobroć. To rzekłszy ścisnął za rękę lekarza, a złoto, które w niej pozostało, było dowodem potwierdzającym słowa Generała.

— O Panie Generale! ja zasze gotów jestem nieść pomoc cierpiącym. Niech Pan pozwoli zobaczyć puls, język. Pijaweczki możeby niezawadziły, jak Pan mniema?

— Gotów jestem spełnić twoje rady kochany Doktorze.

— Dobrze, tylko proszę zachować się podług przepisów. Niech Pan będzie zupełnie swobodny, nierobić sobie żadnego przymusu. Pan jesteś chory, ja to powiem w sąsiedztwie i nikt o tém wątpić nie będzie; ja odpowiedzialność biorę na siebie. Ale Panie Generale, należałoby kogo wezwać dla przyjęcia gości — a tym czasem możeby zapisać mixturkę ułagadzającą?

— Proszę cię kochany Doktorze, poszlij po moją synowę, trzeba, żeby ktoś czuwał nademną.

— O, to nieodbicie potrzebne. Zaraz idę, niech Pan będzie spokojny, pijawki z sobą przyniosę.

Wieczorna lampa nieba rozlała światło swoje, co tak uroczo przemawia do skołatanej duszy. Pelagia smutne wydobywała tony z fortepianu, wtórowała swoim uczuciom. Pan Dzierlacki siedział na sofie i drzemał, bo wszystkie jego koncepta jałowe niezdołały wywołać uśmiechu na usta Pelagii. Dawno już ten gość szczęścia opuścił różane jej lica, smutna troska osiadła na nich, jak ptak złowrogi, co śmierć lub niedolę zwiastuje. Nagle wpadł służący i przerwał dumania Pelagii.

— Pani! Pan Generał bardzo chory, posłaniec przybiegł z tą smutną nowiną.

— Coprędzej żeby był gotów powóz dla mnie; służącej powiedz, niech się wybiera i przygotować dla niej brykę, ja naprzód pojadę. Prędzej, prędzej niech konie po mnie zachodzą!

I przez godzinę była w gabinecie Generała. Leżał silnie osłabiony, a doktor niemiec nie pozwalał sło-

wa mu przemówić. Niespokojna Pelagia znalazła sposobność pomówienia z doktorem, było to silne uderzenie krwi, lecz pijawki i wezykatorye usunęły niebezpieczeństwo. Lekarz ręczył za życie i zdrowie Generała, choroba tylko potrzebowała czasu i nieprzerwanej niczém spokojności, nadewszystko zaś zalecił, aby troskliwie spełniano i nawet uprzedzano wszystkie życzenia i chęci chorego. Zostawiwszy kilka recept na wszelki wypadek, hojnie wynagrodzony wyjechał lekarz, upewniając, że na każde zawołanie znajdą gotową jego pomoc i usługę.

Prędko rozeszła się wieść o chorobie Generała w sąsiedztwie, odwiedzali go wszyscy, i Pelagia pierwszy raz zmuszoną była przyjmować i ugaszczać samych tylko mężczyzn. Chciała posłać do męża z doniesieniem o chorobie ojca, ale Generał silnie się temu sprzeciwił, uważając za rzecz najniestosowniejszą odrywać go od rozpoczętych zaledwie prac około przyprowadzenia majątku do stanu kwitnącego.

Generał zaczął się mieć znacznie lepiej, lecz zawsze krótko u siebie przyjmował gości, cały ciężar bawienia ich spadał na Pelagią, bo chociaż był Dzierlacki, ten każdego nudził. Z pomiędzy odwiedzających sąsiadów, najmilej był przyjmowany Pułkownik, lecz on odwiedziwszy chorego, zaraz żegnał Pelagię i niestawał się jej natrętnym. Raz nawet rzekł: przebacz Pani, przyjaźń dla Generała może mię robić winnym w jej oczach, ale sercu trudno rozkazać.

Takie postępowanie czyż mogło oburzać? Nienakazywałoż ono raczej podziwiać tej wzorowej delikatności, co z najdroższych, najmilszych uczuć, jakie mogą władać człowiekiem, robi ofiarę smutnej, lecz niezbędnej powinności? Każde słowo, każde wejrzenie zdra-

dzało miłość źle ukrywaną pod maską zimnej grzeczności; widziała tę walkę Pelagia, widziała i ceniła wielkość heroizmu, na jaki zdobywał się Pułkownik. Konieczność zbliżała ją do tego człowieka tak miłego jej sercu, co dał jej poznać całą rozkosz miłości niebiańskiej, całą mękę piekła, co mógł tak łatwo panować nad nią; a przecież on nieśmiały, jak liść lekkim wiatrem wzruszony drży, kiedy mówi do niej, lęka się podnieść oczu, jakby zbrodnię popełnił; a przecież on ją, ją tylko kocha, a kocha najczulszą, najczystszą miłością? Mogłaż się nielitować nad nim Pelagia? mogłaż wytrwać w ciągłej obojętności tak sprzecznej ze stanem jej duszy, kiedy rozum najsroższą musiał toczyć walkę z uczuciami serca? kiedy wśród tego straszliwego passowania się nic nie przybywało na ratunek, nikt niespieszył z pomocą? kiedy jedna tylko powinność dla męża, który ją w najprzykrzejszém pogrążył osamotnieniu, powinność naga, jak kościotrup, przedstawiała się umęczonej jej duszy? Musiała więc Pelagia coraz bardziej upadać w silném swojém postanowieniu, i nikt się temu dziwić nie będzie, kto kochał, kto zna, jak słabą jest wola kobiety.

Zaspokajający stan zdrowia Generała położył tamę częstym odwiedzinom sąsiadów, już nawet Pelagia chciała wrócić do swojej samotności, by dać wolny bieg myślom i na nowo rozpocząć w imie religii i powinności walkę z lubémi uczuciami serca; ale Generał tak grzecznie, tak usilnie prosi, by pozostała przy nim. On jeden tylko, co prawdziwie ojcowską przychylność ku niej okazuje, co szczérem współczuciem wynagradza jej chęci i troskliwe staranie około siebie; możeż więc bez ściągnienia na siebie zarzutu niewdzięczności opuścić jeszcze niezupełnie zdrowego starca, kiedy nic na nią

niewoła, coby jakkolwiek mogło jej wydalenie się usprawiedliwić w oczach Generała? Opuszczona, bez matki, bez przyjacioł, niema na całej ziemi miejsca, gdzieby spokojniej, swobodniej odetchnąć mogła, jak w domu Generała, jak obok niego; mimo to wszakże coś ją niepokoi, czegoś się lęka, jakiś tajemny głos wciąż ją ostrzega: uciekaj! uciekaj z tych miejsc zaczarowanych!

Wiesz co Panie Janie, (rzekł Generał do Pułkownika, kiedy byli sami) czas już, byś przestał grać rolę świętoszka, nie męcz jej dłużej tą udaną pokorą i nieśmiałością.

— Dalibóg Generale, ja rzeczywiście jestem taki: z nią inaczej być niemogę; bo jest coś w wyrazie jej twarzy, w mowie i każdem spojrzeniu, co ostudza zapał namiętny i zniewala do pokory i uszanowania. O gdyby to z inną kobietą!... zobaczyłbyś.

— Porzuć te brednie, wszak tu nikt nic złego niemyśli. Trzeba ci wiedzieć, że ona o wszystkiém pisała do matki, ale godna i poczciwa Starościna przysłała mi jej listy i swoje odpowiedzi, żądając, abym nad nią jak ojciec czuwał; ja też prawdę powiedziawszy bardzo Pelagię lubię. Ludwik rozpoczął swoje budowle, i B ó g wie kiedy wróci, a my tak marnie czas trwonimy stojąc na jedném miejscu, czasby już Panie Janie wziąść się do dzieła.

— Ach, jak to wszystko znamionuje anielską czystość jej duszy, nieporównaną tkliwość jej serca!

— Tak, to też będziesz miał najlepszą żonę, właśnie w niej znajdziesz osobę zupełnie odpowiedną swoim życzeniom!

— Prawda Generale.

— Ale powiem ci, że się jeszcze jednej rzeczy lękam. Moja synowa ma przyjaciółkę, która mieszka w Wilnie.

Dzierlacki mówił mi, że, od czasu jak wyjechała odemnie, kilka już listów pisała do niej; starałem się za pośrednictwem jej służącej dostać kopii tej korrespondencyi, bo widzisz jako ojciec powinienem nad nią czuwać. Otoż w skutek najtroskliwszych moich zabiegów dostał mi się tylko jeden kawałek listu na papilot przecięty, z którego wnoszę, że we wszystkiém zwierzyła się przyjaciółce, zaklina ją bowiem, aby na ratunek spieszyła. Poleciłem przeto, by wszystkie listy z poczty, lub zkądkolwiek, adressowane do mej synowéj, przez moje ręce przechodziły. Ma się rozumieć, że gdyby nawet ta przyjaciółka i przyjechała, to Pelagii jej niedam, ale mogłaby nam ona wszystko zparaliżować; dla tego spiesz się. Służący wszedł i podał list.

— Widzisz Panie Janie, z poczty i z Wilna; możeby go otworzyć?

— Nierób tego Generale! łatwo wyczytasz z jej twarzy, co się w nim zawiera, ona niezdolna ukryć; prócz tego zdaje mi się, że to męzka ręka.

— Zrobię jak żądasz. Tu weszła Pelagia— Oto masz list z poczty.

— Ach dziękuję papie, to zapewne od Frani. Porwała list i z niecierpliwością złamała pieczątkę. O Boże! to od jej męża! coż się z nią stało?! i pobiegła do swego pokoju.

— No, nic strasznego, kiedy od męża. Ja się trochę przejdę, a ty Panie Janie pocieszaj ją, może straciła przyjaciółkę. I to rzekłszy wziął Pułkownika za rękę i poprowadził do pokoju Pelagii.

— Powiedzże mi moja Pani Pelagio, jakie odebrałaś wieści?

— Frania do Karlsbadu wyjechała. Jej mąż odebrał moje listy; pisze, że ułatwiwszy interessa pospieszy za

nią i prosi mię, abym tam do nich adressowała. Mocno jestem niespokojną.

—Niemartw się moja kochana, B ó g dobry pocieszy cię. Ja z rady lekarza muszę się trochę przejechać, a ty zabaw Pułkownika, który tak dobry, że przyrzekł zostać u nas na objedzie. I nieczekając odpowiedzi zamknął drzwi na klucz.

Pelagia już niepisała do Frani, chociaż w obecnym jej stanie znaczne zaszły odmiany.

XV.

Słaby stan zdrowia Franciszki, zatrzymał ją około trzech lat u wód karlsbadskich. Nie mogła ona pojąć, co znaczy milczenie Pelagii; nawykła czytać w jej duszy, znając uczucia, które ją do niej przywiązywały, najsmutniejszym oddała się myślom. Listy od matki donoszące o śmierci Starościny, o Pelagii, że została matką, nie były zaspokajające dla serca przyjaciółki. Napróżno Karol chciał uspokoić cnotliwą żonę, napróżno usiłował przekonać ją, że Pelagia nieodbierając od niej listów, nieczuła obowiązków pisania do niej; inaczej przekonane serce Franciszki, nie mogło zadowolnić się tém tłumaczeniem. Karolowi trudno się było odważyć oddać żonie poprzednicze listy, które odebrał był w Wilnie, bo nazbyt lękał się szkodliwego ich wpływu na słabe jej zdrowie; trudniej mu jeszcze było mówić z żoną o terazniejszém milczeniu Pelagii, bo może słyszał o rzeczywistém jej położeniu, a tém odkryciem okrutnie zraniłby serce biednej swej żony. Tęsknota, jaka opanowała Franciszkę, zmusiła go

nakoniec do oddania listów; zaledwie je przeczytała, rzekła: Karolu, spieszmy jej na pomoc!

— Ale moja droga, twoje zdrowie potrzebuje kąpieli. Prócz tego, z listów swej matki widzisz, że Pelagia zdrowa, że wszystkie jej poprzednie gorycze i cierpienia pomyślnej uległy zmianie.

— Bądź, co bądź, ja muszę ją widzieć. Wierzaj mi Karolu, ja tutaj więcej stracę jak zyskam zdrowia. I w kilka dni pożegnali piękny krajobraz Karlsbadu.

Gdzie przyjaźń, to najpiękniejsze uczucie człowieka, spieszy na pomoc, tam podróż szybko idzie. Nieupłynął miesiąc, a już Franciszka zbliżała się do mieszkania Pelagii.

Wjeżdża na dziedziniec. Był wieczór, a nigdzie światła niewidzi w oknach. O, pewno Pelisi niema w domu, myślała Franciszka, ależ z jaką radością dowie się o mojém przybyciu! jak skwapliwie wybieży na moje spotkanie! Powóz stanął przed gankiem.

— Czy Państwa niema w domu?

— Pana niema.

— A Pani?

— Niewiem, musi być.

Znajdąż się słowa, coby mogły oddać uczucie, jakie ta odpowiedź zrodziła w sercu Franciszki? W tej odpowiedzi pojęła ona najsmutniejszy stan drogiej swej przyjaciółki; bardziej ją ta odpowiedz przeraziła niż jęk fatalny dzwonu, co ogłasza stratę, stratę, którą dopiero w życiu przyszłém spodziewamy się odzyskać na łonie wieczności. Poprzedzana świecą weszła do domu; już kilka komnat przebiegła, niespostrzega uderzającego na każdym kroku nieporządku, a szuka tylko wzrokiem jednego przedmiotu, przedmiotu czułej swej przyjaźni, wiedząc, że go już nie łzą radości, lecz

łzą smutku i cierpienia powitać musi; ujrzała nakoniec i dreszcz mimowolny przebiegł ją całą! Widzi Pelagię stojącą w oknie; oko jej wytężone, jakby przybite było do światła xiężyca, rozpuszczonymi włosami wiatr swawolnie pomiata, a ręce wzniesione do góry wskazują, że o miłosierdzie czy zemstę żebrze u Boga!

— Pelisiu! przyjaciółko moja!

— Nieprzeszkadzaj mi, pozwól godzinę czasu. Ach! to właśnie ta sama chwila, w której on mówił mi o wiecznej miłości i przysięgał, że będzie mężem moim. Xiężyc tak samo świecił, jak teraz, to była chwila uroku, szczęścia.

— Pelagio! krzyknęła z płaczem Franciszka, ty mię niepoznajesz?

— O, ja cię poznałam! moja dusza uczuła twoją obecność, ale czego ty płaczesz Franiu? łzy niepowinny mącić tej błogiej chwili. On mię tak kochał i kocha jeszcze, tylko Generał, niedobry Generał odebrał mi Eugeniusza; powiada, że ja go niekocham! Czy może niekochać matka syna swego? czy może kochanka niepielęgnować, nie pieścić miniatury oblubieńca swego, dla którego wszystkiém, nawet i niebem wzgardziła?.... a Eugeniusz jego portret! i ja Eugeniusza nie kocham!? Generał wciąż to powtarza. Fałsz Franiu, niewierz temu, przekonasz się, jak on podobny do niego, i jabym go kochać niemiała? On niemowlęcą główką lubował już w tej muzyce, w tej piosnce, którą on lubił. Słuchaj, zagram ci, co za czarodziejskie dźwięki! co za harmonija! ach, to harmonia dusz naszych! muzyka naszej miłości!

Usiadła do fortepianu, ręka jej wprawna przebiegała klawisze i dobywała tony tak smutne, tak burzliwe i razem niepewne, jak jej życie, jak jej dusza, jak

jej nadzieje; Franciszka siedziała i łzy strumieniem z jej powiek lały się nad losem nieszczęśliwej Pelagii.

Jak słońce wychodząc z pośrodka bałwanów wzburzonego oceanu przywraca pokój zatrwożonej naturze i różowymi promieniami nowe w około rozlewa życie; tak muzyka kojąc cierpienia skołatanej duszy Pelagii, zwolna rozpędziła nawałnice smutnych wspomnień, smutniejszej rzeczywistości i odartej ze wszelkiego wdzięku przyszłości.

Nastąpiła chwila milczenia, ale milczenia wymownego, pełnego balsamu współczucia; bo dwie dusze przyjaźne rozmawiały z sobą, bo tej rozmowy żadne słowa zastąpić nie mogły.

— Ty wiesz o wszystkiém Franiu. On mię kochał, on może jeszcze mię kocha; przysięgał, że będzie moim, że ja będę jego, i ja niebaczna powtarzałam te przysięgi: słuchając ich cieszyło się serce moje — a on miał żonę! ja męża!.... przysięgłam pierwej u stopni ołtarza, w obliczu B o g a, dziś na ołtarzu wielkiej natury; ale B ó g nieprzyjął drugiej przysięgi, karze za znieważenie pierwszej, za znieważenie imienia swego! on mię porzucił! Niewiem czy niebo, czy piekło ulitowało się nademną, dało mi Eugeniusza, bym nie była samą na tej ziemi; a oni mi go odebrali! Jakież prawo do niego mają? Eugeniusz mój, nie ich, jam go ceną mojej duszy, mojego szczęścia dostała; a oni okrutni wydzierają ostatni skarb, ostatni promyk pociechy, co mi przyświeca! — Głośne łkania i jęki przerwały jej mowę.

Zaledwie słońce ukazało się na niebie, Pelagia weszła do pokoju Franciszki.

— Chodź moja Franiu, pokażę ci mego syna, jeszcze rano, Generał niewyjedzie.

— Może lepiej, niech nam powóz przygotują.

— O nie, moja droga! zobaczą nas, jak będziemy zajeżdzać, Generał każe zchować Eugeniusza, i ja go nieujrzę, nie pokażę tobie mego dziecięcia; a ty jedna masz tylko prawo do tego, ty się nie śmiejesz nademną, ty łzy ronisz nad jego biedną matką.

Franciszka nie mogła odmówić jej prośbie; prócz tego czuła potrzebę widzenia się z Generałem, pomówienia z nim o losie, o zdrowiu drogiej dla siebie istoty. Kilka werstw tylko było do wsi Generała. Franciszka niezważając na słaby stan zdrowia, spieszyła z Pelagią i wkrótce ujrzały się w pałacu Generała. Dostojny starzec niepowstał na przywitanie synowej i przybyłej nieznajomej, kończył rozmowę z Francuzem, a mały wnuczek swywolił po pokoju. Pelagia rzuciła się do syna, lecz ten uciekł do dziada, krzycząc: » Mama warjatka, ja niechcę. «

— Eugeniuszku, lube dziecie moje! chodź na ręce twej matki, pozwól się uścisnąć, ucałować.

— Mama warjatka, ja niechcę.

— I dajże Wać Pani pokój tym warjacyom, zawsze tylko straszysz dziecko.

Niebój się Eugeniuszku, ja cię niedam. I tulił przy sobie Generał wnuka.

— Ale to mój syn, ja jestem jego matką Panie Generale?

— Tego nikt niezaprzecza Wać Pani, tylko nie można straszyć dziecka. Ja powiadam otwarcie, że jeżeli Wać Pani nieuspokoisz się, będę prosić pana guwernera, aby z Eugeniuszem wyszedł i już go widzieć nie będziesz.

— O, ja jestem spokojną Panie Generale, nierób mi tej przykrości, ja się już nie przybliżę do niego, ja chciałam tylko Frani pokazać.

— Imość go widzi, wszak prawda?

— Tak Panie, widzę całe bolesne położenie nieszczęśliwej mej przyjaciółki, rzekła Franciszka.

— Jeśli się niemylę, widzę córkę państwa Podkomorstwa, a mnie nawet moja synowa nieuprzedziła, kogo mam honor mieć w moim domu. Służę Pani do salonu, a tobie Pani Pelagio może się podoba przejść po ogrodzie z synem; Pan guwerner będzie wam towarzyszył.

— Najchętniej drogi Generale, i chciała Pelagia ręce jego ucałować.

Weszli do salonu, ale przez kilka chwil ani Franciszka, ani Generał nieśmieli zacząć rozmowy. Nareszcie Generał przypomniał sobie, że jest Generałem, odwaga wstąpiła, i zaczął mówić.

— Widzi Pani, jakie to nieszczęście. Mój syn zajęty jest interessami, nie może być ciągle w domu, a w takim stanie, jak jest Pani Pelagia, dziecięcia przy niej pozostawić nie można; sama się Pani na to zgodzisz, tém bardziej, że dziecie poznaje smutne położenie matki i lęka się jej: musiałem więc wziąść do siebie.

— Prawda Panie, lecz mi się zdaje, że jedyną osłodą cierpień biednej Pelagii byłoby — mieć dziecię przy sobie, a przywiązanie matki zdaje się być dostateczną rękojmią bezpieczeństwa dziecięcia.

— Pani zapewne byłaś z nią krótko, ale ją częstokroć attakują straszliwe paroxyzmy.

— Trzebaby szukać pomocy lekarzy, rozrywek, wydalenia się z miejsc mogących obudzać smutne przypomnienia.

— Już używałem i Xiędza Narcyssa (1), któremu kilka praktyk szczęśliwie się udało, i znanego w naszej okolicy doktora Hejnricha, który nawet moim dzieciom ospę szczepił, lecz oni żadnej nierobią nadziei; trzeba się zgadzać z wolą Panną B o g a. Biedny mój Ludwik! łatwo Pani wyobrazisz, co cierpi, jako mąż, jako ojciec!

— Pojmuję to wszystko; lecz jeśli Pan pozwoli, ja wezwę lekarza; a może B ó g gorliwych moich starań niezostawi bez skutku.

— Jak się Pani podoba. Hejnrich radzi tylko, aby odebrać klawikord, bo to, powiada, jeszcze więcej ją draźni.

— Więc żegnam Pana Generała.

— Niech Pani pozwoli, zaraz kareta będzie dla niej.

— Pelagia lubi chodzić, będę jej towarzyszyła. Żegnam Pana.

— Upadam do nóg.

Franciszka wezwała najwięcej wziętych lekarzy w okolicy, prosiła, błagała, by się zastanowili nad stanem choroby Pelagii; oświadczyła, że jeśli potrzeba wód, albo oddalenia jej z domu, ona to wszystko ułatwi. Po rozważném zastanowieniu się lekarze wydali wyrok, że jeden tylko czas może być skutecznėm lekarstwem; że nieodzowną rzeczą dla utrzymania w spokojnym stanie chorej, jest zostawienie przy niej syna, który stał się jedyną pociechą jej życia, oraz powolność we wszystkich jej chęciach i czuwanie przyjacielskie. Franciszka objawiła to zdanie lekarzy Gene-

(1) Xiądz Narcyss znany w tej okolicy Wołynia z metody leczenia chłostą, zamiast rózek używał on pokrzywy.

rałowi i chęć zabrania z sobą Pelagii i Eugeniusza. Zgodził się Generał na wzięcie Pelagii, ale wnuka stanowczo powiedział, że nieda nikomu. Próżne były łzy i nalegania Franciszki, Generał trwał mocno w swoim uporze; musiała więc zostawić przeznaczeniu nieszczęsną Pelagię, a sama udała się do rodziców, gdzie ją mąż oczekiwał, by razem płakać nad losem biednej przyjaciółki i dzielić się goryczą, co ją napełniała.

Coraz pogorszający się stan zdrowia Franciszki zbliżał ją do mogiły. Krótki przeciąg jej życia był ciągłém pasmem szczęścia i pomyślności domowej; u drzwi grobowych widziała rozpacz poczciwego męża i łzy żalu sędziwych rodziców.

Zakończenie.

Było to w roku 183*. Głos dzwonu żałobny wzywał prawowiernych do Świątyni dla oddania jednemu z braci ostatniej posługi. Licznie zebrani obywatele napełniali kościół, twarze ich posępne, czarne ubiory, okazują, że kogoś z pomiędzy grona swojego stracili, że się zebrali oddać hołd należny cnocie, zasługom. Na środku Świątyni stała pąsowa trumna, a na niej wstęgi, ordery i srebrne blachy, co zawierają krótką historyę życia, co wygrzebane kiedyś z ziemi, nowym ludom, nowym pokoleniom świadczyć będą, jak żyły przeszłe, jak dalekie były od zepsucia i złego, jak święcie pełniony był obowiązek obywatela — człowieka, co kochał Boga, kraj i ludzi, swoich współbliźnich. Organ już przestał smutnego jęczenia i tylko kaznodzieje płatnémi usty zalecają żyjącym bogobojny, pełen wzorowych czynów żywot zmarłego. Nie jeden poczciwy ojciec, dobra dusza, patrząc na świetność pogrzebu, na boga-

tą stypę, z rozczuleniem rzekł do syna: »Ucz się z życia Generała, jakim masz być obywatelem, byś także zasłużył na chwalebne wspomnienie u progu wieczności.«

Ludwik się dowiedział o śmierci ojca, o swojém wydziedziczeniu i usunięciu nawet siebie od opieki nad synem, który przez testament Generała został dziedzicem całego majątku. Kochał Ludwik Eugeniusza miłością ojcowską, lecz kochał także swoją opinię. Testament ojca stawił go w dziwném położeniu i względnie syna, i względnie świata, i co najwięcej względnie wierzycieli, którzy ufając jego prawości dostarczali mu pieniędzy na rozpoczęte fabryki. Zaniechał wszystkiego a spieszył, by rozpocząć walkę prawną z synem, by okazać przed światem wyrządzoną sobie niesprawiedliwie krzywdę przez ojca. Spieszył, ale przebywszy już Styr czuje się mocno osłabionym, czuje, że cholera przejmuje członki jego. Każe wracać i — Biskup widzi, że do jego mieszkania znoszą zwłoki Ludwika! Zalało się łzą oko sędziwego starca, i ciężkie westchnienie żalu rozdarło piersi jego.

Było to w roku 183*. Młody dziedzic wrócił z Berlina, podobno z Uniwersytetu. Na mocy testamentu Generała ma on być w opiece do lat 25, i wtenczas dopiero majątek odebrać. Opiekun wypuścił majątek w dzierżawę, bo do Berlina potrzeba było pieniędzy. Ale młodemu Panu trudno być bez pałacu: wszystko się zrobiło, jak żądał, bo kiedy Pan chce to

i prawo znajdzie, i ostatnie słowa zmarłego mogą się przemienić, a zawsze na chwałę, na pożytek jego. Nastąpił 24 Marca: młody dziedzic objął bogatą spuściznę po dziadzie, a 25 już tysiąc siekier jęczało wycinając drzewa w ogrodzie, by odsłonić widok z salonu na pobliskie miasteczko. Z posępnym szumem padały odwieczne świerki i dęby, jakby wydając skargę o zgon przedwczesny, aż stary Jędrzej uciekł z przestrachu, bo na domiar nieszczęść swoich ujrzał jeszcze modnego tapicera z Berdyczowa, co dostojnych przodków Generała wyrugował z sali jadalnej, a natomiast jakieś obicia nowomodne z zamorskimi ludźmi przyklejał.

Było to w roku 183*. Po hucznym balu u kochanka naszego Gracyana, olśniony czarownymi wdziękami Pani Oktawianowej, wyszedłem błąkać się po pięknych Teterowa brzegach. Nie byłem usposobiony wracać do domu, prowadzić rozmowę z kolegami o dzisiejszej zabawie, o pięknych kobietach, co jaśniały na tym wieczorze; o wzorowej grzeczności i uprzejmości szanownego gospodarza, co go tak słusznie kochankiem gubernii przezwali; o wypadkach, co żywego człowieka w upiora zmieniły; o dowcipie i śmiałości jednego, a udanej obojętności, czy zimnej krwi drugiego; jedném słowem, nie byłem zdolny gawędzić, śmiać się, lub wzdychać w towarzystwie nawet dobranych przyjaciół. Gasnące światła w salonach, brzask jutrzenki wschodzącej, swieżość powietrza, cichość na ulicach bezludnych tak sprzeczna z ciągle grającą w głowie muzyką i widokiem tych wdzięcznych na ramionach dziarskiej młodzieży pływających bajaderek, co salony w dziedzinę rajskich rozkoszy zamieniały; jakaś słodycz i troska na

sercu, tęskna lecz miła dumka w myśli, kazały szukać ustronnego miejsca, oddalenia się od ludzi i wszelkiej z nimi styczności. Myśl moja to w niebie, to na ziemi tworzyła urocze ideały szczęścia w przyszłości, wszystko w złotych nadziei barwach przedstawiało się młodemu oku; czułem, że żyję, a to uczucie nie pasożytnej wegetacyi, jakże podnosi nasze chęci, nasze pomysły! jak zadowalnia duszę jeszcze młodą, jeszcze pragnącą ścisłych węzłów przyjaźni, miłości, braterstwa, jeszcze złączoną silném ogniwem z całym światem, z całą ludzkością! Cudnie marzyłem. Szum bystrego Teterowa dolatywał do ucha mego; z toczącym się strumieniem płynęły myśli moje i leciały gdzieś za góry, za morza, do dalekich ludów. Wschodzące słońce przejrzało się w pysznym Teterowie i ozłociło okoliczne wzgórki, doliny, a z niémi i myśli moje. Jestże gdzie wspanialszy, bardziej stosowny do oddawania hołdów Stwórcy przybytek nad tę majestatyczną przyrodę odzianą szkarłatném sklepieniem nieba?... Wtém głos dzwonu fatalnym jękiem, jękiem pogrzebu, odbił się w duszy mojej; zimny dreszcz przebiegł mię całego; ocknąłem się z letargu marzenia poznając niestety, że jestem na ziemi, na ziemi tylko.

Głos dzwonu zwoływał wiernych na modlitwę do Kościoła położonego w cichej ustroni nad brzegiem Teterowa wpośród gęstego lasu; przy nim klasztor PP. Miłosiernych, przytułek i wsparcie cierpiącej ludzkości, stoi w ukryciu, jakby chciał uniknąć wszelkich oznak wdzięczności za swoję anielską missyę. Pospieszyłem do tej Świątyni B o g a zespołonej ze Świątynią dobroczynności. Po nabożeństwie wszedłem do ogrodu klasztornego, chcąc się tam przypatrzyć wzorowemu pielęgnowaniu drzew, ziół i kwiatów, z jakiego słyną Panny

Miłosierdzia. Już zabierałem się do wyjścia, kiedym ujrzał bieżącą naprzeciw siebie niewiastę. » Mój synu, mój synu! zawołała, pozwól siebie uścisnąć! « Niespodziewając się takiego spotkania, stanąłem jak wryty; ona podbiegła do mnie wołając jeszcze » mój synu! mój Eugeniuszu! czy mię niepoznajesz? Wszak ja twoja matka, ja cię tak kocham! «

— Mylisz się Pani rzekłem, nie jestem ani jej synem, ani Eugeniuszem.

— O, nie omamisz serca matki! ja cię poznałam. Zbliż się mój synu, czegoż tak stoisz, czyż w tobie niema dziecinnego do mnie przywiązania? czyż niekochasz nieszczęśliwej swojej matki? O ja biedna! i zaczęła płakać.

— Uspokój się Pani, syn jej, jeśli tylko żyje nie może być obojętnym dla takiej matki, dla tylu uczuć.

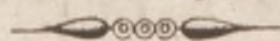
— Co mówisz okrutny? wątpisz o jego życiu? ach! powiedz dla Boga, może on umarł? skróć moją boleść. Na łono Stwórcy pospieszę za moim Eugeniuszem, tam go łzą macierzyńską powitam, do moich piersi przycisnę.

Panna starsza nadeszła i wzięła rozmawiającą ze mną niewiastę. Niech to Pana niedziwi, rzekła wychodząc razem z ogrodu, nieszczęśliwa ta matka w każdym mężczyznie widzi swego syna; obłąkanie jej niejest dla nikogo szkodliwém, jest ono tylko boleśnym wyrazem pożerających ją uczuć. My ją za siostrę uważamy i prawdziwie kochamy, starając się, o ile fundusze klasztorne pozwalają, by jej na niczém niezbywało. Radebyśmy, by ją kiedykolwiek syn odwiedził, może gwałtowne uczucie radości przywróciłoby ją do zupełnego zdrowia; ale i dla jej syna byłoby nader boleśném widzieć w takim stanie matkę! Wczora Pan

K. B. oznajmił nam w imieniu Pana Eugeniusza, że wszelkie potrzeby jej życia będą załatwione; a przecież ludzie różnie mówili — B ó g z nimi!

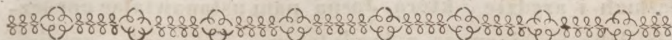
Wtém usłyszałem boleśny jęk Pelagii, Patrzę przed siebie: lekka, elegancka, złotym połyskująca herbem kareta toczyła się zwolna w zaprzęgu pysznej anglezowanej czwórki hamowanej przez dzielnego Automedona. Siedział w niej nadobny Eugeniusz obok pięknej, pięknie ustrojonej kobiety, zapewne swojej żony, a uśmiech i zadowolenie igrały na jego licach.

Znając historyę życia Pelagii ciężko westchnąłem i rzekłem: B o ż e! Ty znasz serca ludzkie i Ty jedynie odróżnić zdołasz cnotę od występku, niedając się uwieść jak wzrok ludzki, co sądzi i potępia, wielbi i szacuje z samej tylko powierzchowności.



Za udzielenie tej powieści do naszej xiążki publicznie dziękujemy Panu Karolowi Kaczkowskiemu i razem prosimy go, aby nieprzestawał używać swojego wpływu na zniewolenie nader skromnego Autora do stałego uczestnictwa w naszej publikacyi. Wiemy, że Pan Xawery (nieznany nam osobiście) w ścisłym koleżeństwa i przyjaźni związku zostawał z Władysławem Strzelnickim, z tém większą przeto w swój talent ufnością, po tak pięknej zwłaszcza powieściowej próbce, powinienby ująć pióro, które zbyt wczesna śmierć wytrąciła z ręki Autora *Mahmudka*.

(*Wydawca.*)



PODSĘDECZEK.

Ad suam quisque portionem. —
Plin.

— Słuchaj, czy ty wiesz, co to jest Podsędeczek?

— A, dajże mi pokój na miłość B o g a! — wiem, oczywiście wiem, jestto człowiek małego wzrostu, z okrągłą twarzą, z pękatym brzuszkiem.

— Zdaje się, że znasz mojego Podsędeczka; ale kto on i jakie jego zalety?

— Zapewne jakiś zamożny szlachcic, mający dziedzictwo, stosunki w powiecie; został wybrany, żeby go przecie tytułowano i by miał adres na kopercie.

— No, kiedy tak, to nieznasz mojego Podsędeczka.

— To może jaki Adwokat, co, mając poruczoną sprawę rozbiorową Jasnego Pana, umiał udowodnić, iż zapis dla żony, intercyza przedślubna córek, uprzedzając inne partykularne długi oparte na dobrej wierze i ufności w cnotę Pana, są długami świętymi, żadnej niepodpadającymi wątpliwości, i dla nich zabrał piękne majątki, a wszyscy inni wierzyciele (bo i Żółkowski mówi: *wierzy-ciele*,) umieszczeni zostali na błotach po-

leskich i arędzie, którą Jasna pani ustanawiając corocznie jako najpierwsza z kredytorów, corocznie zmniejsza aż dopóki niezredukuje do zera? — Lecz że przysłowie niesie: »*Póki Bóg Bogiem, póty Pan Panem.*« przeto i Jasny pan przez stosunki rodzinne swoje, swojej żony i córek swoich już wyposażonych postarał się wynieść pana Adwokata na Podsędka i on teraz, rozparty w krześle sędziowskiém, wyłącznie bierze dekreta rozbiorowe do pisania, jużto przez wdzięczność za swe wyniesienie, już w prostym celu zaskarbienia sobie łaski tych magnatów, co swoim wierzycielom chcą dowieść, że nic nad grzyby poleskie.

— Widzę, że kąsać zaczynasz Arystokracyę, niezapominaj jednak, że i moje nazwisko należy do niej, według heraldyki *Bejły* zamieszczonej w nieśmiertelnych jego *Mieszaninach*. Ale wracam do rzeczy: — to nie mój Podsędeczek.

— Dajże mi więc pokój, nie jestem usposobiony słuchać humorystycznych opowiadań.

— To nie lubisz humorystyki?

— Ach, czytałem sławnego *John'a of Dycalp*!! — Do widzenia się.

— Kiedy niechcesz słuchać, więc adieu, ja zacznę sobie bazgrać. Może też moja ramotka znajdzie choć przypadkiem czytelnika. Otoż zaczynam.

Co to jest człowiek?... zadałem sobie pytanie filozoficzne, z którego ani sposobu wybrnąć, bo gdzież mi do filozofii!? Ja szlachcic z dziada i pradziada, ja, co miałem kawał własnej mojej ziemi, na cożbym się miał uczyć filozofii? chyba na to, aby sąsiedzi ze mnie się śmieli i filozofem nazywali? — Nauka dla Niemców. Nam dosyć, kiedy zasiejem pszenicę i hreczkę, kiedy mamy dobry wydatek w gorzelni; prócz tego, jedni mó-

wią : filozof w Boga niewierzy; drudzy : on kleci jakieś *systemata o postępie*, patrzy na świat i ludzi ze stanowiska *absolutu*, rozwija jakieś *idee*, śledzi jakichś *tajników duszy* i t. d. Dla tych więc i tym podobnych przyczyn, zostawiwszy na stronie filozofów i filozofię, będę raczej mówił o moim Podsędeczku.

Że on małego wzrostu, okrągłej twarzy i z brzuszkiem, to już, jakem powiedział wyżej, niepodpada wątpliwości ; ale chcąc powziąść o nim pewne wyobrażenie, trzeba go znać tak, jak ja znam od lat 20, a wtedy usprawiedliwi się i pytanie moje : co to jest człowiek?

Trzeba ci wiedzieć Czytelniku, że u nas być bez tytułu — jakoś nieładnie. Ród moj, Bogu niech będą dzięki za to, spowinowacony z niejedną mitrą xiążęcą i niejedna hrabiowska korona do niego należała, ale to wszystko po kądzieli : dziad zaś mój, choć miał zbutwiałe pargaminy w szczęśliwszych czasach, kiedy można było udowodnić z nich pochodzenie hrabiowskie, niedał sobie i mówić o tém ; za całą odpowiedź usłyszałeś : »*Szczęścia mego, szlachcic na zagrodzie równy Wojewodzie.*« — a uparty był staruszek! Owoż tak i przeszło. Prócz tego, widocznie jakiś fatalizm był przywiązany do mnie. Znam takich, co już są w piątém pokoleniu od swego przodka Starosty, a zowią ich Starostami. Mój dziad był rzeczywistym Stolnikiem, ojca mego jeszcze zwano Stolnikowiczem, mnie zaś w lepszych towarzystwach po prostu *Panem* zowią, a biedny jaki szlachciura, chcąc mię uczcić jak należy, nieraz aż się zachłysnął, nim wymówił — *Stolnikowiczowicz.* Zdaje się, że mi najwięcej psuły wysmukła moja kibić i gładka twarzyczka, dla tychto przyczyn nie mogłem przez żaden sposób pozyskać tytułu Stolnika. Pomyślałem sobie : miły Boże, czyż to ja jaki ekonom,

żeby mię tylko *Pan* nazywano? — trzeba mieć urząd. Zbliżały się wybory; wypadało jechać; pojechałem i, krótko mówiąc, kto tylko na mnie spojrzał, był przekonanym, że mam dostateczne kwalifikacye na urząd — bo miałem skończonych lat 19, kawał dziedzicznej ziemi i (mówiąc w nawiasie) wiedzieli ludzie, żem siostrzeniec Xiężnej Wojewodziny. Krzyknęli obywatele; »*Prosimy na Deputata do Szlacheckiego Zgromadzenia!* « — powtórzyła to i szlachta (a w liczbie ich miałem kilka krések pewnych, bo głosowali z kontraktów zastawnych, które im kondyktowie wydałem); wymawiałem się niby, ale głosy: »*prosimy! prosimy!* » zniewoliły twarde moje serce. Otoż już jestem i Deputatem, a Deputat Jaśnie Wielmożny, a z Deputata mogę i na Guberskiego Marszałka posunąć, byle pieniądze. Tak — bo na Marszałka trzeba mieć koniecznie dwie rzeczy: ród i pieniądze. — Pierwsze jest Bogu chwała, a drugie? — drugie może się uda nabyć przez ożenienie. Zobaczymy, co będzie dalej, a teraz pokażmy światu, że jesteśmy Deputatem.

Nająłem piękny lokal, sprowadziłem kocz i konie, zrobiłem wizyty, komu należało i cudnie się bawiłem. O dzieła, o urzędowe zatrudnienia zapytasz czytelniku? — fi, to obowiązek pana Alexandrowicza, my tylko gotowe dekreta podpisujemy. Nadeszła wiosna, chciałem pojechać do domu, odetchnąć wiejskiém powietrzem, zobaczyć moje parafianki, pokazać się im Deputatem, naostatek zbadać, jakieto zmiany zaszły podczas pobytu mego w guberskiém mieście? — Udało się otrzymać uwolnienie od urzędu na 28 dni, i już jestem w domu: latam swobodny jak motyl po łąkach, pieski gonią prześlicznie w brzezinie i kilku towarzyszy młodości mając na czele Szambelana gwarzą wesoło, rubasznie; a po-

tok życia płynie rączo, bo róże młodości kwitną około niego. Wszedł z pokłonem Ekonom.

— Jasny Pan nie rozkaże czego na jutro?

— Wszakto jutro niedziela, więc niema roboty.

— Myślałem, że może Jasny Pan każe przygotować powozy, bo to w naszej parafii odpust i solenne nabożeństwo?

— Ach prawda, prawda, krzyknęli koledzy, pojedziemy! jutro cały piękny świat będzie w kościele, Wszak prawie już rok, jak od nas wyjechałeś? zobaczysz, jak wyładniały niektóre nasze dziewczęta, jak niektorym czas choć krótki czoło już poorał. Pojedziemy— cóż, czy zgoda?

— Zgoda. Więc i pojechaliśmy. Dużo było krasawic, bo ta ziemia cudne wydaje dziewczęta, ale coż, kiedy żadna i to najbogatsza niema więcej posagù, jak stotysięcy złotych? a ja przywykłem już liczyć na assygnaty: prócz tego coś mi szeptało w ucho: »Możesz być Prezesem a nawet Marszałkiem Guberskim.« Coż cnoty i wdzięki znaczą bez pieniędzy, pomyślałem? Próżno, gdybyś najlepszą była żoną, ja twoim mężem być nie mogę.

Jako urzędnik, jako przybyły z guberskiego miasta, ma się rozumieć, że niesiedziałem w kącie i nieklepałem pacierzy; przed wielkim ołtarzem moje miejsce — ukłony zewsząd i Pan Marszałek powiatowy ukłonił się a nawet podczas kazania szepnął mi do ucha: »Proszę na objadek:« Marszałek byłto człowiek niemłody, ślęczał nad papierami i miał znaczenie w powiecie; trzeba być u niego, choć wolałbym odwiedzić Xięcia. Ale ktoż niepatrzy naprzód? On pierwszy urzędnik w powiecie i szlachta za nim. Może być potrzebnym na wyborach, a szlachta nasza to to ma jedno miejsce na wyborach przypiąć łatkę Panu; tam i Xiąże kor-

dyalnie ściska brudną łapę zastawnego posiadacza 25 dusz, któremu inaczej i głowąby niekiwnął. Otoż trzeba mieć wędzidło na szlachtę, a tém wędzidłem był właśnie Marszałek, bo mu ślepo ufała: powie, *czarno* i wszyscy krzyczą, *czarno*; dla tego musiałem być u niego. Kto zna, co to jest interes, nieweźmie mi tego za złe.

Jakże się nudziłem na objedzie! Cała rozmowa o interessach w szlacheckiej Opiece, o ziemskich powinnościach, o naborze. Szczęściem znajdował się tam młody Hrabia, który przybył do Marszałka, aby wyrwać swój majątek z rąk łakomego szlachcica, co go zatradował. Przedstawiał on Marszałkowi, że szlachcic nieosiadły nie będzie miał czém odpowiedzieć za nadużycia w majątku i dla tego nalegał o naznaczenie swego wuja administratorem. Na to wszystko odpowiadał Marszałek: »Kiedyż-bo wy panowie chcecie szlachtę ugnieść.« A biedny Hrabia nie mógł inaczej dostać pieniędzy potrzebnych na wyjazd za granicę, bo wszystko w ręku szlachcica; gdy tymczasem wuj pozwoliłby mu sprzedać majątek i jakośby się ułożyły rachunki. W jakichże ponętnych, uroczych obrazkach ukazywał mi Hrabia życie za granicą! — aż ślinkę połykałem. Wtém Marszałek nagadawszy się do woli (a wszyscy go, oprócz nas dwóch, z uwagą słuchali), obrócił się do mnie: —

— Panie Deputacie! Czyście rozpatrzyli w swojém Zgromadzeniu papiery Cybulskiego, które wam przesłałem?

— Nie, Marszałku.

— Ale zmiłuj się Deputacie, to już cztery miesiące!

Prawdę powiedziawszy, nic o nich niewiedziałem, chcąc jednak wykręcić się z tego położenia objaśniłem, że mamy regestr porządkowy dzieł, z którego rozpa-

trujemy weszłe papiery. — »Bądź-że łaskaw Deputacie, pamiętaj o tym biednym szlachcicu i donieś mi, co zapadnie.« — Wyjąłem pugilares, w którym zwykle notowałem sprawunki dla dam, i zapisałem żądanie Marszałka. »Chwała Bogu, rzekł on, przecież widzimy, że nasze szlacheckie interessa Panu nie obce, kiedy chcesz o nich pamiętać.« Ta okoliczność i druga, co po niej bezpośrednio nastąpiła, wpłynęły na zmianę dotychczasowego mojego życia. Przyjechałem do ciotki. »Mój kochany, mówi mi z karesem, proszę cię, wylegitymuj mego Pawła kucharza; ja go uwolniłam i nazwałam Pióroskubskim; to bardzo poczciwy człowiek.« Ależ moja droga ciociu... — »Nie, nie, żadnego *ale* niesłucham, musisz to zrobić dla mnie.« — Pytam się, jak można odmówić ciotce, i to jeszcze Xiężnie Wojewodzinie?.. Zacząłem myśleć, co tu robić? jak tu być przecież *ipso facto* Deputatem? Jeszcze legitymacya Pióroskubskiego mały kłopot, poproszę Alexandrowicza, to zapewne jako Deputatowi nieodmówi; ale broń Boże spotkam się z takim Marszałkiem, jak nasz? — trudno dawać jedną odpowiedź. Owoż przypomniałem sobie, że będąc z Xiężną Wojewodziną u Mniszcha, zastałem go zagłębionego w czytaniu ogromnej xięgi. Wsparty znaczeniem i powagą mojej ciotki ośmieliłem się zapytać Hrabiego, co to za xięga, nad którą z takiém upodobaniem przesiaduje? — »Mój Panie, odpowiedział, jestto najdroższy skarb w świecie, skarb nieoceniony; tu jak w zwierciedle widzisz każdego, widzisz starożytność jego rodu, jego procedencyę i możesz wnioskować, do czego są zdolni dzisiejsi jego potomkowie; widzisz zamachy gminnych rodów na zdobycie tych skarbów Patrycyatu, widzisz świętokradzką rękę, co z uschłego drzewa magnackiego zciągnęła koronę (herb)

na swoje młode szlachectwo, słowem, jestto Herbarz Niesieckiego! — Ztądto mogłem zbić gruntownie fałsz wiekowy, udowodnić literalnie mylność twierdzenia, że starszy pan Kozłowski jak pan Baranowski, bo Baranowskich ród dawniejszy. Wieleby ztąd można wyciągnąć rzeczy arcy pożytecznych, byle oddać się temu całą duszą, całém uczuciem starego szlachcica « Przypomniawszy to zkonkludowałem, że potrzeba mi Herbarza, potrzeba czasu na czytanie i zajęcie się roztrząsaniem dzieł szlacheckich, bo szlachta na przyszłość może mi być potrzebna. Coś się we mnie odezwało, żem niechciał się rumienić za mój urząd i poświęciłem się przywiązanej do niego pracy. O jakże wiele straciłem za to w salonach u płci pięknej!

Pierwsza rzecź, której szukałem w Herbarzu, było moje nazwisko i znalazłem, że już półczwarta wieku szczyci się ono znamieniem szlacheckiém; znalazłem wspomnienie mojego przodka, jako Rotmistrza dzielnie walczącego pod Stefanem, jednego z synów jego Jezuitę, który był w poselstwie z Sapiehą itd. itd. Zaspokojony co do swego rodu powiedziałem: dobrze, zobaczmyż jeszcze drugich. Kiedy zacznę czytać — najsłodszy Jezu — każdy albo Xiąże albo Hrabia! nie nasz brat; — ichto prawdziwie wielkie pochodzenie, bo kolebki ich protoplastów trzeba szukać u Rzymian, Greków albo innych starożytnych narodów; nikną początki ich rodu w dawno ubiegłych wiekach, mgłą się ocieniają i ciekawemu badaczowi stawią opór w odkryciu: czy istnieli oni przed stworzeniem świata, czy też Bóg podczas ogólnego dzieła stworzenia osobno ulepił ich rody tak czyste, niepokalane, tak zupełnie odrębne od reszty człowieczeństwa? — Wtedyto uznałem moją i całej szlachty niższość, bo my prosto krajowcy; wte-

dy wspomniawszy upor mego dziadka łzami szczérego żalu zaćmiły się moje oczy, bo herb nasz przyniesiony z Pruss łatwoby mógł osłonić pochodzeniem pruskiém i zatrzeć tę nieszczęśliwą miejscowość! Wielka prawda zawiera się w tém przysłowiu: »*Mądry Lach po szkodzie.*«— oj, co prawda to prawda, teraz już nic niepomoże!

Kiedy tak dumam, służący oznajmuje mi, że jakiś Czynownik przyszedł. — Proś go tu, rzekłem. Weszła figurka małego wzrostu z okrągłą twarzyczką i nizko kłaniając się wręczyła mi list. Było to od znanego nam Marszałka; prosił on za oddawcą listu, kancellarzystą swego bióra, byśmy jego papiery szlacheckie przejrzeli i zdecydowali. Oczywiście odpowiedziałem: złóż WPan papiery swoje przy prośbie w Zgromadzeniu, my je rozpatrzymy.

— Jeżeli Pan Deputat Dobrodziej pozwoli przedstawić, mam je przy sobie. — Że już wszedłem na drogę rozpatrywania dokumentów, zgodziłem się na to. Wyjął z munduru kilka sztuk i złożył przedemną. Zdziwiłem się mocno, że to miał być cały rodowód szlachecki? — tak niestety było rzeczywiście! Jego szlachectwo było tak młode, jak liść majowy, tak jasne, jak słońce w dzień pogodny. — Dobrze, rzekłem, Pan będziesz zamieszczony w xiędze 1-ej.

— Ach, tego właśnie pragnę dla moich dziatek biednych, bo B ó g wie, kiedy rangę otrzymam.

— Pan z biednej familii pochodzisz?

— Mój ojciec był w obowiązkach, odumarł mię dzieckiem — matka wkrótce poszła za ojcem; oddała mię jednak w opiekę OO. Kapucynom, którzy dochowawszy mię do lat 14, umieścili w kancellaryi JW. Marszałka.

— Możesz Pan być spokojnym o swój interes, biorę go do siebie; po zdecydowaniu uwiadomimy Marszałka.

— Całuję stopy Pańskie. — Wyszedł, a ja zamyśliłem się. Sto lat niema jego szlachectwu, a on je chce przekazać swoim dzieciom, jako drogą spuściznę!? Czyż nielepiej było w łeb sobie strzelić, jak dać życie istotom, co może będą zdolne uczuć nizkość, nikczemność swego pochodzenia!? Jakże są różne pojęcia, jak niezmiernie różne wyobrażenia i chęci w człowieku! Ach Boże mój! co to jest człowiek!??...

Nadeszły Wybory. Chciano mię na Deputata do Sądów głównych; lecz że z Deputata pójść na Deputata nie wielka sztuka, a prócz tego wiadomo wszystkim, że nie jeden nawet *za zasługi swego tata dostał urząd Deputata*, podziękowałem przeto i nieprzyjąłem urzędu. Wróciłem do domu i dopiero się przekonałem, że urząd nie tak łatwo się nabywa. Zaczęli mię odwiedzać żydki i nie żydki, którym dłużny byłem: — nie bardzo to pożądane wizyty, trzebaby się ich pozbyć, więc wziąłem się *serio* do gospodarstwa. Nie było u mnie wprawdzie nadużycia, bo chłop nie więcej nad sześć dni w tygodniu robił, rozumie się oprócz agitujących się starym zwyczajem podczas żniw zażynków, obżynków, tłok i t. p. na które wszystko, co żyje, musiało iść w pole. Ale i oni mieli folgę... w dni słotne. — Jużto takie położenie obywatela, że musi mieć stosunki z Marszałkiem, bo, pominąwszy inne okoliczności, samo danie rekruta w miejscu spłatu wymaga tego koniecznie. Bywałem więc często u Marszałka, a figurka malutka witała mię zawsze z wyrazem wdzięczności na licu. Ma się rozumieć, iż niechciałem, aby mi darmo coś robiono i *assygnatka choć błękitna z moich do jego rąk przechodziła* (1). Niewymagał on te-

(1) Jak napisano, tak się drukuje. — A wiesz Czytel-

go nigdy, nigdy niedał do zrozumienia, aby mu dać; ale kiedy dałeś, skromne »*Panie Boże zapłać.*« było całém dziękczynieniem.

Jakoś wylazłem z biedy. Stałem dobrze w powiecie i głos mój nie był głosem poślednim. Nadeszła chwila, w której obostrzono kwalifikacye wyborowe. Obywatele, co już przesłużyli lat 6, niechcą iść na urzęda, bo już mają dla siebie i dla żon tytuły; dla młodych zaś potrzeba 10 lat służby i rangi. Co tu robić?... — trzeba zapełnić urzędy kancellarzystami, bo oni jedni mają rangi. Już i nasz znajomy z okrągłą twarzyczką był Sekretarzem guberskim. Pomnąc dobre jego chęci w spełnianiu moich interessów, podałem go na Podsędka. Krzyk na mnie: »A zmiłuj się! wszak on będzie darł na urzędzie!« — Cóż robić, odpowiedziałem, jużto teraz innych Urzędników mieć niebędziemy. Jedném słowem, gadu, gadu, i mój pan Sekretarz Podsędkiem!.. Cóż powiecie? Wstąpił na urząd, odsądził jedne roki — słusznie, poczciwie, wziątków niebierze (choć, pod sekretem powiedziawszy, niektórzy Urzędnicy z obywateli tém niegardzili.); dalej urzęduje i zawsze poczciwy, nigdy kruszec nieprzemawia do jego sumienia; kończy urząd i wszyscy jednomyślnie utrzymują go na drugie lat sześć — krzyczą, hałasują, że nie może być sąd bez kochanego od wszystkich Podsędeczka i on się wymówić nie może.

Podsędeczek ma czworo dziatek i niewielką fortun-

---

niku, co to jest *assygnatka błękitna*? — to mniej niż 10 naszych złotych! Zastanów się nad tém i powiedz, azali taka za najmniejszy z czynów *ex officio* pierwszego w powiecie Obywatela - Urzędnika zapłata, niezasługuje być exponowaną publicznie ku zawstydzeniu tej tłuszczy podrzędnej po różnych Magistraturach, co za lada umoczenie pióra i patrzeć niechce na błękitną assygnatkę!? (*Wyd.*)

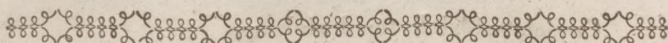
kę; żyje skromnie, ale gościnny w domu nadzwyczajnie; pali zalubowski tytuń, gościa przyjmuje tureckim; chęć nieograniczona przyniesienia każdemu pomocy, jest cechą jego działań; w pożyczce pieniędzy więcej patrzy na poczciwość człowieka, jak na jego fundusze materyalne; trudno go wyprawić pierwszego do stołu, bo zawsze znajdzie kogoś, aby mu odstąpić pierwszeństwa, do którego nierości sobie prawa. Ale i on ma wady:— klnie się po przegraniu kilku złotych: »jak B o g a kocham, nie będę już grał w *wistka.*« — lecz zaraz potem daj mu w ręce karty, powiedz, że będziesz w motyi, a niewytrzyma, siądzie, choć sam potém powie: »Lepiejby było sprawić buciki Jasiowi.« Ma jeszcze to złe w sobie, że w Sobotę musi być w domu, musi obejrzeć to gospodarstwo, które stanowi byt jego i jego dziatek, prócz tego, aby popatrzeć na wieśniaków szczęśliwych, błogosławiących jego nad sobą opiekę.

Jaka ogromna różnica między kancellistą a Podsędkiem!.. Kto go natchnął, kto mu pokazał tę poczciwą ścieżkę, którą postępuje?.. Człowiek tak niedawnego rodu, co nigdy nic nieczytał, prócz kodexów i ukazów? co nawet niewie, co znaczy odrodzenie się, postęp, duch wieku i t. d. — Powiedzcież proszę, czy niemam racyi powtarzać wciąż pytania: co to jest człowiek!?... (1).

22 Listopada 1846 r. w Naurze (Kaffkaz). — **J. Z.**

---

(1) *O pugionem plumbeum!* zawoła nie jeden z Cyceronem po przeczytaniu tej ramotki. Że jakiś lichota, człowiek bez czucia, bez smaku, niemający wyobrażenia o komforcie, żyje z kredką w ręku po ekonomsku, tożto ma być ukazywane jako klejnot w moralnym względzie i podawane za przykład w życiu nam i t. d. i t. d.? I bardzo naturalna krytyka z tego tonu — *L'ouvrage sans but, sans consequence*— ramotka bez sensu. (*Wyd.*)



M. S.

Jako Prolog do moich erotycznych poezyj zaczętych w r. 1847.

Czyście widzieli w pierwszym rozkwicie
Młodziuchny pączek, gdy wzrok różowy
Rzuci z pod listka lekkiej osnowy,
Prosząc naturę o nowe życie? —
Ile piękności wówczas jaśnieje
W jego czarownèm oku z płomienia,
Gdy czeka błogiej chwili istnienia,
Nim go swém światłem słońce obleje!

Czyście widzieli w życia poranku
Piękną jak anioł pączek - dziewicę,
Gdy jej niebieskie płoną zrzenice,
Jak niezabudki w różanym wianku;
A z pod cienkiego rąbka, z pod bieli
Dwie białych, kształnych piersi wystrzeli,
Które, zaledwie wietrzyk owionie,
Zlekka kołyszą, wznoszą się w górę,
Jakby pragnęły całą naturę
Na swém roskosznèm utulić łonie?

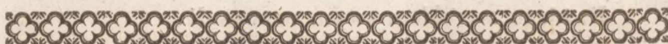
Czyście widzieli topol zieloną,
Gdy wdzięcząc sobą park pałacowy
Dumnie powiewa swoją koroną
Po nad cyprysów i świrków głowy? —
Tak ona właśnie w rówiennic kole,
Ciskając wzrok swój na różne strony,
Z jakąś anielską dumą na czole
Przewyższa wszystkie swémi ramiony.
A tyle ponęt w jej lekkiej postaci,
Że wszystko piękne urok przy niej traci.
W każdém jej słowie łagodność, zgoda;
W każdym jej ruchu rzeźwość, swoboda;
W każdém spojrzeniu naiwność płonie.
A kiedy czasem w siostr swoich gronie,
Z lubej pustoty lub przez swawolę
Gałązkę róży zegnie w półkole
I tę plecionkę wzwiesi nad głową
Opromienioną wdziękiem w około;
To tak się cudnie świeci jej czoło,
Żebyś ją nazwał dziewic królową.
Oko błękitne, prześliczne oko —
Darmobyś patrzał w niebo, wysoko,
Niech jak chce wzrok się sili, wytęży,
Nieujrzy takiej gwiazdki w krąg siebie;
Tém okiem Anioł spogląda w niebie,
Kiedy szatana zwycięży.
A ona sama gdy, zadumana,
W cichej wieczoru porze lub zrana,
Przebiega lekką stopą alleje;
Gdy z tego oka dokoła strzeli
Tysiącem czystych, bozkich promieni,
To taką słodycz wkoło rozleje,
Że gdyby serce miał kto z kamieni,

Każdego wzrokiem swym rozweseli.
Zgrabna jej nóżka zda się skrzydlata,
Nigdy porannej rosy niezmiata,
Nigdy stąpieniem trawki niezgniecie;
A kiedy bieży pomiędzy kwiaty,
Pomimo długiej, obszernej szaty,
Nietrąci listka, pyłku niezmiecie.

Piękna! i po coż, po co ty swemi
Lekkiemi stopy dotykasz ziemi?
Tobie przystało gościć na niebie,
Z Sylfami pędzić urocze chwile,
Igrać w powietrzu, łowić motyle
I gonić chmurki około siebie.
Tobieby tęczy przyćmione wstęgi
Obmywać w słońca potoku;
Tobieby gwiazdy układać w kręgi
Tobieb. spoczywać w obłoku!

Julian z nad Horynia.

Komuż się niepodoba, do czyjej nieprzemówi duszy poezya uczucia, zachwytu młodzieńczego? — Przyjęliśmy twój Prolog uczuciowy młody Poeto wdzięcznie, ochoczo, błogosławiąc z serca tej nadobnej realności, co ciebie *okiem błękitném i skrzydlatą nóżką* w świat idealnych ponęt uniosła; życząc oraz najszczérzej (och!) by ci nieprzyszło kiedy zakończyć twoich Erotyków takim, jak następuje, Epilogiem.



EPILOG

do moich Poezyj erotycznych zacząwszy od roku 1834.

Między tylu kobiet mnóstwem,
Co mię nieraz darzyły uśmiechem, względami,
Z których, w szale zapomnienia,
Nie jedna chciała przed chwilką
Być mą kochanką, mym aniołem, bóstwem,
Kobiety! jestże dziś pomiędzy wami
Chociaż jedna, jedna tylko,
Którą imie kochanki mej niezarumienia?
O! wiem, czegoście chciały — poźno, z własną stratą,
Lecz poznałem was wreszcie i nie winię za to. —
I za coż miałbym winić? czy za to, niestety,
Żem ja był młody głupiec, a wy... wy... *kobiety*??

* *
*

Ta mówi: »On jest dziki, ale w jego twarzy
Coś wróży żądzę i rozkosz tajemną;
Dopóki inny się zdarzy,
Niech ten polski niedźwiadek ugłaszcze się ze mną."
Ta mówi: »Ach, on biedny! jak twarz jego blada!
Człowiek z talentem, jak słyszę,

I z uprzejmym uśmiechem bawić mię przysiada,
Myślę, on pewnie dla mnie piosenkę napisze."
Ta mówi: »Ach, nic więcej niechciałabym w świecie,
Jak żeby się on we mnie zakochał szalenie!
Już nie niepożałuję — uśmiechy, spojrzenie,
Napowietrzne całusy, wyrazy dwuznaczne,
Łza w oku, uścisk ręki.. ach! tak, jutro zacznę. —
Chcę wiedzieć, jak się miłość objawia w poecie;
Chcę, by mi przedał rozum, okuł w pęta duszę,
Oszalał — jedném słowem, zbałamucić muszę.
A potem — ach, to będzie przepysznie, dziwacznie! —
Ja potem śmiać się będę, gdy on płakać zacznie.«
Ta mówi: »Ach jak nudno! trzeba ciągle ziewać,
Niema z kim poromansować; —
Trzeba tego *zafrappować*,
Lepszy od drugich, może przynajmniej zaśpiewać.«
Ta mówi: »Cóż już robić? czas płynie daremnie —
Ten nieszczęsny męczennik we wszystkich się kocha,
Ciągle jęczy, wzdycha, szlocha,
Trzeba mu już pozwolić zakochać się we mnie.
Nie wiele pracy — uśmiech, słodkie oczki, kwiatek,
I on już wsród moich siatek.
Niechaj przynajmniej zobaczę,
Jakiemi dla mnie wierszami zapłacze.«

* *
*

I jam wam pisał, wzdychał, grał, płakał i śpiewał! —
I cóż? — wiersz przeczytany; piosenka skończona;
Ostatni dźwięk muzyki w oddaleniu kona;
Zwietrzały chłodne słowa w ostatniej rozmowie;
Próżność szydzi szczęśliwie, a czucie rozpacza —
Co było drogie sercu, czém duszę zagrzewał,

Wszystko, wszystkoście wzięły! Dziś któraż z was powie,
Że chciała być na chwilę kochanką tułacza?

* *
*

Piękne, dobre i miłe! Anioły tej ziemi!
Mnie nie żal moich pieśni, łez wylanych skrycie;
Za kilka chwil ubranych względami waszemi
I dziś dam wam łzy, pieśni, i dziś dam wam życie: —
Mnie tylko żal was samych, że z chwilek młodości
Tak krótkich, jak wiek motylka,
Że z bogactw waszych uczuć, że z ponęt piękności
I mnie oddałyście kilka;
Że wasze piękne oczy, wasze usta hoże
Tyle spojrzeń i westchnień straciły daremnie;
Mnie żal, ach! i wam samym teraz żal być może,
Że choć żartami kochać chciałyście się we mnie!
Lecz póki mej pamięci został u was szczątek,
Darzony przez was tułacz uprzejmie się pyta:
Powiedzcie mi prześliczne! cóż mam robić przecie
Z tysiącem waszych darów, fraszek i pamiątek?
Niemi tak dobrze torba wędrowna nabita
W pielgrzymce życia zbyt cięży na grzbiecie —
A ciężar bez użytku! wędrować z nim — trudno,
Dźwigać go — sił niestaje, bawić się z nim — nudno!
Chciałbym wam zwrócić wszystko: uśmiechy, westchnienia,
Miłe słówka, słodkie oczy,
Czułe listeczki, pierścienie,
Kwiatki z waszych ubiorów i włosy z warkoczy —
Oto są! wysypałem, wytrząsłem ostatki.
Miłe, prześliczne! zbierajcie swe dary,
Pierścionki, listki, oczki, włoski, ustka, kwiatki..
Zbierajcie! torba pusta zda się na suchary. —
Wszystko już, wszystko!



O, nie! jeden został na dnie
Dar przyjacielskich uczuć, anielskiej opieki: —
O! tego ja nieoddam, i na wieków wieki
Ta, która mi go dała, z serca nie wypadnie.
To nie miłość szalona, nie puste marzenie,
Co za tysiącem celów rzuca się i miota;
Lecz jakieś słodkie czucie, ciche uwielbienie,
Którego cnota godna, które wzbudza cnota.
Lubię z nią być, z nią mówić, przy niej mi najlepiéj:
Ona w udane czucia nie osłania twarzy,
Ona słów wyuczonych błyskotką nieślepi,
Szczęśliwa szczęściem ludzi o niebie niemarzy,
I błędną myśl szaleńca, w marzeniach zgubioną,
Wraca z uśmiechem siostry na przyjaźni łono.
Lubię ją, czczę, szanuję, i skromnej miłości
Świadkiem i powiernikiem zrobiłbym świat cały;
Chciałbym, by wszystkie serca, jak ja ją kochały,
Chciałbym dzielić się z ludźmi szczérze, bez zazdrości
Mojém uczuciem dla niej, jej dla mnie słodyczą,
By poznali przyjaźni rozkosz tajemniczą,
By własném sercem zgadli ten obraz prawdziwy,
O ile ona dobra, ilem ja szczęśliwy.
Losy zbliżyły, losy może nas oddalą
W dalekie strony i inne koleje;
Dla niej wszędzie się radość i przyjaźń rozśmieje,
Mnie umęczą choroby, nieszczęścia przywalą. —
Zginie nieznany nędzarz na cudzym barłogu,
Drugi nędzarz go wrzuci w dębowe posłanie,
Trzeci nędzarz złorzecząc jamę mu wygrzebie,
I nędza mu usłuży na nędznym pogrzebie. —
I nikt nie powie: »zlećmy jego duszę Bogu.«
Lub: »Wieczny odpoczynek racz jemu dać Panie!«

* *
*

Prześliczne! macież jeszcze chęć kochać się we mnie?
Ja wam odsłonię kolej mojego żywota.
I teraz już i teraz bezsilnie, daremnie
W schorzałej piersi dawne uczucie się miota;
Próżno myśl wycieńczona młodocianym szałem,
Ginie w prześliczném oku i w prześlicznej twarzy,
Ostyga czucie krótkim natchnione zapałem,
A myśl, zmrużywszy oczy, słodko drzemiąc, marzy
O wygodnym spoczynku, o miękkiém posłaniu,
O ciepłej chacie, o cichej przyjaźni;
Lecz żadne jej szalone uczucie nie drażni,
Już nie marzy o kochaniu!

* *
*

Prześliczne! macież jeszcze chęć kochać się we mnie?
Lecz ja, nieznany tułacz, dla waszej próżności
Po kartach Niesieckiego szperałbym daremnie;
Moja pieczęć bez herbu, bez przydomku imie;
Chyba ztąd tylko sobie jakąś sławę rości,
Że je wielu Papieżów przybierało w Rzymie.
Mój stopień taki nizki, moje dobre panie,
Że choć zeń spadnę, nic się gorszego nie stanie.
Nareszcie chciejcie wiedzieć, że od pewnej doby,
Skutkiem czy doświadczenia czyli też choroby,
Już niemogę was kochać zbyt czule, zbyt długo,
Już nie tak rączym jestem waszych dziwactw sługą;
A zwłaszcza, w czém przemiany dowód mam najszczerszy,
W żaden sposób nie mogę pisać dla was wierszy. —
Wreszcie płaczliwą czułość śmieszności dziecięcej
Zmieniła w sercu żądza, żądza i — nic więcej.

* *
*

Prześliczne! macież jeszcze chęć kochać się we mnie?
Dobre serca! więc wy się nawet nie straszycie
Ani losu nędzarza w jego biernym bycie,
Ni ciemnej niepewności nieznanego rodu,
Ni przesycenia serca, ani uczuć chłodu?
Więc nic was nieodstręcza od tej próżnej pychy, —
Być na chwilę kochanką poety - tułacza?
Więc wieniec zwycięztw waszych tak marny, tak lichy,
Że, gdy która nad jego nędzotą rozpacza,
Aby błysnąć przed światem choć przelotną dobą,
Mnie każe jak służalcu być jego ozdobą?..

* *
*

Precz! precz marne istoty! natręctwem zmuszony
Odkrywam serce moje — możecie się gniewać —
Ha! wyście uwierzyły, że w koło wpleciony
Drugi Ixjon, dla waszej jedynie pociechy,
Wić się będzie w męczarniach i pieśni wam śpiewać!?
Ha! wyście uwierzyły, że przedajne śmiechy,
Że pustota serc waszych, że liche rozumy,
Nitki szychu w łachmanach lśniącej zdala dumy,
Piętna obłudy na tle wywieszonej cnoty —
Że mi to wszystko obce!? że tyle ślepoty
W mojej czci dla bałwanów, iż na wieków wieki
Z ciężkiego się letargu nieockną powieki, —
I u stóp wzniesionego przezemnie ołtarza
Wielbiciel bóstw fałszywych w prochu się przetarza!?..
Marne z drewna bałwany! wyście moje dzieło!
Wasz ołtarz moje własne podźwignęły dłonie;
Na martwych bryłach moje natchnienie spoczęło,
I iskra życia w waszém zaświeciła łonie,

I zaczęłyście myśleć i mówić i patrzeć!
Lecz brzydka nagość wasza — by wstręt do niej zatrzeć,
Ubrałem was w bogate wyobraźni szaty;
Rozkosz marzeń poety, moich uczuć kwiaty
Ja rozwiesiłem na was cudnymi wieńcami;
Potem złożyłem ręce, ukląkłem przed wami,
I śpiewałem wam pieśni i biłem wam czołem
I marzyłem w was piękność połączoną z cnotą. —
Trzeba mi było bóstwa albo ideału,
Do kogobym się modlił, do kogo z tęsknotą
Rwała się myśl na skrzydłach twórczego zapału,
Z kimbym mógł dzielić chleb mój powszedni poety —
A tym chlebem są dla mnie myśli moje, pieśni —
Z brudu pospolitości lub z domowej pleśni
Utwarzałem te bóstwa; — a marne kobiety
Sądziły, że przedemną, przed świata poklaskiem
Szczycą się własną krasą, własnym świecą blaskiem!
Bałwany! ja z was zdzieram pożyczane stroje!
Wdzięki, którem opiewał, to — marzenia moje!
Cnoty, którem ubóstwiał, to — pomysły moje!
Czucia, którem w was zbudził, to — natchnienia moje!
Duma, w którąm was odział, to — piosenki moje!
Stopnie, z których sterczały, to — ramiona moje!
Życie, którém istniały, — odrętwienie moje!
Śmierć, którą dziś giniecie — zmartwychwstanie moje!
Pieśń, której pożądacie, to — szyderstwo moje!
Z resztą waszej własności dotknąć się nie ważę. —
Te nosy, brody, usta, te odęte twarze,
Te niedalekie myśli, te błahe rozumy,
Te nici szychu w szmatkach świecącej się dumy,
Te serca wiecznie puste, jak Danajd naczynie,
To wszystko wam zostawiam, to wasze jedynie!....

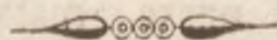
* * *

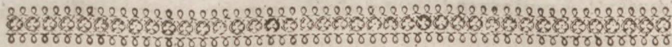
Nieliczcie swych tryumfów z zaślepioną wiarą,
Wasza nikczemność przez to wcale się niezmniejszy,
Jeśli były tryumfy, to z nich najnędzniejszy
Był mi wprzód zapłacony sowitą ofiarą. —
Te ofiary . . o! nie, nie — mam tyle godności,
Że niechcę ich wyliczać przed obliczem świata!
A jeśli myśl o marnie strwonionej młodości
Zatruje i ostatnie nieszczęść moich lata,
Przynajmniej to wspomnienie będzie ich weselem,
Że nie byłem do śmierci bałwanów czcicielem.
Ostatek żalu męztwem odzyskaném zwalczę,
I tam, gdzie dotąd brzmiały pieśni bałwochwalcze,
Na szczątkach bóstw rozbitych leżących w nicości
Zaśpiewam hymn wspomnienia dalekiej przeszłości —
Gdy każde czucie w sercu młodzieńca poczęte
Było niepokalane, prawdziwe i święte,
I każdy przedmiot celem czci mojej obrony
Również prawdziwy, święty i niepokalany!

1847 r. **Innocenty z nad Tybru.**

Piękne Czytelniczki nasze, mające upodobanie w kontrastach, przyjmą zapewne ten Epilog bez urazy, jak przyjąć musiały powyższy Prolog bez zachwycenia i sympatyi. Są to dwie ostateczności jednej rzeczy. Tam oddech wiosny, co mile łechcąc organiczną przyrodę wcześnie ją z letargu zimy budzi i do życia przywołuje; tu burza jesieni, co chłoszcząc srodze czułe istoty w państwie Flory, ogołaca je z wieńców i w brzydkie zamienia skielety. *In medio virtus*. W dziedzinie je-

dnostkowego ducha, jak i w świecie realnym, rdzeniem, istotą, prawdą życia jest lato — stan zupełnej dojrzałości, epoka męzkiej w siłach równowagi. W tej tylko epoce poeta-artysta, wolny od żaru i chłodu namiętności, potężnym jest organem prawdy w swoich myślach i uczuciach, i z tej tylko epoki utwory erotyczne wytrzymać mogą chociażby najsurowszą krytykę. Wszelka exageracya w płodach umysłowych dowodzi anormalnego stanu duszy Autora, dowodzi przemocy namiętności nad spokojném uczuciem, ubocznej mętnej myśli nad czystą prawdziwą ideą. Kobiety, istoty ziemskie, ani do uwielbienia pretensyi rościć, ani na wzgardę i potępienie zasługiwać nie mogą, bo przy całej swojej materyalnej piękności dalekiemi są od ideału aniołów, a największą swoją brzydotą duchową niedają nam wyobrażenia o czartach. Powie kto, że skreśliliśmy kompletną naganę umieszczonych przez nas poezyj? — Wszakże pomimo tych uwag wyznać musimy (i niech to nam miłującym swój snop redaktorski za złe wziętém nie będzie), że równie pan Julian dmuchając zefirkiem z nad Horynia, jak i pan Innocenty świszcząc boreaszem z nad Tybru, dotknął nieraz swojego przedmiotu w głównym punkcie, czyli, krążąc około prawdy ugodził ją w same ognisko. —





PRONA ANIMANTIA,

czyli

Empiryści w teoryi i w życiu (*).

Pugnus in mala haereat!
Terentius.

Powstawałem niedawno na empiryzm w krytyce, ale nie tam on jedynie ma miejsce w naszej umysłowości. Empiryzm!? — to plaga trapiąca dzisiaj całe

(*) Lubo w prywatnych doniesieniach, jakie od czasu wydania N. 2. *Gwiazdy* po dziśdzień (30 Grudnia) otrzymaliśmy z Petersburga, nic niema takiego, z czegobyśmy mogli wyciągnąć pewnik, że Autor *Mieszanin i Kalejdoskopu* został zadowolony nowémi uwagami krytycznémi głównego naszego Kollaboratora; ten wszakże, stały w raz powziętej literackiej swojej predilekcyi, którą wyraził słowami: *najwięcej mię zawsze pobudzą do myślenia hr. Rzewuski*, nieprzestaje ze swego krytycznego stanowiska zalecać się osobliwie pomienionej znakomitości, jakby na okazanie, że to tylko, co JW. hrabia w filozoficznym swoim tyglu zpreparować raczy, najlepszym jest żérem dla niego ptako-zwierza. Artykuł, który tu umie-

massy! Empiryzm! — to duch zaguby, przecznik życia i postępowego rozwoju! Gdziekolwiek na obszarze inteligencyi wzrok swój zatrzymasz, wszędzie napotkasz empiryzm: w badaniach natury jak i w wyskokach fantazyi — empiryzm! w studyowaniu genialnych utworów — empiryzm! w polityce i nauce socyalnej — empiryzm! w pismach pseudohistoryków — empiryzm! wszędzie powiadam, nawet na drodze moralności i religii empiryzm, okropny empiryzm!! Cóż jest ten empiryzm, co tak wsiąknął w życie wieku, co się wpił w ciało społeczeństwa i ssie jego krew i wyczerpuje żywotne soki? — Oto, nie co innego, jeno *czyn*, *fakt*, *widoma raz uzmysłowiona w czasie*, *forma życia*. Fakt stał się dzisiaj bożyszczem, cielcem złotym, Baalem, któremu kornie biją czołem. Fakt — to nieprzełamana norma bytu, to niezawodny i wieczny probierz prawdy, to sama prawda, to żywa, objawiona religia, to Bóg indywiduów krótkiego wzroku — empirystów! *Co było raz, to być i trwać powinno bez końca*! — oto formuła i godło empirystów. Dla nich przeszłość jest arcypoważna i święta; obecność i przyszłość pojmują oni tylko jako uwieczniającą się przeszłość, jako wcieloną normę duchowego bytu, za którą położą gardło, oddadzą wszelkie najpiękniejsze nadzieje, najszczytniejsze pomysły tych ludzi, co mają jeszcze serce i myśli. Według empirystów ani myśli ani serca już nam niepotrzeba wcale.

---

szczamy, traktuje o głównym elemencie pisarskiego talentu p. Rzewuskiego i komp. — Czy ten element *dodatni* czy *ujemny* — niech to rozstrzygną czytelnicy nasi; my tylko na świadectwie Kruczkowskiego upewnić możemy, że Gryf pisząc ten artykuł jeżył się straszliwie i miał na pogotowiu cały swój arsenał lwa i orła.

(*Wyd.*)

Przeszłość dość już myślała i czuła, nam pozostaje tylko przyjąć te myśli i te uczucia, a czy one przyjmą się duszą i sercem, czy prosto organem zastosowanym do zwierzęcego życia, mniejsza oto, życie bowiem ducha było raz, wypełniło się, więc dzisiaj niepotrzeba już nam ani serca, coby samo czuło, ani głowy, coby sama myślała. Arcy szanowna przeszłość, jak czuła piastunka, wiecznie wodzić nas będzie na paskach i karmić posilną na mleczku ugotowaną papką. Rośnijcie dziatki, abyście wyrosły na wielką, tłustą dziatwę, abyście się stały liczną a okazałą trzódą na wieczne dzieciństwo skazaną! Żyli za was duchem rodzice wasi, wam niepozostaje jak instynktowie po ubitej przez nich marszerować drodze. Powiedzcież mi, pytam, jaki teraz cel życia naszego? Oni żyli, bo mieli pewne uczucie sił własnych, co wiodło ich do wyzwalania się z matni czasowych kłamstw i przesądów; a myż dla czego żyjemy? dla tegoli, aby wciąż jeno tamto przedrzeźniać życie?.. Zkamieniała forma przeszłości, do której wiecznie jak do xiąg Sybilli odwołują się empiryści, da się wyobrazić doskonale w trupiej czaszce z wyszczerzonymi zębami; śmieje się ona szyderczym czarta śmiechem do swoich dziatek, co tylko żyć chcą jej śmiercią, co jak zaklęte duchy i upiory znają tylko jedną przeszłość, jeden punkt czasu, który ostatkiem ziemskiej swej treści, krwią swoją w wieczność zamienić usiłują. Empiryści — to ruszające się trupy! to nietoperze uciekający od światła i życia! to wychodzcy z innego świata, niepojmujący ani potrzeb obecnego życia, ani jego wielkich celów i dążeń! to robactwo żyjące samym wymiotem! to ćmy tajemniczej przeszłości! to sfinxy zaniesione piaskiem pustyni! — Tak,

to są rzeczywiście wasze podobieństwa ludzie bez życia, czcze mary nawiane ręką czarodzieja (1)!!

Żeby żyć, potrzeba pojąć życie, życie ducha postępowe, nieskończone, ów kraj intelligencyi, którego królem B ó g a obywatelem i poddanym człowiek. Pojąwszy, jak rozum każe, życie i wieczność z jednej, a efemeryczność i warunkowość czasowych nabytków z drugiej strony, nie będziemy wskazywać na fakt i na przeszłość, jak na coś absolutnego, Co było, miało warunki swego bytu, było punktém przechodu, prowadziło do tego, co jest dziś, co będzie jutro, po jutrze i t. d. Nie na przeszłość wskazujmy palcem, a patrzmy raczej na przyszłość. Niegodziż się wiecznie płakać

---

(1) Nasi Empiryści poczynają (i jakże właściwie!) nazywać swoje ramoty filozoficzne *głosem na puszczy*. Przekonali się więc, że stęchłe, z rodzajnych pierwiastków wytrzebione ziarna żadnych owoców niewydają; że nauka z przetrawionych oddawna żywiołów sklecona odgłosu mieć dzisiaj niemoże; że najobfitszym nawet zasobem kosztownych szczątków mądrości scholastycznej niepodobna omamić jaźni ludzkiej do nowego życia, do samodzielności powołanej? — Gdybyż tak! Ale rzecz się ma zupełnie inaczej. *Głos na puszczy*, zamiast rozbić się o pierwszy kamień dzikiej ustroni, wciska się żywém srebrem do zakątków najludniejszych; zamiast pomnożyć sobą pastwę pleśni i molów, spieszy rączością telegrafa we wszystkich kierunkach mieszkalnej strefy zaprzątnąć rozum powszechny, dając tém niejako poznać, że pierś, co go wydała, żywi w sobie bozką wieszczbę najwyższego szczebla cywilizacyi i jest siedliskiem niepoznanego jeniusza, który aż przyszłych dopiero wieków i narodów jeniusze ocenić i uczcić właściwie potrafią. Cóż ztąd, że wśród ludzi i dla ludzi niczém są wszystkie *głosy na puszczy*? — Wielka pycha naszych empirystów musi być zadatkiem wielkiego szczęścia — szczęścia! jakiego mógł doznawać jeden tylko Lucyfer mierząc się w rozumie swoim z Ojcem światłości!

(*Wyd.*)

płaczem dziecięcia! Myśl nie jest stojącą kałużą, ale strumieniem, potokiem; życie nie oznacza spokoju, ale ruch, ale postęp naprzód, ale coraz większy, pełniejszy rozwój siły. Mąż nie będzie się odwoływał do czynów dziecięcia; co było godziwe i dobre w dzieciństwie, to w stanie dojrzałości zawstydzać i hańbić tylko może; dziś on sam z siebie wysnuwa cele i obowiązki, działa nie instynktowie lecz z przekonania, duch bowiem jego rozpromienił się i zlał światło w jedno wielkie ognisko rozumu świadomego praw swoich ducha, w sumienie. Jeszcze raz, ani mąż świadomy sił swoich do czynów dziecka, ani ludzkość na wyższym stopniu swego rozwoju do form pierwiastkowym jej okresom właściwych odwoływać się i stosować nie może. Fakt skupia życie, ale życie to nieujmuje się w jednym momencie; zaledwie powstało życie i pojęło się, a już powstaje inne i znowu inne a coraz z wyższą potęgą ducha, z większém ogniskiem światła. A te myryady świateł ducha na wzór tych, co zdobią empirejską arkę wszechświata, nierzucają się bez celu i ładu. — Patrz, jak się one tam gruppują około jednego punktu tworząc tajemnicze kręgi i sfery, jak te się znowu splatają i wchodzą z sobą w nowe kombinacye, by złożyć z czasem jedną żywą szatę ducha, ognisko wiecznej Prawdy, koronę Boga!. A wy poziome, w biernym stanie zgnuśniałe istoty, uchwyciwszy się jednego ogniwa nieskończonego łańcucha chcielibyście doń na wieki swoje i całej ludzkości przykować losy? Jedno, ani dwa, ani dziesięć, ani tysiące tych ogniw nic nieznaczą, bierzcie cały łańcuch postępu! I po cóż, o empirysto, prawisz mi ciągle o tém, co było wczora, kiedy wczora minęło, a mnie dzisiaj żyć potrzeba? po co mi mówisz o wczorajszym objedzie, kiedy dziś nowy posiłek

przyjąć należy? ani wczorajszą strawą ani wczorajszém życiem żyć dzisiaj niegodzi się. Wczora— to trup! spraw mu pogrzeb na cmentarzu przeszłości i odejdź spokojny, bo łzami niewskrzesisz umarłego. Niepłacz ciała, gdy ci troskliwym być należy o duch twój jedynie, który nieumiera; skazitelność ciała nieskazitelność ducha oblecze. Obróć swe oczy ku B o g u, który jest przed tobą, patrz mówię na przyszłość, tam znajdziesz, coś był ukochał w przeszłości, a znajdziesz w cudném już przeobrażeniu, z wdziękiem anioła na twarzy, z wyraźną cechą wyższego życia. Spodziewacie się sami dla siebie przyszłego bytu, a ludzkość, której jesteście niedojrzanymi atomami, niemiałażby żyć i oddychać tą nadzieją!?....

(Prawda, co mówią, że fakt obejmuje w sobie empiryzm i spekulacyę, myśl i jej spełnienie, cel i środki do niego wiodące; ale myśl, czyli duchowy *substrat* tego faktu, jest tylko jednym momentem całkowitej myśli, jednym drobniuchnym pyłkiem, atomem. Dopiero w wielkiém ugruppowaniu faktów, w pewnej ich massie historycznej odkrywa się całkowita myśl, *rozumny wyraz*. Fakt jeden zaprzecza drugiemu, ale cała ich gruppa, wypełniając według prawa logiki myśl dziejową wzajemném ścieraniem się i znoszeniem przeciwności, określa kształty jednego wyrazu ludzkości).

Wieczne jest życie ducha; żadna forma nie obejmie go całkiem, żaden pojedyńczy fakt nieskupi go w sobie, ani przeszłość, ani teraźniejszość. Kiedyś, kiedyś dopiero... ale to kiedyś cały niezmierzony obszar przyszłości, może nawet całą wieczność oznacza! Żyje atoli w nas idea, co nam intuicyjnie rozkrywa obraz, w jaki się to życie kiedyś, w czasie rozwinie; przeszłość i teraźniejszość wskazują nam, że rozwój ten już się rozpoczął; umysł samopoznawczy uczy nas, że process

owego niemateryalnego wiecznego życia odbywa się według stałych praw ducha, odbywa stopniowo, porządnie. Wschód, Grecya, Rzym, czasy średnie, nowe wieki — są to zaiste wielkie szczeble postępu! I jakże niepoczuć się olbrzymem w obec pracy nam, naszemu wiekowi zostawionej? Ale ująć się jednego z niższych szczebli, jako sfery uzupełnionej w czasie absolutnej idei moralności i ująwszy się wołać: »*Patrzcie oto, co nas naucza historya! Jeżeli kto niepodziela mojego zdania, niechże mnie zawstydzi przykładem czerpanym z historyi, któryby mi kłamstwo zadał.*« — to lillipuctwo! takie wołanie właśnie najbardziej zawstydzać powinno wołającego. Wszakże, kiedy chrystyanizm odsłonił światu dziwną moralność, ludzie, których dusze mchem zarosły i rdzą się pokryły, mogli byli podobnie wołać: »*To niesłychana! niechże kto nam uskaże co podobnego w historyi, niech nas zawstydzi choćby jednym faktem poczerpniętym z dziejów!*« Tak mogli wołać Faryzeusze i Rzym rozwiązły, i wołanie ich żadnegoby nieobudziło echa, jeżeli serca ich zostały nieme i nieozwały się entuzyazmem miłości dla prawdy. Probierz prawdy w nas samych, nie za nami, dla tegoto, lubo nic podobnego nieprzedstawiały dzieje, prawda ducha w duchu też znalazła swój odgłos i moralność chrześciańska pozyskała całe zastępy męczenników i wyznawców, którzy ochoczo krew swoją za nię wyleli. Gdyby częste powtarzanie się czego w dziejach mogło nadawać rzeczy sankcyę, to wypadłoby fałsz i najbeżwstydniejszą rozpustę postawić bardzo wysoko, w najrozmaitszych bowiem postaciach znajdziesz je wszędzie, na każdej karcie dziejów są one zapisane; Pentateuk, Vedas, prawa Manu naznaczyły je krwawémi zgłoskami.— Wszystko to są najrzeczywistsze *fakta* pp. Empiryści:—

może jeszcze i do nich, w widokach swego *postępu na wspak*, odesłać nas zechcecie! ?.. Myśl poprzedza fakt. Myśl wielka we własném tylko zrealizowaniu znaleźć może dla siebie historyczne *criterium*, przymierzanie jej do innych faktów prowadzić będzie zawsze do samych absurdów i kłamstw. Jakiejże są godni pogardy ci, którym wskażesz za przykład myśl wzniosłą, ideał wiecznej czystości i cnoty, a oni przymierzając je do ciasnych ramek powszedności powiedzą ci: »*Dziwak jesteś — to się nigdy niepraktykowało — tego od ludzi wymagać niepodobna*!« — albo, gdy im zarzucasz ugrząźnienie w błocie, wyzucie się ze wstydu i wszelkich uczuć moralnych, odpowiedzą ci obojętnie: »*Jakżebyś chciał proszę? — inaczej być niemoże — tak powszechnie przyjęto*.« — W obu tych razach zdaje się naszym Empirystom, że mają zupełną racyę, bo fakt i rzeczywistość są za nimi, a bynajmniej nieprzeczuwają biedne te robaki, żyjące błotem i mułem ziemskim, by mogło być coś po zagranicami tego, co jest i co było; by w duchu żyła inna, bozka, odwieczna rzeczywistość tego, *co być powinno*! Do osiągnienia tej *bozkiej rzeczywistości*, tego królestwa niebieskiego prawdy, sprawiedliwości, dobra, świętości, cnoty i piękna, duch powszechno-dziejowy dąży nieprzerwanie; to, co żyje jako idea w sumieniu, żyć musi w czynie i dla tego dotąd nasz ideał w myśli i w sercu istnieje a nie po za nami, dla tego do ducha, nie do faktu odwoływać się należy. Fakt wszystko w sobie obejmujący, jako czyn bozkości, leży przed nami. Jeżeli wam mówią o piękném i wzniosłém — patrzcie przed siebie! o czystém i świętém — patrzcie na przyszłość proroczym wzrokiem! o abnegacyi, o miłości jako dźwigni do cnoty, o zamiłowaniu prawdy i pogardzie marnych korzy-

ści — zawsze, zawsze patrzcie na przyszłość okiem nadziei! Przyszłość wyda nam owoce nauki Ewangelicznej; w przyszłości serca nasze i uczynki będą naznaczone znamieniem krzyża: — bo dzisiaj symbol ten zewnętrzną tylko cześć odbiera, błyszczy na świątyniach tak, jak na monetach, herbach, pierścieniach i (o zgrozo!) na obnażonych nawet piersiach płochych niewiast! znamionuje nie istotę a marną wystawę, pozór, jak niegdyś nie czyny sumienia i ludzkości Ś. bractwa Inkwizycyi a katowskie jego narzędzia znamionował!— Jeden tylko fakt jest dla nas w przeszłości — idea Chrystyanizmu! Ale ta idea, niestety, żyje tylko w duszy, często zponiewierana, zatarta, splugawiona oddechem światowych namiętności! Ci, co mówią wam, że Chrystyanizm umarł — kłamią! i ci co mówią, że Chrystyanizm żyje — kłamią także! Chrystus usypia dotąd w duchu naszym, ale rychło, rychło już się obudzi, aby nas obłąkanych ku błogim celom skierować, aby żyć w myślach i czynach ludzkości! Dla czegoż o wy, nadęci mądrością z drobiazgowych faktów wyssaną, powstajecie wciąż na tych, co wam mówią wielkie, olbrzymie, niepraktykowane i niepojęte przez was rzeczy? — Sąto może prorocy ogłaszający przyszłą sławę Chrystyanizmu, a wyście ich ukamienować gotowi!

Aby pojąć obecny stan ludzkości, aby módz się spodziewać czegoś w przyszłości, potrzeba wiedzieć, co ludzkość już zdziałała dotąd; do tego przyjść możemy rozważając ludzkość w *jedności jej czynu*, nie zaś w drobiazgowych różnémi okolicznościami zawarowanych faktach. *Pogląd* więc *powszechno-dziejowy* jest konieczny. Empirysta powie ci, że taka filozofia nie jest nauką bynajmniej, a tylko *piśmiennem kuglarstwem* (Kalejdoskop filoz. obrót 9.). — dla czego? bo to przewyższa o całe niebo jego empiryczny rozum. Jakto

zaraz zdradza się ten empiryzm! niech tylko zdala dojrzy coś wyższego, ogólnego, a wnet zacznie skomleć, ujadać, bo to mu przeciwne, bo niewie, co robić z tym olbrzymem przy ciasnych ramkach swego pojęcia. Ludzie *zastali* czyli Empiryści krzyczą zwyczajnie na naukę, co ich odbiegła, zrazu chcieliby ją dognać, zatrzymać słodkiemi słowy, a przekonawszy się, że zapóźno i naprożno, że nikt polotów ducha niezatrzyma dla swojego widzimi się, nuż wtedy złorzeczyć, nuż wygadywać na filozofię, na estetykę, na socyalistykę, na postęp, o! na postęp szczególnie!— że to marzenie, szał, głupstwo, niepotrzebny balast, że wszystko to *niejest nauką*, a niejest nią oczywiście, bo ani uperfumowany francuzik guwerner, ani Jezuici, ani Bazylianie po swoich szkołach wcale ich tego nieuczyli! Zbijże, jeśliś mądry, taki potężny argument! A szkolni koledzy, *współ—jeniusze* (Bazylianie bowiem wydali u nas całe pisarskie pokolenie *jeniuszów*) potakują głowami i aż płaczą z rozczulenia, że takieto już teraz czasy, że jaja rozumniejsze od kur, że nawet *ci, co nieznają administratury* (sic) ważą się w oczy zadawać głupotę — i komuż?— im *jeniuszom*!!.. Te przywileje na *jeniusz* przypominają mi bardzo dokumenta legitymującej się szlachty czynszowej, gdzie podpis 12 obywateli bywa całą rękojmią ich szlacheckiej *prozapii*. Jest u nas kilku takich *jeniuszów* wzajemnie świadczących za sobą: biedni! niewiedzą i tego, że prawdziwy jeniusz ledwie jeden zjawi się na cały wiek, że stokroć łatwiej urodzić się xięciem lub hrabią, niż jeniuszem!— Splendory rodu nieoświecają umysłu, on sam w sobie ma ognisko życiodawczych promieni moralnego światła — promieni, co zdolne są całe massy pokoleń oświecić, nadać obecności nową formę i żyć jeszcze pod inną postacią w przyszłości!

Postęp! postęp!— och! to dziwotwór, przeciw któremu zażarcie występują nasi Empiryści; nienawistne to słowo radziby oni w łyżce wody utopić, ku temu też gwałtem nastrajają wszystkie swoje rozumowania *jenialne*. Posłuchajcie, co mówi jeniusz pod literą B. (bo są jeniusze pod literami G. H. P. R. S. i t. d.). »Ja nie wierzę w postęp i zdaniem mojém ten jest »kapcanem, kto weń wierzyć może. Postęp nauki!?— »to mydlana bańka (jeniusz lubi wyrażać się kwieciście »i dobitnie: to połapka na wróble, to wreszcie podła, »ciemierzycą zaprawna tabaka, którą wy nie-jeniusze »usiłujecie nam ponabijać nasze jenialne nosy! Postęp »w nauce!? jakiż u licha może być postęp (narodowość »i popularność:)? Ja się np. uczę (uważcie, że to tylko czyste przypuszczenie), ślęczę, pracuję i już, do»datnimi żywiołami przesycony, idę w końcu połączyć »się ze sławnymi przodkami, aż tu moja nauka, owo»ce moich trudów za nic i mój następca musi na nowo »rozpoczynać drogę umysłowej kultury!»— Cożby tu pomogło mówić tym panom, że raz nabyty skarb w świecie ducha nieprzepada: że praca przerwana śmiercią czynnych jednostek rozwija się dalej w idącem po nich pokoleniu; że życie nauki jest w życiu ludzkości, a nieprzywiązuje się bynajmniej do jednego jej chwilowego tylko członka?— Na to wszystko marszczyłyby się tylko ich łby jenialne i czmychały jenialne nosy (1).

---

(1) Aby dać poznać, że ze słowem *postęp*, tém straszydłem w nowej literaturze, poczęli się już oswajać nasi Empiryści i nawet wcielać je do artykułów swojej wiary autorskiej (za co, jako pewny już krok do tolerancyi, powinniśmy w codziennych modłach pamiętać o duszy X. Choloniewskiego), przytaczamy tu stosowny fragment z nowego arcydzieła pana Micros'a p. t. *Myśli o naukach Przyrodzenia*. Oto on.

Dalej uogólniając już niby swoje zdanie, od jednostki przechodzą do szczegółu (bo zawsze celem ich zaciekań się musi być jakiś fragment, do całości nigdy się podnieść niemogą:) i tak mówią: »*Greczyn kiedy świat zadziwiał kunsztem i literaturą był w stanie postępu; ten postęp jeszcze był widoczniejszy, kiedy Konstan-*

»*Człowiek przed upadkiem umiał wszystko nazwać po imieniu — dziś nic nazwać nieumie*. (Rozumieć więc potrzeba, że Protoplasta naszego rodzaju mógł upaść i stać się wielkim grzesznikiem, lubo był mędrszym i doskonalszym od wszystkich swoich potomków; a ci w niemałej liczbie, do których oczywiście należą Patronowie naszego *Myślinnika* ŚŚ. Józef i Emmanuel, mogli stać się miłymi Bogu i wejść do królestwa niebieskiego, lubo *brnęli wśród fałszu nic nazwać nieumiejąc.*). *Wraz z erą odrodzenia w duchu, Człowiek odzyskał prawo dążenia na powrót do wysokości, z której upadł* (albo króciej: *odzyskał prawo dążenia do upadku*. Tak; bo jeżeli Adam, reprezentant najwyższej na ziemi doskonałości, upadł z tej wysokości, na której go bujny umysł p. Micros'a postawił, to jakżeby na niej utrzymać się zdołał najpoźniejszy z jego potomków, będąc we wszystkiém do niego podobnym? A drugie jeszcze również z rzeczy wypadające pytanie. Kiedy dzisiejszy człowiek, idąc jedynie za *głosem sumienia*, trzyma się mocno na tej wysokości, na której go postawiło religijno-moralne ukształcenie, to czyliż niezawstydza tém swojego praojca, pierworodzcę grzechu, który *głosowi żywego Boga* sprzeciwić się ośmielił?) *i dano mu środki ku temu* (niewyszczególniono jakie, ale bez wątpienia w liczbie ich poczetne zajmuje miejsce: wydawanie dla powszechnego pożytku, w cenie najprzystępniejszej, peryodycznego pisma, jak *Tygodnik*). *ale upadek jego był tak głęboki* (widzieliśmy wysokość, możemy więc wyobrażać, jak okropnie głęboki był ten upadek), *że dziś, po wiekach kilkunastu odzyskania tych praw i środków, ledwo z miejsca wyruszył* (wyruszył przecie, chociaż nic dotąd *nie umie nazwać po imieniu*!? a przez kilkanaście wieków spał snem tak twardym, że go nawet sam Chrystus z Apostołami obudzić nie mógł!!?); *jeżeli przyznamy, że zaczyna już*

tyn Wielki założył chrześciańską stolicę na pogańskich brzegach Bosforu. Ale jaki był postęp, kiedy wyznawca Koranu (lepiej było nazwać po imieniu tego wyznawcę Koranu, bo ich jest wielu:) *bijąc kijem w pięty, przypominał mu swoje panowanie* (Kalejdoskop. Obrót 9.)! »— Odpowiadamy, Grecy przeszli, ale niezgi-

---

dążyć w powrotnym kierunku (jakby nazwać to *pas* po tancmistrzowsku?,. muszę zapytać p. Gracijewskiego), *to musiemy dodać, że czołga się dopiero jak dziecie* (właściwiejby jak rak, bo dziecię chociaż i bokiem czołga się, ale zawsze *w przód* nie *w tył*)· » Są-to wprawdzie krzyczące absurda, jak widzicie, powinniśmy się wszakże cieszyć, że jest już jakakolwiek i o jakimkolwiek postępie mowa. Tak jest, o postępie, czytajcie dalej. »*Mniemamy, że teraz tylko nastaje epoka jasnego pojęcia tego położenia i od niej zacznie się prawdziwy, bo nie materyalny, nie utilitarny, ale duchowy postęp* (A co? najwyraźniej *postęp*, jeszcze i z podkreśleniem! I im dalej tém lepiej). *Ale ludzkość będzie musiała zacząć od nowego szeregu obserwacyj, a te będą nie jak dotąd ślepe* (tylkoż nie poczytajcie za takie wszystkich *psychologicznych obserwacyj* p. Miscros'a!), *ale oświetlone myślą postępu* (*postępu* powtarzam; ktoby niewierzył, może zajrzeć do N. 100 Tyg. Pet. z r. 1847) *i ku niemu* (to jest, ku postępowi) *skierowane* (basta. Czegoż chcecie?· niemożna nawet życzyć sobie więcej na początek).

W tych *myślach o naukach przyrodzenia*, napisanych (w tytule stoi; *z powodu Mastologii Pana Belke*, rzeczywiście zaś, jak widać ze środziny,) *z powodu, że całe hufce młodych ludzi, bez żadnych zasobów naukowych, bez żadnego doświadczenia myśli, wprost obierają sobie zawód autorski* — otoż w tych *Myślach* szczególniej uderza czytelnika to, co Autor oglądał *w zachwycie jasnowidzenia*. Wystawcie tylko sobie, patrzał on własnémi oczyma na przedzgonne konwulsye starej, zgrzybiałej *Analizy*, która już wszystkie swoje owoce wydała, — patrzał, jak ostatkiem sił swoich sykała, kąsała (sic) i żadnego już, żadnego niepozostawało dla niej ratunku. Zdawałoby się, już po niej! amen! — Nieprawda, żyje! i jak jeszcze żyje, kiedy zabiera się

nęli; praca ich niepożyta istnieje dotąd w ludzkości, w dziejach jej żywota, żyje w swoich następstwach; dzisiaj nawet ma ona swój byt, bo ogniwo obecności łączy się ściśle z okresem greckim, na nim się opiera, dla niego i przez niego ma wyraz i znaczenie. Okresy cywilizacyi sąto punkta ciąg jednej linii stanowiące, sło-

---

do małżeńskiego związku!! Ale z kim? — nowe dziwo — z podobną do siebie babą — z *Syntezą*!.. Niechciałoby się wierzyć tej jednopłciowej kopulacyi, ale Autor najpoważniejszym Predykatora tonem upewnia, że sam był obecny przy zaręczynach i patrzał na wymianę oblubieńczych pierścieni. Nie koniec na tém, jeszcze dziwo. Obrzęd ślubny, co miałby, ze względu na wiek Abrahamowy zaręczonej pary, odbyć się jak najrychlej, to został odłożony i odłożony widać na czas bardzo odległy, kiedy Autor (jużci bez wątpienia młodszy od tych dwóch bab *Analizy* i *Syntezy*:) osobisty świadek zaręczyn, woła następnie pełnym jenialnej rezygnacyi głosem: »*Wędrownik styrany na bezdrożnej pustyni analitycznego wieku, niedożyję ciebie Przyszłości złota* (co za elokucya! jaka wysoka zdolność nazwania wszystkiego po imieniu!)! *ale błogosławię obecnej chwili, iż stanąłem na pograniczu tej okropnej Sahary* (albo to porównanie do Sahary wieku XVIII, który, jak wiadomo, oddechem piekielnego racyonalizmu wszystko, co bujnie rosło ku pożytkowi *empirystów ssących* (to przedmiot *Mastologii*), wypalił, zniszczył!), *błogosławię powiewowi, co z rozkosznej oazy twojej dolatuje aż do mnie* (jakby się chciało skosztować tego powiewu! ale do nas niestety, do nas, co nieumiemy chodzić *à réculons*, *w odwrotnym kierunku*, niedoleci on, nie!) — *umrę spokojny, bo przeżyłem wiek, po którym ty następujesz* (och!! ale ci, co mają żyć jeszcze w tej przyszłości, mogąż być o nią spokojni, gdy utracą Autora *wiekopomnych Myśli de omnibus rebus*? mogąż mówię niewątpić, że *in contumaciam* takiego jeniuszu będzie ta przyszłość z najdroższego metalu, ze *złota*?) — *a co było, już się nie powtórzy* (Te słowa odnoszą się znowu do w. XVIII, który (ach!!!) mógłby był wziąść zupełnie inny obrót, innym zupełnie pójść torem, gdyby przyjaźniejsze dla ludzkości *fata* pozwoliły były naszemu jeniu-

wa wiążące się w jedną myśl, w której powszechno dziejowy postęp jak najoczywistszy. Po co naród, kiedy cała treść, cała żywotność jego ducha żyje dziś i żyć będzie na wieki? to, co było i być koniecznie musiało, jest wieczne; z tablicy przeszłości ani jednej litery niewymażesz; jestto królestwo wieczności, królestwo ducha,

---

szowi urodzić się daleko pierwej, w roku np. 1694, na miejscu Woltera, albo choć z nim razem! — Komu to wyda się dziwném, niepodobném, niechaj odczyta przypisek powyższym dekretem — *a co było, już się niepowtórzy* — zpowodowany — przypisek, godny tych pereł i klejnotów, które zachwycają nas oddawna w *Pamiętniku rozumowanym*).

Okazałem więc, że słowo *postęp* przestało już być straszydłem dla empirystów. Ale co oni zrobili z tém słowem— jakie mu nadali znaczenie — to prawdziwie wygląda na dziwoląga! Cóżto za idea — *postęp na odwrót, wstecz, wtył*! ? Jestto najwyraźniejsze zaprzeczenie rozumu i woli w istności ludzkiej. Gdybyśmy się zgodzili, że Bóg wlał w pierwszego człowieka tę doskonałość, do jakiej tylko ciągiem długowiecznej uprawy dwóch wspomnionych władz ducha przyjść można, to, mając w widoku ciężki, okropny upadek tego człowieka, niepozostałoby nam nic więcej, jak oddać się swemu przeznaczeniu narówni ze zwierzętami i żyć a raczej wegetować materyalnie, *bez rozumu i woli*, które, przy najwyższém swém w drodze duchowego postępu rozwinięciu, są tylko w stanie doprowadzić nas do przepaści Adamowej winy! — Czas od swojego i wszech rzeczy początku idzie nieprzerwanie *naprzód*, a z nim takimże trybem człowiek i wszystko, co ma oczy na świecie; teraz oto kompanija dowcipnych jeniuszów wyuczywszy się gdzieś (podobno u ciotecznego brata Cellariusza,) *chodzić na odwrót, tyłem*, huknęła poczwórném gardłem: »*Oto jest dopiero Sztuka! to najwłaściwszy tryb cywilizacyi*!« — i nuż manewrować na złamanie karku!.. Słyszałem, że ci jeniusze mają już do swego użytku zegarki idące tyłem od 12 do 1 godziny; że progeniturę swoją i czeladź przyuczają za pomocą umyślnie sporządzonych maszyn do chodzenia tyłem; że rozmawiają pomiędzy sobą i nawzajem sobie oddają ukłony tyłem; że jeżdżą na koniu trzymając się za ogón; że czytają niemie-

a więc ruchu i życia. Kto mówi wobec niego: *śmierć i odrętwienie*! — ten kłamie, ten niepojmuje życia. Azali nieżyją dotąd Homer, Sokrates, Plato, Arystoteles, Eschyl, Sofokles, Fidyasz i Zeuxis? Ale są ludzie, którzy prędzej nazwą żyjącym Grekiem lada przekupnia rodzynków, niż którego z tych przedstawicieli greckiej cywi-

---

ckich filozofów, piszą *Mieszaniny i Pamiętniki rozumowane*, spełniają na cześć *Figury swego postępu* w d. 11 Października mnogie toasty, polują na *Gryfów*, strzelają do *Gwiazd*, chłoszczą u pręgierza *żółciowych krytyków* i t. d. i t. d. nieinaczej jak tyłem. Tył jest dla nich parasolem, tarczą od światła, którego jeniusze wcale niepotrzebują. Co to będzie? co to będzie? — niewidać, jak się oprą na tej wysokości, z której upadł pierwszy człowiek!... Czemuż niemam talentu Granvilla, aby wystawić w żywym obrazku systemat postępu, o którym mowa! Plan tego obrazka gotowy. Z jednej strony ojciec Adam stojący na ledwie dojrzanej wysokości, *in fundo*, w oczekiwaniu przybycia najukochańszego z synów swoich; a z drugiej ten gość upragniony, syn jego najukochańszy p. Micro's w assystencyi kilku jeniuszów wojażujący *odwrotnie*, *tyłem*, to jest w kierunku swego Tygodnika, który mu służy za igłę magnesową. Tłum szczegółów istotnego znaczenia cisnąłby się dla pomieszczenia w ramkach tego obrazka. Żal, żal! Niemogąc kunsztownie w rysunku oddać tak zajmującej idei artystycznej, muszę przynajmniej odesłać was Czytelnicy do jednej z rycinek widzianych niedawno przy nowym *Momusie* Warszawskim. Rycinka ta przedstawia Osła opierającego się wszystkiemi siłami człowiekowi, który również wszystkie swe siły, ale nadaremnie, wytężył, aby go pociągnąć ku sobie. Jestto ogólnik, ale dobrze wyobraża systemat nowego empirycznego postępu.

Jeszcze słówko. Pan Micro's, który tak często i tak poważnie ogłasza się w swych pismach nieprzyjacielem *Fałszu*, dowiódł tą razą, jak i zawsze, że apostolstwo nie jest jego rzeczą i że *krzewienie w młodém zwłaszcza pokoleniu zamiłowania do nauk dodatnich* (niby to pożytecznych) bynajmniej do niego nie należy. Kto ma jakiekolwiek pojęcie o processie, przez który przechodzić musi każda umiejętność czysto-ludzka, ten nie nazwie Analizy *płodem szatana*, *robakiem ni-*

lizacyi — o! bo Empirysta, człowiek cielešny, niepojmuje życia ducha. Dla zbicia postępu zdobywają się jeszcze na taki koncept: »*ten świat jest rajem, kto cierpi widać że filozofii postępu nie rozumie*.« A wiecież, kto tak mądrze przemawia? ten sam oto, co przez jedną stronicę dalej zżyma się na nas wołając: »*niero-*

---

szczycielem. Nie będzie wskrzeszał przedmiotu swojej nienawiści dla rozmnożenia go w potomstwie ten, kto przy zdrowych zmysłach zostaje. Kto wie, przez jakie koleje różnostronnej uprawy literatura powszechna przyszła do tych pewników, które dziś nową epokę cywilizacyi stanowią, ten się nieodważy sarkać na przeszłość i nazywać wiek płodny w wielkich myślicieli *okropną Saharą*. Kto wreszcie rozumie dobrze swój język, ten niepowie, że *postępować w nauce* albo *w czémkolwiek* jestto *iść na odwrót, w odwrotnym kierunku*. Panu Micros'owi zdaje się, że on jeden dosadnie rzeczy określa, tłumaczy się bardzo jasno; z przytoczonych zaś nonsensów widzimy, że on właśnie w szeregu potomków Adama jest jedyny, co *nic nieumie nazwać po imieniu*.

Zaraz skończę. A komuż obce są skutki pedanckiej zarozumiałości, która tego pana i jego kolegów wiedzie do popisywania się każdą swoją ramotą, do przenoszenia każdej swej pstro-uczonej bazgraniny nad wszystko, co kto kiedy napisał i napisać może, do taxowania wreszcie wyrobów swoich z chińsko-jezuickiej przędzy rozumem czysto-handlarskim?— Prenumerata np. na *Zamek Krakowski* jakże nieznośnie cuchnie magdeburszczyzną! Tygodnik, który tak zawsze usiłuje dać Powszechności najwyższe o swojej missyi rozumienie, ten Tygodnik kruszcodojny, napływem *dodatnich pierwiastków* pod starość zolbrzymiały, niewstydzi się zniżać do najlichszych posług! stał się oto jakby *prykaszczykiem*, *miszuresem* JW. Hrabi i woła na gwałt ukazując z pod poły próbkę nowego Romansu: »*Kupujcie, kto w B o g a wierzy — oto jest towar, jakiego żadna zagraniczna fabryka niewydała! towar, na honor, na sumienie, najlepszego gatunku! Kupujcie hurtem albo częściowo — cena jest trojaka: kto weźmie razem sztuk 50, zapłaci po 3 r. sr.; kto weźmie sztuk 20, zapłaci po 3 r. 50 k. sr. a kto*

zumiecie ducha i znaczenia ofiary! «— o! zaiste nierozumiemy jej, albo raczej zapominamy o jej wysokiém znaczeniu czytając ciebie Autorze Kalejdoskopu! bo jeżeli duch ofiary, jak go definiujesz, jest *zezwoleniem członkow towarzystwa, aby cierpieć dla jego pożytku* (Obrót 10.); to jakież w kolei postępu ludzkości może

---

mniéj niż 20, ten za każdą sztukę zapłacić musi po 4 r. sr. — to prawie po niczemu. Kupujcie, i to prędko, zaraz, natychmiast, radzę wam po przyjacielsku; bo jeśli niekupicie do 1 Stycznia (słuchajcie! natężcie uszy! będzie coś okropnego — być może; wrzuci ten towar, jak Sybilla xięgi swoje, w ogień!!?) *jeśli niekupicie. to... to..* (W Imie Ojca i Syna! tyle już okropności czytaliśmy — przecież ta groźba niepozbawi nas życia.).. *to.. to..* (drżę cały — a kto wie?.. trzeba być na wszystko gotowym — » W ręce Twoje Panie polecam ducha mego. «) *to. odtąd.. cena exemplarza.. pod.. nie.. sio.. ną.. będzie do 5 rubli srebrnych — i, ani grosza taniej!* (uch! dzięki Bogu żyjemy, nic się nam złego niestało.). Niejeden z chudych literatów, zasłyszawszy o tak *wymownie* rekommendowanej nowości, szczérze żałował, że dla różnych przeszkód a pryncypalnie dla braku pieniędzy nie mógł do sakwy Tygodnika posłać 4. r. sr. przed 1. Stycznia; następnie zaś kiedy przedłużony został termin do 1. Lutego, to już i mając pieniądze niekwapił się z prenumeratą, jakby był pewnym, że to *żydowstwo* (jakże go inaczej nazwać, kiedy *verbum nobile debet esse stabile*?), powtórzy się znowu przez miesiąc. I otoż-to, co z literaturą, tym powszednim chlebem myślącej istoty, wyrabiają nasi znakomici, wielcy, jenialni pisarze! Człowiekowi jak ja ubogiemu przyszłoby się z głodu umrzeć, gdyby jestestwem swego ducha od tych Empirystów ssących zależał, gdyby nieszczęściem znajdował się w stronie, gdzie ani publicznej biblioteki, ani xięgarzy uczynnych niema. Zważywszy *czysto-przedmiotowy* tryb autorstwa tych panów, każdy przyznać musi, że wielką oni mają racyę nazywać siebie ludźmi z procentów i lichwy żyjącymi, czyli, co jedno, *dodatnimi*.

(d. 30 Grudnia 1847. Wydawca.)

mieć znaczenie cierpienie jednostki, albo nawet upadek jakiego narodu, kiedy wiemy, że jak ludzie tak i narody w szczególności żyją tylko dla życia ludzkiego ducha, dla jego postępu? Nonsensa te, jak i wiele innych, zbylibyśmy wzruszeniem ramion i lekkim uśmiechem, gdyby niemiały w sobie pierwiastku zła, co rodzi w duszy czytelnika smutek i oburzenie; z tego powodu dodamy tu uwagę, jaką nam nastręcza ten ustęp o *Duchu ofiary*. Pomimo takiej jasności wyrazu, który znaczy i niemoże znaczyć co innego, jak *ofiarę społeczną* albo *narodową*, nasz filozof kalejdoskopowy umyślił nadać mu daleko rozciąglejsze znaczenie, bo mówiąc, że ofiara znana jest ludom Ameryki, jak i tym, co się błąkają po stepach Azyi i piaskach Afryki, wyraźnie ukazywać zdaje się na te okropne z religijnego fanatyzmu albo prosto z zabobonu wylęgłe krwawe ofiary dla złagodzenia gniewu Boga, jakie Fenicyanie i Kartagińczycy przynosili niegdyś Molochowi, w Gallii starożytnej Druidowie, Scytowie w Taurydzie; jaką Grecy odpływający do Troi przynieśli zabijając Ifigenią córkę Agamemnona;— co tém podobniejsza jest do prawdy, że to pisze znany kompilator Józefa *Demaistre*'a, pisarza, który tak lubił rozprawiać *sur la reversibilité*, to jest, o przenoszeniu winy jednego do zasług drugiego, utrzymując że niewinny mógł ponosić karę za zbrodniarza *dla zadosyćuczynienia sprawiedliwości* (!!). Wiadomo, z jakiém upodobaniem autor *Wieczorów Petersburskich* rozwodził się nad krwawą missyą kata, jak exagerował karę śmierci, która według niego była tylko jedną z tysiącznych plag nieba za przewinienia i zbrodnie ludzkiej natury! « *Le bourreau est créé comme un monde*! » woła Demaistre. Pogląd jego na życie człowieka i narodów, na rządy Opatrzności i jej sprawiedliwość przesiękły jest jakąś krwawo—

religijną barwą; ta barwa zalewa każdą prawie sentencyę Autora dzieła *Du Pape*, że się zdaje, jak gdyby to dzieło pisane było na ułamkach pargaminu Inkwizycyjnych dekretów oplamionych krwią ofiar. Na jednej karcie *Wieczorów Petersburskich* czytamy: « *Qu'un innocent perisse c'est un malheur comme un autre, c'est-à-dire commun à tous les hommes... Il est possible qu'un homme envoyé au supplice pour un crime qu'il n'a pas commis l'ait réellement mérité pour un autre absolument inconnu. Heureusement et malheureusement il y a plusieurs exemples de ce genre prouvés par l'aveu des coupables; il y en a, je crois, un plus grand nombre que nous ignorons* (1). Niepoznajemyż tutaj teoryi i logiki, według krórych sądzi nasz hrabia; według których Bejła w 2 tomie *Mieszanin* potępił Sokratesa twierdząc,

(1) Niebraknie tego rodzaju mędrców i dzisiaj w ojczyźnie Demaistre'a, szczęściem, że szatańskie ich teorye znajdują zawsze dzielną oppozycyę w sumieniu prawych obywateli. Już w samej pełni dzisiejszego stolecia za ministerstwa Villele'á był roztrząsany projekt do prawa *o świętokradztwie*. Właśnie, gdy się toczył spór o to: pod czerwoną czyli pod czarną zasłoną należy zciąć głowę zbrodniarzowi, który znieważył naczynia święte? — jeden z tych teoretyków, których uwielbia czasem trzóda półgłówków za to, że się niewzdrygają posuwać logiki swojej od niedorzeczności do okrucieństwa, zdumiewał się, jak można tyle trosk podejmować w bagateli — *pour envoyer un coupable devant son juge naturel*!! — Sumienny baron Pasquier najmocniej oburzony taką płochością teoretyka, rzucił mu w oczy tę pełną szlachetności apostrofę: » *Vous connaissez, Messieurs, l'histoire de ce capitaine auquel ses soldats demandaient, au moment de consommer le sac d'une ville, s'il fallait tuer tout le monde sans distinction de catholiques et d'heretiques?* — » *Tuez toujours, leur repondit le barbàre, Dieu saura bien reconnaître les siens.* « — *Lui aussi* (wskazując na teoretyka) *il envoyait ses victimes devant leur juge naturel.* «

(*Wydawca*)

że on słusznie wychylił czarę cykuty? Łatwo dostrzedz źrzódła paradoxów. Bejła chce być polskim Demaistre'em, ale omylił się w sposobie użytkowania z oryginału, bo pragnąc przywłaszczyć sobie jego charakter pożera tylko dzieła jego, które, pomimo tożsamości organizacyi (brabiowskiej), nieprzetrawionymi zeń wychodzą kawałkami; dowodzi to razem i słabości intellektualnego żołądka i potęgi empirycznej żądzy. Nie to lub owo zdanie stanowi człowieka, a stanowi go cały charakter wyrobiony epoką czasu.— Jakoż *Demaistre* ma swoje znaczenie w dziejach umysłowości objaśnione reakcyą francuzkiej rewolucyi, znaczenie zaś naszego hrabi, jako naśladowcy Demaistre'a, jest żadne; dzisiaj Demaistre jest anachronizmem. Ale na tém nie koniec. Podziwiając duchowi, który *jedynie* pielęgnuje ducha ofiary, nasz filozof oświadcza, że duch reformy XVI w. zagubił tego ostatniego ducha, tém miarowicie, że Mnich (Luter) zniszczył obrzędy i ofiarę (?)— związek Boga ze stworzeniem. Tu już widzimy inną ofiarę niepodchodzącą pod powyższe jej orzeczenie. Duch ofiary, zdaniem Autora *Kalejdoskopu* (w którym grupuje się coraz inaczej kilka przetartych szkiełek, znanych już z *Mieszanin* i z *dopisków* do Listopada:), żyje li w towarzystwie pełném wiary, czyli (co według niego jedno znaczy) katolicyzmu.— A wszakże w Polsce, gdzie Jezuici do fanatyzmu rozdymali ten płomień, nikt w XVII już wieku z ujmą własnego mienia nieratował kraju!? Bogaci panowie leli ze srebra cebry, ze złota tarcze, hełmy i roztruchany, zdobiąc je drogimi kamieniami, a rzeczpospolita niemiała czém opłacić żołdu narodowemu wojsku — i kraj chylił się do upadku i nakoniec upadł!— Cóż tu jeszcze mowić o *Duchu ofiary*?... Mamy jeszcze dotąd ludzi, co w przedmiotach najwyższych, naj-

zacniejszych szukają własnego zysku, co się niewstydzą w swoiej prostoduszności mówić: «*filozofia może pozyskać skłonność ale nigdy nie wznieci wiary* (bo ona ma na celu wzniecić przekonanie :). *Skłonność łatwo powie : ten systemat trafia do mego przekonania , objaśnia przed moim umysłem wszystkie zagadki umysłowe, ale niepowie nigdy : ja dam siebie umęczyć za ten systemat , ZYSKIEM mi jest za niego umierać* (Obr. 9.).» Oto, czém mierzą u nas prawdę!— nie to wysokie i piękne , nie to prawdziwe , zacne i święte, co ci rozdyma piersi, co myśl i serce rozszerza, ale to, co naładowująe twą kieszeń porozpiera chude jej boki:— to istotny, rzetelny , niezawodny sprawdzian Empirystów ! Ale słowa te mają niby być słowami Chrześcianina, człowieka wiary ?— Dziwnaż zaiste ta wiara, co mierzy swoją siłę miarą zysku , jaki zapewnia ! Ja pojmuję wiarę , jako absolut mający powód i sprawdzian w samym sobie, inaczej wiara przestaje być wiarą a zstępuje do poziomego znaczenia handlarskiego interesu, gdzie się daje pewien kapitał na ryzykę dla nadziei zysku. « *Zyskiem mi jest wierzyć w to* . »— A cóż innego hasłem jest samolubów i ludzi oddanych duszą materyalizmowi? wszak oni wierzą tylko we własny interes , w złoto , i wiara też ich niezawodnym jest dla nich zyskiem ! Oj , coś tu nietak panie hrabio ! *Gravior est animi quam pecuniae obligatio* . Dla wiary potrzeba mieć wiarę, i Kościół naucza , że ona jest darem łaski, a wcale nie skutkiem jakiejś umowy , albo kontraktu .

Empiryści winni są całą swą wartość intellektualną pierwiastkowemu swemu całkiem biernemu wychowaniu , któremu przewodniczyli Jezuici , Bazylianie, czasami Jan Sniadecki , a najczęściej Labuś francuzki, znający , prócz swego języka , sztukę podobania się płci

pięknej, dodajmy do tego podróże *à l'étranger*, skutkiem których z całej oświaty *à la longue* najbardziej kieszeń świecić poczęła, i — otoż kompletny kurs ukształcenia pp. Empiryştów: co wszakże nieprzeszkadza im mieć się za ludzi wysoce uczonych i samym siebie ogłaszać za wyrocznie w uczonym świecie (*e sempre bene*) i pokilkakroć na jednej stronicy tytułować się *jeniuszami*! — Takie było wychowanie ludzi mających dziś około półwieku latek, ale to ludzi tylko świeckich. Duchowni kształcący się po seminaryach, mniej już świetne odbierali wychowanie, bo, *comme de raison*, niemieli osobnych dla siebie nauczycieli tańców, muzyki i śpiewu, szczodrze opłaconych obrączkowymi, chyba *à l'écart* sami się w tém ćwiczyli; za to dawna rutyna, trochę łaciny, tłumaczenie Vulgaty, łatwiejsze miejsca z Augustyna Św., Eutropiusz i Cornelius Nepos ze świeckich pisarzy, historya Kościelna Bielskiego, retoryka dla pisania exort i kazań, poetyka może tradycyjnie doszła w prostej linii od xiędza Baki, nauka kościelna o obrzędach i służbie B o ż e j, składały wcale nieszczupły kurs seminaryjny. Akademia, wyższa już szkoła duchownych, dodawała do tego zwykle dogmatyczną teologię, homiletykę, exegetykę, patrologię, prawo kanoniczne i t. p. a czasami nawet i filozofię. Ale to ciekawa rzecz ta filozofia! nietylko u nas, we Francyi nawet, gdzie nauka zawsze była i jest na wyższym stopniu, ta filozofia po seminaryach była już w nasze czasy (w przedostatniém dziesięcioleciu) w takim gatunku, że mógłbyś pomyśleć, iż ją gdzieś w kredzianym pokładzie wykopał Cuvier wraz z mastodontem! L'abbé Bautain (dzisiejszy biskup Strasburski) w artykule swoim: *Sur la nouvelle hérésie du XIX siècle:* doskonale skreślił śmieszną jej facyatę; byłato najzmudniejsza

scholastyka, w której pryncypalną rolę grały syllogizm i ergotyzm — publiczne ścieranie się uczniów na temata zadawane przez xięży professorów. Bez wątpienia musiały tam być wznowione dawne *jenialne* kwestye, np. »*Num Deus possuerit suppositare mulierem, num diabolum, num asinum, num cucurbitam, num silicem? et quemadmodum cucurbita fuerit cancionatura, editura, miracula, figenda cruci?*« etc. etc. Ale w czém najwięcej celowali ci filozofowie, to w zbijaniu zasad manicheizmu, nestoryanizmu i rabbinizmu; ta kwestya była dla nich najżywotniejsza, nieraz bowiem zacząwszy się w *audytorium*, kończyła się na łbie jakiego żydziuka, który najspokojniej wracał do domu z bożnicy z workiem naładowanym talmudami. Do tych kłótni przydawali jeszcze argumenta przeciw Ateuszom, niewiedząc, że broń ta zużyta rdzą czasu na nic się już dzisiaj nie zda. W takimto stanie rzeczy professor Strasburskiego Uniwersytetu zapragnął obudzić tychto *braci, co kilka wieków spali*, by ich powołać do nowych zapasów ze współczesną spekulacyą. Daremne truda! Co mogli pojąć z wysokiej, absolutnej, jednolitej myśli wieku ludzie znający tylko na pamięć kilka argumentów? My to wiemy najlepiej, wie to każdy, kto tylko miał cierpliwość przeczytać Tygodnik z r. 1846; tam już jest wszystko, na co się zdobyć może empiryzm, wiadomostka o kilkunastu faktach w walce przeciw samopoznawczej absolutnej idei. Sądzimy, że z określenia, danego na początku tego pisma, każdy zrozumiał dokładnie, jakie przywiązujemy znaczenie do słowa *empiryzm*, a zrozumiawszy zgodzi się z nami, że ludzie żyjący treścią tego słowa muszą być niezmiernie zabawni na polu dzisiejszej literatury. Jakby na złość ludzie ci wyrywają się zawsze ze swoim sądem

tam, gdzieby im milczeć najprzyzwoiciej było; występują z długiemi rozprawami właśnie, kiedy idzie o rzecz zupełnie im obcą, o *ideę absolutną* np. *prawa*, *piękna*, *umysłu*, *postępu* i t. p.! To tylko bawi, że jeśli jeden odezwie się np. o *prawie*, to drugi zaraz, co pisze o *Estetyce* (ale o czémże oni wszyscy niepiszą?) wyjeżdża z komplementem, że miło mu złożyć w obliczu światłej Publiczności hołd głębokiego uszanowania filozofowi-statyście *pełnemu jeniuszu* (sic) itd. Ażeby nie być dłużnym, statysta pali na wzajem komplement swemu admiratorowi, ten znowu temu i tak bez końca, czém przypominają dwóch bardzo grzecznych ludzi, z których jeden mając u siebie gościem drugiego, przez grzeczność odprowadził go do jego mieszkania, odprowadzony, jako już gospodarz u siebie, wypłacił się grzecznemu assystentowi podobnąż grzecznością, ten znowu poszedł za popędem grzeczności, która tamtemu nową była pobudką do wywzajemnienia się takąż grzecznością, i niewiem, na czémby się skończyła ta wygórowana grzeczność, gdyby wreszcie przechodzący rond nie zabrał tych niezmiernie grzecznych ludzi i nieodprowadził ich na odwach.. Wspomnieliśmy tu pobieżnie o zdaniach, jakie ferują nasi Empiryści o tém i owém, wypiszmy jakie na próbkę. Powiada p. hrabia w swoim Kalejdoskopie (Obrót 6.)« *dziś prawo uważają być utworem rozumu ludzkiego niepotrzebującego wyższej sankcyi*. »— i to powiedziawszy zaczyna szermować niby z myślą wieku, starając się nadać prawu powagę bozkiej instytucyi, w rzeczy zaś samej okazuje się, że niepojmuje, co to jest rozwinięcie ogólnego absolutnego umysłu tak w prawodawstwie jak i w dziejach każdej innej gałęzi ducha?— niepojmuje, że zrealizowania pewnej idei absolutnej niemożna nazwać rozumem ludzkim. To, co się nie zawarowuje indywidualnością,

co niezależy od woli człowieka, a następuje jako rezultat wewnętrznych przyczyn konieczności i staje się faktem powszechnym, to w żaden sposób ludzkim rozumem mienić się niemoże. Rozum, czyli idea absolutna, mająca w sobie byt niezależny i rozwijająca się w czasie, idea, której hołdują narody, intuicyjnie ją w siebie przyjmując i wypełniając nią treść swego żywota, idea ta, chociaż ma swoją powagę dla ludzi, jako istot rozumem obdarzonych, niejest przecież bynajmniej ludzką. powaga jej bowiem rozciąga się do wszelkiej rozumnej istoty i każda z nich, czyto B ó g, czy człowiek, czy anioł, czy szatan, przyzna jej konieczność, bo jestto rozum sam w sobie, którego prawom ulegnie każda samopoznawcza intelligencya. Jestto więc najwyższy rozum, rozum przez siebie i w sobie, absolutny rozum któremu wszystko ulega, który wydał wszystko, który wszędzie, w naturze jak i w ludzkości dojrzeć możemy, a więc— *rozum bozki.* Jeżeli Autor *Kalejdoskopu* niepojmuje tego, to niech przypisze całą winę empirycznemu organowi, którego stał się najgłośniejszą dudą. Ale przyznam się, zagadka-to dla mnie nielada, dla czego ten sam oto *jeniusz* we wstępie do 2 t. *Mieszanin* tak pochlebił Heglowi mieniąc się admiratorem jego w tém mianowicie, co się dotycze poglądu na rozwój ogólno-dziejowej absolutnej idei, kiedy gdzieindziej, jak dopiero przekonaliśmy się, niepojmuje samoistności tej idei, która wszakże jest podstawą historycznej metody!?.. Po co tu się mozolić, powiedzmy po prostu: aby chwalić lub potępiać Hegla, potrzeba go nasamprzód rozumieć; lecz że to dla bogobojnych uczniów *Scholarum Piarum* rzecz niełatwa, wolą więc oni na wiarę czyjąś mówić o nim, jużto godzić się z nim, już powstawać na niego, jak z rzeczy wypada, niezajrzawszy mu nigdy w oczy, niewiedząc

nawet, jakiego są formatu szatańskie jego dzieła, a kontentując się tém tylko, że ciągle prawiąc o swojej uczoności i obszernych wiadomościach, uda się czasem wmówić w ludzi ciemnych, że wszystko, co jest wielkie i głębokie w nauce, połknęło się jak pigułkę. Z tém wszystkiém, kto tylko zna rzecz, o którą tu idzie, i zna ją gruntownie, a czytał przytem filozoficzne elukubracye naszych Empirystów (ostatnie szczególniej), ten ma najdotykalniejszy dowód (napomykam ogólny sąd o Niemieckich filozofach od Kanta aż do Hegla *inclusive*:), jakto łatwo i niewiele kosztuje potępiać kogo *na niewidziane*. O ile odpowiada swemu przeznaczeniu *sławny sąd Przysięgłych* wzięty na swojém miejscu—tego niewiem, ale to pewna, że nasi *Jury* szczególniej w filozofii, źle, dziko i niesumiennie odgrywają swoje role. Podług mnie sąd ten wyrokujący o całości metody, kiedy zna zaledwie kilka jej danych, jest prosto *empiryzmem*. Przy takiém zapatrywaniu się cząstkowém jeden fakt prowadzi do tego zdania, a drugi do innego zupełnie przeciwnego pierwszemu, zwyczajnie przez fałszywość bo niepewność indukcyi, lub z innej podobnej przyczyny. Któż niepamięta, jak ten sam pisarz, który tu głównie nas zajmuje, niedawno jeszcze, w artykule (Ob. t. 2. *Mieszanin*) *o Postępie w Cywilizacyi* (bo i on pisuje o postępie, ale o postępie *à reculons*) gęsto powtarzał: że *uzupełnionej literatury niebędzie nigdy pokąd żywioł filozoficzny cokolwiek nie rozwinie się w narodzie* (str. 130)—że *wzbudzenie Literatury do filozofii należy* (str. 131.)?— na poparcie tego służył Dekart i wiek Ludwika XIV, Lock i jego okres, nawet *Savanarola* (??) i Medyceusze; potém wielka familia niemieckich myślicieli, która wydała tak świetny okres literatury nadobnej. Postawcież naprzeciw tych zdań poważnych to, co już w r. 1846

w Tygodniku Petersburskim mówi tenże sam jeniusz:— *Filozofia suszy serce narodu — filozofia zabija poezyę i narodowość — Literatura wtedy tylko kwitnie, kiedy filozofia nie jest rozpowszechnioną w narodzie* — hę??... Cóż tu ma począć biedna krytyka z takimi trawersami, kozłami?— Powiadają: « *chaque baron a sa fantaisie* »— a wszakci hrabia (nawet nie jeniusz) wyżej stoi od barona? większe więc jeszcze musi mieć przywileje do rządzenia się fantazyą. I czemuż doprawdy przypisać tę ciągłą sprzeczność z samym sobą? ten brak awożności sądu, jakby się wyraził Trentowski?— Oto niczemu więcej, tylko płytkości rozumu, czyli empiryzmowi.—

Pisałem w Nowosiółkach, w mojej izdebce zaopatrzonej we wszystkie specyfika od cholery d. 17 Października r. 1847.

Albert Gryf.

AFORYSTYCZNE BĄKI

Czytelnika różnych efemerydów, w liczbie ich i Tygodnika Petersburskiego.

1.

Mężczyzna, co w dzieciństwie i w pierwszej swej młodości, z charakterem skromnym i duszą idealną, spogląda na kobiety z wielkim szacunkiem i niejaką bojaźnią, wyobrażając je jako coś bardzo wyższego od siebie - mężczyzny, niezawodnie w wieku dojrzałym, poznawszy się bliżej z niemi, będzie niemi gardził albo bardzo je lekce-

ważył, wygrywając natomiast u nich dla siebie przychylność, bo o co niedbasz, tém więcej to lgnie do ciebie (1).

2.

Godny litości ten człowiek, co chce pokażać się wyższym niżeli jest przed ludźmi, bo to już dowód, że nieufa sobie, cnotom swoim. Człowiek, z jedną uczciwością nawet, niechby niepragnął więcej i nieoglądał się na ludzi, a byłby rad z siebie i z swego przeznaczenia (2).

3.

Jaka jest różnica między religią żyda faktora, odpowiadającego swemu panu obywatelowi: « *Może Pan Bóg będzie litościwy i dopuści znowu głód na tę i ową gubernię, to u nas żyto będzie po pięć rubelków* »— a religią tego Chrześcianina, co idąc na wojnę słucha mszy i wszystkich modłów odprawowanych na intencyę zguby nieprzyjaciela?— Zapewne, że żadna. Religia ich jest

---

(1) Szacunek, to uczucie *dodatnie* (+) a pogarda *ujemne* (—). Przyjąwszy za rzecz niezawodną, że przeznaczeniem jest ludzkiej natury dążyć od szacunku do pogardy, to ten aforyzm bardzo dogodnym okazałby się naszym Empirystom ku poparciu ich postępu *na odwrót*. Ja tego zdania nie podzielam i sądzę, że każdy, poeta w duszy, poczyta je za wyjątkowe. (*Wyd.*)

(2) Przy jednej uczciwości nietrudno być takim, jak sobie życzy szanowny nasz Bąkopis, ale kto ma np. mnogie przywileje na to i owo; komu ten i ów powiedział głośno, że jest jeniuszem; kto wreszcie i sam czuje w duszy, że się urodził, aby rozumem swoim zaćmiewać wszystkie gwiazdy, to jakżeby ten miał nic nieżądać od świata i ludzi?.. Aforyzm znowu nie obowiązujący.

(*Wyd.*)

jedna i tażsama, bo religia Natury, a bynajmniej nie Chrystusa ani Mojżesza (3).

4.

Coraz więcej przekonywam się, że u mnie złe oko. Do ogólnych pochwał pierwszych powieści *Sztyrmera* i jam moje dorzucił; aż tu masz, zjawił się *Katalептyk*, a potem *Światło i Cienie*!— Prawdziwie złe oko, ani weź nie dojrzy, gdzie tam światło, gdzie cienie? A może dla tego, że jeszcze nie koniec tej powieści (4)?

---

(3). Ja między religią pewnego X. Proboszcza, który, wnet po wymownem kazaniu *o wstrzemięźliwości* wyszedłszy z Kościoła, swobodnie oddaje się wszelkim uciechom zmysłowym; a religią tego filozofa, który, przez rozum i naukę przyszedłszy do pewnego znaczenia w społeczności, głośno apostołuje, że rozum i nauka niepotrzebne są człowiekowi, bo *do samych fałszów prowadzą*;— podobnież niewidzę żadnej różnicy. Obaj oni kłamstwem i niecnym egoizmem zarówno znieważają święte powołanie Nauczyciela. Powiedz jednak temu xiędzu, że on stokroć jest gorszy od heretyka i ateusza, albo temu filozofowi, że on niewart nazwiska Chrześcianina — oburzą się najmocniej i nawet klątwę na ciebie rzucą, jeden z ambony, drugi z Tygodnika. (*Wyd*)

(4) Jeden z naszych korrespondentów (osobisty przyjaciel p. Ludwika Sztyrmera) approbując całkiem zrobione przez nas zarzuty p. Przecławskiemu, jako Wydawcy Tygodnika, tak się wyraził w liście pod d. 19 Październ. — »Proszę wierzyć, że »w całej ...... znie niemasz jednej nawet istoty tak ograniczo»nej, którаby przyznała Wydawcy Tygodnika sumienność i szla»chetne, bezinteressowne poświęcenie się dla dobra publiczne»go rodaków. Wyrzekł on solenne *dobranoc* do Publiczności »od czasu, jak począł drukować ckliwe *Swiatło i Cienie*..... »Wydawca nasz, nieubliżając jego wysokiej godności, podobien »do pocztowego Wańki, który z miejsca rusza w galop, całą »stacyę jedzie drzemiąc, a na ostatniej dopiero werscie rwie »z kopyta, żeby dostać na wódkę.«

(Zgodno z oryginałem. *Wydawca.*)

Jednakże, wybaczajcie panowie literaci, odtąd nikogo z was niepochwalę.

5.

Ogólne-to i poniekąd sprawiedliwe zdanie, że na świecie niema równości. Hr. Rzewuski raz mówi (szukaj w Kalejd. fil.), że równości niema, drugi raz, że człowiek równy człowiekowi (*tandem* — i + = —). Są jednak ludzie dziwnego charakteru, który inaczej nazwać się nieda, jak lubiącym równość. Człowiek z takim charakterem unika kogokolwiek obrazić i uniżyć, lecz obrażony nikomu nieprzepuści i będzie nieprzyjacielem otwartym długo, póki ten, co go obraził, niepokaże chęci zbliżenia się z nim, niezacznie przepraszać i przez to pokazywać swą niższość, wówczas obrażony rozbraja się natychmiast i niepozwoli już siebie przepraszać, sam nawet uczuje się winnym i od siebie przepraszać będzie; — i takim sposobem można go stale dla się pozyskać szczerym przyjacielem, dopóki go znowu nie obrazisz, bo obraźliwy. Do zgody zawsze skłonny, a każda prośba robi go niewolnikiem proszącego. Takież postępowanie jego i z kobietami. Wszakże tacy ludzie są nieszczęśliwi, bo zwykle znaną bywa tylko pierwsza połowa ich charakteru i za nią nazywają ich dumnymi. Lecz kto poznał ich połowę drugą, będzie ich szczérze szacował, bo tego warci. Ale znowu i ci, co poznali ich miękkość serca, często nadużywają ich dobroci i przez to oszukują: — zawsze dla tego nieszczęśliwi w przyjaźni. Z historycznych ludzi u nas o gdyby takim niebył był Kołłątaj (5)!

---

(5) A ze współczesnych naszych pisarzy o gdyby takimi być mogli Autorowie różnych umysłowo - obyczajowych *Mieszanin*! (*Wyd.*)

6.

Są znowu ludzie, co posłuszeństwo pojmują tylko przez wyraz *słuszność*. Temu są posłuszni, komu według nich słuszna uległość. I gdy zwracają uwagę nie na urząd, ale na osobę ten urząd sprawującą, to pewno, jeśli ona niesłusznie urzęduje, niebędą jej posłuszni. Dla tego często źle wychodzą w interessach tego świata (6).

7.

Rzewuski powiada i zapewne niebezzasadnie (Kalejdoskop), że każdy lepszy pisarz ze swémi zdaniami jest odbiciem zdań powszechności, w której żyje, i że przeto on (rozumie się) jest organem (ile Bejła) Wołynia, Podola, ba nawet Polski. Niechby jednak położył kto na szali przychylność naszej Publiczności ku niemu i ku temu, czyim on mianuje się antagonistą,— zobaczylibyśmy, czyjaby strona przeważyła?

8.

Rzewuski z kompaniją twierdzi, że bez filozofii żyć można tak dobrze, jak z nią; a ja więcej powiem, że rozum nie tyle potrzebny, co żołądek. Bez żołądka

---

(6). Lecz ilużto jest ludzi, co pojmują *słuszność* według swego widzimi się! Znam człowieka, który uważa *za słuszne* wziąść 10 procentów na miesiąc od kogokolwiek, nawet od przedsiębiercy dzieła ogółowi użytecznego: — pytam się więc, czy ten człowiek zdolen jest uznać *słusznym*, sprawiedliwym, urzędnika, który lichwiarzy i zdzierców nielitościwie prześladuje? i czy szkoda, jaką ponieść może w interessach swoich z *nieposłuszeństwa* temu urzędnikowi, nie będzie *najsłuszniejszą* jego nagrodą?

(*Wyd.*)

dnia jednego nieprzeżyjesz, a bez rozumu żyć można choćby Matuzalowe lata, śmiejąc się ze wszystkich filozofów i miłośników filozofii (7).

9.

Kalejdoskop powiada (N 24 Tyg. Pet.), że «*pierwszy warunek lekarza, nie tyle nauka anatomiczna, patologiczna, kliniczna, ile pobożność.*» Prawda. I żałować zaiste wypada, jak rządy i zakładcy lekarskich oddziałów wiele stracili, że *Kalejdoskop filozoficzny* zaledwo w r. 1847 zjawił się! Zamiast Uniwersytetów i Akademij byłyby klasztory mnichów, i żyliby ludzie daleko dłużej, niżeli z tą głupią i jeszcze alopatyczną

---

(7) Nasz Aforysta wybornie poparł twierdzenie hr. Rzewuskiego, lecz gdy tu już wprowadzeniem żołądka do niezbyt zaszczytnej emulacyi z rozumem bardziej zaprzątnął umysł czytelnika, to niechże się niedziwi, że ku poparciu powyższego twierdzenia dodamy jeszcze słówko. — Filozofia a rozum, tojedno. Że bez rozumu żyć można, o tém, tutaj np. w Kijowie, przekonywamy się odwiedzając licznych lokatorów Kiryłłowskiego Monasteru: ależ nie w tém istota rzeczy, że żyć można! wszakże żyć można jeszcze i dobrze i źle i szczęśliwie i nieszczęśliwe? Taki, jak Rzewuski, pisarz nierzuca zdań swoich bez celu, bez intencyi zastosowania ich do praktycznego życia ogółu. — Owoż, musiał on głęboko wniknąć w przyrodę ludzkiej istoty, musiał drobnostkowo zważyć wszystkie zmysłowo-uczuciowe straty wynikające z *niegospodarskiego* pielęgnowania rozumu, musiał mówię na oko upatrzyć najwyższą siłę dodatnią w *żołądku*, kiedy tak zawzięcie począł ciskać twardszymi od żużlow i kamieni *faktami* na filozofów-zwolenników *rozumu*, który nie w żołądku ma miejsce! I zaiste, pod wrażeniem świeżego pobytu w Kiryłłowskim monastérze, gotowi jesteśmy przyznać, przyznajemy, że ma zupełną słuszność nasz hrabia: — bo któż *lepiej żyć* może od człowieka obranego z rozumu? kto *szczęśliwszy* od warjata!?

(*Wyd.*)

(bo homeopatya według Kalejdoskopu wielkie odkrycie!) medycyną. A że ona głupia, nie potrzeba więcej dowodów nad to, że wszyscy lekarze krócej żyją od mnichów (8).

10.

Chłopi (nawet zwierzęta: konie, wilcy, niedźwiedzie) Polesia, Litwy itd! o, czemuż wy nie będziecie czytać tych notatek, to jest, czemu niemożecie i nie umiecie czytać! doznalibyście takiej radości, jak więzień, gdy wyczyta swe imie w spisku oswobodzonych! Bo wam i nie śniło się nawet, żeście wy — Szlachta. a uszlachetnił, wylegitymował was — kołtun!! — Niema zła bez dobra. Wadzi się i prawuje o majątki szlachta, a plątanie się kołtunu dowodzi plątaniny interesów. A że wy chłopkowie jesteście wyłącznymi prawie posiadaczami kołtunu, więc powtarzam, że ani się wam śniło, abyście nosili na głowach waszych wywody swego szlachectwa! Ale pamiętajcież, ostrzegam was, kiedyście już szlachta i panowie, niebijcie chłopów położywszy na ziemi, choćby na to zasłużyli, bo prócz kołtuna, dostaniecie jeszcze i *hemorroidów*! — Bo tak napisano w *prawach Kalejdoskopu filozoficznego* (9).

---

(8) I ten aforyzm dobrze popiera powyższe twierdzenie. Lekarz (*homo doctus, doktor*), człowiek z samego nazwiska swego *ujemny* pod względem fizycznym, musi oczywiście ustąpić przód tym, co są przedstawicielami *siły dodatniej*. (*Wyd.*)

(9) I napisano jak widać z najczystszych pobudek miłości bliźniego. Nigdym niewidział kołtuna i żadnego o nim niemiałem wyobrażenia, aż dopiero z *Mieszanin* Jarosza Bejły dowiaduję się, że jestto coś nakształt dyplomatu, patentu starej bardzo daty, coś w guście rodowych przywilejów na pewne dekoracye, słowem, rzecz wcale dobra, do życzenia. Lecz

11.

Są przedmioty, jak religia, medycyna, ogólnie wszystkich dotyczące i wszyscy o nich rozprawiają po swojemu. Rozprawianie nieszkodliwe dla nich, gdy nie arbitralne. Lecz jeżeli pisarz, mający już niejaką powagę, np. *Sztyrmer*, zacznie sądzić z mystycznej strony o nauce opartej szczególnie na doświadczeniu, to już grzech z jego strony. Lekarza i medycynę stawią na równi z rozmową o pogodzie, póki zdrowi, a każdy w razie potrzeby ucieka się do medycyny, jak do rozmowy o pogodzie. Każdy sądzi także o lekarzu. A ja tylko powiem (i rozumie się nie nowość), że każdy stróż szpitalu długo usługujący chorym, nietylko że z pierwszego wejrzenia na chorego często lepiej przepowie od lekarza-teoretyka wyzdrowienie lub śmierć tego chorego, lecz i osądzi sprawiedliwie nowego lekarza-praktyka z jego examinowania chorych (10).

---

co się tycze *hemoroidów*, jakże nie być wdzięcznym panu Bejle za prezerwatywę, niejednokrotną zapewne praktyką przez niego samego sprawdzoną, kiedy osoby, które znam dotknięte tą słabością (a dotknięte, wiadomo już z jakich powodów) okrutnych cierpień doznają — cierpień (w pewnych zwłaszcza paroxyzmach) takich, że niemogąc usiedzieć na miejscu, mimowolnie pną się, wdzierają rękami i nogami na najwyższą górę umiejętności, aby tam jeżeli nie Niemca, to choć swego filozofa, zniemczałego szatana, uchwycić zębami! Uprawa więc Hygieny przez Autora *Mieszanin*, powiadam, na powszechną zasługuje wdzięczność, gdy zważymy, że *hemoroidy* (zwyczajna pańska słabość,) są źródłem wszystkich prawie uczonych bredni w literaturze.

(*Wyd.*)

(10) Stróża szpitalnego stawić (jeszcze i z *plu*Ɩem na czole) naprzeciw takiej znakomitości!?.. *horrendum*! to bąk szkaradny! (*Wyd.*)

12.

Na tej zasadzie: *krowa co wiele ryczy, mało mleka daje*; *gdzie wiele pisania, rozprawiania, tam rzeczy mało* — wnoszę serio, że hr. Rzewuski musi być dobrym obywatelem, prawdziwym ojcem dla swych poddanych; — bo, ile mi wiadomo, nic o nich niewydrukował, a może i nie pisał, i to nie dla tego zapewne, aby ich nieznał, lub nimi pogardzał (11).

13.

Bejły i Rzewuskiego pisma drukują się i czytają, bo traktują o przedmiotach zbliska nas obchodzących, chociaż nie w duchu naszym. Niechże Bejła i Rzewuski sprobują napisać co np. o chińskich paznokciach, o mleku wilczycy-mamki Romulusa i t. p., to pewno, gdyby się z tém udali do Glücksberga, Zawadzkiego i Przecławskiego, każdyby z nich spojrzawszy z ukosa powiedział, że ma wiele *drugiej antrepryzy* (12).

---

(11) Co się kocha szczerze, o tém najmniej się mówi, nawet na stronie, pod mocnymi warunkami cztérech ścian i nieograniczonej ufności. Dla kochanka przedmiot jego miłości jest rzeczą świętą, nietykalną; ideałem, który zaledwie mowa przeczystych duchów, aniołów określićby zdołała. Są-to zdania mojego przyjaciela G., który przez lat siedm wzdychając do połączenia się z terazniejszą swoją żoną, nigdy mi o niej ani o swoich ku niej uczuciach nienadmieniał; gdy tymczasem o rzeczach *zupełnie mu obcych*, np. o miłostkach jego kolegów i znajomych (nieprzyrównywając jakby hr. Rzewuski o dziełach niemieckich filozofów), rad był zawsze rozprawiać najobszerniej. Natura ludzka — studnia niezmiernie głęboka! To zadanie dla Psychologów. (*Wyd.*)

(12) Glücksberg i Zawadzki — może; ale za Przecławskiego ja ręczę, że nieodrzuciłby jakiego bądź rodzaju próbek Bejły i Rzewuskiego, choćby miał najwięcej *drugiej antre-*

14.

Rewolucye i wypadki w ogólném życiu ludzkości zawsze robią massy dla siebie i przez się; indywidua najwięcej tu czynne sąześrodkowaniem się mass. To stara prawda, ją przeto i hr. Rzewuski, lubownik starego, uznaje. Ale z tejto prawdy taki przychodzi mi wynik do głowy, że (trzeba wiedzieć, żem katolik, a jaki? to miłosierdziu Boga poddaję.) nieboraka mnicha Lutra zanadto katoliccy pisarze obwiniają, bo prawdę mówiąc, nie on obruszył się na nadużycia przedaży indulgencyj i jakieś tam inne grzechy, ale teto nadużycia i grzechy zniechęciły Chrześciańszwo Katolickie, osobliwie zawsze oszczędnych i skąpych Niemców, ku władzy kościelnej. Czego by Luter bez współczucia narodu dobił się, krom więzienia i stosu? Tak samo

---

pryzy. Wszakże *Kalejdoskop filozoficzny* połyskuje od stóp do głowy rodzimą chińską barwą, nawet w jednėm miejscu pobudza nas gwałtem, abyśmy się zdumiewali nad wysokim, niedoścignionym stopniem artyzmu Chińczyków (!?) — to i cóż? — zaledwie go dostał Przecławski, natychmiast począł, jakby najświeższym, najprzedniejszym puchem narodowej intelligencyi, wypychać nim kolumny swego Tygodnika. A niemożna powiedzieć, żeby mu brakło podówczas *drugiej antrepryzy*. bo miał już w ręku dwutomową powieść Pantofla: — dwutomową — to znaczy dla Tygodnika to samo, co *roczna prouizya* (prenumerata) dla Wydawcy. — Nie, są, muszą być jakieś affekta nadzwyczajne, sympatye rzec można nieśmiertelne, których niczem zobojętnić niepodobna. Rzewuski tak już jest pewnym służebnego ku sobie współczucia Przecławskiego, że gdyby dziś umyślił napisać coś w kilkudziesięciu tomach choćby i *o paznokciach chińskich*. to biedni abonenci Tygodnika musieliby przez całe swe życie posilać się owocem tej jego hrabiowskiej fantazyi — musieliby mówię, i żadna *druga antrepryza* nie byłaby Przecławskiemu na zawadzie.

(*Wyd.*)

krucyaty, jakby je Piotr wędrownik z Urbanem 2-gim począł i uskutecznił? Nie,— poczęła je i uskuteczniła taż sama Chrześciańska ówczesna Europa. Czemu dziś nieporwie się drugi Piotr na to?— Bo dzisiejsi Chrześcianie widzą, że to niepotrzebne. A żony xiężom nie już-to odebrał Grzegorz 7-my, a nie tenże sam lud Chrześciański?— Powiadam więc, że często mi żal biednego Augustyanina Lutra, że go dzisiejsi jeszcze ultrakatolicy tak przeklinają—och! i jak przeklinają! A ktoby mi chciał zadać kłamstwo, to niechże jakiś tam pono francuzisko Matter, pół francuz pół niemiec Guizo, czystej germańkiej rasy Ranke i wielu, wielu innych łgarzy rażem ze mną się wstydzą (13).

15.

Katejdoskop filozoficzny powiada (N. 65 Tyg. P.), że *w Rossyi towarzystwo więcej ukształcone nieróżni się ani tokiem ani wymawianiem w mowie swej od gminu.* Cóż na to każdy *nie-katejdoskop*, znający choć trochę Rossyę, powiedzieć innego może, prócz tych słów oburzenia:— jak można pozwolić jednemu, pełnemu pretensyj, skrybomanowi drwić ze swej publiczności nieznającej Rossyi zgoła!?.. Sam sobie niewierzyłem. Pytam światłych obywateli ruskich z Kaługi, z Tomska—wszyscy ruszają ramiony. Gdzież w Rossyi znaleźć prowincyę,

---

(13) Nowsze, a więc świeższego interessu pisma kazały nam odsunąć na stronę rozprawę Alberta Gryfa p. t. *Spór Scholastyki z filozofią bezpośrednią*. Smutny z tego względu obowiązek nasz redaktorski, bo właśnie z tej rozprawy mógłby się przekonać miły nasz Bąkopis, że uczucia jego, z powodu klątw gradem ciskanych na Koryfeusza religijnej reformy, są też same co i głównego naszego Kollaboratora.

(*Wyd.*)

w którejby gmin mówił językiem ukształconego towarzystwa? i jakie Rossya stanowi wyłączenie w tym względzie od innych krajów?.. Odsyłając każdego i *Kalejdoskop* do pierwszej powieści ruskiej, jaka przedeniną (»*Хозяйка*« Dostojewskiego) dla przekonania, że *Kalejdoskop* często bezsumiennie czmuci czytelników, chciałbym, aby każdy miał o autorze jego moje zdanie. Ja go wysoko cenię, jako *poetę*, romansopisarza, ale jego mędrkowanie (nie filozofowanie, bo on filozofii nielubi i ją tłumi) z małym wyjątkiem (jak np. starą ale dobrą prawdę, że *prawo zasadnicze narodu nie jeden człowiek ale cały naród dla się stwarza*) uważam za stek paradoxów i banialuków z dumną i wcale nie chrześciańską pompą rzucanych swym czytelnikom, którzy niby *nie w stanie go pojąć* (obacz list do M. Grab.).— Nie jesteśmy w stanie pojąć go!? a więc nie warto było pisać dla nas *Mieszanin*, *Kalejdoskopów* i t. d. prosta uwaga — tym sposobem niemiałby autor potrzeby pisać (N. 36 Tyg. Pet.) że *musi być* (on, autor,) *istotą cierpiącą*, *gniewliwą*, *często przesadną w swoich wyobrażeniach*, a my wolnibyśmy byli od patrzania na te jego chorowite rzucania się, niepewności i konwulsye umysłowe (jakito przedmiot do romansu dla autora *Duszy w Suchotach*!) i od rozbierania jego pseudo-filozoficznych bredni. Ale, prawda, takim sposobem autor niebyłby poetą, a każdy poeta jak wiadomo musi być istotą cierpiącą, męczennikiem! Otożto, dla czego ta ustawiczna przesada, te ciągłe kłamliwe exaltacye—bo inaczej autor ich niebyłby *poetą* (!?). Zostawićby więc tego autora z Komp. w pokoju, w zupełnej swobodzie — to moja rada — prędzejby się wypisali i prędzej odeszli tam, gdzie są istotnie potrzebni. W ruskiej literaturze *Маякъ* i *Москвитянинъ* z ich szermierzami należą

już prawie do czasów do-Piotrowych, chociaż w tych czasopisach więcej było miłości prawdy, niż w dzisiejszym *Tygodniku Petersburskim*. Starość nie radość. Takato kolej biednych ludzisków i biednych ich utworów na tym biednym świecie.

w Krasnojarsku r. 1847.
M. Ł.

OBECNY STAN LITERATURY POLSKIEJ.

(Wyjątek z listu do Wydawcy.)

Vivre, c'est espérer; celui, qui tue l'espérance, commet un assassinat.
M. Masson.

..... W każdym oświeceńszym narodzie literatura jest niejako literalném świadectwem jego moralno-umysłowej wartości, jego duchowego ukształcenia, bo w połączeniu indywidualnych ruchów, prac, śledzeń, doświadczeń we wszystkich gałęziach umysłowości przedstawia taki a nie inny żywotny stan zbiorowego usposobienia, takie a nie inne duchowe zasoby ogółu. Taka literatura prostym jest tylko objawem tego, co się już w narodzie wyrobiło i wraz z nim wzrosło; dla tego też, w bezpośrednim z cywilizacyą związku, wywiera ona ważny wpływ na ogół, dostatecznie usposobiony do zrozumienia i przyjęcia jej poważno-naukowego kierunku. Inaczej wszakże jest u nas, gdzie skutkiem stagnacyi umysłowej narodu cała naukowość wyssana

przez pojedyńczych pracowników musi się skupiać na łonie powszechnej oświaty i gdzie płody tej naukowości są już nie objawem duchowego ukształcenia narodu, a pewną tylko pocieszającą, aczkolwiek spóźnioną, wieszczbą ocknienia się uspionej jego intellektualności. Ztądto i wpływ, jaki literatura nasza wywiera na ogół, jest i być musi innej zupełnie natury — innej mówię, bo, nienosząc na sobie piętna wszechstronności naukowej i niezostając w bezpośrednim związku z Cywilizacyą, musi jednocześnie i wnosić umiejętności na łono ojczyste i myśl narodową poruszać, to jest, troszczyć się zarówno jak o rozprzestrzenienie oświaty, tak i o przygotowanie czytających do należytego jej przez początkowe ukształcenie się przyjęcia. Takie jest według mnie zadanie naszej literatury i z tego stanowiska zapatrując się na obecny jej kierunek, pozwalam sobie zrobić kilka uwag.

Przypuszczając, że w narodzie naszym, dla braku prostych dróg oświaty, Cywilizacya przy pośrednictwie tylko literatury rozwijać się może, powinienem przedewszystkiém wytłumaczyć się, co rozumiem przez Cywilizacyę, aby następnie przyjść do wiarogodnego oznaczenia: jakie z obecnie propagujących się w literaturze naszej myśli mogą być zgubnémi dla Cywilizacyi, i przeciwnie, jakiego się kierunku trzymając można skutecznie przykładać się do jej rozwoju. Przez Cywilizacyę rozumiem nieprzerwane dążenie ducha do absolutnej Wiedzy, czyli swobodne, ciągłe we wszystkich kwestyach żywotnych i przez wszystkie stopnie badań rozwijanie się narodowej umysłowości, a to zgodnie z zasadami ogólnie dziś przez zdolnych myślicieli, ludzi *postępu*, tchnących miłością bliźniego, przyjętémi i uświęconémi. Zobaczmyż, jak dalece dzisiejsi nasi pisarze posunęli swe na tej drodze starania. Oto mamy przed sobą zacne-

go ze wszech względów Józefa Kraszewskiego. On pierwszy, rzec można, niepospolitym swym talentem obudzá prowincye nasze uśpione po burzach politycznych z ciężkiego snu letargicznego; on jużto własną swą pracą w różnych oddziałach pismiennictwa, już zachęcającémi w imie ogólnej sprawy odezwami, wywołuje naprzód na pole pracowni literackiej godnych siebie naśladowców, a następnie — że nie powiem ruch i życie umysłowe (bo na to kto wie, jak długo jeszcze zaczekamy?) — ogólną prawie ochotę czytania. Takimi środkami prowadzi nas Kraszewski nieznacznie na drogę moralnego kształcenia się. Jakoż rzeczywiście, za zjawieniem się szczególniej rzadkiej wartości powieści jego; *Świat i Poeta*, dziwnie przypadającej do smaku wszystkim bez różnicy umysłom, ba nawet wiekom, każdy prawie, kto tylko czytać umie, począł łaknąć obcego dotąd sobie duchowego pokarmu i zasilać się nim, może nawet mimowiednie, chwytając skwapliwie, co tylko wychodzi z pod pióra Kraszewskiego. Wszystko, co odtąd w belletrycznej szczególnie części literatury zjawiać się poczęło, jeżeli nie jest jeszcze pewném znamieniem postępu, to przynajmniej dotyka zewsząd żyjącą naszą społeczność, charakteryzuje jej nizki stopień moralności, wykazuje nicość jej duchową i — nie koniec na tém — zagląda nawet w przyszłość, zkąd smutną z obecnego stanu rzeczy wyniosłszy wróżbę, naucza, że jedynym środkiem odwrócenia złych następstw może być udanie się po moralne, postępowym duchem czasu napiętnowane żywioły, i że, gdy przyczyną nie zazdrośnej naszej przeszłości było widoczne zaniedbanie umysłowej uprawy, to naturalna, iż przeciwnymi i tylko środkami można i stare zło poprawić i gotującego się w przyszłości uniknąć. Do tego pewnika dójść można było ró-

wnie torem samodzielnego poglądu na epoki powszechnej cywilizacyi, jak i przez zawarcie ścisłego przymierza z filozofią;— pierwszy musiał się koniecznie zrodzić, jako warunek *sine qva non* dzisiejszego życia literackiego; drugie zaś wywołane zostało samą skłonnością każdego myślącego do zgłębiania nauki w jej duchowym i utilitarnym względzie, a bardziej jeszcze zjawionémi w ojczystej mowie kilku genialnémi dziełami, które, jakby rumianą zorzę zwiastującą piękny dzień odrodzenia się w duchu, widocznie sam Bóg nam z nieba zesłał. Czerpiąc z tych dwóch źrzódeł moralne do prac swoich zasoby, musieli pisarze nasi uchwycić się kierunku zgodnego z zasadami ducha czasu, musieli skutkiem właśnie bliższego poznania filozofii wnieść do literatury ideę postępową, ideę różną zupełnie od kręcącej się dotąd myśli wywołania na scenę przeszłości z'jej biernymi elementami. Tym sposobem, dzięki Bogu, wpadnięto już i u nas na drogę zbawienną, chociaż (nie tajmy tego przed sobą:) niemało jeszcze zawad mamy do pokonania, bo nie tak łatwo oczyścić rozum powszechny z pleśni przeszłowiecznej, bo potrzeba czasu, aby wszystko stare wyczerpało się z sił swoich, przeżyło w swoich pojęciach. Wracając tedy do rzeczy, śmiem twierdzić z pewnością, że obecny kierunek w naszej literaturze może, a raczej mógłby najkorzystniej wpłynąć na moralne odrodzenie ogółu, gdyby wspomniona idea przez ogół pochwyconą, zrozumianą i w życie wprowadzoną była.

Zobaczmyż teraz, czy wszyscy u nas pisarze biorą udział w tej najżywotniejszej sprawie ogółu? czy wszyscy zarówno do celu podniesienia narodowej oświaty zmierzają?— a jeśli nie, to jakie mogą być odszczepieństwa ich przyczyny?

Jak w świecie Chrześcijańskim duchowieństwo Katolickie, dbałe o nietykalność przywilejów zapewniających mu materyalne nad światem panowanie, występowało i dotąd występuje przeciw wszystkiemu, coby chciałoby te jego swobody pewnym poddać ograniczeniom; tak i w naszym maleńkim literackim świecie jest pewne grono ludzi, co, ceniąc wysoko korzystne dla siebie wypadki dawnego porządku rzeczy, a w zrealizowaniu nowej idei szkody tylko swoje upatrując, popierają jak najgłośniej przesiękłe obskurantyzmem zasady, oburzają się na każdą myśl reformy socyalnej, wszelkich nawet z najświętszego źrzódła, z uczucia miłości bliźniego wynikających obowiązków wyrzekają się, zalecając natomiast ślepą w ślepotę wiarę i nieograniczoną uległość prywatnym ich opiniom. W tej wyłączającej wszelki postęp kascie rozwija się do największej bezczelności egoizm, poczytując zanic prace natchnione wyższą myślą, frymarcząc gwoli prywacie talentem, nauką, samą nawet religią. Nie tryumf prawdy, nie postęp w moralności, w duchowém ukształceniu współbraci swoich mają ci ludzie na celu — o, nie! dymem czczej pychy i wstrętem ku wszelkiej nowości oślepieni pracują oni tylko dla swego prywatnego dobra. W rzeczach dotyczących Wiary, zamiast czynnego dopomagania tym, co pragną przywrócić jej pierwotną powagę, tę bozką, niepokalaną świetność, w jakiej ją Chrystus zostawił, starają się oni utrzymać wszelkie ustawy czysto-materyalnym interessem hierarchii podyktowane, wszelkie przydatki, wszelki nierozum barbarzyńskich czasów, niepomni, że takie lekceważenie prywatnych nadużyć najgorsze zawsze rodziło następstwa, ba nawet ostatecznie nas, tym trybem z godności prawych Chrześcian wyzutych, zdemoralizowanych, o zgubę przyprawiło. Ktokolwiek z ser-

cem przejętém miłością ogólnego dobra występuje przeciw wznowieniu u nas tych średniowiecznych bredni, tego oni pospolicie wystawiają za człowieka najgorszych intencyj, za bezbożnika, heretyka, wtenczas, kiedy ten heretyk promieniami żywej prawdy najtępszy nawet umysł oświeca przekonywa; kiedy poświęciwszy chwilkę na zgłębienie prawdziwie apostolskiej jego nauki, większą nierównie odnosisz z niej korzyść moralną, niż z tych wszystkich elukubracyj, któremi ci zwolennicy ciemnoty męczą po roku całym Publiczność, ogłaszając je żółwim chodem w czasopismie wyłącznie koteryjnej ich sprawie poświęconém. W nauce chcą ci panowie widzieć samą formę bez duszy, bez treści, wystawiają za wzór najwyższej mądrości scholastycyzm, metodę szkolnego o rzeczach traktowania; wszystko zaś, co ma na celu rozwinięcie myśli człowieka, jako wprost przeciwne koteryjnym ich pretensyom, bywa przez nich wyszydzone i w najohydniejszym wystawione kształcie. Całe ich apostolstwo, cały rozum autorski zależy na ciągłém odwoływaniu się do kochanej, szanownej, nieocenionej poczciwości staropolskiej, opartej na prostodusznej głupocie, ślepej we wszystko bez różnicy wierze i niezgodnej ze zdrowym rozsądkiem bezwarunkowej pokorze. I jakżeby w rzeczy samej dopuścić inne zasady — zasady takie, co rehabilitując duch wiary czczémi stłumiony formami, ogałacając z sowiej powagi systemata żakowskiej mądrości, zasady mówię, co wznosząc się do organicznych pojęć człowieczeństwa burzą cały niedorzeczny porządek przeszłości? Ważne-to zaiste powody do uporczywej walki z ludźmi *nowymi*!.. Podobnież i na niwie nowych idei socyalnych mądra nasza koterya okropnych dopuszcza się excessów. Wiadomo już dziś każdemu mniej więcej oświeconemu, mogliśmy się nawet przeko-

nać ze świeżo u nas samych zaszłych zdarzeń, jak dalece posunęła się myśląca ludzkość w pojmowaniu stosunków społecznych; przyszedł czas, że dokładnie pojęto, czego chciał od nas Chrystus zalecając abyśmy się wzajemną bratnią pokochali miłością; zrozumiano wreszcie, że nie przywileje rodu, nie tytuły, nie włości ogromne stanowią prawdziwą wartość człowieka, ale moralne jego przymioty, stopień duchowego jego ukształcenia; zrozumiano, że różnica upatrywana pomiędzy ludźmi z bogactw, zaszczytów i sławy ich przodków czczą tylko jest chymerą, niedorzecznością; zrozumiano, że stare formuły segregowania ludzi podług rodzaju ich obowiązków i stopni socyalnych, formuły, co nie zasłudze, nie czynom dla pożytku narodu i ludzkości dokonanym, ale osobom wysoko urodzeniem swojém postawionym w społeczeństwie cześć publiczną oddawać kazały, są zabytkiem oświaty nie chrześciańskiej. Wszystko to, powiadam, zrozumiano już dzisiaj i w części nawet do skutku przyprowadzono tam, gdzie własną godność przez samodzielne kształcenie się i uczenie filozofii poczuto. Możnaby tedy było dopuścić przyjęcie się tych zasad i na naszym gruncie;— ale czyż się przykłada do tego samolubne, wszelkiemu dobru narodowemu nieprzyjazne, znanych nam literatów towarzystwo? O! na tejto szczególnie drodze pracuje ono z rzadkiém poświęceniem się i żarliwością; to właśnie pole dla niego do popisów autorskich; tutajto, na tym punkcie żywotnych kwestyj niegodziwość jego dochodzi swego zenitu! Znaną była każdemu choć trochę z teraźniejszą naszą literaturą oznajomionemu, znaną iest i, dzięki świetnej oppozycyi pod stérem Pana zostającej, lepiej jeszcze znaną będzie ta nizka dążność sprzysiężonej koteryi; możemy więc wnosić, że uzurpacyjna jej władza jest już u swego kresu, bo

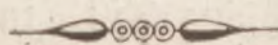
Publiczność czytająca tumanić siebie dłużej niepozwoli

Owoż dwie sprzeczne idee propagujące się w naszej literaturze. Że w jednej z nich pod świętym pozorem religii przeważa gruby materyalizm, a druga opiera się całkiem na czysto-duchowej wartości człowieka — jest-to więc pewne odbicie się na małej skali i w szczupłym obszarze téj politycznej scyssyi, jaka od wielu już wieków zachodzi między dwiema różnemi w swoich zasadach partyami, to jest, duchowieństwem dążącém zawsze do rozszerzenia materyalnego swego panowania i przyjaciołmi ludzkości dobijającymi się na świecie prawdy. Wiele już ztąd zaszło zmian w socyalnym bycie narodów, wiele drogich ofiar, wiele strat poniesiono. Spodziewać się można, że bliższe poznanie samych siebie, ogólniejsze pojęcie żywotnych prawd ducha rozwiąże już niezadługo tę walkę na stronę tych, których prace i czyny (*ujemne* we względzie indywidualnym) bardziej powszechnemu dobru ludzkości odpowiadają. Pomyślne skutki tego rozwiązania odbiją się w życiu wszystkich oświeceńszych narodów; a gdy z kolei wolno będzie i polskiemu szczepowi zająć wyższe w oświacie stanowisko, wówczas same już fakta usprawiedliwiać będą niniejszą dążność przyjacioł prawdy i ludzkości, i wówczas też wykaże się cała neutralność indywiduów stawiących dzisiaj opór postępowi.

Co się tycze reakcyi zwolenników jezuityzmu przeciw występującej dziś u nas śmiało i zbrojnie Prawdzie — reakcyi dokonywanej głucho, pokątnie, w formie literackiej korrespondencyi; do tej najwłaściwiej zastosować się dadzą słowa zacnego naszego filozofa wiernie wskazujące, czego w końcu od tej tak groźnie imponującej koteryi spodziewać się można. »*Rozum*, powiada autor

»*Myśli-ni, można pokonać li potężniejszym rozumem,*
»*krytykę głębszą od niej krytyką; bo skoro rozum po-*
»*strzeże, że jest nierozumem, zamknie usta i ukorzy*
się potulnie.«

w Odessie d. 24 Grudnia r. 1847.
August S.



O JEZUITACH.

(Rys ściśle historyczny Zakonu *Societatis Jesu*, przedsięwzięty w celu zreflektowania zagorzałych jego Apologistów, osobliwie pana Michała Grabowskiego.)

Le langage des actions est tout autrement fort et persuasif, que celui des paroles.

I.

Z dziejów powszechnej umysłowości wiadomo, że skoro tylko poruszy się jaka żywotna, interessująca ogół kwesstya, zaraz ona musi się rozpaść na dwie wprost sobie przeciwne strony, bo to jest jedyny sposób treściwego jej wyjaśnienia, które przychodzi w końcu, jako stanowczy rezultat dyalektycznego processu myśli. Tak się ma rzecz z filozofią, równie w pierwszym jej względzie, gdy jest tylko czysto-logicznym ruchem idei, jak i w drugim, gdy śledzimy tego ruchu w dziejowym postępie ludzkości. Logika, uważana w sobie i uważana jako process umysłowego życia, zawsze przedstawia

jedne prawa, wypływające z jedności bytu i myśli. Ten sposób rozwijania się idei do tyla jest konieczny, że zawsze, ilekroćbyśmy poruszali jedną i tężsamą kwestyę, zawsze dwie różne strony stanąć muszą do rozprawy z sobą, z czego następnie otrzymuje się jedność dodatniego zdania. Jeden wiek zdaje się zadecydował już ostatecznie, przyszedł przez wszystkie stopnie logiki do pewnika, tymczasem w drugim wieku bierze się ten pewnik nanowo pod rozbiór i nanowo odkrywają się zdania *pro* i *contra*, nanowo powstają obrony i napady, sympatye i nienawiście, jak gdyby rzecz ta po raz pierwszy rozstrzygnational być miała. Doskonałym przykładem faktyczności tej metody jest właśnie z takim rozgłosem w tych latach rozstrzygająca się we Francyi kwestya o Jezuitach. W zeszłym jeszcze wieku powiedział Wolter: »*On a tant parlé des Jesuites, qu'après avoir occupé l'Europe pendant deux cents ans ils finissent par l'ennuyer, soit qu'ils écrivent eux-mêmes, soit qu'on écrive pour ou contre cette singulière société*.« A wszakże i dzisiaj, czytając to, co piszą o Jezuitach we Francyi, słuchając, co u nas o nich tam i sam przebąkują, przychodzi mimowolnie powtórzyć to stare zdanie starego filozofa. Nieraz zapytywałem siebie, zkąd mogła się zrodzić u nas sympatya dla sprawy oddawna już potępionej? dla towarzystwa, z którém nic a nic nas nie wiąże? — i zamiast odpowiedzi nasuwała mi się tylko uwaga, że muszą być głowy umyślnie do paradoxów uorganizowane, tak jak są adwokaci wyłącznie ukształceni do promowania potępionej sprawy. Takie duchy uczuwają pewien rodzaj wielkości, gdy występują przeciw ustalonym opiniom; wznoszą się bujną wyobraźnią do potęgi Napoleona, idącego w zapasy ze skoallizowaną Europą; do sławy Lekarza, usiłującego wydrzeć ze szponów śmierci

ofiarę wskazaną już przez innych lekarzy. Jestto właściwy charakter monomana, który z całego obszaru świata chwyta tylko jeden punkcik i nim zaprząta wszystkie swe władze, nim się pieści dniem i nocą, z nim zasypia i ocyka się i niczém go ani zjeść ani zapić niemoże. Monomania tego rodzaju bywa najśmieszniejsza, kiedy człowiek nią opętany musi ponosić katusze w realném życiu z powodu ukochanej swojej idei, właśnie, jak ów *Skeptyk* Moliera, którego boleśnie okładają kijami. Słyszałem naprzykład, że jeden pan o mało niedostanie żółtaczki z passyi, gdy ktoś ośmieli się odezwać przeciwko Jezuitom, których zgromadzenia odległe od nas o mil kilkaset; a tymczasem poczciwi Franciszkanie osiadli we własném jego miasteczku dostają wodnej puchliny od ciągłego picia wody, bo im odmawiają kilku beczek piwa należnych corocznie od Kollatora; w zimie marzną w refektarzu, bo niemogą dostać opału u swego Dobrodzieja, a brat kwestarz niema czém się wywlec za wrota, bo biedne szkapy pozdychały bez siana, w pustej stajence. Nie śmieszna-żto monomania, pytam? Ale ona uszczęśliwia człowieka, daje mu jakiś przedmiot stałego zajęcia, affektu, wyzwala z przykrego stanu umysłowej czczości, słowem, robi go poniekąd podobnym do *Antykwaryusza* Walter-Scotta marzącego o planie okopów mniemanego rzymskiego obozu. — Szkoda, że który z naszych Walter-Scott'ów nieporysuje podobnych oryginałów; to właśnie zadanie dla malarzy odrębnych, wybitnych charakterów, a wzory znalazłyby się niedaleko. Ale Jezuici? Cóż w rzeczy samej głównie animować może zwolenników tego towarzystwa? Oto niezawodnie religia źle pojęta, określona jakiémś czarnoxięzkiém kółkiem bez wyjścia, w którém wszelkie nawet zło moralne i fałsz chwalić potrzeba, by niena-

ruszyć jakiejś tam powagi za obowiązującą, za świętą uznanej. Niechże mi kto odpowie, czy godzi się poczytać za prawdziwie Chrześciańską tę religię, z powodu której tak wielką ma dzisiaj u nas wagę sprawa Jezuitów — Jezuitów, o których Biskup Paryzki na zgromadzeniu Trydentskiego Soboru powiedział, że ciągłém ich usiłowaniem było czystą oblubienicę Chrystusa zamienić w nierządnicę uległą woli jednego człowieka!!? Jedna jest tylko powaga w Chrystyanizmie, a tą powagą jest kierunek ducha samej nauki Zbawiciela; pojmuje się ona sumieniem i umysłem, bo to powaga czystego, bozkiego ducha; co z niej wypływa, to święte, co jej przeciwne, to zło i fałsz. To jest moje wyznanie, które wierzę najgłębiej, stanie się z czasem wyznaniem całej ludzkości, w pośród której żyć będzie sam Chrystus; z tém wyznaniem błogi swój byt rozpocznie przepowiadany powszechny Kościoł, dla podtrzymania którego pewno nie Jezuitów potrzeba będzie!

Niedawno pisząc o dziełach Eug. Sue dotknąłem kwestyi o Jezuitach; artykuł ten zwrócił na się uwagę p. M. Grab., czyli raczej obudził animadwersyę prawych dziatek towarzystwa jezusowego i wywołał długą epistołę wspomnionej osoby wymierzoną do hr. Henryka, to jest, do brata według ducha. Że powaga tego brata, jako *starszego zakonu*, wzbróniła dla niewiadomych nam przyczyn ogłoszenia drukiem tej missywy, więc miałem ją tylko w rękopismie. Otoż wyznaję otwarcie, że czytając ten list, zdawało mi się, żem o jakich 200 latek cofnął się nazad, a przynajmniej, że siedzę jeszcze na szkolnej ławie. Chcecież wiedzieć, co to jest? — jestto obrona zakonu — ale jaka? cztery arkuszy samych prawie cytat zawierających pochwały OO. Jezuitów, a pochwały poczerpnięte z dzieł ludzi *bardzo słu-*

sznych i *bardzo światłych*! Na takimto fundamencie kazano milczeć osobistemu przekonaniu. Zgodzi się na to każdy, że nic stosowniejszego nad podobny charakter obrony tego instytutu, którego duchem było wyrzeczenie się siebie, swego przekonania, swojej woli, a oddanie się bezwarunkowe powadze głowy, której jednej tylko myślić, rozumować i sądzić wolno było. Mimo to wszakże przyznaję się, żem osłupiał z podziwienia przeczytawszy tę wiązkę cytatek, bo nigdy niewyobrażałem, aby pisarz, któremu tyle już patentów na *znakomitego Estetyka* wydano, mógł zniżyć się do martwej, jałowej, nic niedowodzącej kompilacyi. Cytaty powagi w XIX wieku!? Cytaty dowolne, narzucające cudze zdanie!? Ty-li to pisałeś człowiecze z talentem? ty-li doprawdy panie Grabowski??.. Sam więc patrzaj, jak daleco obłąkała ciebie twoja doktryna! patrz, do czego to ona; do jakich śmieszności doprowadzić jest w stanie!.. List ten przywiódł mi na pamięć polemiki scholastyczne, dysputy uczonych teologów, kiedyto jeden dla poparcia swojej thezy przytaczał zdania kilku Ojców i kilkunastu Doktorów, drugi dla jej zbicia cytował znowu innych Ojców i innych Doktorów, a tymczasem kłótnia wrzała, rosła, wzmagała się, aż wreszcie po za obrębem szkoły rozstrzyganą była ręcznymi zapasami, w których potężny udział brali uczniowie tych znakomitych professorów. Uchodziło to jeszcze wszystko i nawet stosowne było w czasy ciemnoty, fanatyzmu, ale dzisiaj podobne szermierstwa mogąż jakkolwiek przystać do ducha cywylizacyi? do wolności myśli? do tolerancyi przekonania? Otoż powiedziałem nie do rzeczy — przepraszam, przepraszam, zapomniałem, że traktuję o Jezuitach, dla których tolerancya, myśl i przekonanie największą w świecie herezyą były. Wszakże nie idzie tu o zagaje-

nie czytelnika dyssertacyą o tym przedmiocie taką tylko, do jakiej każdy, po smacznym zwłaszcza objedzie, mniej więcej usposobiony bywa, idzie nam rzeczywiście o to, jakimi odbili się Jezuici w dziejach, każde bowiem towarzystwo czyto Templaryuszów, czy Krzyżaków, czy Hernhutów, czy Jezuitów musi wyrazić w historyi właściwą swą, odrębną fizyonomię, którą ożywia sam duch utrzymujący organiczną jego budowę. Tę fizyonomię schwytują instynktowie narody od chwili, jak się ona faktycznie odcechuje w czasie, i już odtąd pozostaje na zawsze taką a nie inną w przekonaniu ludzkości (1). Jezuita był i jest zawsze ten sam; już

---

(1) Komuż najwłaściwiej pojąć tę historyczną fizyonomię towarzystwa, jeżeli nie romansopisarzowi chcącemu iść po śladach Walter-Scotta? któż zdoła najlepiej przejąć się tym typem istniejącym w wyobraźni ludów, jeżeli nie poeta, czujący w sobie powołanie do odtwarzania pewnych epok narodowości w charakterach indywiduów? Ale pan Grabowski nie pojął charakteru *Rodin'a*. Nie dziwi nas to bynajmniej, bo go mało kto pojął, zwłaszcza z tych ludzi, coto krytykę biorą za lekką gawędkę *à propos des bottes*, taką właśnie, jaka zwykle się toczy przy wieczornej herbacie po przeczytaniu jakiegoś dzieła. Wszakże pomiędzy zdaniem krytyka a taką gawędką przyjacielską wielka jest różnica. Wolno prostemu czytelnikowi niezauważyć w dańém dziele nic więcej, jak to, że Autor jego musi to być *człowiek dawnej staropolskiej pobożności*; ale cóżto ma obchodzić człowieka, u którego przedewszystkiém stoją na względzie kwestye estetyczne, idee ogólne, nieodnoszące się bynajmniej do indywidualności autora? Cóżby powiedział taki krytyk przy rozbiorze dzieł charakteru całkiem *objektywnego* (Goëthe), gdzie poeta wciela ideę niezależnie od własnego psychicznego usposobienia? gdzie Autor i jego dzieło są to dwa całkiem różne przedmioty? O, zaiste krytyka niemoże być czczą gadaniną *de omnibus rebus*. Krytyk powinien nam odsłonić ideę Autora i czarnoxięzki akt wcielenia jej w słowo, powinien objaśnić znaczenie każdej części dzieła, o ile ona

w XVI w., jak świadczy sam p. Grab., jeden z nich powiedział: »*Chcianoby przekonać wszystkich, że nawet Absalona namówił jakiś Jezuita na spowiedzi, aby zabił swego Ojca.*« To było w wieku XVI; jakież czyniono im zarzuty w XVII, XVIII i w teraźniejszym XIX wieku? Zkądże ta ku nim nienawiść, którą oddychają ludy?— nienawiść, co się w końcu rozwiązała dwukrotném ich wygnaniem z Francyi (nielicząc rozwiązania ich zakonu przez rewolucyę lipcową:), także wygnaniem z Portugalii, Hiszpanii, Wenecyi, Parmy, Modeny, obojga Sycylij, Niemiec i Rossyi (1)? Zkąd to, pytam? Nie objaśniajmy tych faktów jakąś osobistą nienawiścią jednego człowieka, jak to czyni p. Grab. mówiąc o *Pombalu*; nie! w dziejach jednostka i jej osobista dążność niemają znaczenia; wtedy tylko jednostka jest wyrazem ogólnego ducha, jest osobą historyczną, kiedy działa stanowczo w ważnej jakiej opinii. *Pombal*, *Aranda*, *Campomanes*, *Choiseul*, Margrabina de *Pompadour* są to tylko organa wolności myśli przeciwko jezuickiej tyranii, przedstawiciele szlachetniejszego kierunku może tylko instynktowie działający. Ale ubocznych, drobnostkowych *powodów* nienależy brać za *przyczynę* faktu; przyczyna była w samym duchu dziejowego rozwoju:— byłoto zwycięztwo postępu nad oppressyą, zwy-

---

wiąże się lub nie wiąże z główną ideą; jeżeli zaś gadać tylko będzie i nic niewygada, prócz pustej przyjacielsko-serdecznej pochwały, to tego oczywiście nikt nieweźmie za krytykę estetyczną. Niewyrobiwszy sobie pewnych teorematów naukowych, będziemy wiecznie empirystami w krytyce, to jest, sądzić i dyskutować o każdym utworze za poszeptem tylko przyjaźni lub nienawiści, a bynajmniej nie według zasad Estetyki.

(Autor.)

(1) Ogółem wygnani byli z różnych miejsc 36 razy.

(*Autor.*)

ciężtwo, co zrównało z ziemią warowne reduty nieprzyjacioł ludzkości i ich samych wyniosło w powietrze! Długo biedziła się, szemrała uciśniona myśl Cywilizacyi, aż nareszcie uzyskała dla siebie przestwór złamawszy stawiane jej zewsząd zawady. Są ludzie, co upadek Napoleona pod Waterloo przypisują niestrawności, jaka w tym dniu stanowczym owładła organizmem bohatéra i przygniotła wojowniczy jego jeniusz.— Oryginalna-to zaiste myśl wyprowadzać oswobodzenie Europy prosto z żołądka Cesarza Francuzów! Sława historykom głębokiego poglądu, co sięgają aż do wnętrzności wojowników, by z nich wyczytać losy narodów! My wszakże myślimy, że losami ludzkości opiekuje się Opatrzność, że każda faza jej dziejów wypływa logicznie z pewnej rozumnej zasady, że wreszcie jeżeli jednostki działają, to działanie ich jest prostym skutkiem wpływu ogólno-ludzkiego ducha. Gdzie idzie o przeciwdziałanie prawdzie, tam jeszcze może figurować *swawola* (potrzebna zresztą do określenia odwrotnej strony myśli cywilizacyi:); ale gdzie postęp objawia się stanowczo, tam już wypełnia się *prawo*. Upadek Jezuitów, równie jak i upadek Napoleona, był konieczny, ich missya spełniła się; duch *egoizmu* i *swawoli* musiał ustąpić miejsce wolności ludów i myśli. Jezuici upadli przed końcem XVIII w. pomimo najżarliwszych obron *bardzo słusznych* i *bardzo światłych* ludzi; Napoleon upadł na polach Waterloo i Belle-Alliance nawet przy najlepszym stanie swego żołądka. Choćbyśmy się zgodzili, że Jezuici potrzebni byli w swoim czasie, to rządząc się sumieniem przyznać musimy, że byli potrzebni tak, jak trucizna w aptekach, jak kat w państwie:— są to środki konieczne, wszakże bardzo naturalnie każdy się nimi brzydzi, oprócz hr. de Maistre'a i jego zwolenni-

ków. Jezuici mają swoje znaczenie w dziejach, ale ileż-to mamy przed oczyma oburzających faktów, jako koniecznych następstw ducha Zakonu; ile z tego ducha moralnych szkarad bez żadnej potrzeby wynikło! Jeszcze raz powtarzam, jeżeli potrzebni byli Jezuici, to tak właśnie, jakjest potrzebne zło dla określenia dobra, zbrodnia dla określenia cnoty, swawola dla określenia moralnego prawa, nietolerancya dla określenia wolnego myślenia, zły duch dla określenia B o g a. Nie przeto jednak zło staje się pewnym warunkiem życia, nie przeto cackać się niém i wysławiać go należy, nie przeto mówię żądać mamy dzisiaj tego, co zbyt długo już trwało i więcej powtarzać się niepowinno. Jezuici!!?— o! nigdzie zapewne nieznajdziesz większej *ironii*, jak w samém nazwisku tego towarzystwa — towarzystwa ciemnoty zawiązanego pod hasłem światła!! I pan Gr. powtarzając panegiryki Pawła i Gawła — ludzi, jak się wyraża, *bardzo słusznych i światłych*, chciałby nimi zagłuszyć głos dziejów ludzkości?— daremnie! tego głosu żadna orkiestra amatorska, żaden baryton jezuicki przytłumić nie zdoła! Sprawa Jezuitów osądzona i potępiona przez trybunał, wyższy daleko od parlamentu Paryzkiego, przez trybunał sumienia, czyli prawa bożego, które żyje w samopoznaniu ludzkiego ducha! Ten trybunał nigdy się jeszcze niedopuścił, niemoże dopuścić się pomyłki, nie!— bo uważcie panowie: pan Grabowski twierdzi, że zła opinia o Jezuitach z *prostej tylko wynikła pomyłki* (!??)— z pomyłki, w którą przez okropny jakiś fatalizm ludy Europy wciąż przez całe trzy stolecia wpadały!!.. I otoż cudowném zrządzeniem zjawiło się u nas kilku *bardzo słusznych i bardzo światłych* ludzi, co wykryli wreszcie tę pomyłkę, wyjaśnili rzecz jak należy i omyli splugawione oblicza hyzopem *dodatniej* swojej krytyki!

Pan Grabowski posługując się autorytetem do sprawy Jezuitów, niewiedział, że tym sposobem sam ją na szwank naraża; jeżeli bowiem autorytet mówiący za Jezuitami ma pewną wagę, to oczywiście musi być ważnym i autorytet mówiący przeciw Jezuitom: niechże szanowny patron synów Lojoli zada sobie pracę policzyć głosy *pro* i *contra*, a wtedy sam się przekona, która partya mocniejsza.

II.

Chrystyanizm wnosząc nową ideę w ducha ludzkości rozpalił w jego łonie nowe życie, to jest, obudził siłę samodzielnego rozwoju, który wyraża się w postępie cywilizacyi, jako drodze moralnego kształcenia się, mającej za punkt wychodu Chrystusa, a za cel ostateczny zupełne z Nim połączenie się w duchu Ewangelicznym. Takie jest zadanie, taka treść nowych dziejów człowieczeństwa. Nauka dana była w Ewangelii, ale nie narzucona przemocą; ludzkość ją przyjęła, lecz ileż jeszcze wieków przejdzie, nim istota jej życia, duch jej stanowić będzie zupełną jedność z duchem Ewangelii! Duch ludzki powoli, stopniowo, w miarę kształcenia się swego, rozważa, przyjmuje i wciela w siebie każdy rys Chrystyanizmu, z tego względu historya cywilizacyi właściwie zwać się może historyą wcielenia idei Chrystyanizmu w istność ludzką. Mogą być przykłady Chrześciańskich jednostek, ale któż bez zarozumienia powie, że obyczaje i instytucye nasze były albo są czysto-chrześciańskie? »*Na to jest żywot wieczny aby poznali Boga i którego posłał Jezusa Chry-*

stusa. « Akt Chrystyanizmu dokonany w Ewangelii, jeszcze się niedokonał w życiu ludzkości. Życie historyczne ludów jest ciągłém dążeniem do wcielenia Ewangelii, słowa Bożego, w duchowy byt człowieczeństwa, do zrealizowania wiary w żywy Kościoł Chrystusowy. Oto jest wielki a święty cel dziejowego życia, co niebieskiém swém światłem rozpromienia przyszłość! Oto prawdziwa *idea postępu*!

Pierwsze wieki Chrystyanizmu w oczekiwaniu powtórnego przyjścia Zbawiciela chciały były zrealizować duch ewangeliczny, ale niewielka liczba wyznawców, przyjąwszy naukę Mistrza do swego serca, czciła ją tylko w tej świątyni ducha, niepomnąc na to, że *słowo* powinno było stać się *życiem*, *życiem w sobie i dla siebie*; kierunek więc pierwszego ujęcia Chrystyanizmu, kierunek zaświatowy, cenobityczny zaprzeczał prawdziwemu życiu słowa bożego. Wszakże pomimo tego zaprzeczenia pierwiastek Chrześciański wszedł do dziejów i rozpoczął robotę cywilizacyi, robotę, której najwyraźniejsze ślady nosi na sobie każdy okres powszechnej historyi. Małe kółko Chrystyanizmu wszedłszy w żywy kontrast z barbarzyństwem wszczęło potężną walkę z jego duchem i tym sposobem coraz większy zdobywało dla siebie przestwór, coraz bardziej rozkrzewiało w nauce nowego ducha, wyrabiając pierwiastki mające poprowadzić z czasem ludzkość do czynnych rezultatów umysłowości, do życia samodzielnego. Bo jako jednostka nie pierwej poczyna działać aż wyrobi w sobie pewne o rzeczy pojęcie, przekonanie, tak i duch ogólno-ludzki, czyli powszechno-dziejowy pierwej musi własném swém przeświadczeniem ogarnąć daną ideę, nim przystąpi do zrealizowania jej w czynie. Przypatrzmy się tylko wszelkim prawdziwym owocom

Cywilizacyi, tym genialnym myślom, co stanowią epoki w dziejach, tych momentach pełnych znaczenia w filozofii, prawie, socyalistyce i filantropii; przypatrzmy się mówię temu wszystkiemu, co godne ze wszech miar naszej uwagi i zapytajmy siebie, jakito duch utrzymuje w ciągłym ruchu massę ludzkości i jej stosunków?— Oto, po najgłębszém zastanowieniu się musimy przyjść do wniosku, że ten duch jest duchem ewangelicznym, że cała treść dziejów była już w nauce Chrystusa i dzisiaj z niej jak z ziarna swego rośnie, a rośnie na coraz większej przestrzeni, napełniając pierś ludzkości coraz gorętszą miłością tego życiodawczego ducha. Otoż widoczne jest życie Chrystyanizmu, życie nie w duchu jednostki, ale ludzkości całéj, *życie postępu*! Życie to, jako organiczna siła, rozwija się z własnych principiów i nic mu sprzeciwić się, nic granic położyć nie może; tém życiem dopiero określa się Chrystyanizm, w niém on dopiero przychodząc do przeświadczenia o sobie staje się czynem, dopiero mówię na drodze postępu Chrystyanizm żyje nie już tylko, jak przedtem, *w sobie* ale i *dla siebie*. Taka jest a nie inna historya świadomości Chrystyanizmu. Takim jest Chrystyanizm pojęty, jako idea żywotna, treściwa, wieczna, jako życie ludzkie dążące do osiągnienia wyższych celów, jako postęp do moralności Chrześciańskiej według słów Ewangelii: »*bądźcież wy tedy doskonałymi, jako Ojciec wasz niebieski doskonałym jest*!« — I główną tu jest rzeczą, że pojętym został postęp Chrześciański, co się widzialnie i wciąż dokonywa w dziejach ludzkiego ducha, jako niezbędny rezultat wszczepionej weń bozkiej idei Chrystyanizmu. Naprzeciw temu pojęciu występuje pojęcie Chrystyanizmu, jako nauki określonej, spełniającej się niejako zewnątrz życia ludzkości, albo w pe-

wnym tylko malutkim jego okresie, pojęcie, wyłączające wszelki postęp, wszelkie moralne udoskonalenie się w przyszłości. Tu już mamy w widoku, z jednej strony tę niepełną, zawarowaną naukę, a z drugiej jednostki same, którym ten ogromny, niezmierzony plan powszechno-dziejowego urzeczywistniania się idei Chrystyanizmu w postępowym rozwoju czczą wydaje się abstrakcyą. Ba! Samo to rozwijanie się ewangelicznej idei w życiu ludzkości, samo mówię określanie żywym czynem albo moralném prawem tego, co wprzódy było słowem tylko i symbolem, poczytywane tutaj bywa za herezyę. Chrystyanizm uważany jest tutaj, jako wieczny symbol, mogący mieć wpływ swój tylko na indywidua i działać już przez nie *indirecte* na dzieje. Oczywiście, taki pogląd jest skrępowaniem nauki Chrystusa, jest zaprzeczeniem jej życia, jest przyjęciem części za całość, a całość olbrzymią, bo kto wie, jaki obszar ciemnej przyszłości określić, ograniczyć ją zdoła?— Widzimy już dzisiaj, czém się stał Chrystyanizm i jak dziwaczni są ludzie, co przy jednej jego fazie, przy cząstce tylko obstają! Ci ludzie chcąc zamknąć na zawsze w ciasnych swych doktrynach wielką, rozległą, życiodawczą naukę, występują przeciw postępowi Chrześciańskiemu, jako naturalni wrogowie, z nienawiścią w sercu, gotowi w każdej chwili podnieść rękę na przyjaciół prawdy i ludzkości. I ten sam duch niezgody, co wnosi sektarstwo do obszaru postępowego życia, mówi za anti-chrześciańską jego dążnością!.. Ależ prawdziwy Chrystyanizm chce ogólnej zgody w Chrystusie!!— zrozumiejmy to przecie i zaprzestańmy *rzucać kości o suknie Pana naszego*! Bądźmy, czém być nam doradza rozum i sumienie nasze, przedewszystkiém zaś bądźmy bracią w duchu nauki Zbawiciela naszego!

Tyle nas interessów ziemskich rozdziela, niechże przynajmniej niebo nas łączy, niech ono przynajmniej niebędzie powodem do nienawiści i rozbratu. Wiele już zbrodni, okrucieństw i wszelakich niesprawiedliwości popełniono w imie bozkiego naszego Nauczyciela, wiele krwi przelano za tego, który wyrzekł: »*niezabijaj*!«— poraby już i dawno pora przeświadczyć się Chrześcianinowi, że wiara jego będąc żrzódłem najwyższej moralności winna odróżniać się od barbarzyństwa czynami łagodności, bratniej opieki i miłosierdzia. Tymczasem, niestety, oto i my jeszcze, wśród XIX stolecia, zmuszeni jesteśmy patrzeć na rozlew krwi (Szwajcarya), a krwi utoczonej mieczem, któremu pobłogosławili Jezuici!

Powiedziałem, że Chrystyanizm, jako idea, niemógł w żaden sposób zostać abstrakcyą, to jest ideą zawartą w sobie, lecz musiał koniecznie objawić się na zewnątrz, wyłonić bogactwo swojej treści w czynie. Jakoż nauka Chrystusa od pierwiastkowego jej przyjęcia ludzkim umysłem praktykować się poczęła na różnych drogach towarzyskiego bytu, a w każdym razie głównie miano na celu rozwinięcie jakiegoś szczególnego jej rysu. Ogół, czyli raczej jeniusz tej nauki był jednością wszystkich realnych jej objawów. Jedność była w duchu i kierunku nauki, w kierunku cywilizacyi i moralnego ukształcenia, które posuwało się wciąż przy tych jawnych oznakach ruchu i życia. Długo wprawdzie Chrześcianie niepojmowali ducha danej im nauki, niepojmowali ztąd, że jedność brali za główny punkt wychodu prowadzący do rozmaitości; w nasze dopiero czasy od rozmaitości przeszli nanowo do jedności i takim sposobem zupełne zakreślili koło; moment więc, w którym to się dokonało, słusznie nazwać się może epoką *samopoznania ducha postępu*. Wszakże ci, co

szukali w średnie wieki jedności, musieli ją koniecznie znaleźć wśród któregoś z objawów nauki, np. w pierwszym głównym jej zarysie, oparłszy się zaś na nim stanęli tém samém naprzeciw innym momentom rozwoju z wyraźném nawet zaprzeczeniem możebności jego. Rozważając rozwijanie się id i we względzie tej *konserwacyjnej jedności* przychodzimy do wniosku, że musiała w końcu wyrobić się pewna forma, coby rezumując w sobie poprzedniczy process stanęła w wyraźnej z tą jednością oppozycyi, taką właśnie formą była *Reformacya*. Dla zabezpieczenia *konserwacyjnej jedności* koniecznem było użycie nadzwyczajnych, gwałtownych środków; otoż środkami tymi były: 1-mo odnowienie przez Papieża Pawła III. *Inkwizycyi* w Rzymie z nadaniem jej sroższych jeszcze od dawniejszych ustaw; 2-do *Instytucya Jezuitów*, jako uprzywilejowanych stróżów *statu quo* i naturalnych wrogów wszelkiego postępu, i 3-tio *Dekret Trydenckiego Soboru* (którego hasłem stało się: *niemasz zbawienia po za obrębem określonej nauki!*) rzucający klątwę na tych, którzyby się oddalili od przyjętych punktów wyznania (1). Mniemałbyś, że duch ludzkości wygasł zupełnie, że go Jezuici zaczarowali w swoich kollegiach, albo, że z dymem inkwizycyjnych

(1) Na tym Soborze teologiem Papieżów Pawła III, Juliusza III i Piusa IV był Lainez, towarzysz i nastepca Ignacego, autor instytucyj towarzystwa, które tam w swojej osobie reprezentował. Utrzymywał on na XXIII sessyi (15 Lipca 1558), że hierarchia cała zamknięta jest w Papieżu, że wszelka władza hierarchiczna spływa na biskupów od tej widomej głowy Kościoła. Zdanie to swoje opierał na zasadzie, że Jezus Chrystus dał władzę samemu tylko Piotrowi, a ten już od siebie udzielał jej innym Apostołom; że sąd Papieża na ziemi jest tenże, co sąd Jezusa Chrystusa na niebie, i t. d., i t. d. (*Przypisek Autora.*)

płomieni wzniósł się on na niebo!. Widzieliśmy więc dotąd dwa kierunki rozwinięcia, to jest, *progressyjny* i *konserwacyjny*, czyli wolnego myślenia i nietolerancyi, które wchodząc z sobą w gwałtowne zapasy od XVI już wieku, bojowały przez całe trzy stolecia, aż wreszcie myśl roztargała okowy pod koniec XVIII wieku. Jezuici zostali ostatecznie wyniesieni w powietrze (1773); Inkwizycya upadła (1808); wskrzeszona zaś haniebnie w obliczu już teraźniejszego wieku (r. 1816!!) przez Ferdynanda VII, pomimo nawet zakazu użycia tortur, upadła powtóre, bezsilna pod przewagą postępowego kierunku. Cóż jeszcze pozostaje do zwalczenia dla ducha? Powtarzam raz jeszcze, nie Pombal, nie Aranda, nie Campomanes, nie Choiseul i nie Margrabina de Pompadour sprawili upadek Jezuitów, nie! upadli oni pod ciosami naturalnego swego wroga *postępu*, który nakoniec dojrzał zupełnie w piersi odrodzonej ludzkości. Oppozycya stała się już niepotrzebną: była ona dźwignią ruchu — kiedy starała się o wytępienie życia, kiedy sypała wszędy groble i tamy, przyszło nareszcie, że strumień cywilizacyi podmył wątłe jej fundamenta i ona runęła z łoskotém, runęła, aby się już nigdy niepodnieść! Była to wojna dwóch geniuszów historyi, bojowanie *Ormuzda* i *Arymana*, dwóch przeciwnych duchów, z których nakoniec dobry wziął przewagę nad złym i zdeptał czoło iego nogami. Chcieć dzisiaj wskrzesić Jezuitów, czyli, co jedno, podejmować trud kompilatora dla obudzenia ku nim powszechnej sympatyi — jestto grać rolę nekromanta: ale to stare kuglarstwo! Żywego zamienić w trupa — snadnie potrafi rozum ludzki; lecz przywołać do życia nieboszczyka — niema, niema żadnego sposobu!

III.

Pisząc niedawno *o dziełach Eug. Sue* wspomniałem tam, że teraz szczególniej zebrało się u nas na miłość dla Jezuitów, lubo wtedy nawet mi na myśl nieprzychodziło to, czém obecnie udarował nasze pismiennictwo p. Michał Grabowski. Apologia Zakonu o mnóstwie *cytat* — to doprawdy klejnot nieoszacowany! Ale o cytaty dziś nietrudno, dzisiaj zwłaszcza, kiedy we Francyi Jezuici ogłaszają seciny artykułów i broszur swoich przyjaciół, a przyjaciół pozyskanych bądź gotowymi pieniędzmi, bądź hojnémi na przyszłość obietnicami. Zabawna też rzecz, że źrzódła, któreśmy przytoczyli, pokazały się p. Grab. *stronnémi*, prawdziwymi *pamfletami*! Zapewne bylibyśmy mu dogodzili cytując historye Zakonu napisane przez ukochane jego dziatki: *Juvency*, *Cretineau-Joly*, albo nawet hr. *de Saint-Priest*; byłby z nas zadowolony, gdybyśmy się unosili nad zdaniami p. *Salvandy*, ministra oświecenia, któryby pragnąłby z duszy jasną pochodnię swego urzędu oddać w ręce tych czarnych kruków. Pytamy się jednak, jaki powód mogli mieć do stronności *Wolf*, *Boucher*, *Michelet*? kto więcej może zasługiwać na wiarę—*Crétineau-Joly*, czy *Michelet*? gorliwi professorowie *Michelet* i *Quinet*, czy też *Salvandy*, Xiąże *de Broglie*, *Segur-Lamoignon*, *Montalambert* i cała jezuicka partya? Nic łatwiejszego, jak rzucić na kogoś pocisk kalumnii, gdy to, w obcym zwłaszcza kraju, na żadną nienaraża odpowiedzialność; niezawodną wszakże jest rzeczą, że wszyscy dzisiejsi zbici już na miazgę Jezuici niewarci są jednej karty sumiennie wypracowanej przez tych tak zwanych stronnych pisarzy! I dziwną i śmieszną jest nadzwyczajnie każda podobna niewczesna Apologia. Po zapadłej już decyzyi całej

Europy, chcianoby przekonanie jej przerobić kilkunastu czy kilkudziesięciu jakiemiś cytatkami!!?.. Wiedzcież panowie, że — *Sąd dziejów nieprzekupny*:

Nie wymodlisz czołem bijąc,
Nie wyprosisz nosem ryjąc!

jak powiedział nieśmiertelny X. *Baka*, jezuita i professor poetyki, godny zaiste antagonista takich professorów, jak *Michelet*, *Quinet*, *Lerminier*, *St Marc-Girardin*, *Villemain*, *Tissot* i t. p. I o cóż w rzeczy samej chodzi tym, jak mniema p. Grab. *stronnym* ludziom? o nic więcej, jak o utrzymanie przy cywilnej władzy prawa publicznego w kraju wychowania, które Jezuici, wsparci jak na dzisiaj całém wyższém francuzkiém duchowieństwem, sobie przywłaszczyć usiłują. *Victor Cousin* doskonale obrónił to prawo w publicznych dyskussyach od napadów jezuickiej koteryi; jakową obronę może każdy odczytać (jeżeli nieczytał w Monitorze z r. 1844.) w osobno wydaném dziele: *Defense de l'Université et de la philosophie* (4-me ed. Paris. 1845.) Cóż słuszniejszego, jak zasłonić młodź od wpływu jezuickiego ducha i ciemnoty? co ważniejszego nad oświatę, która niezawodnieby zgasła w ręku xięży Baków? Kto tylko sprzyja całém sercem moralnemu udoskonaleniu swoich współbliźnich, kto widzi w sprawie oświecenia najwyższe dobro ludzkości, temu niepodobna nieoburzyć się na te machiawelskie roszczenia ciemnej koteryi. Wiecież, czego chce, do czego wzdycha ta rzesza ultramontanów? Posłuchajcie dostojnego jej predykatora Ojca *Lacordaire'a*, on wam to objaśni. »*il faut que rois et papes reunissent tous leurs efforts pour faire rétrograder l'esprit humain vers ce temps heureux, où dans l'ordre intellectuel, moral, social et materiel nul ne songeait à rendre compte à sa raison de sa foi et*

de son obeissance. Une fois victorieux de l'esprit humain..« i t. d. Wszak to są słowa jakby wyjęte z ust Bejły, Kostrowca i autora jenialnej apologii Zakonu? wszak oni się na to zupełnie zgadzają?.. Ale powróćmy do samych Jezuitów. Wie każdy, że słowa: *jezuita* i *jezuityzm* od wieków stały się synonymami fałszu, intrygi i oszustostwa; te synonymy starają się dzisiaj jezuici odkręcić różnymi sposobami, nim jednak uda się im *przeciągnąć wielbląda przez ucho igielne*, wytłumaczmy, jak się wyrobił w dziejach ten charakter zakonu. Założycielem jego, jak wiadomo, był *Inigo* (Ignacy) *Loyola* (ur. 1491 + 1556.), hiszpański hidalgo, bodaj czy nie blizki tylko krewny *don Kichota*, zrazu paż przy dworze Ferdynanda V, następnie żołnierz w czynności przeciw Francuzom, usiłującym wydrzeć Hiszpanii Nawarrę. Przy oblężeniu Pampeluny (1521) Inigo został raniony razem w obie nogi, w lewą kamieniem a w prawą kulą armatnią. Leżąc zatem w łóżku czytywał *Żywoty świętych*, które go równie exaltowały, jak sławnego hidalga z Manszy romanse rycerstwa błędnego; powstał w końcu z choroby, ale już nie tym dziarskim i zgrabnym kawalerem, co czarował ongi dworskie piękności, przeciwnie, chromym i zchorzałym weteranem, z posępnym wyrazem ascetycznej lektury, która głęboko zapuściła swój korzeń w słabym jego umyśle. Świat już niemiał dla niego powabów, bo on już nie był dla czynnej roli świata, pozostał mu sam mystycyzm religijny, któremu fantastyczny umysł zchorzałego żołnierza cudowniejsze jeszcze nadawał kształty. Byłato szczytna, wygórowana poezya ascetyzmu, godna ze wszech miar, aby jej życie poświęcić. I życie Iniga było już odtąd pełne, chociaż niemiało jeszcze wyraźnego celu. Poświęcił się on na-

przód na rycerza N. Panny w Monferracie, gdzie według przyjętej reguły odprawił straż nocną. Jako rycerz pod godłem Pani serca swego gotów już raz był bić się z Maurem, który, zwyczajnie jako niewierny, przeczył Niepokalanego Poczęcia Matki Bożej, ale nie przyszło jakoś do bitwy. Zostawał potem czas niejaki w szpitalu Manrezskim; żebrząc w łachmanach i odbywając pokutę ostrzejszą od tej, którą Amadys na *Roche-Pauvre* odbywał, pozwolił zarastać swojej głowie, brodzie i paznokciom, ażeby mniej ułudzać płeć piękną, i podobno już jej nieułudzał. Następnie zostaje pątnikiem do Ziemi świętej i odwiedza ją w r. 1523. Ale to niemogło jeszcze zapełnić namiętnej, przedsiębierczej duszy Ignacego Loyoli. W widoku grobu Pańskiego przychodzi mu myśl zostania apostołem wiary Chrystusa na Wschodzie, pragnie rozpocząć krucyatę w celu podbicia niewiernych nie mieczem, jak wprzódy, ale potęgą słowa. W tym celu, powróciwszy do rodzinnego kraju w 33 roku życia swego, umiejąc zaledwie czytać i pisać, postanowił uczyć się od samych początków łaciny, retoryki, nauk przyrodzonych, metafizyki a pryncypalnie teologii; wszystko to miesza się bez ładu w biednej exaltowanej głowie Jgnacego, podbudza zapał jego wyobraźni i oto jako apostoł zaczyna opowiadać dziwną jakąś naukę w Barcellonie i Salamance, która go zaprowadziła do więzienia Inkwizycyi. Wypuszczają go ztamtąd z warunkiem, aby więcej nie nauczał. Udaje się więc Ignacy do Paryża, gdzie słucha teologii w Uniwersytecie. Tu sympatyę ku niemu powzięli naprzód współuczniowie jego Piotr Lefevre i Franciszek Xawery, którym on szczególną swoją mową pełną mystycyzmu powierza plany swoje. Ten mystycyzm podniósł on do pewnego rodzaju teoryi

w xiędze *Cwiczeń duchownych*, którą napisał w pieczarze Manrezskiej podczas extazyj leżąc nawpół omdlały z głodu i wycieńczenia. Tajemnicza ta mowa, jakby z natchnienia płynąca, pociąga nowych uczniów po większej części kompatriotów, Jakóba Layneza, Alf. Salmerona, Rodrigueza d'Acevedo i Mikołaja Alfonsa przezwanego Bobadillą. Było ich już siedmiu: owoż wszyscy oni, mając na czele swojém Ignacego, w dzień Wniebowzięcia N. P. r. 1534 w podziemnej kaplicy klasztoru Montmartre, gdzie według tradycyi był ścięty S. Dyonizy, słuchali Mszy u ołtarza, na którym wznosiła się statua tego Świętego trzymająca w rękach odciętą głowę, a po wysłuchaniu uczynili solenne śluby *czystości*, *ubóstwa i posłuszeństwa* stwierdzając je wykonaniem przysięgi na Ewangelii i przyjęciem sakramentu. To było jądro, z którego wyrość miała pasożytna roślina jezuityzmu. Dotąd, jak widzimy, towarzystwo to nic niemiało w sobie szczególnego, krom ducha niepokoju, który dobitnie tłumaczył, że niewiedziano, jaki cel obrać i do czego skierować siły swoje. Wspomnione grono siedmiu ludzi pozostało przez cały dzień w tej podziemnej kaplicy: to było miejsce, gdzie zapewne tajemnicze warunki wzrostu i potęgi przyszłego zakonu obmyślane zostały. W r. 1537 zchodzą się znowu ci siedmiu w Wenecyi; zamiarem ich jest odpłynąć do Palestyny dla nawracania niewiernych. Ignacy przyprowadził z sobą jeszcze jednego adepta, jego koledzy trzech, Paweł III. dał im na drogę pomoc pieniężną. Ale Loyola nieodpływał; coś go przywiązywało do Europy, jakaś myśl ciemna walczyła z myślą poczętą u grobu Chrystusa i nakoniec wzięła nad nią całkiem przewagę. Ignacy nie jest już apostołem niewiernych, niępragnie już najpiękniejszej chwały rozkrzewiciela

prawej wiary, przestał troszczyć się o to, aby kamienny grób Zbawiciela otoczyć żywym wieńcem nowonawróconych, inne już go pociągają widoki, interessa, inną myśl powziął i tę myśl chce wcielić jako duszę w swoje towarzystwo... Ale Papież niechce pomnożenia zakonów i odmawia potwierdzenia towarzystwu Loyoli, odmawia wyraźnie z tego powodu, że i tak wielka już liczba duchownych zgromadzeń czyniła w kościele sporami swymi zamieszanie a życiem zgorszenie. Biografowie Ignacego Loyoli szeroko rozwodzą się nad tą okolicznością chcąc podnieść swój zakon w opinii powszechnej kosztem poniżenia innych zgromadzeń. Jestto małe *pendant* do *Decameronu Bocaccia*, do gwałtownych zarzutów Marcina Lutra.— Paweł III usiłuje powstrzymać rozpustę Rzymu, ale nadaremnie; Ignacy bierze na siebie uskutecznienie życzeń papieża, i w krótce całe processye kobiet nierządnych przeciągały przez płace i bulwary stolicy ze łzami w oczach, z dyscypliną w dłoni, a lud tłoczył się za niemi, jak niegdyś przodkowie jego za wozem tryumfatora! Byłto rzeczywiście pierwszy tryumf jezuickiego konfessyonału, tryumf, co wymieniał absolucyę za kilka godzin spektaklu, po którym nanowo rozpoczynało się stare życie nierządu i trwało wciąż, przerywane tylko chwilowie processyami bractwa bluźnierczo zawiązanego pod hasłem *Przeczystej Dziewicy*. Niezapominajmy, że kobiety te nie z rynsztoków pospólstwa były brane, nie! były to metressy rzymskiej arystokracyi i Monsignor'ów! Opanowawszy te kobiety, Jezuici mieli już cały Rzym w swoim ręku — Otoż początek władzy, oto tradycya, według której działali zawsze synowie Loyoli aż do OO. *Lachaise* i *Le Tellier* spowiedników Ludwika XIV., aż do dzisiejszych paryzkich abbacików podszeptujących

słowa oppozycyi przez różane usta skalane nieczystymi pocałunkami!— W czasie, kiedy rzeczone sceny odgrywały się w Rzymie, ukazał się tam Wilhelm *Postel*, polyhistor, oryentalista, faworyt Franciszka I.; utraciwszy za wpływem królowej Nawarry posadę professora w Paryżu został jezuitą i jako członek Zakonu wykładał mystyczną swoją naukę *nowego odkupienia kobiet przez kobietę*, mianując siebie poprzednikiem tego żeńskiego messyasza. Byłto rodzaj sę-symonizmu i kościoła Ojca *Enfantin'a*, których głównym celem *emancypacya kobiety*. Można sobie wyobrazić, jakito wpływ wywarła ta nowość na płeć żeńską i jak wiele podobna doktryna mogła być użyteczną zakonowi działającemu przez kobietę! Kiedy rzymska stolica zajętą była reformą Lutra, sporami Franciszka I. z Karolem V i przyszłym Soborem, natenczas w świątyni Vesty niedaleko kościoła S. Teodora opowiadała się nowa religia dla kobiet, religia tyle sprzyjająca nowemu zakonowi! Już nasiona tego apostolstwa poczęły wydawać najpiękniejsze owoce, już i oczekiwany *Messyasz — kobieta* przyszedł był na ziemię, wtém Postela zchwytano i wtrącono do więzienia Inkwizycyi (1545.)! Wyrzekli się jezuici swego brata, ale on, jak świadczy *Pasquier*, spokojnie potem dokonał życia swego w Paryżu, w domie jezuickim. W takichto okolicznościach nastąpiło potwierdzenie Zakonu (1540), który do zwyczajnych trzech ślubów dodał czwarty: *ślepego posłuszeństwa woli papieża* — ślub, tłumaczony potem przez jezuitów według okoliczności, raz, jako uległość samemu tylko naówczas panującemu papieżowi (Pawłowi III.), to znowu, jako obowiązek odnoszący się jedynie do sprawy *missyów*. Papież spodziewał się znaleźć w jezuitach militarny zastęp naprzeciw reformacyi Lutra, która pod-

ówczas gorzała w Niemczech i groziła zalać płomieniem swoim całą Europę. Byłato w rzeczy samej dla Zakonu właściwa pora do czynów, do rozwinięcia tej siły, co w późniejszym czasie świat cały pochłonąć chciała, siły, co pryncypalnie działając na sumienie przechodzi potem do wszystkiego. Pojęli dobrze jezuici, że wszystko się roztapia w duchu, że od ducha począwszy obejmiesz wszystkość, nieskończoność. Religia poczynając od ducha przenosi jego święte cechy do życia, bo objaśnia prawa sumienia i woli, których owocem jest *czyn*; czyn zatem jest prostym wypadkiem moralnego przekonania. Jezuici powiedzieli sobie: *starajmy się wyrobić te tylko przekonania, które najczynniej posługiwać mogą do materyalnej pomyślności naszego zakonu i ugruntowania absolutnej jego władzy*: w skutek czego i religia i moralność stały się rzeczą względną, bo działającą jedynie w widokach wzniesienia Jezuitów. W takim właśnie duchu ułożono organiczny statut Zakonu i w takich celach pisane były *ex officio* traktaty fałszywej moralności przez doktorów jezuickich: *Sanchez'a*, *Escobar'a*, *Amicus'a*, *Vasquez'a*, *Guimenius'a*, *Gordon'a*, *Filliucius'a*, *Henriquez'a*, *Alagon'a* i innych, tudzież doręczniki dla spowiedników przez Emm. *Spa*, *Fegeli'ego*, *Trachalę* i wydanego w Strasburgu niedawno (1843) *Moullet'a*. Ledwie towarzystwo uzyskało potwierdzenie i Ignacy jenerałem jego ogłoszony został, a już działalność jezuitów wszędy czuć się dawała. *Araoz* w Hiszpanii wiedzie zatargi z Dominikanami naczelnikami Inkwizycyi; *Laynez* bierze na siebie pośrednictwo zaślubin córki króla portugalskiego Jana III z synem Karola V, i Hiszpania otwiera się dla zakonu, a Król portugalski nietylko przyjmuje do kraju jezuitów ale i wybiera ich na missyonarzy do Indyów wscho-

dnich. Przez wdzięczność potem jezuici pomagają Filipowi II zawojować Portugalią. *Lefévre* i *Lejay* (1) są obecni na sejmach w Worms, Spirze i Ratysbonie. *Laynez* reprezentuje Zakon i papieża na Trydenckim Soborze, gdzie zbija Teodora z Bezy i francuzkich kalwinistów. *Franciszek Xawery* odpływa do Indyów, Chin i Japonii, inni do Ameryki, do Afryki. Irlandya chce się wybić z pod władzy Henryka VIII, zaraz biegną tam jezuici *Pasquier-Brouet* i *Salmeron*. Protestanci w Niemczech mają się zgodzić z Cesarzem Karolem V, który im daje *Interim*; *Bobadilla* zawiesza przymierze i przy Mühlbergu (1554), gdzie jezuita z krzyżem w dłoni prowadził katolickie szeregi, krew się polała strumieniami. Dalej trzydziestoletnia wojna, i jezuici są wszędzie w wojskach Austryackich. W bitwie pod Lipskiem, gdzie Gustaw Adolf pokonał Tyllego, znajdowano jezuitów pomiędzy zabitymi i rannymi. W orszakach dowodzców Wallenstejna, Tillego, Piccolomini, Lichtenstejna, Colloredo, Wrangla, widzia-

---

(1) Gabriel Franciszek *Lejay*, sławny jezuita, urodził się w Paryżu 1657 umarł 1734 roku. Będąc professorem wymowy w kollegium Ludwika Wielkiego miał w liczbie uczniów swoich *Woltera*. Pewnego razu (mówi *Duvernet*, biograf Woltera) uczeń dał nauczycielowi swemu tak bezbożną odpowiedź, że ta wszystkich przytomnych w wielkie wprawiła zgorszenie; czém rozgniewany O. *Lejay* porwał za kołnierz młodzieńca i gwałtownie nim wstrząsając zawołał po kilkakroć: »*Nędzniku! ty z czasem podniesiesz sztandar Deizmu we Francyi*." — Tak zgromiony uczeń zamilkł, a właśnie wypadało mu z powodu tej przepowiedni O. *Lejay'a* zauważyć, że Deizm będzie najlepszym kontrastem jezuickiego *polyteizmu*.

(*Wydawca*.)

no zawsze czarne suknie jezuitów; jak wron i kruków było ich pełno na pobojowiskach. Nie daremnie bojowali, sukcessya po protestantach zabitych albo wygnanych zawsze prawie przechodziła w ich ręce tak w Czechach, jak w Saxonii, Palatynacie i Xięztwie Wirtembergskiém. Zaledwie towarzystwo byt swój wzięło, a już je widzimy wszędzie: zrazu miało ono się składać z 60-ciu tylko członków, ale potem Papież zezwolił na nieokreśloną ich liczbę. Ciekawato rzecz zaiste, co za cel był tych wszystkich zabiegów, tych intryg i przewrotności, któremi przez trzy wieki niepokojona była Europa, a które oto i teraz poczęły szerzyć niezgodę w spokojnym Związku Helwetów? Dla tego rozpatrzmy ich konstytucye, które, lubo nie w zupełności, stały się przecież dla wszystkich dzisiaj dostępnémi w tłumaczeniu wydaném 1843 r. w Paryżu przez *Paulin'a*, a zrobionem z Pragskiej edycyi r. 1757, na fundamencie której zakon został skassowany przez parlament paryzki i przez inne rządy. Konstytucye te wielu przypisują *Lainezowi* a nie *Ignacemu*, sądząc, że fantastyczny umysł Loyoli nie był zdolnym do takich kombinacyj, do tak głębokiego wyrachowania; ukazały się one na świat we dwa dopiero lata po śmierci fundatora, mianowicie 1558-59 r. w Rzymie w 5 częściach. *Aquaviva*, piąty Jenerał Zakonu, dał rozkaz prowincyałom, aby pozwalali czytać te konstytucye tym tylko zakonnikom, którzy ze swego stopnia na ufność zasługiwali; tajemniczość otaczała te Xięgi Zakonu i była ona w pewnym względzie bardzo słuszna. Zgromadzenia zakonne wprowadzały reformy w prawach, określały je, komentowały, odmieniały, dopełniały, ma się rozumieć jak wypadało z okoliczności. Na pierwszém zgromadzeniu po śmierci Ignacego odprawioném

wszystko to sobie przywłaszczył *Lainez*; on wymógł u papieża Pawła IV, *że urząd Jenerała stał się dożywotni; że Jenerał mocen jest zawierać umowy i robić postanowienia bez rady powszechnego zgromadzenia, nadto ma zupełną władzę nad konstytucyą, mogąc ją tłumaczyć i uzupełniać nowémi postanowieniami, oraz prawo utrzymywania więzień Zakonu.* Tą drogą poszli inni Jenerałowie, następcy Lainez'a, rozwijając swój zakon w jakiś teokratyczny Lamaizm, na stopę uniwersalnej monarchii. Zresztą członkowie Rady niemogli być straszni swoją oppozycyą Jenerałowi, od którego zupełnie zależeli. Widzimy więc z jednej strony Zakon, istną machinę bezduszną, a z drugiej Jenerała, władzę absolutną, na skinienie której każdy członek gotów pójść na koniec świata i wypełnić wszystko, wszystko, coby mu ta władza bezpośrednio poleciła. Ślub posłuszeństwa u jezuitów był prawdziwie ślepym ślubem i to nie tylko w rzeczach wiary, ale we wszystkiém. Według ustaw jezuickich przełożony zastępuje miejsce Boga, jemu więc jak Bogu ślepo należy być posłusznym, *nawet gdyby przełożony był człowiekiem nie poczciwym* (etiam si superior probitate careat. Inst. p. 410). Wychowując młodzież jezuici namawiali do swego zakonu wszelkimi sposobami tych, co zdatnością i *bogactwem* celowali, często też, pomimo kanonów i postanowień koncyliów, szczególnie Trydenckiego, które ostatecznie zawyrokowało, że nieodzownych ślubów nikt przed szesnastym rokiem (!?) czynić niepowinien i że dla przygotowania się do nowicyatu i professyi dwa lata czasu zostawiać należy, skoro tylko upatrzyli dobrą zdobycz, nawet i ten czas skracali i dzieci prawie (chociaż i szesnaście lat dziecinny jeszcze wiek oznaczają,) *ob honestas causas*, jak piszą w swoich ustawach, przyj-

mowali do swego bractwa (1). Ten, co wstąpił do zakonu, powinien był według litery ustaw nietylko wyrzec się całkiem związków krwi, ale i zapomnieć o nich. Majętność przechodziła do towarzystwa, które stawało się odtąd ojczyzną jezuity, ojczyzną uosobioną w woli przełożonego, bowiem nie każdy według stopnia mógł

(1) W regułach Zakonu zwanych *Monita secreta* przepisano namawiać młodych ludzi radą, pochlebstwem, podarunkami a nawet strachem potępienia i kar wiecznych. Są tam przepisy pozyskiwania korzystnych testamentów od umierających szczególnie wdów; przepisy, jak radzić żonie utyskującej na swego męża, aby pieniądze brane z jego szkatuły oddawała na modlitwy za jego duszę; jak zakon troszczyć się powinien o pozyskanie dla siebie sławnego lekarza (Dr Baleinieru E. Sue) by ten zalecał wszędzie OO. Jezuitów na spowiedników; jak wciskać się w zaufanie wysokich Dygnitarzy i możnych Obywateli za pomocą ich dam przybocznych; jak utrzymywać niezgody pomiędzy Dworami a nawet je rodzić; wreszcie (i to jest głównym przepisem), że nie należy się cofać przed żadnym środkiem, jeżeli ten ku dobru zakonu posłużyć, albo złe od niego odwrócić może. (Autor.)

To są przepisy do użytku samych Jezuitów zastosowane, dajmyż jeszcze kilka próbek z dzieł wydanych przez nich dla użytku powszechnego.

»*Ekwiwok nieoznacza kłamstwa, gdyż kłamać jest-to mówić przeciwko swojej myśli; ten zaś, który używa ekwiwoku, nadaje słowom swoim całe znaczenie swojej myśli, chociaż te słowa mogą co innego znaczyć i tem, do którego się one stosują, inaczej je tłumaczy.*« Tak mówi Jezuita Jan Andrzej *Eudemon* w Obronie uległego kryminalnemu sądowi Jezuity Henryka *Garnet'a* wydanej w Kolonii r. 1610.

»*Należy rozróżniać w Bogu dwie woli obowiązujących człowieka, jedną, przez którą Bóg zabrania kłamać i drugą, przez którą On chce aby kłamano, gdy się znajduje w błędzie i wierzono, że dobrze jest kłamać niekiedy.*« Tak powiedział Jezuita *Charli* w twierdzeniach swoich na posiedzeniu Rodyjskiego zgromadzenia r. 1721.

znać plany towarzystwa. Jezuita nie tylko do swiata, do ojczyzny, ale nawet do samego siebie nienależał, bo niemiał ani woli, ani skłonności, ani rozumu własnego; był on co do osoby prostą machiną, a co do ducha zwierzęciem czyli raczej trupem. Jakoż same ustawy chcą mieć podobnym każdego jezuitę do laski, na której się starzec

---

»*Bóg powiedział o Izraelitach. Wyciągałem codziennie ojcowskie ręce do tego niewiernego i nieposłusznego ludu, a jednak niepowrócił do mnie. To jest: trzymałem zawsze ręce gotowe dla przyjęcia tego ludu na moje łono, gdyby był do mnie powrócił. Jeżeli Bóg niechciał, aby żydzi powrócili do wiary, a przez wiarę otrzymali zbawienie, tedy wyznać potrzeba, że zręcznie i okazale grał komedyę* (solerter et magnifice agebat histrioniam).« Tak w tłumaczeniu listu S. Pawła do Rzymian wydaném w Paryżu r. 1743 rozumuje O. Franciszek *Oudin*.

»*Róbcie, co wam sumienie wasze doradza; jeżeli przez niezwyciężony błąd mniemacie, że bluźnierstwo przez Boga wam zalecone, bluźńcie więc, a jeśli mocno wierzycie, że kłamać wam przykazano więc kłamcie. Zaiste bylebyście zkądinąd byli bez zmazy* (? ?) *Chrystus wam powie:* »*Przyjdźcie do mnie błogosławieni w Imię mego Ojca, bowiem wyście bluźnili i kłamali wierząc, że ja wam bluźnić i kłamać przykazałem* « Tak pociesza naród Chrześciański w *zdaniach teologicznych* wydanych w Medyolanie r. 1711 Karol Antoni *Casnedi*.

Jezuita Piotr *Alagon* w *skróceniu zbioru teologicznego S Tomasza* pytającemu się: »*Czy wolno cierpiąc niedostatek dopuszczać się kradzieży*?« daje odpowiedź; »*wolno nietylko tajemnie ale i otwarcie, jeśli niema innego sposobu do zaspokojenia swoich potrzeb, i takowa czynność nie będzie ani kradzieżą ani rabunkiem, bowiem według prawa natury wszystkie rzeczy są wspólne.*«

Jezuita Franciszek *Amicus* w swoim *kursie teologicznym* ogłoszonym r. 1642 powiada: »*ktoby ukradł u kogo część znaczną, ten niejest obowiązany sumieniem powrócić*

opiera, albo do trupa. »*Similiter atque senis baculus, perinde ac si cadaver*« tak się wyraża sam Loyola w przedśmiertnym swoim liście *o posłuszeństwie*. Towarzystwo to było wielką gromadą trupów, która, kiedy ją galwanizowała wola przełożonego, zmieniała się w trzódę upiorów, aby ssać krew ludzkości! W takim

---

ją zupełnie, dosyć będzie, gdy powróci tyle, ile potrzeba, aby szkoda bliźniego przestała być znaczną.«

Jezuita hiszpański *Trachala* w swojej metodzie spowiedniczej pod tyt. *Lavacrum conscientiae* powiada: »*Niejesteś winnym bynajmniej, gdy byłeś tylko materyalną pomocą do jakiej szkody, to jest, gdy tylko trzymałeś złodziejowi drabinę, na którą mógł on sam uleźć choćby jej nikt nietrzymał, albo, gdy słuchając rozkazu swego pana odniosłeś tylko szkatułkę z pieniędzmi przez niego ukradzioną, a którą mógł on odnieść i bez twojej usługi.*«

Jezuita Franciszek *Suarez*, autor *Traktatu o trzech cnotach teologicznych* ogłoszonego w r. 1821, daje między innémi taką nauczkę: »*Gdyby kto dał komu pewną obietnicę bez zamiaru uskutecznienia, a w wynikłej ztąd sprawie został przez sędziego pod przysięgą zapytany: czyliby rzeczywiście obiecał? — w takim razie może po prostu odpowiedzieć:* nie; *bowiem to* nie *sprawiedliwie może znaczyć* — ja nieobiecałem tak, abym był obowiązany. *Tym sposobem wywijać się potrzeba z trudnych okoliczności, inaczej możesz być zmuszonym robić to, czego niechciałeś, to jest, zapłacić summę, którąby się tobie przydała, albo ożenić się z kobietą, bez której obejść się mogłeś.*«

Jezuita Jan *Cardenas* wydał w r. 1702 dzieło pod tyt. *Crisis Theologica*, w którém znajdujemy myśli i zdania wybornie zastosowane do praktycznego życia Chrześcian; naprzykład: »*Wolno jest pragnąć czyjejkolwiek śmierci w pewnych zdarzeniach, a mianowicie ojciec może pragnąć śmierci zięcia, gdy ten źle się obchodzi z jego córką, naturalną bowiem jest rzeczą więcej kochać córkę niż zięcia. Wolno także synowi ucieszyć się śmiercią swego ojca,*

stanie rzeczy kiedy człowiekowi odjęto wolę i uczyniono go automatem albo, gorzej jeszcze, zwierzęciem, nietrudno już mu było odebrać uczucie osobistej godności, honoru i dobrej sławy; jakoż ustawy głoszą, że *reputacya należy do samego towarzystwa, nie zaś*

---

ale to z powodu dziedzictwa, nie zaś z powodu samej śmierci. «

Jezuici każdy w ogólności występek widzą z dobrej strony, tak, że według nich wszelkie nadużycie, gwałt, przeniewierstwo, zdrada, krzywoprzysięztwo, kradzież i zabójstwo są w pewnych względach godziwémi czynnościami, najmniej nieobrażającémi religii i moralności. Egoizm jest duszą jezuityzmu; dla siebie, dla swojej osobistej korzyści można przedsiębrać wszystko, na wszystkie odważać się zbrodnie, nielękając się odpowiedzialności przed Bogiem i sumieniem. Chrześcianin może wyrzec się wiary swojej (*Casnedi*); sługa może okraść swego pana (*Cardenas*, *Fegeli*); oberzysta może dolewać wodę do wina (*Fegeli*); pijany może zabić bliźniego i popełnić gwałt nad kobietą (*Fillucius*); marnotrawca, łotr, rozpustnik może w celu uniknienia zasłużonej kary zamordować swego ojca albo zwierzchnika (*Amicus*, *Azor*); panna uwiedziona może zniszczyć swój płod we wnętrznościach albo po urodzeniu (*Airault* i t. d. i t. d. — Zamykamy te próbki jezuickiej religijności małą cytacyą Klaudyusza *Lacroix*. Ten Jezuita, kommentator Busenbauma, naucza chrześcian że «*oprócz wiadomego czysca jest jeszcze inne miejsce pokuty; miejsce to, prześliczna łąka ubarwiona kwiatami najroskoszniejsze wydającymi wonie, dla najmniej winnych jest bardzo łagodnym czyscem i jakby senatorskiém więzieniem, w którem znajdować się można bez wszelkiej zniewagi.*» Jak widzicie, warto choćby i zakonnikom dopuszczać się lekkich grzechów, aby być w tak powabném miejscu. Co się tycze innego czysca, nikt z Ojców Jezuitów nienaznaczą tam dla grzeszników dłuższego nad 10 lat pobytu. Zważywszy przytem, że według ich nauki wszystkie grzechy mogą być usprawiedliwione, to i niepowinniśmy się najmniej obawiać piekła.

(*Wydawca.*)

do jego członków. Dla tegoto Jezuici zawsze, aby podtrzymać sławę Zakonu, wszelkie zdrożności i zbrodnie swoje składali na jednostki, a łatwowierni, nieznający rzeczy zblizka wierzyli temu, wierzyli niewiedząc, że wszelki czyn pojedyńczego jezuity jest czynem towarzystwa, bo ono tylko ma wolę, ono samo absolutnie dysponuje i działa. Bezbożne rady w konfesyonale, zbrodnicze spiski i zamachy oraz bankructwa jezuitów składało towarzystwo na odpowiedzialność członków swoich, jako to: *Guignar'a*, *Gueret'a*, *Creighton'a*, *Garnet'a*, *Gerard'a*, *Watson'a*, *La Vallette'a*. Umyło też ręce od xiąg pełnych niemoralności i zgorszenia napisanych przez jezuitów, jako to: *Escobar'a*, *Sanchez'a*, *Sa*, *Mariany*, *Henriquez'a*, *Filliucius'a*, *Suarez'a*, *Hurtud'a*, *Amicus'a*, *Salmeron'a*, *Grzegorza z Valencyi*, *Ant. Santarem'a*, *Dicastille'a*, *Eudemon'a*, *Fegeli'ego*, *Pomey'a*, *Klaudyusza Lacroix*, *Tomasza Tambu ini*, *Trachalę*, *Vasquez'a*, *Tanner'a* i sławnego *Roberta Bellarmin'a*, Arcybiskupa Kapuańskiego, który w poczet świętych miał być zaliczonym przez towaszystwo. Wszystko, co tylko jest w tych dziełach przeciwnego religii, moralności i dobrym obyczajom, i to nie w szczegółach a w całym ich duchu, przyznało towarzystwo winą samych autorów, wtenczas, kiedy *wiadomą jest rzeczą, że według ustaw każdy jezuita napisawszy dzieło winien je podać, wprzódy nim ogłosi, pod decyzyę przynajmniej trzech teologów uskazanych przez Jenerała Zakonu.* Każde więc dzieło musi być zgodném z duchem towarzystwa, bo każde prawie było pisane z potrzeby, w pewnych celach, na rozkaz Prowincyała albo Jenerała.— Jezuita bez pozwolenia przełożonego niemoże przyjąć żadnej godności w Kościele, przyjąwszy zaś musi ulegać zawsze rozkazom Zakonu.

Zakon! zawsze zakon! dobro zakonu przed religią, przed moralnością, przedewszystkiém!! *Pereat mundus, justitia, religio, moralitas, et vivat Societas!*— to musiało być tajemnicze hasło Jezuitów. Taki jest okropny egoizm Zakonu! Dla dobra zakonu przeleją potoki krwi niemieckich protestantów, ale dla niego także usiłować będą połączyć Hiszpanią z francuzkimi Hugonotami przeciw nienawistnemu im Henrykowi, i krew tych Hugonotów, za wpływem spowiedników starego Ludwika i starej Maintenon, popłynie z czasem strumieniami w Sewennach, a popłynie, by obmyć wszystkie rany zadane barbarzyńską ręką spokojnym i rządnym rodzinom protestantskim! Dla sukcessów Zakonu odżyją czasy *Galeryusza*, *Dyoklecyana*!.. Myślicież, przy tak wygórowawym egoizmie przynajmniej pokój panuje w samém towarzystwie?— gdzietam! każdy tu zamknięty w sobie, wahający się, niepewny słowa swego; skrytość musi się zagnieździć w piersi jezuity, bo główną tutaj sprężyną wszystkiego, *donos*, *delacya*; szpiegostwo jest lokomotywem tego zakonu i rękojmią jego trwałości. Czuli to dobrze jezuici, że wśród nich samych może się znajdować potężny, straszny ich nieprzyjaciel—*wolna wola ludzka*; co chwila obawiali się, aby pomiędzy nimi nieukazał się *żywy człowiek*! O! bo widok jego byłby okropny na tym cmentarzu, wśród tych trupów!.. I powiadają, że ci ludzie bronili wolności woli ludzkiej przeciw Jansenistom!? możebyśmy nie przeczyli temu, gdyby *szał probabilizmu* godziło się wziąść za broń jakąkolwiek.— Jezuici mieli i mają (jak każde sekretne towarzystwo,) kilka stopni inicyacyi; oto porządek tych stopni. 1-mo *Nowicyusze*; tych przeznaczenie trojakie: a) do kapłaństwa; b) do świeckich zajęć i c) do zajęć nieznaczo-

nych. 2-do *Koadjutorowie świeccy*. 3-tio *Scholastycy potwierdzeni*. 4-to *Koadjutorowie duchowni*. 5-to *Professi trzech ślubów*, i 6-to *Professi cztérech ślubów*. *Nowicyusze* sąto uczniowie jezuityzmu. *Koadjutorowie świeccy*, jako bracia laicy, słudzy zakonu. *Scholastycy*, ci już wypełnili trzy zwyczajne śluby: czystości, ubóstwa i posłuszeństwa papieżowi: — są to zwykle professorowie jezuickich kollegiów. *Koadjutorowie duchowni*, również o trzech ślubach, zapełniają miejsca Kaznodziei, Missyonarzy, z nich wybierają się Prokuratorowie, Rektorowie Kollegiów, oraz Administratorowie i Dyrektorowie rezydencyj i domów Zakonu. Od nich niczém się prawie nie różnią *Professi o trzech ślubach*. Nakoniec *Professi o cztérech ślubach*: ci już mają prawo mieszać się do tajemnych spraw Zakonu i być uczęstnikami *Conclave*, gdzie obiera się z ich właśnie grona Jenerał Zakonu. *Jenerał* jest dożywotni z władzą absolutną; może on być złożony z urzędu, głoszą ustawy Zgromadzenia, przez *radę ogólną* (*Congregatio*), albo przez *Assystentów* (rodzaj ministrów:); lecz gdy Assystenci zależą zupełnie od Jenerała, on ma prawo wybierać ich, odmieniać a nawet wypędzić z Zakonu, to i oppozycya ich, jak już powiedziałem, niema żadnego znaczenia. Papieże niemogli ograniczyć absolutyzmu tej władzy, której szczególnie nadużywał piąty z rzędu jenerał *Aquaviva*. W każdej prowincyi głównym naczelnikiem zakonu jest *Prowincyał*; ten zostaje w ścisłej zależności od Jenerała, mając przy sobie brata *Konsultora*, który po prostu jest jego szpiegiem. Podług zakonnych ustaw Konsultorowie przy Rektorach i Dyrektorach posyłają co roku do Prowincyała raz, a do Jenerała dwa razy opieczętowane listy; Konsultorowie przy Prowincyałach posyłają do

Jenerała dwa razy na rok takież pakiety, w których, odłożywszy na stronę wszelką powagę, wszelkie względy pospolite, tłumaczą się otwarcie, wystawiają każdą rzecz treściwie, nago. Prawidłem Zgromadzenia jest »*manifestare se invicem*«. Niemniej szlachetne i budujące prawidło »*quaecumque per quemvis manifestantur*« stosują jezuici do swoich zakładów naukowych, gdzie synowie ojczyzny od dzieciństwa czerpią zasady *religijnego wychowania*, wychowania, za którém tak serdecznie dziś płacze partya ultramontanów we Francyi, za którém i u nas, jakby wtórując tym dalekim beczeniom, wzdychają tak ciężko M. *Grabowski*, *Bejła* i *Kostrowiec*! Cóż jeszcze powiedzieć wypadnie o jezuitach, gdy się dowiemy, że *delacya* była nakazywana przez nich podczas spowiedzi (Instit. T. II. p. 331. Instr. XV dla spowiedników. Ed. pragska.)!?? Otóż jakie były konstytucye Zakonu, jaki duch rządził tém towarzystwem! Możnaż jeszcze powtarzać z Autorem apologii jezuitów, powtarzać pchikając »*pppotęppioono ich nnnie sslusznie i nieprawnie*.«? Ktoż przeczytawszy te kilka kartek nieprzejmie się obrzydzeniem dla towarzystwa rządzonego takiemi ustawami? I pytam, czy z ustaw takiego ducha mogło wyrodzić się co innego, nad te bezeceństwa i szkarady, któremi napiętnowane są czyny jezuitów w każdej ich duchowieńskiej missyi? Godziż się jeszcze, powiadam obstawać za *moralnością* Zakonu i cytować na ten cel — kogoż — Woltera? Wolter powiedział w artykule: *Jesuites ou orgueil* (Dict. phil.) »*On leur a reproché dans six mille volumes leurs morale rélâchée, qui n'etait pas plus relâchée que celle des capucins*.« A to, co dalej mówi o królobójstwach innych mnichów, dowodzi, że bynajmniej niechwalił moralności zakonu. W celu uniewinnienia je-

zuitów pan Gr. potępia *Morale pratique* Arnould'a i *Lettres provinciales* Pascal'a, a nawet waży się wbrew mówić, że to *kłamstwo wierutne*! kłamstwo!? czy słyszycie? kłamstwo powiedziane przez Pascal'a! przez tego wielkiego Pascal'a, co to nosił pas żelazny z kolcami, by kaleczyć ciało swoje, gdy mu jaka myśl światowa przychodziła, co zżymał się na siostrę swoją, jakby za występek jaki, gdy ta całowała dzieci swoje!?— i tego to tak surowej moralności człowieka — Pascal'a obwiniają lekkomyślnie o fałsz, i to w obronie jezuitów, jezuitow, którzy z konfessyonałów nawet w widokach materyalnego swego dobra dozwalali używać podłej broni kłamstwa i potwarzy!? Pascal'a, który sam jeden więcej zrobił odkryć w fizyce i matematyce, niż wszyscy może razem wzięci jezuici!? I kogoż to cytuje pan Grabowski? Cytuje *Woltera*, ktory zazdrościł mu sławy jego i tę zazdrość dosadnie wynurzył w dziele swojém *Temple du Goût*? cytuje *De Maistre'a* i *Chateaubriand'a*, ludzi najstronniejszych w tym względzie, cytuje wreszcie *Sainte-Beuve'a*, którego zdanie wcale niemówi za jezuitami? O panie Grabowski! i cytaty nie niepomogą przeciwko prawdzie! Pascal i ta ironia, którą on w swoich Prowincyałkach prześladuje kazicieli sumienia, żyć będą wieki! Czytałem, czytałem *Prowincyałki*, to nieulega żadnej wątpliwości, czytałem, bo niechcę marnować czasu na czytanie lada jakich nowości, i powiem nawet otwarcie, że stokroć lepiej jest czytać np. *Myśli o religii*, niż coś podobnego do *apologii jezuitów*, daleko więcej pożytku przynieść mogą dawne *Listy do prowincyała*, niż nowe tak sobie do kilku jezuitów *ex voto* pisane. — Janseniści mogli nie mieć racyi, jako Janseniści, ale jako adwersarze jezuitów mieli zupełną.

V.

Jaki był cel jezuickiego towarzystwa? Jezuici starali się wolę i wszelką myśl w świecie zniszczyć, albo raczej zamienić je w massę, z którejby jenerał Zakonu mógł ulepić sobie piedestal do uniwersalnéj monarchii, do tronu, którego gruntem miała być teokratyczna władza, a głową jej papież — ale myślą tej głowy myśl zakonu, wolą wola jenerała. Jakoż zwyczajną to rzeczą było, że papieże zawsze się zgadzali z wolą Zakonu; potępiali i błogosławili to, co chcieli jezuici, aby było potępione lub pobłogosławione. Tak np. świadczy *abbé Rénaudot*, że przed nim, kiedy się znajdował w Rzymie, bardzo zachwalał papież Klemens XI dzieło *Quesnel'a*. »*Co to za doskonała xiążka*! mówił mu. *Ja niemam tu w Rzymie nikogo, coby tak mógł napisać; życzyłbym sobie mocno mieć tu przy sobie autora tego dzieła*.« Ale nie o to chodziło, czy xiążka była dobra, czy zła, głównie tu chodziło, czy trafiła ona do gustu jezuitów? *Le Tellier*, spowiednik Ludwika XIV, użył całego swego wpływu rządcy sumienia potężnego monarchy do ostatecznego potępienia nienanawistnej partyi Jansenistów, do potępienia ich tam nawet, gdzie śladu niebyło jansenizmu, a razem do osobistego poniżenia *Quesnel'a* i jego protektora Arcybiskupa *de Noailles*. Dwaj gorliwi jezuici *d'Aubenton* i *Fabroni* kroku niezrobili z gabinetu Papieża, tak pilnie się starali o potępienie dzieła, które on sobie upodobał. Napróżno Papież wymawiał się przeciwną ich żądaniom obietnicą daną *Świętemu Collegium* i Kardynałowi *La Tremoille*; — »*Fabroni* (jak pisze o tém *Saint-Simon* w swoich pamiętnikach) *s'emporta de colère et traita le Pape de petit garçon, lui soutint la bulle*

belle et bonne, toute telle qu'il la fallait, et que s'il avait fait la sottise de donner cette parole il ne fallait pas la combler en la tenant.« Z takiego to natchnienia powstała bulla głośna pod nazwiskiem *Unigenitus*, w której pomiędzy heretyckie zdania pomieszczono i potępiono nawet takie np. że *czytanie w świąteczne dnie xiąg świętych jest rzeczą arcy chwalebną*. Jezuici byli głową teokracyi, byli oni łańcuchem spajającym oddzielne narodowości ludów Europy w teokratyczną całość, do czego potężnymi dla nich środkami były: 1-ód *wychowanie młodzieży*; 2-re, *rządzenie sumieniem ludów i Królów* (pod takimi zwłaszcza spowiednikami, jakimi byli np. *Cotton*, *La Chaise*, *Le Tellier*, *Skarga* :); 3-cie, *niezmierne bogactwa*; 4-te, *niemoralna moralność*, według której wszystkie środki mogące przysporzyć materyalne dobro zakonu były godziwe, nienaganne; i 5-*te Kommunikacya uniwersalna przez agentów* (*fratrum consultorum*) Prowincyałów i spowiedników — kommunikacya. co jak elektryczny telegraf leciała błyskawicą i oplotłszy czarodziejską swą siecią Japonię, Kochinchinę, Chiny, Indye, Amerykę, Europę, słowem świat cały, skupiała ognisko siły swojej w mózgu jednego człowieka, w jedności tego wielkiego universum, w Jenerale! Gabinet Jenerała byłto świat w miniaturze. Jenerał, to prawdziwy czarodziej, co zamknął w ciasnej celi swojej *geniusza ziemi* i niecofał się przed nim, jak Faust *Goëthe*'*go* — o, nie! władał on nim i władał dzielnie. Chcesz poznać Europę, poznać ludzi. których w świecie zgodzono się nazywać wielkimi, albo tych, co tylko wpływem, środkami są potężni, więc zasiądź przy tém prostém dębowém biórze jednego Mnicha; tam znajdziesz charakterystykę tych ludzi najdokładniejszą, znajdziesz najskrytsze taj-

niki ich duszy, znajdziesz brzydkie plamy, od których sami oni odwracają się ze wstrętem; wszelka tam słabość tych ludzi widna jak na dłoni, widna, bo pilnie wyśledzoną i zanotowaną została przez spowiedników i prosto przez szpiegów Zakonu. W oczach całego świata są to ludzie nadzwyczajni, wielcy, w oczach zaś jezuitów mizerne istoty, plugawe tylko narzędzia plugawych czynów dokonywanych *ad majorem Dei gloriam*.— Jakże smutnie pomyślić o użytku, na jaki obracaną była wiara — wiara, pędząca upokorzone, skruszone serca do pokuty, do moralnej poprawy! I kto wie, możeby cała Europa uwięzła była w biernym elemencie ducha, gdyby jezuityzm powstał był pierwej nieco, przed XVI wiekiem! Ale tutaj już trafił on na oppozycyę silną, coraz silniejszą: — byłato samodzielność, wolność sumienia i myśli, która się szeroko krzewiła w piersi ludzkiej. Plan wszakże jezuityzmu był olbrzymi, przerażający środkami swymi, środkami, co wolę całego prawie świata woli jednego człowieka poddawały! Te naprzykład słowa Jenerała jezuickiego do ambassadora francuzkiego Dworu Xięcia *de Brissac*: »*De cette chambre Mon Signor, de cette chambre je gouverne non seulement Paris mais la Chine, non seulement la Chine mais le monde entier, sans que personne sache comment cela se fait*.« — kogoż te słowa okropnością swoją nie przerażą!? Działania Zakonu były jeszcze tajemnicą w owym czasie, lubo od samego jego nastania czuły ku niemu wstręt mimowolny wszystkie prawie narody. Za życia jeszcze fundatora oświadczyła się Sorbona, że *Zakon Jezuitów ustanowiony na zgubę raczej, niż na zbudowanie wiernych*. Parlament francuzki zawsze był niechętny dla jezuitów. Kollokowani we Francyi za Henryka II i jego następcy Franciszka II

poczęli wyraźnie odgrywać role swoje dopiero w czasach Ligi, regencya bowiem Katarzyny Medicis niebyła im przyjaźną. Partya Xiążąt *de Guise* działająca przeciw Henrykowi III wybornie posłużyła za narzędzie dla ich polityki, której następstwem była nakoniec śmierć króla, tego, jak go nazywali jezuici, *Nerona — Sardanapala*. Pretensye Xięcia *de Mayenne* i dworu Hiszpańskiego do tronu popierali oni wtenczas nawet, kiedy Henryk IV objąwszy katolicyzm został Królem Francyi. Papież Klemens VIII niedawał rozgrzeszenia Krolowi za pierwsze jego odstępstwo od Katolicyzmu (który był objął w Paryżu dla uratowania życia w czasie rzezi Ś. Bartłomieja:) i niepotwierdzał wstąpienia jego na tron, a jezuici wszędzie na ambonach nazywali go tyranem, uzurpatorem, zarażając prócz tego z konfessyonału penitentów swoich nienawiścią do Króla. I otoż *Barriere* wychodzi od jezuickiego spowiednika dla dopełnienia zamachu! Znane są także admonicye O. *Varade'a*. *Chatel* wyszedłszy ze szkół jezuickich, napojonych szatańską nauką, w pół obłąkany widzeniami *Izby medytacyi*, pod wpływem rad spowiednika *Gueret'a* godzi także na życie Krola. W skutek tego Jezuici wypędzeni z Francyi, a równocześnie członek ich Zakonu *Guignard* publicznie stracony w Paryżu za pisma pełne buntowniczego ducha, które przechowywał i któremi podniecał ogień nienawiści ku monarsze. Jezuitów wypędzono z Francyi i na wieczną tego pamiątkę wzniesioną została piramida *Chatel'a* (1595). Tak już Francuzi poznali byli ducha Zakonu, że (jak piszą historycy *de Thou* i *Mezeray*:) za każdą okkazyą do rozruchu, za każdym zamachem na życie Króla lud cisnął się do Klermontskiego Kollegium Zakonu hałasując na jezuitów. Ludy poznały już były ducha, który kierował tym za-

konem. Henryk IV wypędziwszy synów Lojoli trapiony był ciągłą niespokojnością o życie własne, strasznym był dla niego ten zakon nawet i po za granicami państwa. *Sully* w Pamiętnikach swoich: *Economies Royales* przytacza słowa Henryka: »*Par necessité il me faut de deux choses l'une: à savoir les admettre* (jezuitów) *purement et simplement ou bien les rejetter plus absolument que jamais; auquel cas il n'y a presentement de doute que ce ne soit les jéter au dernier desespoir, et par celui dans les desseins d'attenter à ma vie; ce qui me la rendrait si miserable et langoureuse, demeurant toujours ainsi dans les défiances d'être empoisonné ou bien assassiné* (car ces gens ont des intelligences et correspondences partout, et grande dexterité à disposer les esprits selon qu'il leur plait:) *qu'il me vaudrait mieux d'être deja mort* (T. III.)!« Pojęto już wtedy powszechnie, że Jezuici nie są zwyczajnym Zakonem i to odpowiada dostatecznie na pytanie *Linguet'a*, autora *bezstronnej historyi jezuitów*: dla czego, gdy tylu innych zakonników, jeden kartuz, dwóch dominikanów i trzech kapucynów, godziło na życie Henryka IV, dla czego jedni tylko jezuici zostali wypędzeni, chociaż żaden z nich osobiście nieczyhał na odjęcie życia Królowi? — To samo właśnie tłumaczy, jak wielką była potęga jezuickiego wpływu, potęga, co jedném skinieniem, jedném słowem z ust spowiednika zbroiła i wysyłała politycznych zabójców! Gdzieindziej jednostki same przez się lub z fanatyzmu religijnego działały, tutaj działała potęga złego ducha towarzystwa. I jaki to był ten duch, wykładający w teoryi polityczne zabójstwa? Czytajcie, jeśli go poznać chcecie, dzieła doktorów jezuickich od 1590 do 1620 r., czytajcie *Mariana*, *Bellarmina*, *Emm. Sa*, *Salmerona*, *Grze-*

gorza z Valencyi; *Ant. Santarema*, czytajcie mówię, niech szczególnie szanowny nasz Antagonista przeczyta te dzieła choćby *z dziesiątej ręki*, a może ochłonie nieco w swojej sympatyi i da pokój raz na zawsze tym wszystkim *bardzo słusznym* ludziom, których dzisiaj w interessie swoim (chciałem powiedzieć jezuickim) tak mocno turbuje... — Kiedy w Anglii objawił się protestantyzm w formie kościoła anglikańskiego przy Henryku VIII, jezuici zaraz tam rozpoczęli nieprzyjacielskie swe kroki i tysiącznémi intrygami ciągłe utrzymywali zawichrzenia równie w Szkocyi, Irlandyi jak i w samym kraju. Po śmierci Edwarda VI panowanie Maryi Tudor, rozpoczęte ucięciem głowy pięknej ciałem i duszą *Joanny Grey* (ucięto także głowy jej ojcu, teściowi i mężowi :), było nieprzerwanym ciągiem okropnych prześladowań protestantów, których 800 osób na stosach zginęło. Przysłany od Juliusza III Kardynał *Polus* niepochwalał tych środków przywrócenia w kraju katolicyzmu, ale byli w kraju jezuici a więc musiały być usta, co te środki doradzały. Jezuici wielki mieli wpływ za panowania Maryi: ciekawe jest w tej mierze zdanie dzisiejszego historyka zakonu *Crétineau-Joly*; mówi on opisując pięcioletnie panowanie wspomnionej Królowej (Hist. rél. polit. et litt. des Jesuites T. II. Ch. V.); »*Marie reine par le droit de naissance, voulut être catholique par le fait* (?); *si les moyens qu'elle employa ne furent toujours dignes de sa religion ils furent toujours dignes de ce siècle* (Prawdziwy Chrystyanizm w każdym wieku przemawia jednako, tutaj za przykład wskazać można rady Kardynała *Polusa* :). *Après cinq ans de régne, c'ést-à-dire de luttes* (et quelles luttes!) *elle succomba à la peine* (biedna!) *mourant dans toute sa chasteté de femme*

(niewiem, co tu rozumie autor przez *toute chasteté*, kiedy była żoną Filipa II?) *et dans toute sa ferveur de Chretienne* (!!!), *mais avec l'exécration du protestantisme et celle de l'histoire* (przyznaje przecie), *qui trop souvent* (dodaje zaraz) *epousa les preventions des sectaires*! « Tak! sam oto historyczny typ zakonu dowodzi, że sąd historyi bywa parcyalny—nie prawdaż? Ale to bardzo naturalnie, że *Crétineau* broni Maryę Tudor, że chce z niej zmyć tę czarną plamę, która wystąpiła właśnie od nieczystago tchnienia członków protegowanego przezeń Zakonu. Sąd historyi może dla tego niesłuszny względem Maryi, że jej panowanie oświetliło się posępną łuną gorejących stosów, jakby rembrantowską barwą?.. Przypomnijmy sobie słowa Stefana *Batorego*, współczesnego Maryi ale aż we 20 lat później panującego w Polsce, słowa, które powiedział tym, co mu doradzali prześladować dyssydentów: » *Bóg sam jeden trzy rzeczy sobie zachował — z niczego coś stworzyć, przyszłość przewidywać i sumieniem władać*. « Kiedy Chrześcianie domagali się tolerancyi za czasów rzymskich Cesarzów, to cóż tu już mówić o czasach reformacyi? Łagodność i okrucieństwo, fanatyzm i sprawiedliwość zawsze się praktykują, z tém wszystkiem cnota rzadsza jest niż występek, bo cnota nie tyle przystaje do interessów tego świata, którymi się ludzie w imie Boga i pod pozorem religii zajmują.— Ale oto zmienia się scena. Po śmierci Maryi wstępuje na tron Elżbieta, która najwięcej może zawiniła tém, że się urodziła kobietą. Gwoli duchowi narodu i postanowieniu zwołanego Parlamentu protestantyzm odżył nanowo w formie Kościoła Anglikańskiego a Katolicyzm całkiem wygasł w sercach razem z życiem Maryi, razem z ostatnim płomieniem dogorzałego stosu.

Skoro Królowa objęła rząd silną swą ręką, wnet obce wpływy utraciły moc swoją i znikły wespół z *Armadą* Filipa (II) hiszpańskiego, znikły ku pomyślności państwa, ku dobru Kościoła, którego ogłosiła się głową. Ląd stały uczuł majestatyczną siłę tego rządu, kiedy on powagą swoją rozstrzygał czasami polityczne kwestye, jużto ochraniając od Związku (*Ligue*) młodego Henryka Króla Nawarry i potem Króla francuzkiego, jużto zmuszając Maryę Stuart do wyrzeczenia się tytułu królowej Angielskiej, już zasłaniając Niderlandy od Filipa II i t. d. Przemysł się podniósł, handel rozciągnął w odległe ziemie i Katolicyzm byłby zapewne tolerowany, gdyby nie postępek Papieża. Paweł IV na przyjacielskie postępowanie Królowej odpowiedział wyniosłością i największą pogardą: utrzymywał, że Anglia była lenném państwem stolicy Apostolskiej (?); że Elzbieta niemiała prawa ogłaszać się Królową bez wiedzy Papieża, że wreszcie w skutek wyroków poprzedników jego Klemensa VII i Pawła III, przeciwnych związkowi Henryka VIII z Anną Boleną, matką Królowej, (jakowy związek wszakże nie był zniesiony), Elżbieta jest córką z nieprawego łoża i jako taka usunięta od tronu. Nic dziwnego, że takie słowa mocno oburzyły królowę i cały naród; to był nowy powód do obrzydzenia katolicyzmu zkompromittowanego postępkami Maryi i ztąd niemógł on już podnieść się za panowania Elżbiety. Pius IV nie wskórał łagodnością, a Pius V. napróżno wydał (1570) groźną bullę uwalniając nią Anglików od przysięgi, bo niebyły to już te czasy, w których jedna bulla mogła zrzucać królów z ich tronów. Flottę hiszpańską, którą wysłał był zawiedziony w affektach swoich Konkurrent Elżbiety a mąż nieboszczki Maryi, burza roztrzaskała u skały. Syx-

tus V usunął Królowę od społeczności wiernych, lubo ona oddawna sama się oddzieliła od katolickiego zgromadzenia ogłaszając się głową nowego Kościoła Anglikańskiego; przyznał wszakże ten Papież, że Elżbieta ma wielki rozum: »*Un gran cervello di Principessa!*« — Liczne były starania w célu przywrócenia Katolicyzmu. Jezuici wysyłani byli do Anglii, jako żołdacy tej sprawie poświęceni; przezwano ich tam *ostrym mieczem, którego rękojeść była w Rzymie, w ręku Jenerała*; za słabą miał rękę trzeci z rzędu Jenerał Franciszek Borgiasz, ale zato następca jego, despotyczny Aquaviva, najwięcej zrobił zamieszań w Europie swoim orężem. Odkryły się spiski *Pola*, potem X. *Norfolk'a* ściętego 1571 r. W r. 1581 nowy powstał spisek jezuitów przeciw Elżbiecie i trzech ich tegoż roku powieszono. Następnie w r. 1584 uknuty został spisek na życie Królowej przez Williama *Parry*, któremu wmówili jezuici, że zamiar ten był nader chwalebny; w tym celu jezuita *Codret* wysłał był list od Williama do Rzymu, a chociaż nieotrzymał upoważnienia od Papieża, namówiono go wszakże do czynu, za użyciem powagi mniejszej wprawdzie niż głowy Kościoła, zawsze jednak wiele znaczącej, powagi Nuncyusza Kardynała *Como*. Odkryty ten zamach ukarany był śmiercią w r. 1584. Jezuici mocno zostali zkompromittowani kiedy przejęto list Kardynała; tutaj wmieszany był i jezuita *Creighton*. Następują spiski partyzantów uwięzionej Maryi Stuart, spisek Norfolka, który zakończył się jego śmiercią. Jezuita *Ballard* znalazł nową jeszcze ofiarę *Babington'a*, entuzyastę zapalonego portretem Maryi Stuart; sprzymierzył się on z *Savage'em*, kreaturą jezuitów taką samą, jaką był *Chatel* we Francyi; śmierć położyła koniec tym tentacyom, a wyznania oskarżały

jezuitów i Maryę Stuart. Te wszystkie zamachy zniewoliły wreszcie Elżbietę skończyć z tą kobietą, tyle występną a tak ułudzającą tych, co ją otaczali. Natura dała jej piękność ciała niedając piękności duszy, tej to piękności, która jest jedyną zaletą kobiety. W r. 1581 Marya Stuart została straconą. Powstał był jeszcze jeden spisek, ale to już spisek domowy przez faworyta Królowej uknuty, w którym jezuici niemogli mieć udziału. Nakoniec po śmierci Elżbiety wstępuje na tron Jakób I. Tu nowe spiski, do których mieszą się Jezuita *Watson* i odnosi karę śmierci. Dalej ma miejsce *zamach prochowy* w celu wysadzenia w powietrze parlamentu wraz z Królem, zamach, który się nie udał. Przedsiębierca jego *Catesby* zwierzył się był spowiednikowi *Oldecornowi*, a ten, jak to zwykłe czynili jego bracia, zamiar pochwalił; uczestnikami byli jezuici: *Garnet*, *Gerard* i *Tesmund*, z których dwaj pierwsi po spełznieniu zamachu powieszeni zostali, a którym pobożny historyk swego Zakonu *Jouvency* naznacza miejsce w gronie świętych męczenników, tłumacząc, że *Catesby* udawał się w niepewności po radę do jezuitów, lecz oni mu nie dawali wyraźnego przyzwolenia i nawet modlili się na tę intencyę (?!). *Eudemon*, jezuita z Kandyi, ogłosił za pozwoleniem jenerała Akwawiwy Apologię Prefekta Angielskiej missyi, w której dowodząc jego niewinności powiada, że jeśli wiedział o zbrodniczym zamachu, to tylko wiedział ze spowiedzi (!!?). To samo ogłaszał potém *Tesmund* schroniwszy się za granicę, ogłaszał, *że nie wiedział*, *na jaką intencyę miał mszę i dawał sakrament*. Na tém się nieskończyło. Karol I wdawszy się z jezuitami położył głowę na eszafocie. Przy Karolu II odkryły się nowe spiski jezuickie. Przy Jakóbie II, mieli już je-

zuici wpływ bezpośredni, bowiem ich przełożonemu *Peters'owi* Król był powierzył część administracyi, ale w końcu detronizowany schronił się do Francyi i umarł w Paryżu. Jezuici usiłowali jeszcze wejść do Anglii ze Stuartami, z Kawalerem *de St. George* synem Jakóba II, ale już zawsze nadaremnie. Nie od rzeczy tu wspomnieć o działaniach jezuitów w Hollandyi i w Belgii. o zamachach na życie Xięcia Orani Wilhelma hrabi Nassauskiego, zabitego wreszcie przez *Gerard'a*. którego familia nobilitowaną została przez Filipa II. Przytaczam te szczegóły dla tego jedynie, aby pokazać, jak są czcze i bez znaczenia ogólne słowa, że *historya poważna szukająca przekonania z dowodów odrzuciła te obwinienia.* Bo pytam: jakaż jest nasza historya? jakie dowody? — Współczesne śledztwa i wyznania — wyznania samychże jezuitów! Historyk *de Thou*, prawdziwe żrzódło, mówi, jakieśmy tu powiedzieli. o postępkach jezuitów tak we Francyi i Anglii, jak i w Hollandyi, pokazując, gdzie były dowody, gdzie same tylko podejrzenia. *Hume*, historyk Anglii, nieszczędzi także jezuitów. Jakiejże tedy historyi, jakich dowodów chce pan Grabowski? Niechby przecie zastanowił się nad tém, że skargi na jezuitów od początku do końca, bo do samej śmierci *Ganganellego*, skargi tak powszechne, ciągłe i zażarte niemogły być czczym głosem, a musiały koniecznie wynikać z istotnych niecnót i bezprawi tych mnichów... Ale powróćmy do Francyi. Henryk IV przywołał jezuitów w dziesięć lat po ich wygnaniu; piramida *Chatel'a* została zniesiona i Król, żeby mieć w swoim ręku Zakon, wziął do siebie na zakładnika jednego jezuitę: — byłto O. *Cotton*, później krolewski spowiednik. Król sam się złapał w sidła wziąwszy do siebie jezuickiego szpiega,

bo kiedy z jednej strony jezuita przywiązywał do siebie Króla patrząc, jako spowiednik, przez szpary na jego życie rozwiązłe, to z drugiej służył on Hiszpanii odkrywając Dworowi tajemnice spowiedzi; wiadomo, że jezuici zawsze byli przeciwnikami Henryka, zabitego przez *Ravaillac'a*. Od tego czasu jezuici pełnią religijne obowiązki Spowiedników przy Dworach Katolickich. We Francyi wpływ ich był mały bo ograniczony władzą Kardynała *Richelieu*, za panowania Ludwika XIII; ale w podeszłe lata następcy jego Ludwika XIV i jego bezzębej metressy *Maintenon* wystąpili już z całą mocą OO. *Lachaise* i *Le Tellier* dla prześladowania jansenistów i protestantów, wymógłszy pierwej na Królu odwołanie Nantskiego edyktu nadanego protestantom przez Henryka IV; — całe to prześladowanie barbarzyńskiemi okrucieństwami nacechowane znane jest pod imieniem *wojny Sewenńskiej*. Skutkiem tego Hugonoci expatryują się i cały przemysł Francyi przechodzi za granicę, szczególnie do Pruss. Takiż sam wpływ mieli jezuici w Hiszpanii, z którą oni zawsze trzymali przeciw Francyi, Anglii i Niderlandom, knując czasami według okoliczności i przeciw niej samej, bo wszystkie władze zarówno były im nienawistne, używali ich wszystkich dla własnych widoków, by eliminując jedna drugą służyły do podtrzymania władzy Zakonu i jego planów *powszechnego panowania*. Potężnym do tego przewodnikiem były pieniądze. Jezuici starali się o nabycie wielkich, ogromnych skarbów; udając przykry stan ubóstwa i niedostatku wyłudzali od bogaczów zapisy, udając zaś pogardę dla dóbr ziemskich i mammony wciągali do swego towarzystwa bogatych ludzi, ale niedość dla nich było tych dwóch przez same ustawy poleconych srodków, przedsięwzięli

jeszcze inny, a tym był handel, handel całego świata, bo odległego wschodu i Ameryki. Missyonarze przeistaczali się w handlarzy i domy duchownego zgromadzenia były razem domami handlowymi, bankami. Bogactwa nagromadzały się w Zakonie a kraje ubożały. Właśnie stan Portugalii nie musiał być *dodatni*, kiedy *Pombal* usiłował zreformować ten Zakon w celu podniesienia krajowego handlu, przemysłu i w ogóle finansów, które garnęły się do jezuitów. Oppozycya przeciw jezuitom, która wszczęła się wraz z ich nastaniem i trwała zawsze, wzrosła do wielkiej potęgi w XVIII w. i szła już z Zakonem w śmiertelne zapasy. We Francyi piosnki, pamflety i Karykatury prześladowały jezuitów, chociaż mieli tam pewną powagę opartą na protekcyi Kardynała *Fleury*. Rząd portugalski zanosił skargę do Stolicy apostolskiej (1758) o to, że jezuici stawszy się kupcami i bankierami przeszkadzają reformie handlu krajowego uregulowanej przez kompanie; że w Ameryce w Maranionie i Paragwai z missyonarzy stawszy się panami tych krajów zabraniają do nich wstępu innym Europejczykom; że oni są tam raczej swawolnymi żołnierzami i tyranami, niż członkami duchownego zgromadzenia; że sprzeciwiają się wyrokóm królewskim i postanowieniom papiezkim; że wreszcie intrygami swémi w Europie usiłują zrywać traktaty pomiędzy Dworami Madryckim i Lisbońskim o granice w południowej Ameryce, bojąc się, by przez to nieutracić swojej przywłaszczonej posiadłości. Takie nieporozumienia pomiędzy Zakonem i Dworem pierwej mu zupełnie uległym, przeciągnęły jezuitów na stronę malkontentów; za ich to sprawą wybuchły bunty w Oporto i innych miastach. Kiedy straszne trzęsienie ziemi zniszczyło Lizbonę, oni wskazywali na ten wypadek,

jako na skutek gniewu Bożego za nieuszanowanie ich towarzystwa i straszyli lud nowémi jeszcze klęskami. Wszakże w skutek pomienionych skarg Papież Benedykt XIV. wydaném kardynałowi Saldanha *breve* nakazał: *przyprowadzić jezuitów do nauki ewangelicznej i apostolskiej, do życia porządnego*; zalecił, aby ci zakonnicy *odprawiali służbę Bożą w czystości i prostocie*, oraz *wypełniali ściśle wydane już regularnemu duchowieństwu zakazy trudnienia się handlem* i t. d. Na mocy tego *breve* zkonfiskowano towary jezuitów, opieczętowano ich xięgi handlowe, zakazano im spowiadać i nauczać z ambony, pozamykano ich szkoły. Ale oto wstępuje na stolicę apostolską Klemens XIII, i — jezuici z żałobą do niego. Papież ten, widocznie chcąc ich wesprzeć swoją protekcyą, nakazuje rozpatrzyć skargi na nich zaniesione, gdy wtém (r. 1758) odkrywa się spisek na życie Króla Józefa I., spisek, w którym uczestnictwo mieli Jezuici! Zanic więc wszelka protekcya, bo Król feruje dekret *expulsionis*, oskarzając w nim jezuitów *o występki niesłychane*, *o bunty w Ameryce*, *o zamach na swoje życie* i w skutek tego rozkazuje im opuścić Królestwo i kolonije swego państwa, a majątek Zakonu poleca zkonfiskować na rzecz Skarbu (1). Karol III. król Hiszpański mając takież same nieukontentowanie do zakonu, a przytem odkrywszy korrespondencyę prowadzoną w celu usadowienia na zajmowanym przez niego tronie brata jego Ludwika i że tę intrygę knuli jezuici (o tém pisze także *Sismond Sismondi* katolik), wygnał ich (w liczbie 6000) ze swe-

(1) Potrzeba tu mieć na uwadze niełaskę tego zakonu u Króla, u którego wprzódy byli głową i sercem — domowymi spowiednikami. *Inde irae.*

go państwa, *ukrywając wszakże ich występki aby nierobić publicznego zgorszenia*, jak pisał o tém do Klemensa XIII. *Choiseul* wymaga od Papieża (1768.) w imieniu burbońskich dworów Francyi, Hiszpanii i Neapolu zniesienia jezuitów. Tu wypada jeszcze wspomnieć jedno polityczne zdarzenie. Kiedy naśladując Portugalią, Hiszpanią, Francyą i królestwo obojga Sycylij, rządy Wenecyi, Parmy, Modeny i Bawaryi wygnały jezuitów, ci doradzili Klemensowi XIII ukarać xięcia Parmy *dla przykładu*; w skutek tej rady Papież exkommunikuje xięztwo i detronizuje Xięcia Ferdynanda objawiając dawne prawa Stolicy apostolskiej do tej posiadłości; na jakowy czyn odpowiadają burbońskie Domy, a mianowicie, Francya zajęciem hrabstwa *Venessenskiego* a Neapol *Beneventu i Ponte — Corvo*, i tu dopiero nastąpił memoryał *Choiseul'a*. Wypadki te przyprawiają o śmierć 80-o letniego Papieża, po którym nastąpił Klemens XIV (*Ganganelli*), wyniesiony przez Kardynała *Bernis* i partyę francuzką. W tej epoce zesława jezuitów była w najgorszym stanie. Kiedy zewsząd na nich zachodzą skargi, staje się, że jezuita *La Vallette* bankrutuje; pokrzywdzeni pozywają Zakon o zapłacenie długów, który broni się tém, że nic niewiedział o handlu prowadzonym przez samego *La Vallette'a*; wszakże nadaremnie starali się jezuici załatwić tę sprawę, która stała się powodem głośnych szemrań i bardziej jeszcze zwiększyła powszechną ku nim niechęć. Kiedy edycya pragska ustaw Zakonu jawną się stała, wtenczas pokazali wierzyciele, jaka była zawisłość wszystkich jezuickich domów i każdego członka towarzystwa od Jenerała i jak żadne indywiduum nic niemiało swego wyłącznie a wszystko było własnością zakonu; gdy więc *La Vallette*, jak i wielu innych je-

zuitów, prowadził handel na rzecz Zakonu, Zakon powinien płacić długi. Te ustawy zwróciły powszechną uwagę i dopiero poznano jezuitów, że niebył to prosty zakon, jak np. Kamedułów albo Cystersów, a było to raczej sekretne polityczne towarzystwo na wzór *wolnych mularzy*: jakoż, *V. Bonneville* w dziele - *Les Jesuites chassés de la maçonnerie*, 1788 - dowodzi tożsamości 4. ślubów zakonu i ślubów masonneryi Ś. Jana. Jakkolwiek bądź, fakt to niezaprzeczony, że jezuici nie niebo a ziemię mieli na celu; królestwo ich było na tym świecie, na ziemi, wtenczas, kiedy Chrystus, którego *towarzyszami* mianować się ważyli, do nieba zawsze wznosił się duchem i na niebo tęskném okiem ukazywał!.. W XVII wieku (1645.) ukazało się w Wenecyi dzieło; *Monarchia Solipsorum* pod pseudonymem Korn. *Europeusza*, przypisywane jezuicie Wiedeńskiemu *Inhofer'owi*, którego władza Zakonu porwać miała dla ukarania. W tém dziele przedstawia się w allegoryi Zakon Loyoli starający się o panowanie nad światem; wyświecone tu są jego ustawy, hierarchia, bogactwa, duch delacyi, intrygi i obłudy, oraz ten egoizm, co dla dogodzenia szatańskiej swojej dumie gotów poświęcić wszystko, wszystko! najświętsze nawet popędy ducha - cnotę, prawość, religię! Zakon jezuitów był sam sobie Bogiem, jak pomawiali o to w swoim czasie Templaryuszów:— i temuto Bogu niektórzy ludzie radziby przynieść w ofierze siebie i całą ludzkość!? Jako opprzycyę usiłowaniom zakonu należy tu jeszcze wspomnieć dzieło ex - jezuity Piotra *Jarrige* — *Les Jesuites mis sur l'échafaut*, 1677; oraz Moliera *Tartufe'a*. którego jezuici zabraniali wystawiać na scenie w r. 1825 przy Karolu X, a Autora w swoim czasie na poświęconém miejscu grzebać niechcieli. Wola i światło były

nienawistne dla jezuitów, dla tegoto dwoma środkami — *konfessyonałem i szkołą* chcieli oni udusić, zniszczyć te dwa przeciwne im geniusze. Jakoż, kto tylko zastanawiał się nad kierunkiem jezuickiej nauki, ten musiał w niej widzieć mnóstwo drobiazgów, wielką ostentacyę, ale niedojrzał tam wcale ducha; nauka ich była trupem, bo i samą ludzkość z sił życia wyzuć chcieli, wyciągając z jej piersi wolność, aby ją przesadzić w pierś swego jenerała. Jenerał chciał być Bogiem, chciał przekształcić świat według swojej woli, aby stał się niejako właśnem jego dziełem. I zważcie tylko; każdego postępu, każdego wynalazku zbawiennego, każdej myśli nowej Zakon na mocy Statutu swego wrodzonym jest nieprzyjacielem! w tym statucie krwią było napisano »*nemo novas introducat quaestiones*!« Galileusz oskarżony przez Jezuitę *Szejnera* (wynalazcę *plam na słońcu*) musi się zapierać zdania swego przed Inkwizycyą rzymską, w więzieniu i przy stosie!— ale »*E pur si muove*« wołał potém, bo wbrew jezuitom i torturom Inkwizycyi ziemia się obracała, a ludzkość posuwała się naprzód! Nauka była dla nich środkiem do podniesienia siebie a poniżenia ludów; była latarką, co mdłem swojém ogniskiem oświecając maluczkie koło, tém większe po za jego granicami roztaczała ciemności; byłto tylko pozór nauki, szpichlerz faktów bez myśli organicznej, czcza, bezduszna empirya! Uczyli oni tak, aby człowiek przejrzał, że nic nieumie i nic umieć niemoże; takiemu człowiekowi, którego otoczono w około siecią skeptycyzmu, potrzeba było koniecznie jakiejś powagi, powagi, którejby ślepo zaufał; — otoż tę powagę musiał on w końcu znaleźć w zdaniu swego spowiednika, a ten spowiednik znajdował ją w duchu ustaw swego zakonu i w woli Jenerała. Jakże sobie postępował *Hu-*

ctiusz biskup *d'Avrènche*? oto, sceptycyzmem chciał doprowadzić ludzi do wiary. Jaka była pierwsza nauka *de Lamennais*, albo Józefa *de Maistre'a*? jaka jest dzisiaj *Bautain'a*, *Lacordaire'a*, *Ravignan'a* i t. p. — sąto wierne echa jezuityzmu. Powiedziałem, że człowiek musiał ślepo ufać swemu spowiednikowi: — tak, bo sam niemiał w niczém pewności, ani w sumieniu, ani w sercu, ani w zakonie bożym, ani w prawie ludzkiém; Kazuiści jezuiccy obalili to wszystko, obalili, ażeby z gruzów tej świętej budowy wznieść mury na około państwa Loyoli broniące doń wejścia wolności ducha bożego. Owoż punkt, z którego zapatrywać się potrzeba na Zakon, aby odgadnąć, zkądto on brał swoich świeckich braci — jezuitów *ex-voto*, którzy pod suknią profanów kryli jezuickie symbola i stanowili wojsko Zakonu. Niewiara i zarozumiałość, ślepa wiara i słabość umysłowa podawały sobie dłonie i szły ordynkiem, podpierając głowami swémi oppressyę i ciemnotę. Kto tylko był człowiekiem pewnego wpływu ze stanu, professyi i jakichkolwiek przymiotów swoich, ten przechodził na stronę jezuitów; doktor, sędzia, minister, podróżujący hrabia, piękna kobieta, co jak *Dalila* gotowa się zaprzedać w moc Filistynów, nawet twoja córka albo żona, której sumieniem rządzi czarny człowiek... I chciejże tu jeszcze powiedzieć co o wolności myśli! Którzy się wyrzekli familii swojej i swego kraju, czyż mogą ci zważać na interessa rodzinnej swojej ziemi? Jakoż, oppozycya, która się wciąż rozwijała przeciw jezuitom, była z jednej strony oppozycyą w imie cywilizacyi, czyli wolności myśli i sumienia, z drugiej oppozycyą w imie narodowości ludów Europy naprzeciw teokratycznym roszczeniom, które z natury swojej wprost były przeciwne interessom kraju. Kie-

dy *l'abbé Chauvelin*, mając sobie przyporuczony przez parlament Paryzki akt oskarzenia jezuitów, po raz pierwszy zbadał i wyprowadził na jaw z instytucyj tego zakonu prawdziwy duch jego, ten plan powszechnej monarchii, tę jedność działania massy dla osiągnienia jedynego celu - *panowania*; to tém samém już pokazał, jaka oppozycya zachodziła pomiędzy każdą władzą kraju a tym zakonem, dążącym do utworzenia jakiejś nadzwyczajnej, absolutnej powagi, powagi, którąby z czasem uorganizować się mogła w ciało teokracyi uniwersalnej. I jeszcze mówią: »*niesłusznie skassowano jezuitów — parlament postąpił sobie nieprawnie*.»!! Wszakże był środek rehabilitacyi dla jezuitów, niechby byli odmienili ustawy swoje, niechby pozostali *prostymi mnichami*, ale na te propozycye dumnie odpowiedział Jenerał: »*Niech będą jak są, albo niech wcale nie będą* (sint ut sunt aut non sint!).« Cóż tu jeszcze powiedzieć o tych działaniach politycznych, które wypływały z jezuickiego konfessyonału? o polityce Francyi przy rządzie jezuitów i *Maintenon*? o polityce Ferdynanda II i jego spowiednika Bekana? albo o polityce Zygmunta III, jezuity *ex voto*, króla missyonarza, który za radą Piotra *Skargi* i Bernarda *Gołyńskiego* chciał cały świat przerobić na jezuitę, chciał nawracać Szwecyą, Prusy, Inflanty, Polskę, Rossyą, Mołdawią, Wałachią, Ukrainę, Turcyę nawet, i porodził niesnaski w kraju, porodził trzydziestoletnie wojny ze Szwecyą, stoletnie z kozakami, także wojny z Rossyą i nakoniec osłabił, wyniszczył kraj z dostatków, rozerwał go na dwie przeciwne sobie części, które ścierając się i gryząc na zabój padły w synkopie, a tymczasem jezuici pobożnie żegnali krzyżem i kropili wodą święconą, kropili tę ziemię, która właśnie za ich sprawą hojnie krwią lu-

dzką była napojona !?.. Sława i cześć *jezuitom*! Sława Kardynałowi *Hozyuszowi*, który ich sprowadził!! sława też *Grabowskiemu*, *Bejle* i *Kostrowcowi*, dzisiejszym ich adoratorom i obrońcom !!! Z Xiążęcych rodów jezuitami *ex voto* byli: Ferdynand II i Ferdynand III Cesarze rzymscy, Zygmunt III król polski, (Jan Kazimierz był już regularnym Jezuitą), Kardynał infant Xiąże Sabaudyi i matka Cesarza Rudolfa a żona Karola IX, autora rzezi Ś. Bartłomieja. Stary Ludwik XIV nosił na sobie jezuickie symbola, a za czasów Restauracyi kiedy zmarł nagle ministér spraw zagranicznych *de Puysieux*, znaleziono przy nim jezuickie znaki. Cóż gdyby strząsnąć dobrze autorów zdań poważnych wypisanych sumiennie przez p. Grabowskiego, możebyśmy znaleźli nie jedno piętno jezuickie? Ale cyt — co za lekkomyślność — wszak to są wszystko *bezstronne głosy*!

Jezuici będąc do czego innego ustanowieni a nie do modlitwy, niemieli wyznaczonych *jutrzni*, *sexty i nony*, na które zwykle zbierają się zakonnicy dla wspólnych modłów w chórze. Papieże starali się pomału *zmniszyć* ten Zakon; Paweł IV i Pius V chcieli nadać mu wspólne modlitwy i służbę w Chórze, ale jezuici wymówili się od tego utrzymując, że nowe porządki mogły *szkodzić i uwłaczać* zakonowi, że założyciel najlepiej wiedział, co mu właściwe a co przeciwne. Wszystko to wyrecytował *pokorny braciom swoim* Jenerał Fr. Borgiasz, przyjęty zato przez braci do liczby świętych. »*Nareszcie* (dodaje naiwnie w swoim memoryale Jenerał;) *my jesteśmy ludzie i pewnie znajdą się pomiędzy nami tacy, co wchodząc do zakonu wcale niemyśleli o modlitwach w Chórze, do których może i usposobienia niemają.*« O, to rzecz niezawodna, że jezuici ani myśleli o modlitwie, ani mieli do niej

usposobienie! Ktoż widział *Rodin'a*, aby się modlił!? Ale ustawy Zakonu potwierdzone były na Soborze Trydentskim, nieśmiano więc nastawać na jezuitów w tym względzie, aby ci nie umyślili z czasem przyznać supremacyi Soborowi nad Papieżem; wszakże Pius V przekładał, że *dobrzeby było przy tylu światowych zajęciach mieć zajęcia duchowne*, *inaczej* (mówił on Palankowi, jenerałowi *de facto*) *wy będziecie podobni do kominiarży*, *co wyczyszczając kominy*, *sami się niemiłosiernie smolą*. — Jak gdybyto jezuici nie byli oswojeni z sadzą!? Otoż, ani obecności na modłach przynajmniej dwóch professów, ani zniesienia duchownych Koadjutorów niemógł wyjednać Papież; Jezuici byli nieugięci. Paweł V musiał także zaniechać przedsięwzięcia reformy Zakonu. Klemens VIII chciał był potępić xiążkę *Moliny* (1), ale kiedy jezuici zaczęli coś *inimiciter* przebąkiwać i nawet utrzymywać w akademickich tezach w Alkali, że *niekoniecznie uważać trzeba za namiestnika Ś. Piotra tego*, *kto jest Papieżem*, to i nieśmiał uskutecznić swojej chęci. Kiedy Innocenty XI ganił moralność jezuitów, oni z swej strony obwiniali go o jansenizm, jak obwiniali o to we Fran-

(1) Ludwik *Molina*, teolog hiszpański, ogłosił w r. 1593 kommentarz do zbioru Ś. Tomasza, w którym starał się pogodzić los z mądrością Bożą i przeznaczeniem. Molina nieprzypuszcza żadnych łask pewnych a zdaje się wiele przypisywać losowi; uważa w B o g u wiadomość pośrednią co do spraw tego świata i wierzy, że przeznaczenie późniejszém jest od wiadomości zasług. Wszyscy, co się trzymali zdań jego, nazwani są Molinistami, a ich marzenia, nie więcej zrozumiałe od marzeń jansenistów, były powodem do okropnych sporów, z których my dzisiaj, jak i z artykułów *pro jesuitas*, serdecznie się śmiejemy.

(*Wydawca.*)

cyi każdego, kto był im przeciwny i stał na zawadzie, na papieża jednak niemożna było wyjednać *lettre de cachet*, chociaż mieli gotowego w tym względzie do usług swoich protektora Kardynała *Fleury*. Jeżeli jezuici tak się sprzeciwiali Papieżom w rzeczach domowych (powiemy później, jak się im sprzeciwiali w missyach), to cóż dziwnego, że się niegodzili z biskupami i kardynałami, że dla polityki wystąpili nawet naprzeciw Medyolańskiego Arcybiskupa Św. Karola Boromeusza — czém wielki podnieśli skandal!? Kiedy Europa głośno obwiniała jezuitów i kiedy wreszcie wygnawszy ich domagała się uroczyście od Stolicy Apostolskiej zniesienia tego Zakonu, Papieże nie widzieli wcale niewinniątek w jezuitach; — tak jest, ale Papieże bali się jezuitów, głównie zaś, że zgodzić się na ich potępienie, byłoto wyraźnie przyznać, jak mówił Klemens XIII, że Papieże tolerując ten Zakon popełnili *wielką omyłkę* — a wiadomo każdemu, że *sąd papieża jest nieomylny*. Otoż dla czego, jeżeli jezuici nie są czyści, starają się ich koniecznie wybielić choćby wapnem, aby byli zupełnie jak te groby, o których wspomina Ewangelia.

Kiedy na stolicę rzymską wstąpił Kardynał *Ganganelli* pod imieniem Klemensa XIV, (1) już można było przewidzieć, że sprawa jezuitów, jeszcze przy Benedykcie XIV rozpoczęta, ostatecznie będzie rozstrzygniona za tego papieztwa. *Być albo niebyć zakonowi?* — pytanie, na które nietrudno było odpowiedzieć wtenczas, gdy ten zakon prawdziwym anachronizmem stał się wśród ducha XVIII wieku; gdy już on nigdzie

---

(1) W dziełach tego Papieża, pisanych jeszcze, kiedy był Kardynałem, jest jeden list dowodzący potrzeby zniesienia Jezuitów. (*Przyp. Aut.*)

prawie nieistniał *de facto* i gdy niezbędną rzeczą było, aby ci, co ustanowili i cierpieli ten zakon, zdecydowali się wreszcie zburzyć go, jako instytucyę zgubną i gorszącą... — To było wielkim dla Europy interessem, ciekawością ostatniego aktu tragedyi — i ten akt długo się ciągnął. Papież potrzebował czasu do namysłu; widocznie lękał się wpływów Zakonu, ale Karol III, król hiszpański, obiecał mu przysłać posiłki do *Civita-Vecchia*. Straszne pogróżki roznoszone były wszędy przez jezuitów. Papież prosił króla Karola III, aby mu pozwolił przynajmniej zaczekać do śmierci ostatniego Jenerała zakonu *Ricciego* — ale nadaremnie. Jako *praeambulum* do kassacyi, dozwolił wreszcie Klemens wnosić do trybunałów zażalenia na zakon, które dotąd nie były przyjmowane, i wraz posypały się tysiącami te zażalenia, jużto o niewypłat długów, już o szachrajstwa używane w celu pozbycia się wierzycieli, już o nadużycia w kollegiach i seminaryach i t. d. i t. d. Skutkiem tego *Collegio - Romano* było zkonfiskowane i ruchomości sprzedane na rzecz kredytorów; tak samo postąpiono we *Frascati* i *Tivoli*. Jezuitom w państwie rzymskiém zabroniono uczenia. Po tém wszystkiém Klemens XIV zrobił wreszcie krok, na który tak długo zdecydować się niemógł, to jest, przystąpił do podpisania kassacyjnej bulli, podpisawszy zaś ją, powiedział: »*Otoż ta kassacya! zgodziłem się na nią po długim namyśle i nieżałuję, żem to uczynił.*« Tak została wydana w r. 1773 d. 21 Lipca ta sławna bulla *Dominus ac Redemptor*. Pisząc o dziełach Eug. Sue wyraziłem, że sam Papież Klemens XIV wymienił w swojej kassacyjnej bulli to, co im dzisiaj zarzuca Autor *Żyda tułacza*; co wydało się panu Grabowskiemu tak okropnie dziwném, że mię oto zapytuje głosem inkwi-

zytorskim: czym widział kiedy *w żywe oczy* tę bullę?— i, niedawszy mi chwilki czasu, sam zaraz odpowiada w sposób twierdzący, że nieczytałem jej nigdy, niemogłem czytać, a jeżelim czytał, to chyba *z dziesiątej ręki*! Nieznając autora tego zarzutu mógłbyś pomyśleć, że on jest obywatelem rzymskim, że mieszka tuż obok Watykanu i że tameczne Archivum zna jak swoich pięć palców, ale my, co wiemy, że p. Grabowski był i jest sobie possesyonatem w okolicy Czehryna, który, najprostszą drogą wpoprzek Adryatyku biorąc, jest o jakie 2000 rossyjskich wiorst odległy od miejsca, gdzie się chroni oryginalna bulla Klemensa XIV, co wiemy jeszcze, że o tej bulli tyle tylko sam wie, ile wyczytał w historyi *Schoela*, my ten zarzut poczytujemy za nic więcej, jak za czczą gaskonadę. Spowiadam się. Mieszkając w okolicy Kijowa i niebędąc nigdy w Rzymie, oczywiście niemógłem widzieć tej bulli ani w oryginale chroniącym się w archiwach Watykanu, ani w kopiach rozesłanych do Prowincyałów jezuickich, ani nawet w bullarzu, mimo to wszakże niepochlebię sobie, gdy powiem, że z tak dzielnym erudytem, jak p. Grabowski, śmiało mogę stanąć do walki, bo jeżeli jemu znaną jest bulla *Dominus ac Redemptor* z dzieła *Schoela*, to ja ją znam z obszernych dzieł o jezuitach, znam z *Wolfa*, *Boucher'a*, *Quinet'a*, znam i z dziejów XVIII wieku; postosowawszy zaś te wszystkie texta i znalazłszy zupełną pomiędzy nimi zgodność, mogę zdaje się wierzyć, że wszędzie jestto ta sama bulla i mogę o niej pisać z taką pewnością, jak gdybym był osobiście w Rzymie i czytał oryginał stwierdzony własnoręcznym podpisem papieża Klemensa XIV. Głównem jest w zarzucie p. Grab. twierdzenie, *że treść bulli nie nagania wcale Instytutu i że powody w niej objawione były czysto polityczne.*

Jeżeli tak, to czemuż niepoparł swego twierdzenia dosłowną cytacyą tej bulli? czemu użyć niechciał słonecznych promieni najpotężniejszego autorytetu dla zaćmienia anti-jezuickiej *Gwiazdy*? Wypada ze wszech miar zacytować tę bullę, niech ją przecie zobaczą wszyscy *w żywe oczy*; przekona się sam p. Grabowski, że lepiej jest dać czytelnikom tak ciekawą rzecz z drugiej ręki, niż czekać, aż się oni wybiorą w podróż za granicę dla poznania jej w oryginale. Pan Grab. troskliwie zszywał tę swoją jezuicką apologię z niepotrzebnych bo dowolnych cytacyj, a kiedy przyszło do historycznego faktu, gdzie właśnie cytacya byłaby na swojém miejscu, to odsunął na stronę wszystkie autorytety i począł bez potrzeby prawić o swojej erudycyi, a erudycyi (jak wiadomo u każdego literata osiadłego na wsi) opartej na czémkolwiek, to jest, na dziełach, jakie się mają pod ręką. Ale idźmy już do bulli. Pan Grab. aby lepiej jeszcze dowieść, że Klemens skassował zakon niechętnie (temu nikt nie przeczy:), dodaje »*może umyślnie zaniedbał kazać spełnić te formy, które są nieodzowne, żeby akt prawny uważać się mógł za doszły i obowiązujący*.« Czy słyszał kto podobne zdanie? *Papież po zredagowaniu i podpisaniu swego wyroku zaniedbał kazać go spełnić*!? Zdaje się, że tu już za daleko posunięto gorliwość w obronie jezuitów, kiedy śmiano nieomylną głowę Kościoła, Ojca Świętego posądzić o *wiarołomstwo*! Właśnie za życia Klemensa starali się jezuici rozgłosić, że bulla była przemocą i podstępem uzyskana, kiedy więc Dwory wymagały tłumaczenia się od Papieża, ten *explikacyjném breve* do bulli *Dominus ac Redemptor* oświadczył, że wydał tę bullę *dla pożytku samego Kościoła*, oświadczył mówię, że *za przytomnością, pobudką i natchnieniem*

Ducha Świętego (a nie ministrów obcych dworów) wydał tę bullę. To swoje zdanie stwierdził historycznym zarysem zakonu, któryto zarys jest źrzódłem właśnie owej sentencyi naszej, co tak srodze zdziwiła p. Grabowskiego opierającego się poważnie na woluminie Schoel'a. Cytujemy tedy bullę.

»*Zaledwie towarzystwo zostało utworzone a już »ukazywać się począł zaród niezgody i zazdrości i to »nietylko pomiędzy własnymi jego członkami, ale też »pomiędzy niém a innémi zgromadzeniami, tudzież »duchowieństwem świeckiém, akademiami, uniwersyte»tami, kollegiami publicznémi, a nawet pomiędzy to»warzystwem i Xiążętami, którzy je przyjęli do państw swoich*.

»*Wszystkie przedsiębrane środki nietylko nie by»ły dostatecznymi dla uspokojenia tych krzyków i skarg »zanoszonych przeciw towarzystwu, ale owszem widzia»no po wszystkich częściach świata zasmucające dy»sputy z powodu nauki zakonu* (universum pene orbem »pervaserunt molestissimae contentiones de societatis »doctrina); *którą wielu oskarzało jako przeciwnicę pra»wego wyznania i dobrych obyczajów. Te niezgody »coraz bardziej wzrastały w towarzystwie a oskarze»nia przeciw niemu stawały się częstszémi, szczegól»nie z powodu nienasyconej jego chciwości dóbr ziem»skich*.

»*Spostrzegliśmy z wielką boleścią, że wszystkie »środki użyte nie mogły zaradzić złemu i uśmierzyć »tylu ważnych skarg i narzekań; że wielu poprze»dników naszych, jako: Urban VIII, Klemens IX, »X, XI, XII, Alexander VII i VIII, Innocenty X, »XI, XII, XIII i Benedykt XIV bezskutecznie nad »tém pracowali. Starali się oni wszakże powrócić Ko-*

»*ściołowi tyle pożądany pokój wydając swoje postano-*
»*wienia zbawienne, postanowienia zabraniające tru-*
»*dnienia się handlem, oraz używania i stosowania ma-*
»*xym tak słusznie przez Stolicę apostolską potępio-*
»*nych, jako gorszących i wyraźnie szkodliwych oby-*
»*czajom i t. d.*

»*Ażeby jąć się najpewniejszego środka w rzeczy*
»*tak wielkiej wagi, osądziliśmy byli, że potrzeba nam*
»*długiego czasu nietylko dla uczynienia ścisłych po-*
»*szukiwań, dla zważenia wszelkiego dojrzale i mądrze,*
»*ale też dla wyproszenia sobie ciągłémi modlitwami*
»*pomocy i wsparcia u Ojca wszelkiej światłości.*«

Otoż w skutek takiejto powolnej, dojrzałej rozwagi i samej słuszności nastąpiło potępienie i rozwiązanie zakonu, oraz zniesienię wszystkich jego konstytucyj, praw i przywilejów duchownych. Jak można było pomyśleć, że Papież pisząc tę bullę okazywał jakieś wahanie się, przymus i bojaźń? Jeżeli Papież działał, to musiał pokazać, że działał sprawiedliwie, mądrze, z przekonania, z natchnienia Ducha Świętego. Klemens XIII utrzymywał, że potępić zakon, byłoby to potępić samą Stolicę apostolską, przyznając jej nicjako, że może popełniać największe błędy, jak popełniła fundując i tolerując ten zakon; następca zaś jego Klemens XIV oddzielił sprawę jezuitów od sprawy papieży i pokazał, że Stolica apostolska zawsze była przeciwną zgorszeniom Zakonu i zawsze starała się je wykorzenić, a widząc, że wszystkie użyte przez poprzedników jego środki nieskutkowały, zdecydował się nakoniec znieść sam Zakon. Ma się rozumieć, że to był jedyny środek, bo zaród zła gnieździł się w samych ustawach, o czém wspominać w bulli, przez samo uszanowanie dla ustawodawstwa, niewypadało. Wobec XVIII

wieku, wobec żyjących jezuitów i ich gorszących czynów, wobec tej opinii, która przypisywała im wszelką zbrodnię, jak to było z powodu zamachu *Damiens'a* (1) nikomu zapewne na myśl nieprzyszło występować z panegirykiem Zakonu, i to w chwili, kiedy go znoszono! — Teraz pytam się, kto z nas niewidział bulli *w żywe oczy*? a raczej, komu z nas przyznać potrzeba, że jest albo całkiem ślepy albo zaślepiony? — Zupełnie zgodne było z duchem tej bulli postępowanie z jezuitami. Jenerał zakonu *Ricci* był pod strażą przeprowadzony do kollegium angielskiego: wytoczono mu process z żądaniem, aby przed Kommissyą umyślnie ustanowioną wyznał błędy Zakonu i odkrył jego skarby, które mógł ukryć przed konfiskatą. Wszakże process ten zbyt długo się ciągnął i (jak o tém pisał Kardynał *Bernis* do Xcia *d'Aiguillon*) niekończył się za wolą Papieża. Pa-

(1) Robert Franciszek *Damiens*, królobójca, którego w dzieciństwie z powodu złych jego skłonności nazywano *Robertem Djabłem*. Był on żołnierzem, lokajem, kucharzem; służył Jansenistom i Jezuitom. Próżny, ciekawy, chciwy nowości, zuchwały, dumny i skryty, mając zwyczaj kraść po wszystkich domach, gdzie tylko służył, częstokroć dla uniknienia aresztu odmieniał nazwisko. W owej epoce Dwór był na partye podzielony, pożar wojny obejmował Europę, naród cierpiał i szemrał. Mowy śmiałe wiele się popłacały i Damiens łatwo się odznaczył. Był żonatym i miał córkę, postanowił jednak zabić Króla Francuzkiego; w tym celu udał się do Wersalu i w chwili kiedy Ludwik XV wsiadał do karety, zadał mu nożem cios wyżej piątego żebra. Rozmaitym rodzajem męczarni chciano wymódz od niego wyznanie uczestników tej zbrodni, ale napróżno: był skazany na śmierć 28 Stycznia 1757 r. Wolter utrzymuje, że Damiens był tylko zaślepionym fanatykiem, którego ramie sama religia uzbroiła; wielu innych twierdzą, że on ten zamach zrobił z natchnienia jezuitów.

(*Wyd.*)

pież rzeczywiście obawiał się zemsty jezuitów; nietrzymał się ich strony lud rzymski, ale sami członkowie rozwiązanego zakonu byli dla niego straszni. Jakieś złowieszcze głosy, smutne przepowiednie krążyły w Rzymie, nim jeszcze bulla została podpisaną; wróżby nieszczęścia mającego spaść na głowę Kościoła, karykatury, kartele, paskwile rozrzucone były wszędzie po mieście; zjawiła się też prorokini *Bernardina Beruzzi*, wieśniaczka z Valentano; ta z wierzchołków siedmiu pagórków rzymskich, z gruzów Kolosseum i na Corso przemawiała do zgromadzonego ludu tajemniczémi słowy, które zwiastowały, że stolica apostolska wkrótce zawakuje. Razu jednego po zwyczajnej przemowie napisała na kolumnie pałacu papiezkiego cztery litery P. S. S. V.; lud się gromadził usiłując odgadnąć znaczenie tych liter, nikt nieodgadł. Przechodzi Papież i utkwiwszy wzrok zadumany w to fatalne enigma powiedział głuchym tonem »*Presto Sara Sede Vacante*.« (Wkrótce Stolica zawakuje) i od tejto chwili trwoga i niepokój zagnieździły się w jego sercu. Obwarował się w zamku *Castel-Gondolfo* i tam odbierał tylko żywność od przyjaciela dzieciństwa swego zakonnika reguły S. Franciszka na imie *Francesco*. Kiedy wreszcie podpisał tę niefortunną bullę, już wiedział, że ona go życia pozbawi, jakoż według wszystkich biografów, odtąd go ciągła niespokojność trapiła. Razu jednego przyjąwszy skromny posiłek dostał womitów, bolu i pieczenia w żołądku, gwałtowne womity powtarzały się przez cały ciąg choroby, która od tej chwili poczęła się. i Papież niknął, gjął się pod własnym ciężarem, niemógł utrzymać się na nogach, okrutne boleści pożerały go, następnie przy zupełném osłabieniu ciała i umysłu dręczony był gorączkowémi marzeniami, snuły mu się przed oczy

ma straszliwe jakieś widziadła; — w tymto stanie często on, mając wzrok utkwiony w jedno miejsce i ręce złożone jak do modlitwy, powtarzał ochrypłym głosem: »*Da veniam*, *da veniam*! *compulsus feci*! (daruj! daruj! zrobiłem to przymuszony!). Po 10 miesiącach choroby Papież umarł 22 Września 1774 r. Zaraz po śmierci, jak zeznają naoczni świadkowie, ciało Papieża pokryło się fioletowémi plamami, usta poczerniały; dissolucya, już prawie za życia rozpoczęta, postępowała szybko, kości się kruszyły, skóra przystawała do sukień, paznokcie odpadły, a włosy zostały na axamitnej poduszce, na której spoczywała głowa zmarłego! Jakaż była przyczyna tej okropnej choroby i jej również okropnych następstw? Lud zaraz wołał po ulicach Rzymu wskazując na jezuitów, jako na sprawców tej strasznej śmierci Klemensa XIV, i wymieniając, jako środek zabójstwa, *aqua tofana*! O tych oznakach gwałtownej śmierci piszą Kardynał *Bernis* i minister Karola III *Florida Blanca*, ten minister listem pisanym do Piusa VI oskarza także Wawrzyńca *Ricciego* o konszakty z wróżką *Bernardyną*; nawet nieprzyjaciele Papieża głosili, mówi hr. *de Saint-Priest*, że on umarł otruty przez zemstę Zakonu. Otoż charakterystyczne znamiona ducha, dążności i czynów towarzystwa Loyoli, znamiona wydrążone takimi faktami, których ci tylko widzieć nie mogą, co oczu nie mają. Możeby tego dość było dla usprawiedliwienia poprzedniczych zdań naszych o jezuitach, ale arcy poważna, jakby autentyczną wonią zaprawna, jezuicka apologia pana Grab. domaga się jeszcze od nas kilku uwag.

Ne quid nimis. Kruczkowskiemu przepisywać, zecerowi układać, mnie korregować, a tobie szanowna Publiczności czytać tak długo o tych jezuitach, zapewne już dokuczyło; więc resztę zostawiam u Autora, aby nią zasilił jeszcze swego *Leviathana.* Ot, kiedy czytania było już dosyć, może nie od rzeczy będzie zaśpiewać coś sobie dla rozrywki? a coż?.... (Kauzyperda, leżący do góry brzuchem, zrobił giest na zgodę.) No, to i huknijmy dla dystrakcyi, ale po naszemu, po ukraińsku.

Piosnka przy bałabajce.

Bogdaj kozackiej zaprobować doli! —
Nie trzeba domu, niepotrzeba roli;
Cały świat domem, cały świat gospodą;
Jak boże ptaszę nie myśl o noclegu —
Za siódmą górą, czy za siódmą wodą,
Tam twój spoczynek, gdzie koń stanie w biegu.

* *
*

Bogdaj kozackiej zaprobować doli! —
Serce i głowa o nic niezaboli!
Matki i ojca nieznać, niepamiętać,
Do czarnobrewej dojeżdżać dziewczyny,
I nigdy ręki pierścionkiem niespętać,
I wiek swój przeżyć wśród bujnej prużyny.

* *
*

Bogdaj kozackiej zaprobować doli! —
Choć chłodno, głodno, żyć o własnej woli;

Z koniem, jak z bratem, z spisą i janczarką
Mandrować sobie, gdzie oczy zobaczą,
I krzepić ciało hołubcem i czarką,
I rzeźwić duszę piosenką kozaczą.

* * *

I bogdaj potém z dzielnej ginąć ręki! —
Śmierć lekka, prędka i bez żadnej męki;
Za jednem cięciem bielmem zajdą oczy,
Za jednem cięciem z piersi lub z czerepu
Krew się czerwonym strumieniem potoczy,
Jak krasne bindy z żydowskiego sklepu!

Ot i dobrze. Przy takiej piosence można zapomnieć nietylko o apologistach jezuitów, ale i o tém, że byli kiedykolwiek jezuici na świecie. Powiadają, onego czasu, na Ukrainie, każdy człowiek gminny, wyszedłszy z domu w najpilniejszej potrzebie, raptem zatrzymywał się, opuszczał głowę i zaraz nazad powracał plując i żegnając się wielkim krzyżem, skoro tylko zaszedł mu drogę jaki *wyzuwita*. Powszechne było u ludu mniemanie, że djabeł, aby snadniej kusić człowieka, przybierał postać jezuity. Coś tam teraz bąka autor *Zamku Krakowskiego* o sile wierzeń gminnych, o potędze przesądów; powiada, że skłonny jest sam wierzyć temu, z czego *głupcy* się śmieją: — otoż, rozochoceni piosenką, dajemy mu tymczasem jeden przykład gminnej wiary. Prosta logika dyktuje, że powinienby przychylić się rozumem i sercem do tej wiary; ale gdy się przychyli, czyż niepożałuje kropli inkaustu użytej na powyższy epitet ujemny?

Minore przy Klawicymbale.

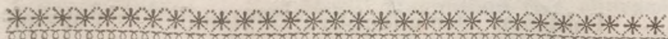
Jest w mej duszy jedna troska,
Co każdy dzień truje mi;
Jest w mej mowie jedna zgłoska,
Co w każdej mej piosnce brzmi; —

Lecz ta troska, cień mój wieczny,
Z echem mojém, zgłoską tą,
Jak paproci kwiat bajeczny,
Tylko skazką dla was są.

Na was pełne czeka życie
Z darem czynów, wrażeń, słów,
Dla mnie ledwie dumkę skrycie
Zeszle wieszczka moich snów.

J. J. P.

Dumki pana J. J. P. odznaczające się rzewną melodyą ukrytych cierpień, śpiewać będziemy w poźniejszym czasie, gdy oppozycya nasza zejdzie na tor poważniejszy i udoskonalony przez *Lichtentala* Klawicymbał bardziej się upowszechni; teraz zaś, odsuwając niechętnie trzy nowe a dość obszerne Listy *Alberta Gryfa*, estetyczne próby *Wincentego Dawida*, poetyczne utwory *St. Aug. Mysłowskiego* i t. d. i t. d., zmuszeni jesteśmy pod hasłem »*finis bonus laudabile totum*« zamknąć niniejszy Numer polemicznćm pismem ulubionego naszego Kollaboratora.



WSPOMNIENIA O KRZEMIEŃCU.

(List do Szymona Konopackiego.)

Jedność wyobrażeń nie jest udziałem rodu ludzkiego, a bardziej jeszcze naszego szczepu; polemika więc tak długo żyć będzie, jak sami ludzie. Jestto warstat, na którym niejedna zetrze się wada, i często bardzo z bryły napuszonej, najeżonej, między koła i raszple polemiki wrzuconej, drobna tylko blaszka zdrowej logiki, a jeszcze drobniejsza czystej prawdy pozostanie.

(Odp. na list Somnambula Athen. 1845 Z. IV.)

Wiele przyjemnych, pochlebnych mi nawet rzeczy wyczytuję w twym liście kochany Panie Szymonie. Ale co największa, że prawość myśli, czystość sądu, szlachetność uczuć są zawsze każdej twej korrespondencyi tłem właściwem. Uczę się i buduję ze wszystkiego co mi piszesz.

Pobłażasz memu lenistwu i wytrwale z całą uprzejmością napędzasz mnie do pisania. Ciężka spadłaby kiedyś na ciebie odpowiedzialność, gdybym posłuszny namowom, zachęcaniom twoim, jął się skrzętnie to i owo klecić. Nie bój się wszakże tego, nie takim ja skory. Gdyby nie o Krzemieńcu była mowa, nie nudziłbym moich łaskawych korrespondentów długą a marudną odpowiedzią. Czy to nazwać słabością, czy nałogiem, czy wdzięcznością, czy sumienną drażliwością, czy prostém dziwactwem, niechaj sobie kto chce łamie głowę — mniejsza o to: dla mnie jestto przędza, z której pociechę dla mego serca snuję; jestto napój, co jak indyjski *hakisz* troski usypia, błogie tylko chwile na pamięć przywodzi, kołysze myśl nie tego świata ideałami.

Czytałeś więc mój list do Kraszewskiego i podobał ci się, jak piszesz; to mi pochlebia. Oburzasz się na poniewieranie pamięcią i zasługami znakomitych mężów; to mnie czcią ku tobie przejmuje. Poczciwie i usilnie poprzednicy nasi dla nas pracowali. Do nasby należało płody ich rozumu z wdzięcznością przyjąć, a w sercach ich czytać dla siebie jakby przykazania towarzyskiej i narodowej cnoty. A choćby i natrafić przyszło na jakieś bryły utworu niekształtnego, jeszcze ich pod nogi rzucać z pogardą nie trzeba, bo zdjąwszy grube niekształtne warstwy, dojść często można do drogiego jak brylant zarodku, co się w głąb prostej massy kamienia wcisnął. Zawsze będzie on droższym i pożądańszym od szkiełek choć wielkiego rozmiaru w różne tafelki szlifowanych dla schwytania promieni, zkąd one biją.

Znałeś, kochałeś, pojąłeś z gruntu rozum i serce *Aloizego Felińskiego*, czujesz przeto tém silniej obra-

zę cieniom jego wyrządzoną. Rozumiem twe oburzenie, gdyś wyczytal, że szkoła Krzemieniecka w marzeniach żyła, bo *Feliński* ciągłém zachęcaniem do rymowania, młodzież w nie wtrącał niebacznie. Może komuś się wydać, że to dawne dzieje, że co dawniej napisano, to się może dzisiaj nie powtórzy. Ale twego jestem zdania, że na obrazę zasług i użyteczności publicznych czy to osób, czy instytucyj, przedawnienia być nie może (Przypis. 1.). Są blizny tak czułe, tak tkliwe na małe nawet i niepozorne draźnienia, że je pilnie strzedz i osłaniać zawsze należy. Nie idzie za tém, aby milczeniem przeszłość pokrywać a przez to błędy upoważniać, lub też, jak to cytuje M. G. czyjeś wyrazy, że *o rzeczach przeszłych rozprawiać i one naganiać nie godzi się*. Bo o czémże swobodniej jak nie o przeszłości mówić? Nie to więc oburza, że w Krzemieńcu jak w sprawach ludzkich błędy się znalazły i te dzisiaj na wierzch wyprowadzają; ale czemu ta Epoka, którą tak słusznie Michał Wiszniewski *Epoką Czackiego* nazywa, nie ma być sumiennej bezstronnej poddana rozprawie, nie zaś paskwilami z jej zalet i zasług obdzieraną. Musi to kiedyś nastąpić, gdy silne pióra wywołają wszystkie dowody i przekonania. Taka sprawa narodowa milczkiem przejść nie powinna. Tymczasem to nas pocieszać powinno, iż choć tak nędzny liścik jak Tetery, wielkie dla Krzemieńca obudził współczucie. Ileż to nie odbieram listów, krytyk etc. to z podpisami, to bezimiennych! Byłem w długu do jakiejś odpowiedzi. Nie z tychto, jak wiesz P. Szymonie, ochoczych jestem, co jak tyraljery naprzód się wyrywają. Ledwie zebrałem się na list do Kraszewskiego i ten jak widzę po przyjacielskich idąc rękach, zawadził o Ławrynowce i do twego trafił gabinetu. Bia-

da! Cóż tam za zimną odegrał rolę, jak koszlawo wyglądał obok twoich miłych narodowych powiastek, obok twych popularnych dzisiaj Ballad i piosneczek, obok poważnego i wypracowanego rymem Telemaka! Powiem ci szczerze, że nie starając się, wielkiej dostąpiłeś u nas sławy. Chcieć być u nas popularnym, trzebaby wiele i w różnym rodzaju pisać, aby do uczucia i pojęcia ogółu trafić. Śpiewy, dumy, bajki *Niemcewicza*, *Karpińskiego*, *Krasickiego*, w potomne dziedzictwo już przeszły. W naszych czasach jeden *Kraszewski* ma tę łatwość i potrzebną ponętę, i gdyby zawsze prawie czarnej, nie miłej nie przedstawiał nam strony, gdyby nie wciskały się zbyt często wyrazy z metafizyki zaproszone: *excentryczny*, *transcendentalny etc.* nikt nad niego nie byłby u nas popularniejszym.

Chodźko ze swymi powieściami będzie w ręku wszystkich. *Kosiński*, *Korzeniowski*, *Wojcicki*, przygotowują się do tego przywileju olbrzymim krokiem. Twoje zaś mój kochany P. Szymonie Ballady recytują dziatki z pamięci, a tkliwe piosenki miłym głosem wyśpiewują dziewczęta. Dawaj tylko więcej podobnych utworów, ubieraj je gdzie można w narodowe wspomnienia, czystym lubym tokiem po swojemu je oddaj, a pewnie do duszy zawsze trafisz, w pamięć wszystkich się wgnieciesz. Ja stary, gdy myślą po Wołyńskich błądzę krainach; spotkam się zawsze z Balladką *Trzy krzyże pod Brykowem* i rad nie rad, od początku do końca ją wyrymowuję. A jestże tyle tych twoich Balladek to o *Zawiszy* to o *Żołnierzu* etc. co tak się z przeszłością łączą, że wartoby je co do słowa zapamiętać. Możesz być i jesteś popularnym Pisarzem, pisz tylko więcej i więcej. Na was to krzyczy poczci-

wy nasz Kraszewski: »*piszcie i piszcie — nie marnujcie czasu milczeniem!*« Hałasował on i na mnie, ale to głos na puszczy. Trudno mi jąć się do pracy autorskiej. Nie jestem ja wprawdzie (jak wiesz) bez szczegółów życia, które jak w kalejdoskopie różne kształty, różne barwy przedstawićby mogły. Ale do ich troskliwego zebrania, do porządnego ułożenia trzebaby więcej czasu. A tak, rozpierzchają się one po przyjacielskich gawędkach, które więcej dla mnie uroku mają, niż pióro i papier. Tam się społem wiążą myśli i zdania, przekonywamy się i uczymy się wzajem. Tam nie czyha na nas złośliwy krytyk lub zarozumiały trefniś. Wreszcie dość będzie ze mnie, gdy odpowiem powołaniu memu. Lekarzowi nie starczy czasu i siły, by się po karuzelu literackim kręcił. Zużywają się one w rozmaitych przygodach ludzkości. Spokój lubię i tego każdemu życzę. Już mi nawet uciążliwą się stała, z przyczyny listu Tetery, korrespondencya. Nie bierz tego jednak do siebie kochany P. Szymonie, ani też w ścisłém znaczeniu ten wyraz *uciążliwą* uważaj. Jest on względnie do mnie, do mego lenistwa; bo współczucie ogólnego dobra nie może być nigdy uciążliwém. Jestto przymiot serc prawych, jestto owa duchowa siła, której promienie tylko zdrowe twory w siebie przyjmą, wcielą, w sobie rozwiną; a gdzie rdzeń popsuty, gdzie konary się chwieją, tam one bez wpływu pozostać muszą.

Wśród tych wielu prób serca i rozumu wyłącznie do mnie adresowanych, rozmaite były pseudonyma, często zabawne, często niepojęte. Ale oto w miesiącu Kwietniu, gdym po kilkodniowej niebytności wrócił do domu, zastałem między listami pakiet (bez stempla pocztowego) odznaczający się wielkością, jakby Doku-

mentami napełniony. Znalazłem w nim plik nie mały, bo kilkoarkuszowy, z intytulacyą na górze: *Do szanownego Redaktora Athenaeum;* podpisano: *Kwestarz Somnambul*. A to mój korrespondent! zawołałem z uniesieniem, jak gdybym starego zobaczył przyjaciela. Czytam ochoczo. Była to rozprawa z tematu listu Tetery (Tyg. Peter. N. 76) uczenie prowadzona, miłością ogółu, wdzięczném o Krzemieńcu wspomnieniem, sprawiedliwą bez drwinek krytyką o *Bejle i Teterze* nacechowana. U dołu pisma dołączono *P. S. proszę was to pismo odesłać wprost do P. Redaktora Athenaeum.*

Bogu też dzięki, że mnie dał pokój mój P. Korrespondent. Musiał memu wstrętowi do pseudonymów uwierzyć; a może i nie w smak mu poszła moja odpowiedź w Athenaeum umieszczona, bo też on za wiele chciał odemnie, drwić i wyśmiewać wszystko. Pakiet odprawiłem pocztą podług adressu.

Czy rozumiesz, że na tém koniec? Bynajmniej, w parę tygodni poźniej zastaję list przez jakiegoś żydka przyniesiony. Koperta spora, a na niej adres: *Kwestarz Somnambul Karolowi zdrowia życzy!* — Otoż masz, jakaś nowa napaść literacka! zawołałem.

List témi zaczynał się słowy »*Czy czuwam, czy zasypiam, te sześć Aforyzmów praktycznych ciągle powtarzam, które przeczytajcie cierpliwie, zastosujcie bezwzględnie, odpiszcie sumiennie, przeszlijcie choćby bezimiennie wprost do Tetery.*

AFORYZM 1-szy. Kto milczy, ten zezwala. *Pozdrawiam więc was Panie Karolu odrazu wielkim mężem, większym w swych odkryciach od Kolumba, witam jako serdecznego ucznia krzemienieckiej szkoły, jako znakomitego wierszopisa, jako chłostę Bejly, ja-*

ko obrońcę własnego narodowego gniazda, czyli co na jedno podług Tetery, jako kapcana!

Dalej karci mnie, żem list jego poprzedni we 12 zapytaniach objęty, wszędzie poskracał, poobcinał; że on *anglizowanych* listów nie lubi; że mnie o *amputacye całych periodów nie prosił etc.*

Dalej pięć Aforyzmów popularnémi przysłowiami są oddane — i tak

AFORYZM 2-gi. Uderz o stół, nożyce się odezwą.

AFORYZM 3-ci. Cudze dojrzysz pod lasem, swego niewidzisz pod nosem.

AFORYZM 4-ty. Bliższa koszula ciała niż kaftan.

AFORYZM 5-ty. Plecie jak Karski na mękach.

AFORYZM 6-ty. Pozwól kurze grzędę, ona mówi wyżej będę. W tych wszystkich Aforyzmach mieści się list *Tetery z pod Orszy* rozczłonkowany na periody; te kommentarzami były rozwinięte, a każdy z nich był zamknięty sentencyą we śnie magnetycznym wygadaną. Nie mogę ci kochany P. Szymonie szczegółów wypisywać, bo myśli mego P. Korrespondenta nadto są podejrzliwe, zdania za śmiałe, uwagi uszczypliwe, styl dokuczliwy, palący. Wreszcie dołączona w końcu listu notabenka »*ten list spalcie zaraz*« nakazuje milczenie — spaliłem.

Podpisano. *Kwestarz Somnambul w Wilnie, na Ostrej-Bramie, przy świetle xiężyca w pełni.*

Dowcipu było tu pełno i wiadomości nie skąpo. Wszystkie myśli i frazesy Tetery oraz stycznych z nim Pisarzów naciągnął jak struny, i nader zręcznie to tkliwe pełne smutnej wróżby, to śmiałe i szczęściem tchnące akkorda z nich wydobywał. Ta ręka, to serce do wyższych przeznaczeń wskazane, i tak być musi; a jeśli przypadkiem w nieczynności marnieją, lub tylko

lada liry, lada cymbałów się chwytają; szkoda, wielka szkoda! Życzyćby należało, aby z mniej żywą ochotą *Prowincyałkom Pascala* wtórował a o *Venturze* nie tak *forte* się odzywał. Wyznam wszakże, iż o tożsamości osób, podpisujących się w korrespondencyach ze mną — *Kwestarz Somnambul*, poczynam powątpiewać. Są zarysy, którymi się zupełnie różnią od siebie.

Nie dziwię się, że liścik Tetery z pod Orszy do P. Wydawcy Tygod. Peters. zajął nie pomału uwagę mego P. Korrespondenta; to się działo z tobą, ze mną, z wielu drugimi. Nie byłoto skutkiem ważności pisma, bo ono było nadto błahe, nie dowcipu, bo go było bardzo mało; ale raczej wypadkiem tej bezrozumnej śmiałości, co chciałaby płaskimi żarty wszystko zponiewierać: tak się nie godzi. — Chwila satyrycznego usposobienia targnie się czasem na najpoważniejsze rzeczy; na wielkie czyny i prace chmurkę rzuci, w cnocie i prawém sumieniu skazę znajdzie, słowem, czego się tylko dotknie, wszystko centkami zaznaczy. Ale drwić z namysłem z narodu i jego instytucyi, tę ulotną chwilkę chcieć zatrzymać, na papierze uwięzić, drukiem przykuć, nią się przed publicznością przechwalać, to już jest jakiś rodzaj moralnego zapomnienia, jakaś anomalia uczuć.

Dziwi mnie to wszakże, iż P. Kwestarz Somnambul, co utrzymuje, że we snach wszystko widzi i pojmuje, niedojrzał tego, żem przed czterma miesiącami pisał w tej rzeczy do Kraszewskiego, że ten list w wędrówce swojej przybył na koczowisko do Kijowa, gdzie mają go podobno na stałego mieszkańca w *Gwiazdzie* usadowić. Czy tak jest i na co się to przyda? — nie wiem. Niech więc mój P. Korrespondent, gdy mu

tak pilno, potrudzi się choćby we śnie w tamte strony. Odpisywać osobno nie będę.

Bo i cożbym odpisał? o Czackim mówić, to nazywają niepojętą słabością; o Krzemieńcu rozprawiać, to chrzczą pedantyzmem, zarozumiałością. Wreszcie musiałbym się ciągle powtarzać, co i dla piszącego żmudną jest rzeczą i czytających o ckliwość przyprawia.

Ależbo mój Boże, co to za niewyczerpane źrzódło praktycznych przykładów usług publicznych, dobra publicznego, miłości kraju i bliźnich! Taka xięga pod rozmaitą postacią przerabiana, choćby bez talentu skreślona, martwa w słowach, samą treścią o wielkim Mężu, o pożytkach z poświęceń się jego dla potomności żyć będzie.

Wielkato była Epoka Czackiego! Kraj Polski, po nieszczęśliwém rozprzężeniu bytu swego politycznego, w instytucyach swoich naukowych był jakby całunem okryty. Zmiany w edukacyi, przy olbrzymich Rządu przedsięwzięciach, bardzo się powoli zaprowadzały. Nie odpowiadały one potrzebom ogólnym, bo z nich nie wynikały. Edukacya publiczna stając się własnością narodu, wciela się w jego życie i całą budowę moralną wykształca. Gdy ta edukacya jest jakby przypadkową, odgadnąć to łatwo z powolnego jej postępu, z leniwego wszczepiania się w massę, z lękliwości w przedsięwzięciach przemysłowych, z zamiłowania w drobiazgowościach i podrzędnych zatrudnieniach, z bytu oddzielnego egoistycznego mnóstwa indywiduów. Trafnie zaprowadzone zmiany w edukacyi z potrzeb narodu wynikające, przyjmą się prędko, ożywią, uszlachetnią całą massę, ozdobią całą jej fizyonomię moralną. Taki był stan edukacyi publicznej przed Epoką Czackiego,

tak ją Czacki przekształcił i ugruntował, bo prawy i cnotliwy obywatel, wierny i wdzięczny poddany chciał i umiał spoić szczęście narodu ze sławą dobroczynnego i Wielkiego Monarchy. Nie zrażały go potwarze, napaści, paskwile i prześladowania. Cały żył przyszłością. Oskarzany o nadużycia, o złe zamiary, śmiało bo poczciwie napisał do Monarchy, błagając o rychłą nad sobą kommissyę »*Nie boję się wyroku, lękam się jego zwłoki*«. Czas i doświadczenie rozbroiły niechętnych lub nienawistnych sławie Czackiego; przekonały nieufnych o celach założyciela Szkoły Krzemienieckiej i całej filii szkół trzech Gubernij; oziębłych do współdziałania zachęciły. Wszystkich wówczas ogarnął duch oświaty, potężną działalnością Czackiego rozniecony. Zazdrość i prześladowanie ustąpiły potrzebie uczenia dzieci. Wszystkie imiona szlacheckie, wszystkie stany i wyznania zmięszały się pospołu i bratnią ręką w tym przybytku nauk się uścisnęły. Jak potrzeba Nauk, tak i jej użyteczność w towarzyskiém życiu coraz stawały się wybitniejsze i coraz mocniej o pracach, dążeniach Cackiego, o środkach i pomocach naukowych w szkole Krzemienieckiej świadczyły. Rosło to przekonanie, bo na praktycznych nie brakło już dowodach. Nikt jednak nie uniosł się zarozumiałością, by mierzył tę szkołę z Uniwersytetami a szczególniej (jak to chce P. Tetera) z *Oxfordskim*. Bo czyż młodocianego wieku siły potrafią z wiekiem męzkim iść w zapasy? Nikomu nie zamarzyło się o *wielkich mężach z Krzemieńca* (jakto znowu chce P. Tetera) pomyśleć. Alež znowu powiem prawdę, najzawziętszy nieprzyjaciel tej szkoły ani mógł się odważyć drwinkami ją oszpecać. We czterdzieści wszakże lat ta płocha myśl urosła, aby i pamięcią i sprawy wielkiego męża poniewierać; aby za-

łożenie szkoły Krzemienieckiej do błędów Czackiego liczyć; aby dziwne w niej przymioty i usposobienia upatrywać; aby się wreszcie podziwiać i nie chcieć zrozumieć, dla czego wdzięczne o Czackim wspomnienia potomnej nabywają trwałości.

Czacki obudzając zapał do oświaty, narzucając nie raz prawie przymusem środki ku temu celowi, wyrwał te Prowincye z ospałości i wiele do polepszenia bytu moralnego się przyczynił. Ale i tu zawiść nie zasnęła, bo gdy jedni brudne korzyści materyalne mu zarzucali, to inni o cele ukryte sprzeczne woli Rządu posądzać go niewahali się, a inni znowu w planach jego edukacyjnych drogę do demoralizacyi otwartą upatrywali. Musiałeś pewnie czytać *Pamiętniki domowe* naszego Wołyńskiego Nestora *Wacława Borejki* i przy nich Pamiętniki Kapitana *Micowskiego*. Pisałem o nich do Kraszewskiego, iż zarzut Pana Micowskiego o edukacyi *rozpustno-liberalnej* wprowadzonej przez Czackiego jestto echo wychowańców jezuickich lub dawno-pijarskich. Takie publiczne o sprawie publicznej zdanie ważnymi powinno być wsparte faktami. Niechże je wskaże P. Micowski. Tryb edukacyi Czackiego trwał lat trzydzieści. Było więc dosyć czasu, aby prowincye nasze przywdziały na siebie fizyonomię moralną, jaką ta edukacya ciału społecznemu nadać mogła. Tolerowane a nawet podług P. Micowskiego jakby uprzywilejowane w edukacyi Czackiego zasady *rozpustno-liberalne*, stałyby się już w naszém życiu społecznem aż nadto wydatnémi. Pytamy, prosimy P. Micowskiego aby nam wytknął, palcem wskazał te wady (1). Pra-

---

(1) Za pana Micowskiego, który już poczciwy swój żywot zakończył, zechce zapewne i powinienby gruntownie na to

ktyczny i sumienny rzut oka na nasze trzy Gubernie, zupełnie insze cechy moralne na jaw wyprowadzi. Od Epoki bowiem Czackiego naznaczyć można detronizowanie Bachusa we wszystkich towarzystwach. Od tej Epoki młodzież chętnie do usług publicznych garnąć się poczęła i zaszczytnie w nich się odznaczała. Zamiłowanie w Literaturze ogólnej i krajowej stało się powszechném. Nic dziwnego, że P. Sęk... przeleciawszy pocztą wszystkie stacye po trakcie Petersburskim, na żadnej z nich xiążek i Literatów nie znalazł. Ale sprawiedliwie mówisz P. Szymonie, że Glücksberga zapytaćby się należało, czy ten w brzeczącej monecie pomyślny postęp swego handlu uczuł? Widzieli wszyscy, jak wzrastał w kapitały, w Xięgarnie główne i filialne. Jabym jeszcze odesłał ciekawych a złośliwie niewierzących do bogatej Biblioteki *Gustawa Olizara* w Korysteszowie; zaprowadziłbym do znakomitego zbioru xiąg narodowych *Eligiego Piotrowskiego* w Motowidłówce, do niemałego w tej rzeczy zapasu u *Erazma Michałowskiego* w Sołowijówce, u *Jana Sieńkiewicza* w Kalinówce; znalazłby także kilka szaf nie bogato ale skrzętnie uposażonych, szczególniej w dzieła tyczące się edukacyi płci obojej, u *Jana Sowińskiego* w Sławucie, trudniącego się dzisiaj edukacyą xiężniczki Maryi Sanguszkównej; pozazdrościłby może *Konstantemu Macewiczowi* znakomitej i pięknej kollekcyi rycin narodowych z najdawniejszych nawet czasów. I tyle innych drobniejszych zbiorów co lubo z wielki-

---

odpowiedzieć Wydawca jego *Pamiętników*, zwłaszcza gdy wiadomo nam, że te Pamiętniki z natchnienia właśnie i pod wpływem przyjacielskich rad samego Wydawcy utworzone zostały.

(*Wyd.*)

mi zasobami możniejszych zmierzyć się niepotrafiły, na wspomnienie wszakże, na wdzięczność publiczną zasłużyćby sprawiedliwie mogły. Takie dążenia i prace w *rozpustno-liberalném* wychowaniu zrodzić się nie mogą, a gdyby przypadkiem powstały, ledwie poczęte jużby ze szczętem zmarnieć musiały.

Czemuż prawie zawsze przemilczamy o drugiej połowie towarzystwa naszego, jak gdyby różność płci odsuwała ją z obrazu społecznego życia? Na tej różnobarwnej tkaninie jaśnieć zawsze będzie ozdobnymi kolory płeć piękna. Ta zachwycając swymi ciała przymioty, jeszcze więcej garnie do siebie, ujmuje, prawie ubóstwiać się każe, gdy przymioty serca i rozumu ten piękny twór Boski uzacniają.

Wiemy, że edukacya kobiet silnie zajęła uwagę Czackiego. Jak wszędzie, tak i tu wspierany przeważną radą *X. Kołłątaja* miał założyć Instytut Guwernantek w Krzemieńcu. W ogromie przedsięwzięć i szybkiém ich rozwijaniu się, ten projekt wyglądając przyszłości, projektem tylko został. Wszakże czujną swą opieką i ojcowskiém sercem obejmował Czacki edukacyą Panien. Sam skreślił dla nich kursa nauk po pensyonach. Odpowiadały one męzkiej edukacyi i ówczasowej potrzebie towarzyskiej. W każdém znaczniejszém mieście publiczne były pensyony. Władza szkólna czuwała nad wszystkimi. Prywatne nawet wychowanie Panien w domach mieszkających w Krzemieńcu, mniej więcej stosowało się do publicznej edukacyi. Religia podstawą była wszystkiego. Ciż sami kapłani, ciż sami nauczyciele obojej płci przewodniczyli. Być pobożnym, moralnym i umiejętnym stało się ogólnem żądaniem, ogólną potrzebą życia. Rzućmy też okiem i myślą na tyle różnych znakomitych obywatelskich familij

w Krzemieńcu zamieszkałych, w których gronie tyle pięknych i dobrych rozwijało się dziewic. Tam się one kształciły w sercu i rozumie, a dziś silnymi węzły, jako żony, jako matki, z całém spojone społeczeństwem, stały się jego zaszczytem i ozdobą. Zechciejmy się także obeznać bliżej a bezstronnie z wielu średnich fortun domami. Mnogie znajdziemy tam dowody, iż wychowane w tej epoce Panny, bądź w domach własnych, bądź po pensyonach czy to w Krzemieńcu, czy w innych miastach i miasteczkach, przyniosły w domy mężów swoich, w domy zobowiązań swoich, dostatek potrzebnych dla kobiet wiadomości i błogie serca przymioty, a te Religią umocnione, wszystkiemu odpowiedzieć, w szczęściu i nieszczęściu starczyć potrafią.

Muszę Ci też kochany P. Szymonie zakommunikować listy *P. Eleonory Sowińskiej*, żony znanego nam dobrze *Jana Sowińskiego*. Jak wiesz wychowana w Krzemieńcu, poźniej z woli Kuratora była przewodniczką pensyonu w Teofipolu. Nabyła ona doświadczenia w wychowaniu panien; jakoż pięknie ukształciła wiele młodocianych latorostek Wołyńskich. A gdy i własnémi dziatki poszczycić się może, ma więc prawo udzielać swe rady i uwagi, gdzie obowiązek, troskliwość lub przyjaźń do tego ją powołują. Tak też dobra, że mnie do ostatniej zaliczając kategoryi, wielu zdrowemi, poczciwemi i umiejętnemi rady tyczącemi się mej córki obdarza. Przeczytaj tę parę liścików i daj mi swoje zdanie, zdanie dla mnie ważne, bo praktyczne. B ó g obdarzył cię świętą liczbą dziatek, a wszystkie wzrosły B o g u i ludziom miłe. Teorya ubarwić może drogę wychowania, ale bardzo często odskoczy od przyzwoitego celu. *Rousseau* pokazał się błędnym w praktyce, chociaż ciągle o szczęściu i zdrowiu przyszłych poko-

leń marzył. Listy Pani Sowińskiej mają u mnie wartość praktyczną. Jak ona tak i ja duszą i sercem lgniemy do wychowania dziewcząt, jakie w każdém dziele naszej uwielbianej z *Tańskich Hoffmanowej* ze szlachetną prostotą oddane czytamy. W silną ona opokę wszczepia wiotkie, czułe i delikatne latorostki, bo im Religią za podstawę życia daje. Wszędzie pobożność, pokora, wytrwałość, poświęcenie się dla bliźniego, przedstawiane są praktycznie, jako cel życia, jako hołd Bóstwu, jako źrzódło szczęścia. Z takim hartem duszy, z tak ułagodzonémi uczuciami, niewiasta z pociechą przyjmie swe przeznaczenie, troski zniesie z pokorą i przyszłością trapić się nie będzie, bo B ó g dobry, bo w B o g u nadzieja. Wie bowiem i czuje, iż nie raz tak było, że gdy skrzętny i poczciwy rolnik wszystko zrobił, własne siły i zasoby bez cudzej krzywdy na to łożył, by rolę jak należy uprawić i zasiać zdrowém ziarnem i już rozkoszném okiem złotokłose swe niwy oglądał, licząc i korzyści i błogą przyszłość, a tu znagła deszcz nawalny wypadł, porozdzierał brózdy, grad zbił ziarno i skruszył słomę aż do ostatniego jej kolanka. Poczciwy wszakże i bogobojny nie rozpacza; ze łzą w oku pogodne swe czoło przed wolą Bozką nachyla. W sercu ma pewną pociechę, bo miłosierdzie Bozkie bez granic, bo mu dobry grunt został samą klęską jeszcze ulepszony, a ziarna i swej pracy nie pożałuje. Taka przyszłość we wszystko bogata!

Wiadome Ci są moje myśli i rady co do wychowania kobiet, wypisane pokrótce w lekcyach mojej Hygieny. Dodam tu, iż radbym, aby młode dziewcze przywykało uczyć swą koleżankę mniej umiejącą, czuwać nad nią, dbać o nią. Przeznaczeniem jest bowiem tej płci pierwsze łożyć przy dzieciach trudy i mozoły. Do niej na-

leży spełniać owe wielkie i anielskie posłannictwo, matki. Ona rzuca ziarna cnót domowych i towarzyskich. Ona ma w całości Religią przodków przekazać.

B ó g świadkiem mój drogi przyjacielu, żeśmy z pod opieki Czackiego heretykami nie wyszli. W każdym z nas płonie święty ogień religii przodków naszych. A jeśli rzadko z nas który z teologicznémi występuje rozprawy i rzadko w Filozofię religijną się wdaje, to przyczyny tego nie w oziębłości bynajmniej, ale w gruntownej wierze w prawdy objawione szukaćby należało. Same nawet zewnętrzne formy, samą praktykę religijną sumiennie i ściśle wykonywać przywykliśmy, ani ta nas unudza ani utrudza jak Generała Kunickiego, ani pedanteryą obleka jak Xiędza Prospera w *Listopadzie*. Radbym, aby kiedy wychowaniec jaki jezuicki do cichej Kalinowieckiej zagrody zabłądził. Zdziwiłby się pewnie, patrząc jak tam dworska katolicka czeladź zgromadza się co niedzieli do obszerniejszej we dworze komnaty o naznaczonej godzinie. Tam po odczytaniu ś. Ewangelii, pacierz i modlitwę głośno wszyscy odmówią, Litanię odśpiewają, a nizkim pokłonem cześć Wszechmocnemu Stwórcy oddawszy, ochoczo i swobodnie każdy w swoją idzie stronę. Z rozkoszą i uniesieniem podzielałem te chwile staropolskiej pobożności w domu kolegi mego ze Szkół Krzemienieckich.

A tak sądzę, iż zdanie P. Micowskiego o edukacyi w epoce Czackiego jest prawdziwą napaścią, jest ciężką niesprawiedliwością. Mogą być w niej wady w pierwiastkowym zaraz szkicu zarysowane. Bo gdzież sprawy ludzkie bez nich? Nigdy wszakże fizyonomii moralnej całego towarzystwa rozpustno-liberalnych zarysów surowy a sprawiedliwy postrzegacz i sędzia narzucić nie może.

Kiedy natrącił mi się pod pióro wyraz *fizyonomia moralna*, muszę cię przy nim kochany P. Szymonie na chwilkę zatrzymać.

Widocznie, że artykuł *Bejły*, *o stośunkowości fizyonomii moralnej z fizyczną* podobał się Teterze, bo go jakby palcem wśród innych artykułów wskazuje. Mój zaś Korrespondent dotkliwie mi wymawia, jako Lekarzowi, jako badaczowi natury, że o takiém absurdum milczę. Przypomnijmy więc sobie, co to my w tym artykule tak ciekawego wyczytali.

Oto z owego sławnego Artykułu *stosunkowości fizyonomii* ten ciężki dla nas wypadł pewnik, iż aby być dobrym, rozumnym, szlachetnym, trzeba mieć koniecznie piękne lice i kształtną ciała budowę. Otoż bieda, której i zaradzić nie podobna! Próżno my Ojcowie powtarzać będziemy: brzydkiś synku, szpetnaś córko, ale starajcie się cnotą i rozumem zobowiązywać ludzi. B ó g nieprzebrany w swej dobroci upośledził was wprawdzie na ciele, ale pomoże swą łaską, że się moralnie dla świata wykształcicie i użyteczni sobie i ludziom będziecie, byle ochota i praca, bo zdatności są po temu. *Bejła* odjął tę pociechę rodzicom, a brzydkie i ułomne pokolenia na głupotę i poniewierkę wskazał. Zapłakałby na tę Bejłowską maxymę ów brzydal *Ezop*, krótkonosek *Sokrates*, wywiędły jakby skielet *Wolter*, nie zbyt powabny nasz *Kościuszko*, nie Adonis ów wielki *Napoleon* i tylu innych tamtego świata mieszkańców, i wielu a wielu naszych współczesnych, którym natura cechy piękności odmówiła. Ale za to dorodny jaki Tamburmajor, niechno przeczyta a pojmie i uwierzy Bejle, ani wątpić od razu będzie, że jego pałka to buława marszałkowska. Szkoda, że *Lavater* nie dożył tego czasu, w którym od razu szybko i stanowczo porobił

Bejła rasy ludzi i ich rozumów. Nie ślęczałby wiek swój cały na decyfrowaniu tylu odcieniów w rysach fizycznych człowieka, nad zcharakteryzowaniem moralnych jego przymiotów. A cóż mówić o *Galu*, co z guzów nad oczami, po bokach czoła i ku ciemieniowi, a które bynajmniej do piękności klassycznej się nie przyczyniają, chce o pamięci, talentach i rozsądku wyrokować? Zdarłby od razu, te pisane przez siebie brednie, chociaż je z długiej i mozolnej w Anatomii porównawczej pracy wydobył. Coto za cudowne odkrycie Bejły! Pokłońcie mu się piękni ludzie! Są wprawdzie istoty, na które Bóg szczodrze swe łaski wylał i wszystkimi przymiotami je obdarzył. Ale Bejła chce całe narody widzieć takiemi. Gdzież one są, któreby jak pełne, żywymi lśniące kolory georginie w kupce osiadły, by je Filozof naturalista od razu obejrzał? Na stepach podobno Bessarabskich ma być lud dorodny, prosty, jędrnej fizyonomii; tamby nam poszukać geniuszów i rozumów, a my siedzimy cicho i nie wiemy co się obok nas dzieje.

Ależ bo to, jak na przekorę *stosunkowości Bejły*, wśród krępych i rudowłosych Szwedów wyrywają się *Lineusze*, *Berzeliusy*! z pomiędzy piwskiem rozlanych Bawarczyków jakiś nędzny *Oken* filozofuje nad naturą! A coż to nam natworzyli owi Egypcyanie, Arabowie i inne narody różnej fizyonomii fizycznej, co spuścizną nieposlednie znaki intellektualnego swego życia potomkom przekazali? Mieliżto być koniecznie wszyscy piękni i dorodni ludzie?

Przypuściwszy jednak, iż tak się ostać mają rzeczy, jak chce *Bejła i Tetera*, i poznawszy się z Bejłowską i Teterowską fizyonomią moralną z ich zdań i dowcipkowań, ciekawy byłbym widzieć każdego z nich

fizyonomię fizyczną. Podług tego, jak o sobie *Bejła* mniema, podług tej zarozumiałości, pewności w sobie, odwagi w myślach i zdaniach, powinien być *Apollinem Belwederskim* lub *Gladiatorem Rzymskim*; tymczasem dagerotypując Bejłę i Teterę z ich zdań często fałszywych, często sprzecznych, spaczonych, poczwarnych, wyszłoby na blaszce coś bardzo pokrzywionego, skręconego, niedokończonego, a na ich czubkach dojrzałbyś tu i owdzie coś nakształt kołtunków. Czy tak jest? Nie wiem; tak przecież wypada z nauki Bejły.

Ale powiem ci prawdę, że mój P. Korrespondent nie pomału się rozkaprysił w aforyzmie swoim, gdzie lekarskie wiadomości Bejły i Tetery na plac wywodzi. Jak gdyby medycyna była temu winna, że ktoś o niej duby plecie smalone. Nawet i mój P. Kwestarz, chociaż mi *Van-Helmonta*, *Stolla*, *Browna*, *Broussais*, *Hahnemana*, *Prysnitza* z wiadomością ogólnie i dobrze pojętą przytacza, myli się w tem wszakże, gdy rozumie, że metody, jak je nazywa, *duchowe*, *żółciowe humorowe*, *krwionośne*, *fantastyczne*, *wodostyczne*, są tylko płodem wrodzonego wielu ludziom *spiritus contradictionis*, nie zaś wypadkiem nauki, zastanawiania się, doświadczeń lub trafu. Żadna z tych metod nie była na oślep rzucona. Co nauka i rozsądek poczęły, to doświadczenie prowadziło dalej, a czas reszty dokonywał. Na najfałszywszém lub naukowém założeniu budowano nie raz olbrzymie gmachy. Zdawało się wówczas, że one wieki przetrwają. Przyzwolenie wielkich pracą i nauką Mężów, dało jakby assekuracyę tej trwałości. Ale *czas*, ta parowa dla intellektualności ludzkiej machina, wyrzucając ze swego warstatu miliony utworów, nagromadza zapasy, które skrzętny rozum zbiera dla ludzkości, rozosobnia, porównywa i

znowu skupiając w massy, znowu je w machinę wrzuca. Z takiej nieustannej przędzy i tkaniny, nie *duchem sprzeczności*, ale siłą czasu wyrobionych, wyjdzie zawsze czysta prawda, w swej istocie jędrna, chociaż w sile zmalała, znękana. Jakkolwiek drobna, rozwinie się ona szybko i wzrostem się ukrzepi.

Coż tu zarzucać medycynie, że *w jej mętnej wodzie, kto chce ryby łowi*? Jestto słabość ludzka i bardzo może powszechna, rwać się nie do swego. Umiarkować się w majątku i rozumie, do silnej woli człowieka należy. Jestto może najwątlejsza władza naszej intelligencyi; rzadko sprostać ona potrafi okolicznościom; gnie się, łamie, pryska na wiele części. Przypominam sobie gdéranie naszego starego poety *Szymanowskiego*:

Żółw konia nie wyściga, wół latać nie pragnie,
Ryba pluska się w wodzie, żaba skrzeczy w bagnie;
Sam tylko człowiek z swym się nie miarkuje stanem
Bóg go urodził miernym, a on chce być Panem.

Pamiętam także, napotkałem jakiegoś Metafizyka zdanie, iż rozum ludzki jest jak pijany człek siadający na koń; rzadko on go równo dosiędzie, ale na tę lub ową przechyli się stronę. O czémże to dziś ludzie i to ryczałtowo nie piszą! Kto tylko, jakto mówią, w Boga wierzy, ten o Filozofii i Medycynie rozprawia. Gniotą i w różne formy kładą biedną Filozofię. Ten wrodzone władze decyfruje; ów hołduje zewnętrznym wpływom; ten umówi i czuciom berło intellektualności oddaje; ów wcisnął się do samego siedliska uczuciów i rozsadza je z pewnością jakby wysadki jakie; ten ogniście dowodzi, iż duszę pojął i ją jak na

dłoni widzi; ten zaprzęga się do tryumfalnego wozu Schellinga; ów adjutantuje Heglowi, ów Trętowskiemu etc. I każdy z zażartością broni, już nie domysłów, ale prawdy, bo tak nazywa swoje marzenia, rezonowania, wnioski i zdania.

Razu jednego przypatrywałem się zabawom dziecinnym. Drobne chłopcy zaprzęgli się sznurkami jak konie, a jeden z nich zebrawszy do rąk wszystkie sznurki, śmiało i hałaśliwie furmanował. Chłopczęta kopały się kłusem po piasku. Ciężko im i trudno było, ale biegli wszyscy, bo im się zdawało, że są końmi, więc ich siłę i wytrwałość mają. Troche opodal, starsi chłopcy wziąwszy kije między nogi, dalejże harcować po piasku a zawsze z wielką pracą, bo trzeba było kija jak bystrego ujeżdżać konia i samemu dzielnie się trzymać. Znowu troche dalej spore malce już na drewnianych siedzą koniach, szamotają się, biją nogami, cisną ostrogami, z potem czoła to robią, bo to nie żart dziarsko się trzymać, cuglami silną ręką konia ująć, ostrogi co chwila poddawać; bo trzeba niby galopować, niby dęba stawać. A tam z boku człowiek poważnego lica przejeżdżał się stępo na dzielnym pięknie utressowanym rumaku. Dobrze dzieci! dobrze! odzywał się czasami i to zawsze łagodnym głosem. Wprawa i siła przybywają z wiekiem, a przy rozsądném ich użyciu prędzej do celu dójdziecie. Mój koń na was czeka. Ale baczność bracia! I ten koń spotknąć się może, łbem w górę czasem rzuci, nogą niebacznie wierzgnie, a nawetby nie raz niewiedzieć gdzie bystro uniosł, gdyby nie te cugle i moja baczna uwaga.

Wysłuchałem to wszystko i pomyślałem sobie, otożto praktyczny kurs Filozofii! Czyż to jeden z nas w sznurek zaprzężony? Wielużto kije i drewniane ko-

niki ujeżdża! Ani im wyperswadujesz, że nie na prawdziwych siedzą koniach. I każdy pewny w sobie, pyszny z siebie, prawdy filozoficzne, prawdy fizyczne, jak z trójnoga głosi.

Wolę wszakże przyznam Ci się tych, co myślą, rozumują, dochodzą głębi nauki jakiej, niż takich, którzy o wszystko jakby mimochodem lekko trącą. Nadarzyło mi się napotkać takich, u których Filozofia nie jest nauką i nią być nie powinna; dla których ekonomia polityczna jest bajką, czczą i niepotrzebną gadaniną. Czyż dla tego, że tej lub owej nauki nie znają, już ją za niepotrzebną ogłaszać? Coś to prawie na jedno wychodzi; nie umiem butów robić, buty więc na nic, wolę boso chodzić. Przepraszam Filozofią za takie porównanie wcale nie estetyczne, ale tak mi przyszło na myśl.

Mojém zdaniem nauka zgłębiająca przyrodę moralną człowieka, jest wielką, potężną. Nauka, która pomyślność kraju za cel sobie obiera, jest ważną i konieczną. W rozwijaniu się jak z kłębka myśli, z ciągłej onych łączności, z wytkanych rozumowań, z wyrobionych zdań, wyjść kiedyś mogą, jakby jakie formuły matematyczne, które wskażą, jakie władze intellektualności naszej dla szczęścia rodu ludzkiego wyżej postawić, jakie znowu podrzędnémi zrobić należy. Czy np. czucie czy poznanie, czy rozsądek przewodniczyć powinny? Jakie z władz naszych moralnych ogólnie uprawiać i jakby w natężeniu trzymać należy?

Ekonomia polityczna musiała przez wiele przejść zdań i problemów, które się wzajem spychały, nim się przekonano, że *związek celny* (Zollverein) tak na pozór przemysłowi krajowemu sprzeczny, nie tylko nie tamuje go w niczém, ale do koniecznego współzawo-

dnictwa prowadząc, w silném go utrzymuje życiu. Muszą nauki przyjść do tego, że nie tylko na indywidualne szczęście, ale na pomyślność i moralność całych ludów wpływać i wszelkiémi drogami ku temu celowi dążyć będą. To wszakże prawda, że gruntowna tylko nauka odpowie temu świętemu przeznaczeniu. Półmędrki utrudzają zawsze drogę postępowi, zrywają go z kolei szczęścia dla ludzkości przeznaczonego.

Jeśli zaś każda nauka po amatorsku zlekka traktowana traci na swych zaletach, niedomaga w swych siłach i w całości zmalała, bezczynną, a może szkodliwą w swych skutkach będzie, cóż dopiero powiedzieć o nauce lekarskiej? Tu się nigdy bez szkody dla ludzkości nie obejdzie. Nie można lada czém zbyć trudnego przeznaczenia tej sztuki. O! tuby można powiewiedzieć *z Rejem z Nagłowic* »*twardo Panowie młodzi zapisana nauka*«. Nierozmyślnie powiedziana lub napisana lekarska rada, ciężkie ciosy dla pokoleń nawet przygotować może. Nie raz, nam prywatnym lekarzom, przychodzi wojować z jakiemiś przepisy chociaż arcyuczonych ale nie w rzeczy lekarskiej Pisarzów. Wszystkie te xięgi medycyny popularnej, gdy nie są na samych tylko dietetycznych przepisach ograniczone, lecz w formuły lekarskie ubrane, więcej zapewne nieszczęść niż pociechy przynoszą. Nie raz stawać nam trzeba do otwartego boju z matką, ciotką, wysłużoną piastunką, rubaszną klucznicą, które zabarykadowane butlem *Leroy*, oszańcowane wałem kul i prochu *Morysoniany*, lub też uzbrojone *Dziarkowskim*, *Pawlickim*, *Orkiszem*, *Buchanem* i tylu innymi, wzywają nas do kapitulacyi. Niecierpliwy lub bojaźliwy nie chcąc długo parlamentować, opuszcza spiesznie plac boju, a biedny chory staje się niedołężnej taktyki ofiarą. Cóż wiodło tych

zacnych ziomków naszych, aby w mowie ojczystej popularne rady podawali? Uczciwość, dobro ogółu, nie zaś *osobisty interes*. Nasz właśnie naród daleki jest od tych na łatwowierność ludzką spekulacyj. Gdzież zasłyszeć można, aby ktoś wśród nas mistyfikował jakieś leki, jakąś metodę leczenia? Zaledwie pigułki *Kwiatkowskiego* w składzie swoim aloetyczne, jakiś ślad sekretu utrzymują przy sobie. Kto z nas jaką metodą leczy, tę jawnie, czysto, chcącemu wiedzieć opowie, byle tylko pytający mógł wszystko zrozumieć. Zapytaj szanownego *Uszczapowskiego* praktykującego homeopatyę w Bracławiu, lub też zacnego *Łukomskiego* homeopatę w Odessie, on Ci szczerze o niej powie, jaka wartość, jakie błędy? Obrał bowiem homeopatyę dla siebie jako drogę praktyczną, nie dla tego, aby ludzi nowością obałamucać, nie przez *ducha sprzeczności*, ale szlachetne jego serce i umysł chętny nauki, szuka w niej dobitniejszych pewników, większej podług jego zdania rękojmi dla sumienia. Poczciwy *Romański*, lekarz hydropatyczny w Lubarze, otwarcie Ci opowie, jak leczy, jak leczyć będzie całą twą chorobę; nie zakrywa, nie mistyfikuje przyszłości, co pewnie ze szkodą swoją robi. My (jak nas fałszywie nazywają) Alopaci, także nie z *uporu* trzymamy się torowanej ciągle mnogiémi pracami drogi. Nie nabyliśmy jeszcze przekonania, że błędne były tylu usiłowań, tylu doświadczeń wypadki. Niechże zajaśnieje prawda, niech ludzkość widoczną korzyść z narzucanych nam tych lub owych teoryj odniesie, ugniemy kolana przed tą jutrzenką szczęścia, bo nami nie upor, ale miłość ludzi i zapał do nauki rządzą. Z rozkoszą w sercu wczytujemy się w coraz nowe postępy Bozkiej naszej sztuki, ale rzucać się w nie, bez wyczekania, bez probierczego na wszystko kamienia, to

może zostawione żwawszym, może i pojętniejszym umysłom, a prędzej jeszcze (mówiąc między nami) *fanfaroradzie*. Jedna xiążka np. starego gaduły *Rademachera* (słyszałeś pewnie o nim) nie namówi nas, abyśmy się o parę i więcej sotek lat cofnęli i sekreta alchemiczne za wyrocznie brali. Nie rzucamy pod stół starych voluminów, owszem skrzętnie je przeglądamy. Grube w nich są i proste wyroby, to prawda, bo ani Anatomia patologiczna, ani Fizyologia dzisiejsza pracowitych swych ozdób na nie nie rzuciły. Ale tkanina tej prostoty jest mistyczną zeszłych wieków robotą, ma pewny hart i to pociąga do siebie dzisiejsze, już prawie sceptyczne pokolenia. Niech drudzy doświadczają, mnie brak na śmiałości; ja tylko pilnym postrzegaczem będę. Dałby B ó g coś dobrego i zbawiennego dojrzeć! Jeszcze mi wówczas dość moralnej siły starczeć będzie, bym się z nowymi pobratał doradzcami i nową jaką naukową zdobyczą cierpiącej usłużył ludzkości.

Wracam do *popularnej medycyny*. Trudne tu są granice, w jakich podobne dzieła ścisnąć się powinny. Podawać długie traktaty o chorobach i ich leczeniu, byłoby to skoszlawiać dokładność i całość nauki. Te bowiem nigdy w sobie ścisłe, nigdy z gruntu przez ogół poznane być nie mogą. Obałamuci się czytający, musi źle pojąć, źle poradzić. Mamy tego codzienne przykłady. Napotykamy także na smutne szczegóły w społeczeństwie, gdzie biedny chory, długą znękany niemocą, szuka w xięgach do pojęcia swego pisanych, co to za choroba, co rozlicznym radom tak powoli ustępuje? Na nieszczęście w opisaniu każdej choroby coś ze swoich cierpień wyczytuje, każda prawie kartka coś o jego mózgu, o jego płucach, wątrobie, sercu, śledzionie etc. mówi. Widzi w sobie wszystko popsute,

uznaje siebie za nieuleczonego. Ciężki smutek go ogarnia, utajona rozpacz siły życia trawi. Lekarz traci głowę w kombinacyach i domysłach. Bieg choroby nie wiedzieć dla czego staje się coraz fatalniejszym. Aż oto baczne oko, pilna uwaga dochodzą przyczyny. Gdzieś tam na półeczce a najczęściej pod poduszką *corpus delicti* się kryje. Śmiało zabiera, wypędza pokątnego intryganta, co większa burzyciela spokojności, zabójcę; a tak lekarz sumienny staje się znowu opiekunem, przyjacielem, doradzcą i zbawcą.

Tak, kochany P. Szymonie, jeśli masz w swojej Bibliotece: *Domowe sposoby leczenia*, *Medycynę popularną etc.* schowaj je w ciasny kątek, jako pamiątkę ludzkich mozołów, abyś i sam w nie niezazierał i sąsiadom nie dawał. Szkoda tej pracy, jaką na to Autorowie łożyli i tak pięknie jak *P. Orkisz* ją wydali. Chęci szlachetne, miłość bliźniego wielka, ale środki ku temu mylne a nawet niebezpieczne.

I ja marzyłem o takiej popularnej medycynie. Doświadczenie zwróciło mnie z tej drogi. Zawsze jednak trzymałem się tej myśli, aby o ile można naukę lekarską wcielić w ogół społecznych wiadomości. Czas bowiem minął, gdzie medycyna obwinięta szeroką togą, okryta napiętrzoną peruką, formowała się w oddzielną nieprzystępną korporacyą (*). Za rzecz śmieszną i

(*) Panowie Medycy, zajmujący się wyłącznie ludzkością *in statu passivo*, niechby zważyć raczyli, że upowszechnieniem zasadniczych wiadomości lekarskich najlepiej właśnie odpowiedziećby mogli swojemu powołaniu. Ileżto jest chorób rodzących się prosto z nieznania istoty, mocy i własności swego organizmu we wszystkich jego częściach składowych! Jakże często w sprawie materyalnej gospodarki zwierzęcy instynkt góruje nad rozumem ludzkim! Z tego względu nader pożądaną byłaby

dziwną uważałem zawsze, dla czego młodzież we wszystkich szkołach publicznych, ze wszystkimi szczegółami wyucza się budowy zwierząt, wie na palcach, wiele, iż nie powiem, piórek w skrzydle ptaka, jakie nóżki, jakie rożki, kółka, paski, kropki etc. u najdrobniejszych owadów, a o budowie własnego jestestwa najmniejszego nie ma pojęcia. Dla czego zastanawia się taż młodzież nad życiem i chowem to pszczół, to owiec, to bydła etc., wie, co im szkodzi, co służy, a nie wie, jaki na nasze zdrowie ma wpływ powietrze w różnych swoich przemianach, jak działają pokarmy, napoje etc.? Tą myślą wcielenia nauki lekarskiej do publicznego wychowania zajęty, zrobiłem, jak wiesz, projekt i prospekt Katedry Hygieny dla Lyceum Krzemienieckiego. Wysokie władze szkolne utwierdziły go we wszystkiém. Rzucono się z zapałem na moje prelekcye. Wewnętrzna potrzeba zaspokojenia braku tej nauki, która najprostsze, najpospolitsze rozwiązywała z życia naszego zagadnienia, ściągała nawał słuchaczów. Miło mi było i Ciebie zacny przyjacielu w tém różnolitém widzieć gronie. Potakiwaliście wszyscy mej gorącej żądzy służenia dobru publicznemu. A przebaczając słabej wymowie, szczupłym wiadomościom moim, dodawaliście nadziei w przyszłości. Jakże nie raz gorzko ubolewałem, czemu mnie Bóg nie obdarzył silną wy-

---

dokładna nauka o częściach ciała ludzkiego i ich czynnościach w stanie zdrowym, równie jak i o walnych przyczynach pospolitszych przynajmniej chorób. Wiemy, że P. Alexander Kremer zamierzył przysłużyć się Publiczności podobném dziełem; pozostaje więc nam życzyć, aby to wskazanie powszechnie uczuwanej potrzeby było dlań podnietą do rychlejszego ukończenia tak pożytecznej pracy.

(*Wyd.*)

mową *Bichata*, bogatémi myślami *Vireya*! Brak mi było na wszystkiém. Proste serce, prosty język musiały starczyć potrzebie. Wśród nieprzerwanego potoku zatrudnień moich, powoli z porządną dokładnością obrabiały się pojedyncze traktaty. Chciałem z czasem wszystkie drukiem ogłosić. Nie byłabyto *Medycyna popularna*, ale pod tytułem *Lekcye Hygieny* objąłbym te gałęzie nauki lekarskiej, które do pojęć koniecznych, do uzupełnienia publicznej edukacyi młodzież prowadzą. Jakoż *Anatomia popularna* obeznałaby ze składem człowieka. *Fizyologia* objaśniłaby w ogólności przeznaczenie organów. Tu poprawiłyby się błędne a popularne o składzie człowieka, o rozmaitych w nim żywotnych funkcyach mniemania, sprostowałyby się fałszywe a często śmieszne w codziennej mowie wyrażenia. Dalej wyłożyłyby się szczegółowo wpływy klimatu, płci, wieku, temperamentów, zatrudnień umysłowych i fizycznych na zdrowie ludzkie. Następnie zajęłaby uwagę czytelnika Hygiena wieku niemowlęcego, dziecinnego i młodzieńczego. W tej lekcyi traktat o ospie i wakcynowaniu obeznałby ze wszystkiómi ostrożnościami i uwagami potrzebnémi. Rzut oka na edukacyę w każdej z tych trzech epok życia uzupełniłby ten ważny traktat. Po czém rozbierałyby się po szczególe ważniejsze funkcye człowieka, jako: *funkcya oddychania*, gdzieby wypadało wypisać się obszernie o wpływie *powietrza*, *ciepła i światła* na zdrowie ludzkie. Opisanie *funkcyi trawienia* zajęłoby w sobie wykład *pokarmów i napojów*, o ich własnościach, przygotowaniach, przyprawach, fałszowaniach. W opisaniu *funkcyi skóry* byłaby rzecz o jej transpiracyi widzialnej i niewidzialnej; o wpływie kąpieli zimnych, ciepłych, potowych czyli łazień, nacierań ciała; o odzie-

ży i bieliźnie. Opisałaby się *Funkcya muskułów*, gdzieby się powiedziało o ruchu i spoczynku, o śnie i czuwaniu, o potrzebie gymnastyki i o jej różnych rodzajach. Nakoniec w opisaniu *Funkcyi mózgu i nerwow* mówiłbym o usposobieniach umysłowych, o wpływach moralnych. Znalazłaby się tu pora roztrząsnąć choć w główniejszych zasadach system *Galla*. Dla uzupełnienia mego zamiaru dodałbym traktat o ratowaniu pozornie umarłych, jako: utopionych, powieszonych, oczadzonych, zmrożonych, piorunem rażonych; i jeszcze traktacik o jadowitych grzybach i roślinach, pająkach i płazach, z rycinami przy nich. W tej ostatniej robocie przyrzekł był czynnie mi dopomagać mój dawniejszy Professor a poźniej mój czci-godny kollega *Dr. Wilibald Besser*. Wielka szkoda, iż zawczesna śmierć wydarła go uczonemu światu. Olbrzymie prace jego, w *suchych zielnikach* z jemu wyłączną wytrwałością i ścisłością dokonane, trwałą zostały w Uniwersytecie Ś-go Włodzimierza po nim pamiątką. I moje *Centuriony Krymskie*, jako słaby dowód pamięci mej przyjacielskiej, przyjął tam i łaskawie zespolił.

Takieto miały być cząstki uprojektowanej budowy moich *Lekcyj Hygieny*. Marzyłem o całości, a ledwie jakieś jej ułamki w obieg poszły. Nie moja w tém wina. Nie zawsze można być panami czasu i okoliczności. Ludzkość nic niestraciła na tém, bo pisałbym rzeczy znane; byłbym tylko kompilatorem, nie twórcą. Ale przykro mi, że wiele nagromadzonych materyałów poszło w rozsypkę. Przyszłość i praca coś może dokonają.

Rozgadałem się P. Szymonie. Otożto, jak mówią: *Uderz o stół, nożyce się odezwą*. Połajałeś mnie, że i Hygieny nie piszę i nic nie piszę. Chciałem przy-

najmniej usprawiedliwić się przed Tobą; chciałem tylko napomknąć o wyrzutach mi robionych przez mego korrespondenta, a tu się naplotło koszałki opałki, albo, podług aforyzmu P. Kwestarza, *jak Karski na mękach.*

Tento Aforyzm numerem 5-m naznaczony całą wywołał żółć mego P. Korrespondenta. Zalał nią kilka kartek swego pisma. A w gorączkowém prawie uniesieniu, najlepsze nawet utwory antagonistów opinij swoich na spalenie, na autodafią rzucał. To za wiele. Zasługa, praca, talenta, powinny być szanowane. Byłabyto, acz słaba nagroda, za wiele mozołów i trudów pisarskich. Mojém zdaniem, choćby kto drobną cegiełkę do budowy ojczystej Literatury przyniósł, tego zdatniejsza czeladź nie odepchnie, ale do siebie przygarnie i do roboty wysokich piąter ośmieli. Nie dla nas to waśnić się przy tej wspólnej pracy. Cóż z tego, gdy się w sercu i mowie nie zrozumiemy? Nie róbmy między sobą różnicy co do wieku. Niechaj młodzi starszych uszanują, niech ich prac i usiłowań drwinami nie okrywają. *Bo czyż lata życia są, jak stare suknie do niczego nie przydatne? Wszak życie jest nieprzerwaną szkołą, jest ciągłem rozwijaniem się. Rozum nie od razu zdobywa prawdy, jak przemożny wojownik kraje orężem zajęte; ale powoli i mozolnie ku nim idzie, podobny do pracowitego wędrowca, co się łamie z trudnościami, co wśród błędnych ścieżek musi z rozwagą należytej wypatrywać drogi.*

Powiedzmy też nawzajem, że starsi i zasłużeni winni całą względność młodzieńcom wstępującym w szranki publiczne okazywać. *Z jakiém uczuciem ojciec patrzy na syna, z takiém człowiek publiczny, obywatel widzi młodziana. Egoizm, ta plaga towarzystwa, oddzielne zakreśla sobie koło, w którego środku pospo-*

lity człowiek siebie mieści. Młodość z samej natury rzeczy, tego koła nie zna. Czucie jej nie zamknięte żadną granicą i samą świeżością swoją żywsze i pełniejsze, łatwo się rozlewa na ogół. Ktoż znowu zaprzeczy, iż złe niechybnie wyjdą dla społeczeństwa skutki, gdy młodzież zarozumiała imie się nierozsądnie napastować i burzyć, co starsi dokonywają, lub już dokonali? Mogą młodzi niebacznie targnąć się na to i to podkopać, czego już nigdy odbudować nie będzie można. Tak się stanie (jak mówi jakiś autor), *gdy młodzieniec zagasi przed sobą światło nieba, gdy do roboty się bierze nie sercem czystej i gorącej wiary pełnem, ale z rachubą niedoświadczonego rozumu; jeśli zarażony pychą obierze za cel widoków swoich nie ludzkość, ale siebie.*

A tak jedni drugim usługując, wspierając, zachęcając, wszystkie na bok złożywszy niechęci i urazy, daleko i szczytnie uprawiliby własne pismiennictwo. Koło tego ogniska skrzętnej trzeba pracy i czuwania. Podkładajmy kto może drewka, by czysty i jasny pałał płomień. Niechęć i zawiść złymi będą jego stróżami, musi w swej sile maleć. *Jan Kochanowski* pisząc o *Zgodzie*, te dla nas piękne zostawił wiersze.

To czyńcie, a nie będziem wszyscy żałowali,
I ja że radzę, i wy żeście mnie słuchali.

Czystości wszakże płomienia więcej jeszcze, niż siły jego, przestrzegać wypada. Pod cudzoziemczyzną zpopieleje żarzący się wprzódy węgiel. Jakżebyto zbawienną było dla języka rzeczą, gdyby (tak zwany) *dobry ton* przestał wymagać po towarzystwach *francuzczyzny*, która, jak pasożytna roślina wiatrem zachodnim

na nas rzucona, soki nasze narodowe wysysa, wycieńcza, niweczy. Dobrze *Fredro* powiedział »*Kto się z wierzchu obłoczy w cudzoziemca, musi z wewnątrz wyzuć Polaka*.« Czyż dla dobrego tonu trzeba nam koniecznie do cudzoziemca przystać, jego we wszystkiém małpować? Czyż nam tak potrzebna, tak przyzwoita między nami francuzka mowa ustna i pisana? Chyba dla tego, żeby można swobodniej niegrzeczne lub wszeteczne frazesy między sobą wymieniać? *Dobry ton* powinien być własnego chowu, z własnych uczuć i narodowości wysnuty, własnymi zwyczajami utrzymywany, własną mową oddany (1).

Ale mówmy teraz o moim Korrespondencie. Całą duszą podzielam zgrozę P. Kwestarza ku owemu periodowi Tetery, gdzie chcąc koniecznie utrwalić ohydną plamę, jaką Bejła naród oszpecił, odwołuje się ironicznie niby do myłki druku u *Xiędza Staszyca*. Jak gdyby jeden *Podskarbi* mógł cały narod przedstawiać? Jak gdyby rozpusta, nieład, nawet zbrodnia

---

(1) Tak wszyscy sądzimy i nauczamy, a jednakże fatalna jakaś słabość stale nas utrzymuje w zgubnym nałogu. Ilużto tutaj w moich oczach namnożyło się *lafiryndów*, namnożyło przez samą próżność, przez głupi pociąg do zewnętrznego poloru! Dziś dowiaduję się z pewnego żrzódła, że nawet poważny nasz Katechista, powołany, jak sam twierdzi o sobie, do kształcenia gustu Publiczności, skutkiem całorocznych ćwiczeń w salonowej konwersacyi z pewną Damą, począł w towarzystwach zadziwiać rodaków swoich doskonałą gallomaniją. I co tu sprawić mogą wszelkie morały i filippiki, kiedy tego zła wymagają pewne przywileje arystokracyi; kiedy tém się jedynie zaleca wyższe ukształcenie; kiedy to nawet niezbędnie jest potrzebném na drodze postępu wyrozumowanego przez arcypobożne bractwo tygodnikowe?...

(*Wyd.*)

zmarnowania grosza publicznego przez pojedyńczego urzędnika, mogła iść w porównanie z zarzutem całemu narodowi nibyto usty królewskiemi zrobionym. Warto byłoby i Bejle i Teterze wczytać się lepiej w *Opisanie działań cztero-letniego Sejmu* przez czci-godnego Ministra *X. Staszyca*. Tamby nauczyli się ubolewać, nie urągać nad naszą szlachtą. Smutne sprawozdanie *X. Staszyca* z rewizyi Archiwów krajowych boleścią każdego współrodaka serce przejmie. »*Nie raz wychodząc z Archiwów bałem się, aby mi na schodach, do podeszwy nie przylepił się z rozrzuconych papièrów szpargał jaki, ostatni może dowód fortuny i imienia jakiej sieroty*.« A tak nie z takąby śmiałością kilkanaście tylko familij za prawdziwie szlacheckie uznawano.

Jużto i prawda, że ten cały okres w liście Tetery począwszy od Medycyny do *et caetera* jest fatalny, i sprawiedliwie mój P. Korrespondent na wszystkie obraca go strony. Przechwala się tymi właśnie wyrobami Bejłowskimi, które naszym uczuciom i pojęciom najmniej odpowiadają. Same nawet *et caetera*, którém zamyka wyrecytowanie towarów ze swego sklepiku, kazałoby myśleć, że coś tam porządnego w jego skrzyneczce się kryje. A tymczasem cóż tam znajdujemy? Słabe próbki obyczajów naszych na wyborach szlacheckich, w prywatnych posiedzeniach, dalej wzorki skąpcy, pasibrzucha etc. nic tam w tych drobiazgach nowego, a co większa nie wszystko przyda się do naszych czasów. Ktoż nie wie *np.*, że na wyborach są intrygi i to nie tylko u nas, ale we wszystkich krajach, gdzie wybory miejsce mają? Nie czernijmy więc siebie w oczach Rządu, który nas tą drogą Instytucyą darzy. Zawsze ona ma wielkie cele i następstwa. Opinia, jako rzecz

żywotna, potrzebuje mieć swój organ, swoją mowę. U nas w czasie wyborów odezwać się ona swym głosem może. Zabiegi, intrygi, skrzywią ją, nagną, ale to tylko czasowie. Odskoczy znowu, wyprostuje się, jak sprężyste żelazo. Niech nikt nie myśli, że z opinią jak z dzieckiem igrać można. Fortuna w swych darach kapryśna, opinia nigdy. Trzeba się dobrze jej zasługiwać i dobrze zasłużyć, aby być jej kochankiem. Poniewierki żadnej nie zcierpi i ciężko w potomkach nawet ukarze.

Powinienby *P. Tetera* szepnąć w ucho swemu *Sobowtórowi Bejle*, czemu o szkodliwszych nie rozprawia wadach? Dla czego wprawne jego pióro nie wyda zręcznej Satyry na naszych karciarzy, co dnie i nocy z synem djabelskim przystają, co drogi czas do reszty wyponiterowują, co na przepadłe puszczają zdrowie, mienie a często i honor? Czemu nie skarci a dowcipnie te niezmordowane wyścigi z chartami, gończemi etc., tę zawziętą hydropatyczną kuracyę po bekasich rudach? A tu xiążek dużo nie czytanych, nieporozcinanych nawet leży na stoliku, pod stolikiem i za piecem. Czemu nie przekona naszą młodzież, żeśmy nie Azyatycy, ale do oświeconej należąc Europy, towarzystwem kobiet gardzić nie powinniśmy? Dla czego one osobne zasiadają salony a mężczyzni gdzieś po kątach, jak cyklopy w kłębach dymu, kują pięścią o zielone stoliki (Przypis. 2.).

Próżnowanie młodzieży ciężkim ciosem nam zagraża. Śmierć moralna zgubniejsza od fizycznej; zgnilizna takiego trupa szybko postępuje. Snują się u nas całe grupy młodych ludzi bez zajęcia, bez przeznaczenia. Takie życie w tenczas już płowieje, kiedy jeszcze duchem i czynem jaśnieć powinno. Szkoda tylu

usposobień wrodzonych i nabytych, co tak marnie przepadają. Ale czemuż nie użyźniać tej niwy, w którą dobra matka rzuciła ziarna bogobojności i cnót domowych, a troskliwy i baczny ojciec dodał pojęcie dobra i usług publicznych? Niczego nie szczędzono, aby dziatwa Bogu była miłą a ludziom użyteczną. Tymczasem te powabne latorostki, do których przyszłość należy, próchnieją wewnątrz, gną się ku ziemi, więdnieją zupełnie. Wszakże tyle jest dróg, po których użyteczność do zasług prowadzi. Wybrać sobie cel życia należy. Im się wcześniej wcieli w społeczność, tém się więcej przywiąże do ogółu, tém pewniejszy rozbrat z próżnowaniem i obrzydliwym egoizmem. Potrzebuje kraj artystów, mechaników, architektów, agronomów, marynarzy, kupców. Dotychczas najczęściej obcy rodem i krajem te powołania zajmują, z wielką na współziomków naszych kontrybucyą. A jeśli się swojak nadarzy, to mu i talentu nie przyznamy i ufności odmówimy. Dla czego? Bo nas mało pracujących, bo łatwiejsza konkurrencya z cudzoziemców, przystępniejsze z nimi układy. Rzućmy się na wszystkie strony, a będzie i nam lepiej i potrzebującym dogodniej. Handel powinien zwrócić naszą uwagę. Starły się już dawne *o kwarcie i łokciu* uprzedzenia. Czas nam samym po brzegach tylu mórz ogromnego naszego państwa gospodarować. Zagraniczni już się wysłużyli i bogatą zasłużyli sobie niezależność. Nikt im z nas nie zazdrości, a nawet błogosławimy fortunie uczciwością nabytej. Dla nas dość miernego a poczciwego bytu. O takiej przyszłości i ty kochany przyjacielu dla jednego ze swoich synów marzysz. Błogosław wam Boże! Dobrze, chwalebnie robisz! Trzeba uprzedzić tę porę, w której latorośl siły życia pełna, rada odchylić się od

drzewa, sama sobą być pragnie i często niebaczna swym pospiechem wyschnie w pręcik nieużyteczny. Komu nawet Bóg niezależność od kolebki jeszcze przygotował i ten niech marnie swej młodości zużywa. Winien obeznać się z prawem krajowém, z administracyą wewnętrzną, pojąć swoje, jako dziedzica, jako człeka z funduszem przeznaczenie, pracą w narodowej literaturze się zasłużyć, potrzebnémi wiadomościami sobie radzić, pomocą być drugim, przykładem dla wszystkich. Niechaj nie na to zostaje obywatelem, aby mu głowa oczadziała cudzoziemczyzną, lub żeby zgnuśniał w umyśle, lub wreszcie aby spełniły się na nim słowa poczciwego jakiegoś pisarza »*być obywatelem polskim, jestto jeść, pić, dzieci mieć, w karty grać, fajkę palić, polować.*« Ale czyż nam brak na przykładach pracowitej młodości? Mamy je: wdzięczném sercem i jakby macierzyńskiém uczuciem ich przyszłość ogarniamy. Bogdaj w pracy dotrwali, bogdaj zawsze sumiennie, uczciwie i bogobojnie dobru publicznemu służyli! Wiele i wiele znalazłoby się do pisania, kto o tem pisać umie, komu to jest na sercu, kto to głęboko czuje, ile nasz ogół z marnotrawstwa czasu traci, jak ojczysta niwa chwastem porasta, jak uprawa umysłowa płci męzkiej ku niższym zchodzi szczeblom, jak często skromne nasze niewiasty rumienić się muszą i prawie zapierać swej nad mężczyznami wyższości. Broń mnie Boże, abym przez lepsze wychowanie kobiet szpakowanie francuzczyzną lub angielszczyzną rozumiał! Dawno jestem z tobą kochany P. Szymonie jednego zdania, że ta obczyzna grubą warstwą narodowość naszą okryła, pod którą wszystko co nasze spleśniało. A co większa, iż ta i Religią przodków naszych lekkomyślnie i zuchwale przydusza. Przedrwiwanie z form jej zewnętrznych

samowolne dyspensy od postów, spowiedzi, nabożeństw etc. emancypując nierozważnych od obowiązków względem Boga Religią przodków uświęconych, żadnej nie dają rękojmi dla cnot domowych i publicznych, dla Rządu i Monarchy. Tento przykład Wolterowskiej filozofii wszczepił się łatwo w nasze wielkie miasta, a co gorsza i w domowe wiejskie zacisza. Eleganci i elegantki, czyli, jak ich dawniej nasi kontuszowce przez drwinki choć pokątne *Lafiryndami* nazywali, od dawna bo od *Jana Kazimierza* przenaturzyć nas francuzczyzną chcieli. Następne panowania nie były szczęśliwsze, a pod *Stanisławem Augustem* już nas haniebną pochwałą *Français du nord* zaszczycono. Naszego wszakże wieku kobiety zwracają się z Paryzkiego traktu na bity polski gościniec. Nie wyrzekają się narodowego języka, ojczystą mową Boga chwalą, ze swémi dziatki pacierz po polsku mówią, do swoich po polsku piszą, rade czytać co krajowe; a ciche spełnianie domowych obowiązków, skromność w ubiorze, ład i oszczędność we wszystkiém wzięły sobie za ścisłą powinność: i to je zdobi i to im daje wyższość. Dobrze bowiem naucza *Skarga* »*A to rozumieć każdej białogłowie pilna jest bardzo, iż każda nabożeństwem, wstydem, pokorą, milczeniem, cichością, robotą i innemi cnotami bardzo się zdobi, i urody sobie i wielkiej okrasy przyczynia; bez tego i najpiękniejsza, wdzięczność wszelaką traci.*«

Nie tak wszakże i my męczyzni źli jesteśmy, abyśmy się z wad jakie mamy, poprawiać nie chcieli. Przypominać jednak nie zawadzi i potrzeba. Dawniej np. pijatyka znamionowała gościnnego, uprzejmego gospodarza. Inaczej o przyjaźni nie wspominano, przyjaźni nie zawierano, jak przy kuflu lub butelce. Wie-

leżto spraw krajowych na sejmach i sejmikach utonęło w antałach wina i beczkach miodu! Wykrzykiwano chrapliwym głosem, żartobliwą łacinę — *quoniam Patria est in turbido, ergo mederi licet!* i w mederze ojczyznę pławili. Nie wiem, czy godzi się nam sumiennie o tych jak o błogosławionych czasach wspominać? Czy przystoi naszej narodowości tam szukać, tam ją składać? Właśnie, że te *Listopadowe* i tym podobne fety z zagonów ojczystych, od własnych soch i pługów odrywając szlachtę, do nieporządku, do pijatyki ich przyuczały. Dogadzało to quasi-feudalnej dumie magnatów, że ćma narodu pod konwojem beczek wiedziona, ich sprawę wykrzykiwała i własną krwią wygranę okupowała. Bałamuciło to szlachtę, bo ta po odbytej sejmowej kampanii, nabierała przekonania, że swą głową i mową sprawy narodowe złatwiała, a na ostrzu swych pałaszów temu lub owemu koronę Polską dawała. Ta duma odpychała od siebie pracowitego kmiotka, który z posępném czołem, bolejącém sercem patrzał, jak jego praca szła w poniewierkę. Nie przyuczano szlachtę, by ta w spokojnych swych siedzibach pojmowała potrzeby kraju, nad niemi się po narodowemu z serca zastanawiała; by w swojej porze w obec B o g a i sumienia radziła. Magnat o to nie dbał, dość mu było, że wyłączne swoje przekonanie przelał miodem w drugich. Co mu trzeba było, to prędzej później dokonał, bo zwycięzca czy zwyciężony, zwiększał coraz swych stronników. W tejto anarchii monarchicznej, bogaty Pan wielkiego nabyłby wpływu moralnego, gdyby chciał moralną zająć się stroną narodu. O gdyby tak było, mniejbyśmy mieli *Siecińskich*, a więcej *Rejtanów*! Nie tychby nam magnatów za typy staropolsko-narodowej cnoty podawać, co rozebrani do ko-

szuli z kuflem w ręku sejmikowy objeżdżali rynek; ale tych na widoku postawić mężów, co poświęceniem się, pracą, wielkiego ogólnego dobra dokonać pragnęli. Powoli przepijano byt moralny i polityczny narodu. Potok tej, że tak rzekę, namiętności zalał i dalsze pokolenia. Pili jeszcze na zabój w początkach tego wieku, już nie przy naradach publicznych, ale w wiejskich komnatach i piwnicach. Piliby jeszcze i teraz w tych przynajmniej prowincyach, gdyby *Czacki* w nowy całe obywatelstwo wprowadzając zawód, do pracy i umiarkowania nie nakłonił. Wiele przy tém mówiono i pisano przeciw pijatyce, obrzydzono ją, pić nareszcie przestano! — Był jakiś czas moralnej swobody; żadne krzywe wyobrażenia, żadna płocha i zgubna namiętność nie panowała młodzieży. Było błogo i spokojnie. Ale szatan w swych na około świata wędrówkach i nas nawiedził i synkowi swemu nas oddał. Odtąd pomieszał się ład społeczny. Nibyto dobry ton przy kątowych zielonych zasiadł stolikach, szary koniec po salonach się rozchodził. Prawdziwie jednak sądzę, gdyby chcieć dwie ostateczności moralnego upadku ważyć z sobą, możeby przyszło żądać tej, co prawdy na dnie kielicha szukała, co się w przyjaźni rozczulała i ją przy strzemieniu i z trzewiczka wywoływała; jak tę, co zimna z pozoru, wrzącą namiętność chciwości i nienawiści w sobie kryje. Pisać, krzyczeć, potępiać, wyklinać i pogardzać tą hydrą należy. Dochodzimy wszakże do celu, bo opinia już ją przygniata. Pisarze czasów naszych, przeglądając obyczaje nasze, nie mało się o karcianej grze rozpisują. *Kraszewski*, *Korzeniowski*, *Bogucki* i jeszcze kilku nie jedną scenę życia na tém tle odrysowali. *Bigos hultajski czyli Bzdurstwa obyczajowe* pieprzną ale dobrą i potrzebną dały

publiczności strawę (Przypis. 3.). Powiem ci jednak kochany P. Szymonie, że gdyby poczciwy *Blepoński* zapytał mnie o zdanie, powiedziałbym mu z otwartością, jakiej się zawsze trzymam, 1. aby tytuł dzieła zmienił, bo ten dla obyczajowej xiążki za zamaszysty — 2. aby pięknem swém piórem, sprawiedliwym sądem, przyjemną jakąś stronę towarzystwa oddać zechciał — 3. aby swego zdania o *Mieszaninach*, tak jędrnie, logicznie i sumiennie skreślonego, płaszczykiem jakiejś bojaźliwości w końcu nie oblekał — 4. aby swego prawdziwego, czystego, starodawnego i dawno zasłużonego Imienia źle brzmiącym pseudonymem nie zasłaniał.

Kraszewski dokonywa swej missyi krytycznymi rozbiorami towarzystw naszych. Maluje je szczegółowo, dobitnie, praktycznie; ale powiem także otwarcie, że po swej *Latarni Czarnoxięzkiej* przesuwa monstrualnej wielkości cienie. Taka xiążka obyczajowa powinna być wiernem zwierciadłem czasu naszego. Wypadałoby więc przedstawiać obrazy cnót i występków, bogactw i nędzy i tym podobnych sprzeczności, na jakie między sobą napotykamy. Tym czasem *Kraszewski* maluje nam naszego chłopka *Saukę* w nędzy, biedzie, ucisku, a przeciwnego obrazu nigdzie nie napotykamy. Prawda, że ten *Sawka* jest arcy-dziełem sztuki pisarsko-malowniczej. Co za koloryt! jaka wyrazistość wszystkich kształtów! jakie cienie doskonałe! i cała jego drużyna i to Niebo i to wszystko, co go otacza, ach jak cudne! — Mojém zdaniem jestto najpierwsza bo najzupełniejsza tafelka *Latarni*. Ale im piękniejszy obraz, tém niebezpieczniej dla nas. Bo kiedyś, gdy nas i wielu rzeczy na tej ziemi nie stanie a *Latarnią Kraszewskiego* zabawiać się zechcą, powiedzą »*Źle było wówczas włościanom i bardzo źle!* — *Sprawie-*

dliwie oskarzano wówczas właścicieli ułości o ucisk i tyranią. Patrzcie, jak Sawka wyglądał, co się z nim działo etc.« A jednak są u nas także włościanie w dobrym bycie, a nawet w swojej sferze szczęśliwi. Wartoby kochany P. Szymonie, abyś wziąwszy przed oczy stan naszego kmiecia porządnego, pracowitego, zamożnego (a taki jest nie jeden w każdej wiosce) którego byt pod opieką właściciela gruntownej nabiera trwałości, twoim pędzlem go oddał, twoim duchem go ożywił, twojém sercem we wdzięk przybrał. Wiem, że piszesz jakiś romansik z biegącego czasu zaczerpnięty, poświęć tam kilka kartek temu przedmiotowi.

To mnie dziwi, a przynajmniej to rzecz dla mnie nie pojęta, dla czego *Kraszewski*, co tyle się u nas wysłużył w kraju, żeśmy przywykli wspominać go lub witać jako weterana w Literaturze z poszanowaniem i wdzięcznością, dla czego mówię stał się celem drwinek P. Tetery? Wszelkie urąganie się, żarty nawet z niego, uważamy za występek pogardy godny. Czémże wynagrodzić możemy tę dążność Kraszewskiego ku ożywieniu ojczystej Literatury, jeśli nie publiczném poszanowaniem, nie ogólną wdzięcznością? Rozbiór, krytyka dzieł szczegółowa, czyni zawsze zaszczyt Autorowi, bo widać, że te były warte czasu i uwagi Recenzenta. Ale prześliznąć się tylko po dziełach Kraszewskiego (jak to robi Tetera) z jakimś rodzajem fanfaronady i szarlatanizmu, to obraża publiczność nawykłą do lepszych w czasopismach recenzyj. *Mieszaniny* nawet *obyczajowe* Bejły, musiały mieć w sobie zapas życia intellektualnego, kiedy zwróciły na się uwagę ogółu i obudziły krytykę. Różne wprawdzie były ku temu pobudki. Ale martwe bez ducha pismo, tego nie dokaże. Powiadają, że taką ruchawką umysłów Autor się cieszył. Ten do-

bry humor Autora zkądby pochodził? Czyliżby jeszcze rozkosznym śmiechem z cierpień współbraci urągał? Toby było nadto. Tłumaczmy raczej rzeczy z Chrześciańską pobłażliwością. Ucieszył się, bo jako czuły współrodak rad był z przekonania, że choć uważał naród za trupa i po nim jak po zgniliznie chodził; zadrgały wszakże jego cząstki, a bicie serca i pulsów o życiu poświadczyły. Za gwałtowny to wszakże środek, wady szczegółów pogardliwém potrącaniem narodu i klątwą zniszczenia poprawiać. Tu właśnie przystosowaćby można słowa z listu przyjaciela Bejły w ważnej pisanego okoliczności »*Człek spał na łóżku wygodnie, a że pchły go kąsały, chcąc się od nich uwolnić łóżko zapalił.*«

P. Tetera zapewne niepojmuje, ile praca, ile dążenia ku dobremu warte. Można mieć talent dowcipkowania i jak po kolei żelaznej ryczałtem przywozić koncepta. Ckliwe one będą, gdy na uczuciu wewnętrznej wartości zabraknie. Przypatrywałem się różnym charakterom ludzkim i stateeznie zauważyłem, że dowcipnisie, na pozór weseli ludzie, melancholicznym najczęściej podpadają napadom. Jestto jakby przeczucie, że się czas drogi czczą robotą zużywa, jakby kara za takie marnotrawstwo życia.

Jeśli sam P. Tetera czasu nie miał przewartować mnogie dzieła Kraszewskiego, mógł nadstawić ucha, co o nich mówi Bejła, Grabowski, X. Hołowiński, X. Chołoniewski, Przecławski i inni nasi Literaci. Znalazłby w ich pismach wiele periodów pochwałom tego Autora poświęconych. Ale wieleżto rzeczy w pamięci ludzkiej ginie? wiele dat historycznych się zaciera, tak, że potem w anachronizmach toniemy, aż ktoś z bo-

ku ratować nas musi od niechybnej śmierci (1). Bejła temu nie zaprzeczy. Kraszewskiemu wszakże pamięć w Historyi wiernie służyła i nią drugich wesprzeć potrafi. Nieuk jestem w tej wielkiej umiejętności. O ile wszakże rzeczy pojmuję, o tyle zdaje mi się, iż *Historya Wilna* nosi na sobie cechę prawdziwego i dokładnego wyrobu.

Kraszewski wolał samą dawnością zamarłe starej Litwy życie rozdmuchać pięknymi swymi utworami — *Witolorauda*, *Mindows*, *Witoldowe boje*; niż dziś żyjące ciało, jakby nogą przydusić, artykułem *o Przyszłości*. Pamięć, praca, twórczość i popęd ku wyższym przedsięwzięciom dokonały tego olbrzymiego trzech poematów pomysłu. Dziś z rozkoszą poznajemy się z pogańską Litwą. A choć ich sprawy krwią i mordem zbyt wydatne, zawsze to są naddziadowie szlachetnych naszych współbraci, zawsze pierwsze zrzódła historyczne, pierwszy konar tego gałęzistego i bujnego drzewa, silnie uwagę naszą zajmuje. Trzeba było wielkiego talentu, aby w mętach wody coś przejrzeć, aby niepotrzebne mchy, zarośle i poplątaną wić okrzesać, oczyścić, wygładzić.

---

(1) Wielka jest władza okoliczności nad człowiekiem. Kto tę prawdę faktycznie zbadał, ten dziwić się niebędzie napotykanym wciąż po drodze życia ludzkiego moralnym bezprawiom i głupstwom; tego nie oburzy bynajmniej dzisiejszy jezuityzm i wszelka dwoistość: temu owszem każda między zdaniem a zdaniem znaleziona sprzeczność wyda się rzeczą stosowną, awożną, pamięć bowiem, rozum, wola i sumienie indywiduów równie dodatniej jak i ujemnej stronie ludzkości posługiwać muszą. Stara *Arendarka Korestyszowska* dawno już swój traktat filozoficzny na tej zasadzie osnuła.

(Wyd.)

To prawda, że tej wszechstronności Kraszewskiego wydziwić się nie możemy. Tu zaledwie widzieliśmy go, jak w zapylonych Archiwach ślęczy nad *Historyą Wilna i Litwy*,, i poważną prozą opowiada nam suchą prawdę; tuż znowu na silnych skrzydłach poezyi unosi się z całym światem Mytologii Litewskiej, przebiega twórczą siłą sztuki już bory, już wody, już niebiosa, a w tych wielkich sprawach Bogów, Duchów i Narodów, zapominać zdaje się o świecie, do którego należy, o ludziach, wpośród których żyje. Ale otoż rzuca w pośród nas krotochwilę *Czterech wesel* i interesującego nas *Twardowskiego*, to znowu przyjemny obrazek *Bladej dziewczyny* z miłém *Ostrej Bramy Wileńskiej* wspomnieniem, to znowu zajmuje nas wielkiej wartości utworem *Świat i Poeta*; to nam *Lubelskie* maluje czasy; to prowadzi naszą uwagę przyjemnie i zręcznie po tafelkach swej *Latarni Czarnoxiężkiej*; to we *Wspomnieniach pod Włoskiém Niebem* śledzi i rozpoznaje uczucia serca ludzkiego. A wszędzie podziwiać się należy, jak i kiedy mógł wypatrzeć, wydostać szczegółów domowego życia już naszego, już ojców naszych.

Te zaś korrespondencye Kraszewskiego, ta łączność jego z naszémi periodycznemi pismami, o niezmordowanej jego pracy, o jego otwartym świadczą charakterze. Nic mu nie jest obcém, cokolwiek w kraju i za granicą wychodzi a z czegoby zdać sprawę współziomkom swoim uważał za pożyteczne i potrzebne. W zakreślaniu zdania swego pracowitej i sumiennej trzyma się zawsze drogi. Brzydzi się szarpaniną bez ładu i sensu. Nigdy się płaszczem Anonyma lub pseudonyma nie obwija; uważa to za kostium teatralny. Śmiało i otwarcie zdanie swe objawia; a jak pogodném czo-

łem do cyrku zapaśniczego wchodzi, tak bez zachmurzenia się, bez niechęci i złości, broń czy zwycięzką czy zwyciężoną składa.

Jakaż mu wdzięczność należy za silną wolę, wyhartowaną przeciwnościami pracę, w nieprzerwaném wydawaniu *Athenaeum*? W postępie czasu dobre skutki tego pomysłu przekonają wszystkich, jak Kraszewski ogółowi się przysłużył, ile dla się wdzięcznych wspomnień zyskać powinien.

Mam wszakże na Kraszewskim notabenkę, że nie prędko uczcił pamięć Czackiego, że zachwiał się w przyznaniu Mu potomnych wspomnień i wdzięczności. Był on wprawdzie czas jakiś pod wpływem ducha niesprawiedliwości; ale umysł jego zawsze bierczy, serce prawdą żyjące, zrzuciły z siebie prędko to niewolnictwo. Własnémi siły wszystkiemu wystarczy. Przejrzał wszystko, zrozumiał cnoty, prace, poświęcenie się wielkiego męża i na wszystkie Jego dzieła i sprawy rzucił wieniec wielkich zasług i wdzięcznej pamięci.

Otożto, co to nałóg znaczy. Do pierwszego zdybania się z Krzemieńczaninem, już gawędka bez końca; lada okazyjka do pisania, już się pisze i pisze, bo myśli i uczuć nie wstrzymasz. To rzecz dziwna, dla czego *Krzemieniec* tak nas wszystkich do siebie przywiązał. Każde o nim wspomnienie przejmuje, rozczula, cieszy, zasmuca, jak Alpejskiego Gorala, gdy echo piosnki *Ranz-de-vache* zasłyszy. Ach! drogi przyjacielu, mamyż my za czem wzdychać i tęsknić! Bo ani lat młodych nikt nie wróci, ani tak jednożywnego towarzystwa nikt nam nie da; a rozpierzchnieni po świecie czyż tak łatwo się znajdziem i do serca przyciśniem? Już listki z drzewa szczęśliwsze: bo gdy je siła czasu z gałęzi zerwie i każden jakby ku innemu przeznaczeniu w od-

męt żywiołów rzuci, to wiatr jesienny litością poruszony, zżółkłe i zwiędłe gromadnie ku sobie napędzi, rowy niemi napełni, a tam przytuliwszy się przynajmniej do siebie, resztkę życia dobroczynnej ziemi, swej matce, oddadzą.

W tej nawet chwili mając przed sobą litografowany widok Krzemieńca, o nim sercem i głową myślę. Widzę *Galeryę Lycealną*, po której poważnym przesuwa się krokiem Prefekt *Antoni Jarkowski*. Surowa twarz jego, wielkich i dobitnych rozmiarów, głos nosowy, silny, sposób wyrażania się prosty, energiczny, nadawały mu powagę, postrach nawet u młodzieży. Prawy, nieugjęty charakter, żadnymi darkami lub pochlebstwy ująć się nie dający, zjednał mu szacunek i jakby jakąś nietykalność u rodziców, u wszystkich, którzy styczność mieli ze szkołą. Gromił on błędy młodości, silnie przerażał winnego, ale względny był i pamiętny, że przestępstwa młodych, bez namysłu poczęte, nigdy z serca nie pochodzą. Ukarał i pogłaskał, a wszystkie sprawy kończył w domu, gniewu i kary wyższej Zwierzchności na nikogo nie sprowadził. Widzę także, jak *Paweł Jarkowski* o południowej porze, zajęty myślami, prędkim krokiem całą godzinę pędzi po galeryi. Wielka praca, jaką sumiennie obciążył siebie, zaledwie mu dozwalała tyle czasu swobodzie i ruchowi poświęcić. Nikt go nie potrafił w towarzystwa prywatne wprowadzić. Biblioteka była jego salonem, xiążki żywiołem towarzyskim. Tam on ze swym pomocnikiem, ulubionym przyjacielem *Józefem Mikulskim*, złożył swe moralne uczucia, swą przyszłość, swe życie. Jakoż, gdy wolą Rządu przeniesiono Bibliotekę do Kijowa, oni oba w ślad za swym poszli pupillem, nad którego wzrostem tyle lat czuwali, które-

go bogactwa moralne usilną pracą i mozołem zrozumieć, wydecyfrować, opisać i niemi przed uczonym światem poszczycić się pragnęli.

To jest rzeczą między nami Krzemieńczanami dowiedzioną, iż przy najmniejszém o Krzemieńcu wspomnieniu, *Jarkowscy* na scenie przyjacielskich gawędek koniecznie być muszą. *X. Kołłątaj*, radząc i pomagając we wszystkich planach oświaty Czackiemu, wskazał Jarkowskich, jako niezbędnie potrzebnych dla Krzemieńca. W Panu *Antonim* wszystkie widział przymioty surowego przestrzegacza obyczajów i obowiązków. Pana *Wojciecha*, dla jego wielkiej i prawie exagerowanej ścisłości, przeznaczał do katedry początkowej matematyki; bo młodzież chętnie ze ścisłości w myślach i czynach wymykać się zwykła. Panu *Pawłowi* radził skarbnicę umiejętności i nauk powierzyć, tak ufał jego wytrwałości i rozumowi. A tak Pan Prefekt, Pan Matematyk, Pan Paweł (takeśmy ich nazywali) nieoddzielni są od Krzemienieckiej szkoły. Przy nich i z nimi rozwinął się ten zakład naukowy. Dwaj pierwsi przy chrzcie jego byli; trzeci najmłodszy ostatnie jego tchnienie przyjął, a odprowadziwszy na brzegi Dniepru drogie zabytki, przy nich resztę poczciwego i pracowitego swego życia zużył.

Może cię i nudzę tymi drobiazgami, które tylko względną wartość swoją mieć mogą. Dziecinny twój i młodzieńczy wiek gdzieindziej ubiegł (zawsze pod opieką Czackiego), tam i wspomnienia przylgnęły; moje przeto obojętne są dla ciebie. Tyś już w wieku męzkim do nas przybył. Doświadczenie i usposobienia swoje posługom publicznym w Komissyi Edukacyjnej oddałeś. W tejto epoce naszego życia spotkaliśmy się z sobą i zrozumieliśmy się łatwo. Jakież i tu pasmo wspo-

mnień rozwija się przedemną! Wiele przemarzonej przeszłości! Dom poczciwego *Rudzkiego* (1) był dla nas ulubionėm miejscem poufałych i otwartych zchadzek. Wychowany w arystokratycznych domach przeszłego wieku, obecny ostatnim chwilom bytu politycznego tegoż wieku, obdarzony przytém wielkiemi z natury zdolnościami i nabytym rozumem, umiał *Rudzki* patrzeć na wszystko, co go otaczało. Mnóstwo też rzeczy i spraw ludzkich miał do opowiedzenia. Dowcipem okraszał rozmowę. Nie raz jeden przy najpoważniejszych rozprawach, głośnym i długim śmiechem, ochoczą wesołością, kończyliśmy nasze gawędki. Pamiętasz więcej niż ja, tysiące pociesznych dykteryjek, zręcznych porównań, dowcipnych wniosków, jakiemi nas domowych prawie zasypywał; bo w twém spokojniejszém życiu, nie tak łatwo zciera się, co tylko o pamięć trąciło. Moje wspomnienia tuman wypadków zamroczył. Ledwie do nich powolném rozfałdowaniem pamięci dobrać się mogę. Wszakże, dom poczciwego Rudzkiego stał się miejscem wypoczynku wszystkich moich do przeszłości wycieczek: jestto jak oaza dla znękanego skwarem słońca podróżnika, jak po burzliwym dniu chwila błogiej zadumki nad brzegiem spokojnego strumyka. Ty wiesz kochany P. Szymonie, jaką szczerą przyjaźnią ten dom mnie darzył. Cóż dziwnego, że wdzięczność moja płynie z życiem mojém dla poczciwych dzieci Rudzkiego. Ten łatwo pojmie to uczucie, kto na bezdrożu społecznych stosunków, nie świadom świata, jego wdzięków i szpetności, napotkał przyjacielskie serce, ochoczą pomoc, doświadczoną radę.

---

(1) Franciszek Skarbek Rudzki Pisarz Komissyi Edukacyjnej.

Przypominasz sobie to szczupłe ale zgodnie dobrane grono naszego towarzystwa. Poważny a poczciwy *Józef Kruczkowski*, ten wierny i foremny ułamek wielkiego Poryckiego gmachu, staranny w ubraniu, regularny w ruchach swoich, ścisły w czynnościach, jako nieodstępny sekretarz Czackiego w domu i w podróży, miał coś zawsze o nim do powiedzenia. Wesoły *Xawery Godebski*, syn *Cypriana* sławnego Legionisty, zabawiał zawsze powiastkami i dowcipem. *Józef Korzeniowski* często nam czytywał piękne swe płody literackie. I twoje tam Balladki i piosenki były nie raz na scenie. Do naszego grona bardzo często ktoś przybywał, to nasi przyjaciele, to znajomi, to zupełnie obcy. Tam słyszeliśmy *Ludwika Kropińskiego* deklamującego swą *Ludgardę*; *Stanisława Starzeńskiego* swoją *Matkę rodu Boratyńskich*. Tam zachwycał i zadziwiał swą melodyą *Karol Lipiński*; czarowała swą grą *Szymanowska*, swym śpiewem *Mees Mazi*; zajmowali swym niepospolitym talentem młody *Görke*, mała *Pawłowska*. Słowem, czyto krajowiec, czy cudzoziemiec, skoro był w Krzemieńcu, już samą tradycyą wiedziony musiał się znaleść w szczupłych i skromnych komnatach Rudzkiego. On gościnnością odwdzięczał, z radą i pomocą, gdzie trzeba było, pospieszał.

Uprzejmy gospodarz musiał często dla nas rzucać nudne pliki Komissyjne, lub zawiłe Brakteaty, nad którymi ślęczał, a wywoływać z pamięci swojej rozmaitości swego życia. I było co słuchać. Bo czy jako sekretarz *Fryderyka Moszyńskiego*, opowiadał nam dzieje krajowe i miejscowe Warszawskie z przeszłego wieku; czy jako pracujący przy *Józefie Ossolińskim* we Lwowie i Wiedniu, czy jako domownik i mentor dzieci *Filipa Olizara*, czy jako ulubieniec *Czackiego*, poufnik jego

myśli i robót; czy wreszcie jako korrespondent wielu uczonych i znakomitych ludzi, zawsze ciekawie zajmował słuchaczy. Musiał nam także odczytywać, co napisał w chwilach wyrwanych, że tak powiem, nawałowi zatrudnień i stosunków towarzyskich. Wszędzie widzieliśmy oryginalność w myślach, jędrność w stylu, dowcip w pojęciu i zastosowaniu.

Manuskrypt jego *Myśli moje* obejmował oderwane rozumowania lub zdania. Były tam paragrafy o Medycynie. Zawsze i wszędzie przebijała się oryginalność. Pamiętam, iż porównywając *życie* ze *śmiercią*, *trupa* z *żyjącym człowiekiem*, mówi: że w trupie jest *czém* chodzić, mówić, myśleć etc. bo są organa ku temu, a nie ma *komu* to wykonać, bo brak życia. Że w zrujnowanej machinie ludzkiej, gdzie choroba lub niedołężna ciała budowa dyzharmonią jakąś tworzy, *dusza* swej Boskiej potęgi okazać nie może. Że na popękanym fortepianie, na rozstrojonych i porwanych jego strunach sam *Field* swego nie odda, nie przeleje talentu. Że blizki widz i znawca, pozna wielkiego Mistrza po ruchach palców, po uderzeniach w klawisze; ale dalszy lub mniej pojętny powie, iż *Field* grać nie umie. Że choroba *Wariacya* (mania) jestto *dyarya umysłowa*, która wszystko lub niestrawione lub źle strawione wyrzuca; bo rozwaga swej siły i działania w trawieniu myśli i zdań odmawia.

Dalszy ciąg podróży Guliwera obejmował stopniowe rozwijanie się zmysłów ludzkich i funkcyj umysłowych: jestto jakby Logika praktyczna; w niej znajomość ludzi, nauka, oryginalne myśli jowialnością zaprawne, nęcą czytelnika i słuchacza.

Korrespondencye z Czackim o Krzemieńcu, o edukacyi ważny plik zajmują. Wzywał go Czacki na Dy-

rektora Gymnazyum Krzemienieckiego po śmierci *Czecha* i uwolnieniu się od Dyrektorstwa *Lerneta*. Wymawiał się Rudzki od tego powołania, z godną skromnością; bo czując się iż zdolnościami i pracą podołałby nowym obowiązkom, ale dla dobra publicznego, innym zdatniejszym miejsce ustępował.

Korrespondencye w rozmaitych przedmiotach ze wszystkiémi prawie w kraju znakomitszémi osobami, ciekawe i nauczające obejmują karty.

Wartoby kochany P. Szymonie zająć się témi ważnémi pozostałościami po naszym przyjacielu. Ale przypomniałem sobie, iż znaczny zbiór papierów po nim dostał się *Eustachemu Iwanowskiemu*, gorliwemu czcicielowi osób i rzeczy narodowych, kochającemu i szanującemu Rudzkiego. Zabiegał on nieraz do wiejskiego zacisza, gdzie nasz starzec Rudzki przemieszkiwał. Poił się szlachetny młodzieniec wspomnieniami przeszłości, czerpał z doświadczenia naukę świata, zachwycał się nad wielostronną nauką, zasmucał się z resztek czynnego i pracowitego życia, tak mało ocenionego, tak mało wynagrodzonego. Nie zmarnuje P. Eustachy manuskryptów jemu powierzonych. Skrzętnie umie on chodzić koło tego, co pod swój sąd dostaje, mieliśmy tego próbę.

Powiem ci prawdę, iż smutno pomyśleć, aby owe mozolne w rozlicznych epokach życie, nie wysłużyło było Rudzkiemu na starość jakiejś niezależności. Po stracie swej żony, przesiadywał przy poczciwych swych dzieciach. Lecz ani troskliwość, ani zabiegi nie potrafiły wstrzymać rozwiązywania się machiny ośmdziesiątletniego starca. Widywałem go tam często, bom rozumiał, że serce może zastąpić lub wesprzeć, czego sztuka i natura już odmawiały. Oblałbyś się rzewnémi łzy, ko-

chany Szymonie, na widok naszego wspólnego przyjaciela. Zużyte władze moralne w kwitnącej zdrowiem starości żalem i smutkiem każdego, kto go odwiedzał, przejmowały. Wycieńczył się w swych moralnych siłach zbytkiem pracy, czułości i nadzwyczajném przywiązaniem do Krzemieńca. Po zakryciu zakładu Czackiego oblekł się ciężkim smutkiem i żałośną tęsknotą. Trzeba mu było doczekać się prawie losu *Kniaźnina*. Co było, co dawniej lub obecnie przy nim się działo, w niczém ani wspomnienia ani uwagi jego nie ściągało. Wszystko, jakby przepadło, jakby grobowym kamieniem przywalone zostało. Ale wspomnieć mu o Krzemieńcu, było to ogniem życia go przejąć. Zaraz żwawo podnosił głowę i tkliwie zapytywał: *Co? byłeś w Krzemieńcu? Podobał ci się? Ach! Czacki wszystko to zrobił. Bądźże u mnie, bardzo proszę!* I urywkowe bez związku dawał zapytania, coraz mocniej czerwieniał, tarł ręką czoło i padał bez zmysłów. Ocucony nic nie pamiętał. Tak zawsze resztki uczuć swoich i życia swego oddając wspomnieniom Krzemieńca, gdy mocnego raz dostał attaku, ocknął się z paraliżem całego ciała. Ciężka to strata dla nas przyjaciół! Tyś mu parę strof niepożałował, co jak poważne i wzniosłe cyprysy zwłokom cześć i żal zwiastują; ja wspomnieniami o nim drobne tylko niezapominajki po grobie jego rozrzucam.

Daruj kochany Szymonie, żem cię w smutną przeszłość wprowadził. Stałoby materyału do weselszych wspomnień, ale nachodzą nie raz na człeka takie chwile, gdzie wesołość za obrazę swych uczuć uważa, smutkiem rad oddycha, nim się pieści, rozkoszuje. Jestto wszakże kontrybucya na siły życia nałożona. Jestto dymek opio-

wy, co łechce nerwy, unosi je, rozmarza, a razem siły życia rozprzęga.

Gdybyś nie lubił dawnych wspomnień, dałbym pokój tej ramotce. Ale wiem, jaki urok ma dla ciebie pogadanka o przeszłych dziejach ze czci-godną sąsiadką twoją *P. Rabczewską*, o której mi tak często wspominasz. Wprawdzie, tam po całém stoleciu idzie myśl, a z niej mnogie gruppy wspomnień w żywych stawią się obrazach, tém więc są szacowniejsze i ciekawsze. Ja tu o rzeczach rozpisałem się świadomych. Siebiem niezaspokoił, a ciebie zapewne znudziłem. Przeniósłbym bowiem gawędkę nad to pismo. Jestto słaby surrogat towarzystwa z tobą. Wieleżto razy tęsknić mi za niém przychodzi! Dziwny ma dla mnie urok powiat nasz Zasławski. Nie raz wyrzucam sobie, żem nasze opuścił ustronie. Gdzie tak łatwa była strawa dla umysłu i serca, tam trzeba było świat swój zamknąć, w nim się rozgościć, jego zrozumieć, uczucia swoje w jedną tkaninę spoić. I tak łatwo i tak rozkosznie dokonać tego można było! Bo Ci *Kośkow* dostarczy głębokich o starych ludach, ich rozumach i dziejach wiadomości; bo cię w *Sulżynie* niepospolity dar dowcipnej poezyi obejmie całego wesołością; a ku *Ławrynowcom* (z przeproszeniem Jegomości) niepojęta siła cię pociągnie, tam cię Ballady, wiersze tkliwe, ładne i potoczyste powieści przywitają i na miejscu jakby zaczarowaném osadzą. Czyż małej wagi i ponęty byłyby dysputy (o które bym się starał) z Panem W. W., któremu wiele Bejłowskich myśli są po jego smaku, co je stylem pełnym życia i dokładności obrabia, z nich zbytek strąca a zarodek zostawia? Czytamy te jego prace z zachwyceniem. Chociaż zdania nasze daleko odskakują, rozwadze wszakże i rozumowaniom porządnie wziętym, dokładnie wysnu-

tym, hołd winny oddajemy. I nie mały byłby szereg powietników sąsiadów moich, gdybym ich dla kogoś obcego chciał wypisywać, jako ludzi, co w swém publiczném i prywatném stanowisku mnogiémi odznaczają się zalety. Ale ty ich znasz kochany P. Szymonie, a przychodniowi nie wiele na to pracy trzeba; staropolska gościnność, zdrowa rada, miły rozum, chętna pomoc, są godła tak widne, tak czytelne, że się na nich nie omyli i jak po bitym trakcie do nich trafi.

Przebacz kochany Przyjacielu, gdy czytając mą ramotę, ważniejsze sprawy na bok złożysz. Wyrzucam sobie tę zbrodnię czasobójstwa. Twoje chwile są pełne żywotnego ruchu. B ó g Cię obdarzył i wiadomością i cierpliwą ochotą do pracy, a ludzie obciążyli cię zaufaniem swojém, byś był im doradzcą, ich rozjemcą. Czuję, że tak pożytecznie biegącego życia, lada czém napastować niegodzi się. Rzuć więc tę bazgraninę i idź dalej po swojemu; ludziom z tém będzie lepiej a dla mnie dosyć na tém, gdy kiedy nie kiedy o zagrodniku Medwedowieckim wspomnisz.

Karol Kaczkowski.

d. 20 Maja
1846.
Berdyczów.

PRZYPISY.

1.) Czytelnicy nasi, tak słodko zadowoleni głosem podniesionym przez Pana Kaczkowskiego w obronie wielkich zasług jego Nauczyciela od napaści bezdusznych pedantów, wdzięczni nieckiejapewne będą za starania podejmowane w celu najzupełniejszego rozstrzygnienia Teterowskiej kwestyi o Szkole Krzemienieckiej. Gwiazda, jako organ *publicznego sumienia*, nigdy niezawaha się w wyborze między treścią indywidualnej myśli a rzeczą ogólnego interessu; z pośpiechem i bez żalu najszczytniejszą poezyę, największej nawet wagi pomysły w nauce zostawi na stronie, skoro moralne pobudki, z ubliżenia osobom i rzeczom do zaszczytu narodowego odnoszącym się, czynnej usługi od niej wymagać będą. To nasze redaktorskie — *sentio*, *ergo res est*, z tego wypływa moralno-umysłowa siła naszej oppozycyi i o tém chcielibyśmy raz na zawsze przeświadczyć niepojmujących dotąd charakteru naszej publikacyi, osobliwie zaś tych, co z marnej tylko pretensyi do paradowania w drukowanej xiążce nieukontentowanie ku nam powziąść mogli. Z powodu wzmianki o Felińskim, którego zasługi w literackim i nauczycielskim zawodzie stały się w nasze czasy pastwą tygodnikowego dowcipu, znajdujemy stosownem dać tutaj obszerniejszy wyjątek z listu datowanego w Ławrynowcach d. 25 Października r. 1847. — Dajemy.

„Zdaje mi się (pisze do szanownego naszego Kollaboratora Dziedzic pomienionej wsi, b. Podkomorzy, Szambelan i Kawaler Orderu Ś-go Stanisława Pan Szymon Konopacki),

zdaje mi się, żeś nieznał Aloizego Felińskiego; że śmierć jego w Krzemieńcu uprzedziła przybycie twoje z Wilna. Byłto mój przyjaciel, jakich mało. Łatwo sobie wyobrazisz, jak mię oburzył artykuł w Tygod. Peter. zda mi się z r. 1842. Gdy mamy stanowczo wyrokować o człowieku z jego potępieniem, religijna sumienność wymaga po nas ściślejszych badań o umarłym niźli o żyjącym. Mówi autor w owym artykule, że Feliński będąc Dyrektorem Lyceum Wołyńskiego gubił młodzież naszą nadając jej zabójczy kierunek ku poezyi zachęcaniem każdego do rymowania, i tymto jakoby sposobem czas przeznaczony nauce, został zmarnowanym. Widać, że autor tego artykułu, lubo w nim, co do zdania o poezyi i potrzebnych do niej warunkach, ścisłą odznacza się dokładnością, nieznа dziejów tej Wołyńskiej szkoły. Popęd lat wiosennych do poezyi powszechnie się objawia, gdzie obok nauki jest bodziec ku ocknieniu serca. Feliński niebył jeszcze Dyrektorem Lyceum, gdy znane już nam były miłe poezye Karola Sieńkiewicza, co poźniej stał się głośniejszym z przekładu Walter Scota. Nie był jeszcze Feliński w Krzemieńcu, gdy hrabina Potocka z Tulczyna zwiedzała tamejszych gabinetów osobliwości. Mówiono mi, że gdy w wielkiej sali fizycznej badała o użytek *tuby*, grzeczny dla zgasłych już wdzięków hrabiny, znany z czcigodnego charakteru i zasobów umysłowych, lecz wcale nie poeta, Adolf Dobrowolski ozwał się do niej przez trąbę z drugiego końca sali dwoma wierszami, które ku jej uczczeniu wyrzekł Trembecki w końcu swej Zofijówki (*). Ówczesny przecież Dyrektor

(*) *To zręczne zchwycenie okoliczności zdaje się brzmić dowcipem panegiryku oryginalnego i pewnie ów młodzieniec wywarł silniejsze na słuchającej wrażenie samą tylko cytacyą pochwały, niż zapłacony Trembecki pierwszą jej deklamacyą. Jestto poezya czynu.*

Ściborski był Matematykiem i pewnie do rymów niezachęcał. A nakoniec, długożto Feliński zajmował ten u niego wyproszony urząd Dyrektora? Oto, w jesieni 1819 roku przybył do Krzemieńca, a dnia 11 Lutego 1820 r. skończył i urząd i życie. Mógłże się on spodziewać, aby to jego, jak w liście do mnie wyraził, *poświęcenie się dla dobra młodzieży Wołyńskiej*, po trzech tylko miesiącach już ściągać miało tak niesłuszne kiedyś wyrzuty? Inne miała przekonanie ta prowincya, gdy na odgłos nagłego zgonu Felińskiego liczny zjazd obywateli do Krzemieńca uczcił pamiątkę poczciwych jego chęci publicznym na grobie żalem; gdy z nich niektórzy, dla uwiecznienia szlachetnych uczuć zmarłego, zamierzyli byli utworzyć *towarzystwo przyjaciół Felińskiego*, ku znoszeniu corocznej składki na utrzymanie kilku ubogich uczniów, pod godłem własnych jego słów, wyrzeczonych wówczas, gdy do liczby ubogich, przez rząd zamierzonej, nie wszyscy z przybyłych mogli być przyjęci na fundusz Skarbowy, — słów następnych: » *Boleję na to, że tyle biednych matek ze łzami odchodzi!* « Te chlubne dla nas plany, niewiem czy ci wiadome, skończyły się na tém, że kilkunastu obywateli, ożywionych i duchem życzliwości i wysokim szacunkiem dla zmarłego Dyrektora, niedozwoliło pozostałej wdowie podejmować dalszych kosztów na wychowanie jej syna i siostrzeńca, a przyzwoite ich utrzymanie i pilność pod okiem zacnego Teodozego Sierocińskiego, z potrzebném czuwaniem nad zdrowiem ich i nauką, stało się wyłącznym obowiązkiem przyjaciół Felińskiego. Następne wypadki i urządzenia względem wszelkich towarzystw zerwały dalsze a nigdzie nie aktykowane tych obywateli zamiary; lecz pamięć pozostała pomiędzy nami ówczesnej o nim opinii. Uczucia, wzniecone istotną wartością, niepodlegają przemianom, jakie w ciągu lat kilkunastu zaszły u nas w sądach literackich. Co do jego poezyi; — potępiają dziś dawniejszych jakoby za to, że nie w dzisiejszym pisali guście? Naprzód, w każdej epoce duch

czasu tworzy sobie wieszcza, a więc potępiacze niemają względu na owoczesne wyobrażenia i okoliczności, które być mogły prawidłem i rękojmią powodzenia. Powtóre, wychwalani z poniżeniem zmarłych autorowie, jakkolwiek wysokiego godni są szacunku, przecież nie są to źrzódła samodzielnie z opoki dobyte, wyżłobionym już dążą oni korytem do sławy. Co do pierwszej uwagi: świadkiem byłem w Warszawie dnia 1 Marca 1817 roku pierwszego wystąpienia *Barbary*; mam list mój przed sobą pisany do Felińskiego o powodzeniu tej sztuki, zwrócony mi z wielą innymi po jego śmierci, a rzetelność moich doniesień potwierdziła i autorka *Krystyny*. Coto było za powszechne ocknienie uczuć najdroższych współziomkom. Mało powiedzieć oklaski; — rodzaj jakiejś wrzawy tryumfalnej za każdą dobitniejszą myślą i pięknem jej wyrażeniem rozlegał się po lożach i całym parterze! Jako przyjaciel Felińskiego i jak on Wołynianin, przyznam ci się, żem wpadł był w jakieś omamienie; zdało się, że cząstka chwały jego spadała i na mnie. Po pierwszym akcie, wielu słuchaczów niewiedziało nawet o nazwisku autora. Po pierwszém spuszczeniu kortyny, ciekawi szukali znajomych Felińskiemu. Ktoś im wskazał mnie stojącego blizko orkiestry: — wszczęły się natarczywe badania o pobyt jego, o jego w świecie stosunki; żałowano, że już był wyjechał z Warszawy. Jeden z nich rzekł mi w uniesieniu: »Gdyby on tu był pomiędzy nami, podnieślibyśmy go na ręku z najżywszém uczuciem wdzięczności i podziwienia, bo nikt dotąd niezdołał tak odgadnąć tegoczesnej potrzeby ducha i tak ją dopełnić!« — Ci, co dziś czytują ostre o Felińskim wspomnienia, uwierzyliżby temu, że Barbara siedem razy z rzędu była wystawioną na scenie? Czynią mu błahy wyrzut, że się wykarmił Rasynem: — wszakże powiedzą kiedyś, że niektórzy z dzisiejszych wzrośli na specyałach angielskich i niemieckich, jak mnóstwo uderzających jest na to dowodów? Mniejsza nam o to, byle ten żywioł poszedł na korzyść, im ku sławie, nam

ku zachwyceniu. Ale przez bezwględne potępienie przeszłości sami przygotowują prawidło do podobnej względem siebie kolei na przyszłość. Dzisiaj jeśli się znajdzie jaka wzmianka o Felińskim, to zwykle ku jego potępieniu. Mistrz pismiennictwa powiedział, że on lat dziesięć pracował nad Delilem, a tym jednym wyrazem już zabity poeta we wszelkiej innej zasłudze! — Jeszcze ci powiem słów kilka o jego *Barbarze*. Gdy w jesieni 1816 r. wyjechał on z Warszawy, zostawiwszy mi około 500 exemplarzy pierwszego tomu swego dla wydawania xięgarzom, trajedya jego nieznaną jeszcze była publiczności; czytywał on jej wyjątki po niektórych domach, lecz parter ani słyszał o niej. Wiadomo ci zapewne, że drammatyczny tom drugi pism jego wyszedł z druku za staraniem Gustawa hr. Olizara, już po śmierci autora; — owoż przypominam sobie, jakie zdarzenie spotkało własnoręczny jego rękopis tej sztuki. Gdy w r. 1816 bawił jeszcze w Warszawie, prosiłem go, aby mi pozwolił przepisać tę trajedyę; pospieszyłem z kopiją i odniosłem mu ją, a jego oryginał, jako najmilszą dla mnie pamiątkę, przy sobiem zatrzymał. Później Bruno hr. Kiciński, Antoni Borzewski i ja byliśmy zaproszeni na wieczór do Augusta Kickiego Starosty Krasnostawskiego. Tam liczne zgromadzenie Feliński zachwycał kilką ustępami z Barbary; ja na biedę wymówiłem się przed kolegami, że mam całą tę trajedyę, na biedę powiadam, bo nazajutrz już są u mnie, proszą o jej czytanie, a dowiedziawszy się, że cała ręką autora pisana, skorom ją dokończył, wyrwali mi ją z rąk i bez względu na moje prośby i dąsania się rozszarpali na kawałki, chowając każdy z nich tę zdobycz, jak świętych relikwie. Oprócz dwóch wyżej wspomnionych było tam kilku innych z młodzieży umiejących poznać i ocenić prawdziwą piękność, bo też nieciemni to byli ludzie, wpływali już oni w owej chwili do wyrażania owoczesnego stopnia literatury krajowej. Przywodzę ci to na wsparcie mojego założenia, że każda epoka ma swojego wieszcza. Niepojmuję, jak mo-

gą żyjący jeszcze świadkowie tego powodzenia znieść obojętnie powtarzane po rozmaitych pismach uwłaczanie zasłudze Felińskiego. Czyliż niemożnaby pogodzić chwały późniejszych pisarzy z oddaniem sprawiedliwości tym, bez których żyjący możeby nie byli, czém są dzisiaj dla nas? — Co do szkoły niegdyś Krzemienieckiej: — obwiniają szczególniej to pamiętne dzieło Tadeusza Czackiego o namnożenie zwolenników samej tylko nauki nadobnej. Zapytajmy wojskowych, jaki instytut dostarczył im doskonalszych matematyków do inżynieryi? Wejrzyjmy w te trzy gubernie: — ilu mechaników ku naszemu dziś użytkowi, ilu jeometrów ta szkoła wydała? Badajmy starszych xięgarzy (pomimo rzuconych na nas w przelocie pocztą przez Wołyń w r. 1819 szyderczych potwarzy z dziennika Wileńskiego przez pana S.), w jakichto czasach handel ich począł się ożywiać po naszych prowincyach? Oni nam poświadczą, że epoka powszechniejszego zamiłowania nauki nie wyższej dosięga daty, jak wyjścia pierwszych jej promieni z Krzemieńca. I czegożbo chcą nakoniec? Czyliż potrzeba nam wszystkim wyrzec się domowych i publicznych obowiązków, a cisnąć się każdemu z żyjących do sławy autorskiej? Te wszystkie urojone zarzuty przeciwko Lyceum Krzemienieckiemu zdają mi się pochodzić z prowincyalizmu, co z zatlenia kiedy niekiedy wybucha. Te zarzuty, jako urojone, przypominają mi otwartą zawiść ku Czackiemu jednego z pomiędzy ziomków naszych, który niedopiąwszy zelżywych zamiarów przez potwarz objawioną Najwyższej Władzy krajowej, mścił się potem pokątnie niedołężną mową. Na własne uszy słyszałem użalania się jego w pewném towarzystwie, że Czacki robi krzywdę drogiej pamięci przodków naszych, bo powtarzając w pismach swoich potrzebę rozszerzania światła w narodzie, zdaje się wmawiać w dzisiejsze pokolenie, że ojcowie nasi byli głupiemi (!!). Spostrzegam się, że to zarywa na nudną gawędę; przepraszam cię za list tak długi. Gdy raz na balu w Żytomierzu Cesarz Alexander, wśród pol-

skiego tańca z sędziwą Prezesową, przemówił do niej po francuzku, ta zmieszana rzekła: »pierwszy raz w życiu żałuję, że nieznam tego języka«; owoż i ja pierwszy raz żałuję, że niemam wziętości autorskiej ku obronie spotwarzonych ziomków, których zasługi są chlubą krajową. Niech cię B ó g wspiera natchnieniem dzielności potrzebnej w walkach z dowcipem; ten bawi na chwilę, a twoja prawda jaśnie wyłożona utkwi na zawsze w pamięci.«

2.) Niedawno dobry mój przyjaciel Archory D. pisząc do siostry swojej młodej, mieszkającej wraz z matką w mieście N., zapytywał ją, co robi i czém się zajmuje tamejsza młodzież? — Pozwalam sobie udzielić Czytelnikom *Gwiazdy* owocu tej ciekawości mojego przyjaciela; oto jest, co mu na powyższe pytanie siostra odpowiedziała.

»Ciekawy jesteś koniecznie wiedzieć, jakie zajęcie naszej młodzieży? A więc wypada tobie powiedzieć, że po dniach całych do góry leży brzuchem, jak dawniej; śpi, je i pije i nad kartami przyjemnie gnije. I niema tutaj dziwić się czemu; zwykle góruje skłonność ku złemu. Roskoszne dla nich takie zajęcie — to obiecany raj! wniebowzięcie! — choć mnie się zdaje, że głowy ścięcie lepszeby było, jak takie marne ubicie czasu. Jednak zawzięcie trwają w nałogu; a brudne, czarne widoki zysku tak ich zajmują, że próżne wszystkie byłyby rady, próżne poczciwej pracy przykłady: w niczém szlachetném już nie smakują. Brat rodzoniutki brzydkiego pijaństwa, ten nałóg ród swój z próżniactwa wywodzi: czują to oni, ale z poddaństwa djabelskiej mości, co na nich godzi z pułkiem wad niecnych, nie są już w stanie wyzuć się. Próżne wszelkie staranie! Te dusze, marnej korzyści chciwe, tak oślepiło światło fałszywe, że świętą prawdę zhańbią, oplują, i tych, co głosić ją usiłują. Tylko szulerskiej wrzask społeczności pewną im rozkosz, pociechę stwarza; tak pies na śmieciu rad gryzie kości, choć ma osypkę od gospodarza. Coż więc dziwne-

go, że się ztępiły wszelkie w ich sercach prawe uczucia? Wszak ten, kto szydzi z mocy i siły, nigdy nie wybrnie z wad i zepsucia. — Mocą tą, siłą, jest popęd żywy do rozwijania dobrych skłonności, do uczenia się sztuki prawdziwej żyć dla swojego dobra i ludzkości. Ale tej prawdy znać niechcą oni, jak niechcą wierzyć, że kto czas trwoni na czczych zabawach, lichej szulerce, ten hańbi rozum, upadla serce. — Może ten opis siostry Antosi, z przesadą, powiesz, wady ich głosi? — Ależ ta młodzież dawno ci znana; żadna w niej dotąd nie zaszła zmiana; tak żyje teraz, jak wprzódy żyła i tém jest dzisiaj, czém wczora była. «

Umieszczając ten szkic surowy zacnej i pełnej powabów Dziewicy, żałować mi prawie przychodzi, że istotnym odgłosem mojego bytu powszedniego są słowa świątobliwej Sary, córki Raguela: » *Nunquam cum ludentibus miscui me, neque cum his, qui in levitate ambulant*, « — bo jakżeby mi przyjemnie było dowieść samym czynem pannie Antoninie potęgi sprawiedliwego jej wstrętu do płochości i zgubnych nałogów! z jakimże pośpiechem ja, gracz nawet zapamiętały, rzuciłbym się do stóp tego dobrego anioła i skruszył wszystkie narzędzia niecnego, występnego życia, ślubując najuroczyściej iść odtąd stale za jego natchnieniem, drogą rozsądku i sumienia!.. Panowie A, B, C, D, wy wszyscy, których to najmocniej dotykać powinno, sprobujcie obudzić w sobie na chwilę głęboko uśpione władze moralne i zważcie przecie, że od was samych, od waszej roztropności zależy, aby ta rączka, co was dzisiaj sztyletem wzgardy przeszyła, następnie podała wam słodki napój wewnętrznej pociechy i zadowolenia! Jakito pochop czarujący do wyzwolenia się z jarzma haniebnej namiętności! Wierzcie mi, że zasłużyć na taki traktament z tej czystej, anielskiej rączki, jestto prawie jedno, co pozyskać dla siebie przychylną opiniję Publiczności, otrzymać jej patent na pewną wartość in-

dywidualną, albo osiągnąć klucz najkosztowniejszy do przybytku prawdy, cnoty i nieskończonych roskoszy moralnych!

3.) Mamy też listy kilku naszych Korrespondentów zawierające w sobie pochwały powieści pana M. Skotnickiego pod tyt. *Karciarze*; w jednym z nich pan August S. oceniwszy szczegółowo charaktery osób w tę powieść wprowadzonych, zrobił następne uwagi: »Masz tutaj karciarzy różnej godności, płci i sytuacyi, widzisz, jak ta piekielna namiętność rozlała się niszczącym potokiem po wszystkich klassach miejskiej ludności; widzisz tu i wyrobnika niosącego do szynkowni (*rendez-vous* pijaków i graczów) grosz swój ciężką przydbany pracą, i lokaja probującego w grze szczęścia za pomocą skradzionych u swego pana pieniędzy, i dziecko odbywające ćwiczenia w djabelskiej sztuce pod kierunkiem własnego swego ojca, i kobietę emancypowaną, słowem, nikogo nie opuścił autor, każdy z hołdowników ślepego bóstwa może tu znaleźć swój wizerunek, może przypatrzeć się dotykalnie górującej w sobie żądzy i widzieć na oko najszkaradniejsze jej skutki. Jaka szkoda, że autor ograniczył się w swojej powieści samą Warszawą! Wejrzenie na powszedni tryb życia przedniejszej klassy ludzi po naszych prowincyach ileżbyto dostarczyło scen nowych i nader ciekawych! — scen, które dla swojej niepospolitości mogłyby się wydać komu czystym wymysłem satyrycznego ducha, gdy tymczasem nie jeden z czytelników podobnego dramatu musiałby się się wzdrygnąć ze zgrozy spotkawszy się z najprawdziwszą kopiją własnego swego postępowania! Nieuwierzyłby może p. Skotn., gdybyśmy mu powiedzieli, że u nas na prowincyi nie Kowalińscy, nie Czarnysze, nie Szóstki, to jest, nie prości i najgorzej wychowani ludzie, ale owszem trudnią się *con amore* karcianém rzemiosłem ci, co powagą rodu i wyższego ukształcenia stoją na czele ludu, co nawet, jako obywatele i uczeni, pewne roszczą prawa do stanowczego wyrokowania w sprawie religijno-moralnej oświaty narodu! — Tak niestety! Cito wła-

śnie majątkiem i rozumem wielmożni panowie siedząc na odsednionym karku biednego ludu wiejskiego wysysają zeń resztkę żywotnych soków, odrywają mu od ust ostatni kęs chleba, aby mieć zawsze na zielonym stoliku pełen wór złota — i nielękają się bynajmniej stracić swojej powagi, grają i grają zapamiętale na każdém miejscu, w każdej porze, grają choćby z *ex-junkrem*, *ex-studentem* i jaką bądź powiatową hałastrą, grają byle o co, nawet... nawet o *stare*, *zjeżdżone sanie* (faktyczne)! « i t. d. — Z tego wyjątku Czytelnicy widząc, że pan August podziela całkiem antypatyę panny Antoniny, nie są zapewne dalecy od życzenia w sercu naszém powstałego, aby ta wspólność sentymentów mogła być dla nich bodźcem do utworzenia *powieści składanej*. Dla próbek tego rodzaju, jakkolwiek słabych, *niejenialnych*, zawsze otwarte będą karty naszej xiążki, sprzyjamy bowiem nadewszystko moralnej stronie literatury. Nim zaś to oświadczenie pożądany przyniesie owoc, tymczasem tym, co grę uważają za niewinną i wcale przyzwoitą rozrywkę towarzyską, obowiązani jesteśmy przypomnieć zdanie S. Antonina Arcybiskupa. » *In nullo exercitio ita frequenter Deus blasphematur ac tota Curia Coelestis sicut in ludo*. « oraz słowa, któremi sam B ó g pogroził graczom za czasów jeszcze Izajasza Proroka: » *Et vos*, *qui dereliquistis Dominum*, *qui obliti estis montem sanctum meum*, *qui ponitis fortunae mensam et libatis super eam*, *numerabo vos in gladio*! «

VOX HUMANA AD REM.

to jest:

Odezwa z Humania względem tego, co nas Konsumentów periodycznej Literatury interessować powinno.

(List do Wydawcy.)

Nie właściwato może pora, wśród fatalnej epidemii w naszych stronach i ledwie nie w całém Państwie obecnie istniejącej, zwracać się myślą do literatury, do pism czasowych, do gazet; lecz ponieważ powziąłem już zamiar zgłosić się do Ciebie, szanowny Redaktorze *Gwiazdy*, w przedmiocie, który tu nas wszystkich mocno zajął, uskuteczniam go przeto znalazłszy chwilkę swobodnego czasu, bez względu, że ten czas, jak powiedziałem, niewłaściwym być się zdaje do traktowania o jakiejkolwiek literackiej rzeczy. Jeślibyś koniecznie wymagał usprawiedliwienia w tej mierze i jeśliby to na cokolwiek przydać się mogło, powiem Ci szczérze, żem niedawno odczytał dwa pierwsze Numera twojej *Gwiazdy*. Nieposądzaj mię o obojętność ku tej składkowej xiążce, gdyż właśnie zagrzany waszą dziel-

ną oppozycyą przeciw nadużyciom znakomitych talentów, nadużyciom, które bez wątpienia silnie i głęboko uczuła czytająca Publiczność, kiedy nakoniec przez krater waszej publikacyi wynurzyła swoje oburzenie, zpowodowany zostałem tym nowym jeszcze dla mnie faktem do niniejszej odezwy i do nieodwlekania jej na poźniej. Z pomiędzy waszych antagonistów z musu biorę na cel *sine ira* Wydawcę Tygodnika Petersburskiego. Chudzi czytelnicy ograniczamy się prawie do samych gazet, lecz chcąc mieć coś więcej nad właściwą gazetę, obraliśmy sobie prenumeratę Tygodnika, ażeby zasilać się razem pewnémi wiadomościami o bieżącej naszej literaturze i krytyce, bo nam to p. Przecławski obiecał i, przyznać potrzeba, dość długo dotrzymywał. Coż się jednak stało od lat dwóch czy trzech niespełna? — Oto, zamiast tyle pożądanych nowinek literackich w każdym Numerze, zaledwie kilka razy w ciągu roku zwiastuje nam coś Tygodnik, a za główny balast fejletonu obrał sobie przepisywanie cząsteczkami rozdziałów gotowych już a obszernych powieści, które znowu osobno się drukują i, rzecz naturalna, osobno się płacą. W tej kategoryi p. Przecławski tak dalece posunął swój przemysł, że owémi powieściami większą prawie połowę swego pisma zajmując, ogłasza razem i ogłasza pokilkakroć prenumeratę na też powieści, i zapowiada, jakby o Sybillijskich xięgach, że kto nie zaprenumeruje do terminu *np.* 1 Lutego, ten zapłaci 50 k. sr. wyżej nad cenę za exemplarz; kto zaś niezaprenumeruje do 1 Kwietnia, ten jeszcze więcej zapłaci, i tak następnie. Sztrafuje nas bez miłosierdzia p. Przecławski, sam kompromitując się rachunkiem *pieniężnym*, *redaktorskim i logicznym*. — Pieniężnym, bo zapełniwszy połowę swego Dziennika powieścią, już za nią odbiera (on, czy au-

tor, mniejsza o kondycye współki pomiędzy nimi) rubli śr. 7 kop. 50; drugi raz wypłaca mu się też powieść ceną prenumeracyjną, zwykle u nas (wyjąwszy cenę *Gwiazdy*) wysoką; a jeszcze trzeci raz dostaje on nagrodę za tę samą powieść w sztrafach z opieszałych i niepilnujących terminu, chociaż zapozwanych, prenumeratorów. Redaktorski rachunek, który zawodzi p. Przecławski, jestto rachunek obowiązku, albowiem przyrzekł nam dawać materyały literackie czasowego pisma, a daje kartki drukowanej xiążki, którą sobie każdy kupić może u xięgarza, byle tylko p. Przecławski raczył uwiadomić o jej wyjściu z pod prassy i o wartości, jeśli się podoba, zwłaszcza, gdy autor nieznany jeszcze Publiczności. Nakoniec co do logicznego rachunku:— któżto u nas powstawał i powstaje najwięcej na belletryczną francuzką literaturę? Kto surowiej naganiał (a teraz już nienagania,) ogłoszenia tych produkcyj belletrystyki w fejletonach francuzkich Dzienników, jeżeli nie p. Przecławski? Sam więc zadaje dzisiaj fałsz dawniejszym swoim opiniom. Jakaż przyczyna takiej zmiany w rozumowaniu? Niech się domyśli a raczej przeświadczy p. Przecławski, że my ją widzimy jak na dłoni. — *Auri sacra fames mutat judicium illius*. — Tak często trafny i umiejętny sąd p. Przecławskiego czyliż niepowinien okazać mu, że to, co on sam uważał niestosownością dla Francyi, jest większą bez porównania dla nas? Niebiorąc w rachunek wartości dzieła, lecz samą formę publikacyi, zastanówmy się, że Francuz, czyli inny mieszkaniec ludnego na małej przestrzeni i w środki szybkiej kommunikacyi obfitego kraju, chociaż mu dają częściami jaką powieść, odbiera ją przecież każdego dnia, bo tam i Dzienniki codzień wychodzą, łatwiej mu więc, jeżeli nie ocenić powieść, to

przynajmniej spoić w myśli jej osnowę: zresztą, rzadki z nich tego pragnie, idzie im tylko o chwilową rozrywkę w kawiarni lub przy toalecie, o nowinkę dla ztępionej wrażliwości, a bynajmniej nie o estetyczną przyjemność. Tymczasem do nas we dwa a przy złych drogach ledwie we trzy tygodni numer Tygodnika dochodzi. Ogłaszane przezeń powieści, dajmy na to, są wielce poważne, wielce nauczające; — tém gorzej jeszcze dla prenumeratorów, bo kiedy gdzieindziej numer Dziennika, mający prawie rozciągłość całego tomu, drukują codzień; u nas p. Przecławski, zalecając się pobożnością prawdziwie *bałwochwalską*, przed następującém Swiętem chociażby zapust, to jest, *Bachusa*, zwykle ogłasza, że jego półarkuszowy numerek Tygodnika dopiero za tydzień po tej uroczystości wyjdzie. — Cożtedy począć nam należy w takiém krytycznem położeniu? Zdaje mi się, słuszną będzie rzeczą oddać p. Przecławskiemu monetą, jaką nam płaci; opuścić go, kiedy on nas opuszcza. Udajmy się do Redaktora *Kuryera* Wileńskiego. Wszak on ma najbardziej obchodzące nas wiadomości o wszystkich nowych postanowieniach Rządowych, ma i nowinki z zagranicy, jeśli kto ich łaknie; daje często prócz tego w fejletoniku biograficzną, scientyficzną lub historyczną wiadomostkę. Niech tylko polepszy trochę papier, powiększy druk, doda w tymże fejletoniku wydzialik dla bieżącej literatury, choćby samej bibliograficznej treści, ogłoszenia zaś urzędowe miejscowego interessu niech zostawi dla tych jedynie gubernij, do których się one stosują, gdyż odleglejsze mają swoje własne podobnego rodzaju, a my wszyscy chętnie oświadczamy się być stałymi odtąd *Kuryera* prenumeratorami, chociażby ten cenę swej prenumeraty od 1849 r., w zamian za wymagane przez nas do-

datki, do stopy Tygodnika, to jest, do 15 r. sr. rocznie podwyższył.

Niemamy wcale zamiaru zemsty względem p. Przecławskiego, idzie nam, jak każdy widzieć może, o pożytek powszechny i żeby, z uszczerbkiem tej najważniejszej ze wszystkich korzyści, kieszeń nasza przestała już być nadal igrzyskiem absolutnej weny Redaktora Tygodnika Petersburskiego.

Do Ciebie zaś Panie Redaktorze *Gwiazdy* i Twoich szanownych współpracowników, jako do energicznych przedstawicieli dobrych chęci i prawdy, odwołujemy się z prośbą, abyście się raczyli dzielnie przyczynić do uskutecznienia zamiaru w zapadłym zakątku Ukrainy powziętego, zamiaru, który może i gdzieindziej przypadnie do smaku, a tém samém zpowoduje uznanie powszechnej wdzięczności, jaka ze wszech miar należy się sumiennemu Redaktorowi *Kuryera*.

Zostaję z należnym szacunkiem i t. d.

Józef Percell.

w Humaniu
d. 9 Lipca 1848 r.

Notabene. — Życzyliśmy zawsze Tygodnikowi najdłuższego istnienia i tego dowodzimy po dziś dzień mieszcząc się stale od r. 1840 w gronie *uprzywilejowanych* jego Korrespondentów. Ale ponieważ pan Wydawca, bez względu na dane mu przez nas w imieniu Publiczności upomnienia, owszem, rzec można z powodu tych upomnień, powiedział sobie: »*Co mi tam jakaś Publiczność! przecież ja dogadzam Bejłom, Pantoflom, Kostrowcom i t. d.*« — to niechże niema nam za złe, że niniejszą odezwę Pana Percella uważamy za prosty rezultat jego redaktorskiej nieroztropności, i niegniewa się, jeżeli następnie, dowiedziawszy się o expiracyi Tygodnika zpowodowanej zupełném odstrychnieniem się jego prenumeratorów, każdy z nas powie: »*Co mi tam jakiś Tygodnik! za sto złotych przecież mogę mieć nie jedną lepszą gazetę.*



KONIEC.

RACHUNEK.

Odbito N. 3 Gwiazdy, składającej się z arkuszy 21, exemplarzy.......... 1,050.

	Rub.	Kop.
Na to, podług wyliczenia i kwitów Zarządzającego Drukarnią Glücksbergowską w Kijowie Wacława Kalinowskiego, a mianowicie: —	Srebrem.	
—45 ryz papieru zwyczajnego (na 1,000 exemp.) po 2 rub. 50 kop. sr..................	112	50
— 2 ryz i 3 liber dobrego papieru (na 50 exempl.) po 4 rub. sr..................	8	20
— Papier na okładki i odbicie ich..........	9	—
— 21 arkuszy druku, po 8 rub. sr..........	168	—
— Oprawę należnych Komitetowi Cenzury exemplarzy..................	1	60
— Broszurowanie 1,040 exempl. po 3 k. sr.	31	20
—wyłożono kosztu..........	330	50
Do tego dodawszy zapłacone rewersalnie:		
Litografii Uniwersytetu Św. Włodzimierza za 1,000 biletów prenumeracyjnych..........	6	80
Oraz wydatek na korrespondencyę redaktorską od pierwszych dni Października po 25 Lipca 1848..................	19	38
Wypada, że wydanie N. 3 Gwiazdy kosztuje ogółem..................	356	68

Zaprenumerowano N. 3 Gwiazdy:

	Exemplarzy.
w *Kijowie*, u PP. Felixa Kozłowskiego, Jakóba Próchnickiego i u Wydawcy	53
w *Berdyczowie*, u P. Grzegorza Lubeckiego	57
w *Lipowcu*, u P. Tolentyna Chmielowskiego	10
w *Kaniowie*, u P. Jana Liwskiego	9
w okolicy *Humania*, u P. Adama Sielarentkowskiego.	15
w *Czerkasach*, u P. Franciszka Zanickiego	10
w *Czehrynie*, u P. Adolfa Zubowskiego.........	7
w *Żytomierzu*, u PP. Edwarda barona de Conti i Łukasza Melniewskiego	31
w *Kamieńcu Podolskim*, u P. Alexandra Kremera.	30
w okolicy *Tulczyna*, u P. Bonawentury Kościelskiego	14
w okolicy *Hajsyna*, u P. Jana Jankowskiego	30
w *Petersburgu*, u P. Jana Kochańskiego	20
w *Odessie*, u PP. Karola Kaczkowskiego i Augusta Ścisławskiego	40
w *Wilnie*, u P. Jana Kazimierza Wilczyńskiego..	20
w *Grodnie*, u P. Alberta Danileckiego	20
w *Orenburgu*, u P. Arkadyusza Węgrzynowskiego.	11
w *Tobolsku*, u P. Adolfa Mąstowicza..........	8
I w *Tyflisie*, u P. Leona Janiszewskiego	20
Ogółem.........	405
Tym sposobem summa exemplarzy 1,050 zredukowana do	645
Z tych strąciwszy 35 exemplarzy, które przeznaczamy na honoraria niektórym kollektorom i dla uboższej młodzieży kształcącej się w krajowych Uniwersytetach, oraz 10 exemptarzy należnych Komitetowi Cenzury i archivum Drukarni, razem	45
Pozostaje do sprzedania na korzyść naszej xiążki, którą następnie, zaczynając od N. 5, w półrocznym zakresie wydawać zamierzamy..................	600

A propos. Podaje się do powszechnej wiadomości, że Gwiazda nasza wyrokiem jakiejś pokątnej Inkwizycyi skazaną została na ogień. A ponieważ ta Gwiazda w dwóch poprzedniczych Numerach reprezentowała byt Kościoła Niemenczyńskiego, więc Kościoł Niemenczyński, dzięki rozporządzeniom pomienionego autorytetu, uległ po raz drugi zniszczeniu. Śmiemy z tego względu, w imieniu Katolików parafii Niemenczyńskiej, zapytać wielkiego naszego Falarisa, czy ten element zniszczenia, którym ubłogosławiona pierś jego dysze, niewywrze z czasem zgubnego wpływu na samą religię, i czy exystencya Kościoła o tyle tylko potrzebną jest dzisiaj, o ile warunki umówionego na to funduszu okażą się sprzyjającymi osobistym widokom kilku pysznych indywiduów?

Benedykt Dołęga.

d. 25 Lipca 1848.

Kijów.

SPIS ARTYKUŁÓW

w Numerze 3-m Gwiazdy zawartych.



ERRATA.

Str.	9	wiersz 19	delikanie ,	czytaj	delikatnie.
—	12	— — 4	na nie	— —	na nic.
—	54	— — 33	kiehicy	— —	kielichy.
—	57	— — 10	osobiście?	— —	osobiście ,
—	147	— — 10	dobitnie :	— —	dobitnie :)
—	152	— 19 i 31	Micro's	— —	Micros .
—	156	— — 14	krórych	— —	których .
—	158	— — 16	pojmują	— —	pojmuję .
—	181	— — 1 i 2	przeniw	— —	przeciw .
—	184	z dołu 9	kwesstya	— —	kwestya .
—	250	z dołu 3	prużyny	— —	drużyny .
—	280	z dołu 1	potowych	— —	parowych .
—	288	— — 4	zużywa	— —	niezużywa .

NOWE DZIEŁA

NAKŁADOWE

ZNAJDUJĄCE SIĘ U TEOFILA GLÜCKSBERGA.
